



**BIANKA**  
MOJE TRZY MIESIĄCE W JAPONII  
**GEJSZA**

**CHELSEA  
HAYWOOD**

Świat Książki

**BIŃKA  
GEJSZA**

**CHELSEA  
HAYWOOD**

**BIANKA  
MOJE TRZY MIESIĄCE W JAPONII  
GEJSZA**

Z angielskiego przełożył  
*Jacek Żuławnik*

  
Świat Książki

Tytuł oryginału  
90-DAY GEISHA

Redaktor prowadzący  
*Katarzyna Krawczyk*

Redakcja  
*Ewa Czackowska*

Redakcja techniczna  
*Małgorzata Juźwik*

Korekta  
Elżbieta Jaroszuk  
*Grażyna Henel*

Copyright © Thirteen Best Fortune, 2008

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Copyright © for the e-book edition by Weltbild Polska Sp. z o.o., Warszawa 2011

Świat Książki  
Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o.  
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakkolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych - jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-7799-735-2

Nr 90451998

To jest prawdziwa historia.  
Wszystkie opisane w tej książce wydarzenia  
naprawdę miały miejsce – o ile dobrze je zapamiętałam.  
Kierując się szacunkiem i wdzięcznością,  
postanowiłam zmienić niektóre nazwiska oraz szczegóły,  
co nie zmienia faktu, że opowiadam o prawdziwych ludziach,  
prawdziwych rozmowach i prawdziwych zdarzeniach.  
No, chyba że ty, która czytasz te słowa, jesteś moją matką –  
w takim przypadku wszystko, o czym mowa w tej książce,  
jest wytworem mojej wyobraźni,  
żadna z tych osób nie istniała w rzeczywistości  
i ani jedno opisane wydarzenie  
nigdy, przenigdy nie miało miejsca.  
*Itadakimasu\**.

\* Podziękowanie, którego używa się w Japonii w momencie otrzymywania jedzenia (przyp. red.).

## One Eyed Jack



U moich stóp posłusznie rozciągała się żółta linia. Nieskończenie doskonała, lśniła kanarkową żółcią i sprawiała wrażenie namalowanej przez robota. Pomyślałam, że w istocie musiał namalować ją robot. Chociaż z drugiej strony, może jednak niekoniecznie, bo wszystko dookoła mnie miało te same, antyseptyczne cechy: i obojętny głos, który sączył komunikaty poprzez nieskazitelnie czysty sufit, i szeregi ustawionych równo jak pod linijkę kolejek, przesuwane się w kierunku rzędu identycznych stanowisk, obsługiwanych przez identyczny, doskonale zadbane, idealnie opanowany i perfekcyjnie cierpliwy personel. Zostałam poproszona o przekroczenie żółtej linii. Szybki ruch dłoni. Tędy, proszę. Tłumaczenie zbędne. Wszystko wypolerowane na nienaganny połysk.

Wyglądał zadziwiająco młodo w porównaniu z surową powagą, jaką narzucał mu mundur. Jego fryzura, równiuteńka „donica”, odbijała fluorescencyjne światło. Był pierwszym pracownikiem urzędu emigracyjnego, u którego dostrzegłam błyszczące oczy. Kiedy pochylił się lekko w ukłonie, kosmyki jego prostych włosów przesunęły się na czoło. Skinęłam głową w odpowiedzi i włożyłam swój paszport do dłoni w wykrochmalonej, białej rękawiczce.

– Dzień dobry – odezwał się. – Proszę powiedzieć, jaki jest cel pani wizyty?

– E... turystyczny – uśmiechnęłam się niewinnie. Moja odpowiedź była automatyczna. Być może wyraziłam się nie do końca precyzyjnie, ale wątpię, czy pomogłoby mi w czymkolwiek, gdybym wyznała mu prawdę.

– Gdzie zamierza się pani zatrzymać?

– W hotelu Sunroute w Shinjuku.

Pracownik urzędu imigracyjnego pobieżnie obejrzał mój paszport, zatrzymując się na dłużej przy zdjęciu, by porównać mnie na żywo z widniejącą na drugiej stronie paszportu kolorową fotografią. Posłałam mu kolejny uśmiech. To wystarczyło. Zadowolony, umieścił na ósmej stronie, dokładnie w lewym dolnym rogu, naklejkę o treści:

JAPOŃSKI URZĄD IMIGRACYJNY.  
ZEZWOLENIE WYDANE.

Data wystawienia zezwolenia: 30 sierpnia 2004.

Ważne do: 28 listopada 2004.

Długość pobytu: 90 dni.

– Nathan ma właśnie spotkanie. Zajmie się tobą, kiedy skończy.

Pomieszczenie przypominało stary teatr rewiiowy. Było zapuszczone, choć widać było, że próbowano je odnowić. W wystroju rządził aksamit do spółki z mosiężnymi słupkami, które zdobiły wyłożone lustrami podium. Absurdalnie nisko zawieszona oświetlenie sprawiało, że dosłownie wszystko – krawędzie przedmiotów, twarze – tonęło w półmroku i miękkiej, rozproszonej poświacie. Nastrój wnętrza udzielił się nawet kelnerom, przystojnym, ale wyglądającym na wychudzonych.

Klub był jeszcze zamknięty, więc oprócz kilku Japończyków i kilku białych – w sumie dziesięciu mężczyzn – świecił pustkami. Usiadłam na stołku przy barze, wygięłam plecy w łuk i skupiłam się na dwóch biznesmenach, namiętnie dyskutujących w drugim końcu pomieszczenia. Byłam umówiona z jednym z nich. Nie mając nic ciekawszego do roboty, przyglądałam się kłębowi dymu, które spowijały ich niczym delikatna mgiełka.

Minęło trzydzieści minut. Mężczyźni ulotnili się gdzieś, a do mnie – samotnie oczekującej na rozmowę – dołączyła zestresowana Izraelka, która usiadła przy jednym ze stolików. Kandydatka numer dwa „obym tylko dostała pracę, obym tylko dostała pracę” miała długie, kruczoczarne loki, które przytłaczały jej kruche ciało. Niełatwo było zrozumieć jej łamany angielski, więc siedziałyśmy w ciszy i patrzyłyśmy, jak jedna za drugą, parując na dziesięciocentymetrowych obcasach, schodziły się do klubu tlenione blondynki, a każda z nich dłońmi zakończono-

nymi długimi tipsami ścisnęła torebkę z logo słynnego projektanta. Wszystkie – łącznie aż siedemdziesiąt dziewcząt – pracowały w One Eyed Jack, najbardziej prestiżowym spośród międzynarodowych hostess-klubów w Tokio. Przyglądałam się im, gdy zbierały się w grupkach i puszczały z dymem odpalanych jeden od drugiego papierosów jędrność swojej skóry.

Te epatujące przepychem, ale w sumie tandetne lalki w niczym nie przypominały dziewczyny, którą spotkałam na wierzchołku góry w Nepalu. Miałam wówczas szesnaście lat i wybrałam się na pierwszą zagraniczną wycieczkę, a tymczasem ona od roku samotnie podróżowała po świecie. Była piękna, inteligentna i beztroska, a do tego, co mnie wyjątkowo zaintrygowało, finansowała swoją wyprawę z zupełnie nieoczywistego źródła, którym okazali się Japończycy, klienci tokijskiego hostess-klubu.

Od tamtej pory poznałam wiele innych dziewczyn, które pracowały w Japonii jako hostessy. Zafascynowały mnie ich opowieści. Zauważyłam, że choć początkowo opowiadały z ekscytacją o swoim życiu, to stopniowo do głosu dochodziło zblazowanie. Zastanawiałam się, co sprawiło, że niemal wszystkie zostawiły Tokio z poczuciem niesmaku w stosunku do tego co japońskie. Wypiły o jednego drinka za dużo, czy wciągnęły o gram za wiele? A może chodziło o mężczyzn? Zaintrygowało mnie, dlaczego wiele z nich w końcu decydowało się na powrót do Tokio.

Wszystkie te młode, ambitne kobiety musiało łączyć coś więcej poza pieczętą z napisem „kraj Pierwszego Świata”, postawioną na akcie urodzenia. Zagubiły się w życiu? Szukały odmiany od bezbarwnej egzystencji? Próbowaly uwolnić się od toksycznego związku? Obudziły się ze świadomością, że poświęciły cztery lata na zdobywanie dyplomu, z którym nie wiedziały, co zrobić? A może wywodziły się spośród spragnionych ryzyka łowczyń przygód? Albo po prostu nie знаły lepszego miejsca niż Tokio?

Jeśli o mnie chodzi, podjęłam tę decyzję w pełni świadomie i solidnie się do niej przygotowałam. Jestem twarda i, powiem otwarcie, mam plan. Począwszy od wczesnych lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia setki tysięcy kobiet przyjechało do Japonii, żeby podjąć tymczasową pracę w lukratywnych tokijskich hostess-klubach. Każda z nich miała swój powód i swoją historię. A jednak nikt nigdy nie opisał ich doświadczeń. Dlaczego nie? Wiem, że nie zabrzmiałoby to przyjemnie, ale – o ile zdążyłam się zo-



rientować – każdemu, kto miał na to ochotę, dosłownie popieprzyło się w głowie. Postanowiłam więc, że sama muszę to zrobić.

Minęło kolejne pół godziny. „Gdzie, do cholery, jest Nathan?” – pomyślałam. Zdążyłam usunąć każdy milimetr brudu spod paznokci i zlustrować pomieszczenie od góry do dołu. Z mojej drugiej darmowej żurawiny z lodem pozostał sam lód, a mnie zaczęło drapać w gardle. Właśnie rozważałam, czyby się stamtąd nie ulotnić, kiedy wreszcie wszedł, kierując się wprost ku mnie.

Ubrany był perfekcyjnie: w garnitur, którego nie znajdziesz w zwykłym sklepie, i buty na wysoki połysk. Sterczące włosy błyszczały. Pod doskonale ukształtowanymi brwiami czaił się przenikliwy wzrok. Z każdej komórki jego ciała emanowała władczość i niezachwiana pewność siebie. Na pierwszy rzut oka ten facet przypominał maszynę.

– Przepraszam, że musiałaś czekać. Nazywam się Nathan. Proszę, chodź ze mną. – Uścisk jego dłoni był mocny, ale krótki. Spojrzał mi w oczy.

Przeszłam za nim przez całą salę do okrągłego salonu urządzonego w stylu lat trzydziestych. Nathan wślizgnął się na kanapę, a potem rozpiął jedyny guzik marynarki i poprawił sztywny kołnierzyk koszuli tak płynnym ruchem, że miałam wrażenie, jakby zrobił to jednocześnie. Rzucił okiem na podanie o pracę, które wypełniłam przed godziną.

W podaniu, prócz standardowych zapisów, obecna była również następująca klauzula:

Osoba zatrudniona przez firmę One Eyed Jack zobowiązuje się przestrzegać wewnętrznego regulaminu firmy oraz przepisów japońskiego prawa. Osoba niepełnoletnia lub nieposiadająca stosownego zezwolenia nie może zostać pracownikiem firmy. Osoba, która podejmie jakiegokolwiek działanie niezgodne z prawem, zostanie zwolniona w trybie natychmiastowym bez wypłaty wynagrodzenia.

Co ciekawe, przy pytaniu: „Czy posiadasz wizę zezwalającą na podjęcie pracy?”, zaznaczono domyślnie odpowiedź: „Tak”.

– Okej, Chelsea. A więc chciałabyś pracować jako hostessa. Skąd pochodzisz?

– Z Kanady.

– Aha, wydawało mi się, że ze Stanów. Wychowałem się w Nowym Jorku. Mój ojciec jest Amerykaninem włoskiego pochodzenia, a matka

Japonką. Mieszkam w Tokio dopiero od ośmiu lat. Tokio każdego wciąga i nie wypuszcza. Uwielbiam to miasto, w życiu nie chciałbym mieszkać gdzie indziej, chociaż czasem zadaję sobie pytanie, co ja tu właściwie robię. Ile masz lat?

– Dwadzieścia – spojrzałam na leżący przed nim formularz. Tym razem pochylił się, żeby go przeczytać.

– Jesteś modelką?

– No, cóż...

– A ponadto chciałabyś dorobić do pensji modelki? – uciął z chirurgiczną precyzją. Ale nie to chciałam powiedzieć.

– Nie. Przyjechałam specjalnie po to, żeby zostać hostessą. Chciałabym pracować tylko w tym charakterze.

Nathan przechylił lekko głowę i zmarszczył brwi.

– Klub jest otwarty sześć wieczorów w tygodniu, ale większość dziewczyn pracuje tylko pięć – zaczął. – Pozwól, że wyjaśnię ci, jak działa. Wszystkie nowe dziewczyny zaczynają od stawki 2000 jenów za godzinę – może ona wzrosnąć zależnie od twoich umiejętności. Nasze najlepsze hostessy zarabiają około 3000–3500 jenów plus drinki, co oznacza, że jeśli jest duży ruch, wyciągają nawet 60 dolarów na godzinę. Pracujemy od 21.00 do 3.00 nad ranem. Za każdy napój, który klient dla ciebie zamówi, dostajesz 500 jenów, ale nie może być ich więcej niż dwadzieścia pięć w ciągu nocy. Wychodzi jakieś cztery, pięć na godzinę – żaden problem, jeśli jest spory ruch. Drinki nie muszą być z alkoholem, możesz zamówić sok, ale klient tak czy siak zapłaci za trzy takie napoje 1500 jenów. Nie płacimy za prośby, to znaczy za sytuacje, w których klient poprosi o twoje towarzystwo. Twój zarobek to podstawowa stawka godzinowa plus zwrot za drinki. Jasne?

Skinęłam głową i słuchałam dalej.

– Płacimy trzy razy w miesiącu: dziesiątego, dwudziestego piątego i piętnastego. Dziesiątego dostajesz wypłatę za dwa ostatnie tygodnie poprzedniego miesiąca, a dwudziestego piątego za pierwsze dwa tygodnie bieżącego miesiąca. Piętnastego płacimy za drinki. Zresztą kiedy przydziesz do pracy, dziewczyny powiedzą ci wszystko, co musisz wiedzieć. To, w każdym razie, podstawowe informacje. Dam ci wizytówkę z moim numerem telefonu. Nie masz telefonu? – postukał palcem miejsce w formularzu, które zostawiłam puste.

– Nie, jeszcze nie. Przyleciałam dopiero dwa dni temu.

– Nie szkodzi. Kup sobie telefon, a potem zadzwoń pod ten numer jutro około siódmej. Dziś mam jeszcze kilka rozmów, więc ostateczną odpowiedź dam ci jutro. Dużo dziewczyn wróciło splukanych z wakacji i chce się odkuć. Zadzwoń.

Nathan wyjął z kieszeni marynarki srebrne pióro i sięgnął po serwetkę.

– Zapiszę ci nazwy paru innych klubów, w których możesz popytać jeszcze dziś wieczorem. Te kluby mają trochę inne zasady niż my. Płacą od godziny, ale nie zwracają za drinki – niektóre dziewczyny tak wołają. – Napisał na serwetce dwa słowa: Greengrass i Outline. – W obydwu szukają dziewczyn. Jak wyjdiesz, skręć w lewo. Miniesz Velfarre i po prawej zobaczysz Seventh Heaven, to jeden z naszych klubów ze striptizem. Spokojnie, nie wysyłam cię tam. Przy wejściu jest winda, Greengrass znajduje się na szóstym albo siódmym piętrze. A potem sprawdź ten – podkreślił Outline. – Kiedy wyjdiesz z Greengrass, poproś Murzyna, który pilnuje wejścia, on powie ci, jak się tam dostać. To całkiem niedaleko, ale nie wiem, gdzie dokładnie. Nie wychodzę zbyt często. Kursuję na trasie praca–dom – posłał mi przyklejony do twarzy, niby-wyluzowany uśmiešek. – Nie włóczę się po klubach.

– Okej, świetnie. Dzięki za poświęcony czas.

– Żaden problem. Jeśli będziesz miała jakieś pytania, zadzwoń pod numer, który ci dałem. Powodzenia.

Nathan zakończył rozmowę mocnym uściskiem dłoni i zniknął.

W tej samej sekundzie, w której dotknęłam chodnika, raptownie cofnęłam przyozdobioną czarnym czółenkiem stopę. Wystarczył krok, bym znalazła się pod kołami czarnego jak smoła lamborghini murciélago, który podjechał tak blisko, że zobaczyłam własne odbicie w wypolerowanym na wysoki połysk lakierze. Supernowoczesny sprzęt grający auta dyszał ciężko i wprawiał w drgania wilgotne powietrze, gdy wóz, niczym narowisty rumak na uwięzi, próbował przecisnąć się wąską alejką. Ta robiąca piorunujące wrażenie bestia – rydwan, którego nie powstydziliby się sam diabeł, gdyby przyszło mu wpaść do Tokio – w zasadzie nie wzbudzała większego zainteresowania przechodniów.

Wraz z zapadnięciem zmroku neony na budynkach budziły się z nudnego, zakurzonego, znaczonego rozczarowaniami dnia, by obwieszczać wszem i wobec: „Lepiej być nie może!”, a ich kalejdoskopowe światła

przesączały się do krwiobiegu miasta, zarażając je euforią, która wyostrzała zmysły i przydawała światu blasku.

Oto Roppongi – dzielnica, która krzykiem zwracała na siebie uwagę. *Irashaimasse! Komaban wa!*

Pomyślałam, że choć nigdy wcześniej nie słyszałam o Greengrass, to właściwie nie zaszkodzi spróbować – w końcu przyda mi się plan B. Ruszyłam w stronę skrzyżowania, a następnie skręciłam w ciemną alejkę, na końcu której ujrzałam migający neon lokalu ze striptizem. „Weź głęboki oddech. Głowa do góry i ruszaj w stronę światła”. Lawirując między nieobliczalnymi taksówkami i mercedesami z przyciemnianymi szybami i korzystając z rzucałego przez ich reflektory blasku, unikałam nierówności. Minęłam dwóch pochodzących z Oceanii osiłków strzegących oświetlonej wściekle czerwonym światłem klatki schodowej prowadzącej do pokazanego, kontrolowanego przez jakuzę megaklubu. Nieco dalej znajdowało się wejście do Seventh Heaven, przed którym stał kolejny bramkarz.

– Hej, hej, hej! Dokąd to, panienko? Szukasz pracy, kochanie? – To musiał być gość, o którym wspomniał Nathan.

– Pewnie, ale dzięki, nie takiej, o której myślisz.

– Skarbie, chcesz mi powiedzieć, że nie jesteś tancerką? – Skrzywiłam się, kiedy otaksował mnie od góry do dołu. – Co za pech, byłbym twoim najlepszym klientem. Mówię ci, złotko, zarabiałabyś niezłą kasę! – Strześlił palcami i przystawił je do ust jak Włoch, który właśnie oznajmił swojej *mamma*, że jej spaghetti bolognese jest największym majstersztykiem kuchni w całej Italii. Uśmiechnęłam się chłodno.

– Nie, sorry. Nie jestem zainteresowana.

– Okej, okej. Łapię. Spokojnie, jestem po twojej stronie. Szukasz pracy jako hostessa, zgadza się? Okej, to miło – wyciągnął do mnie rękę. – Nazywam się Solomon. Pochodzę z Nigerii.

Podczas gdy Solomon energicznie potrząsał moją dłońią, niemal wyrywając mi bark, dodałam jego imię do długiej listy tych, którzy tamtej nocy próbowali mnie zwerbować. Kiedy uwolniłam rękę, ruszyłam w stronę windy.

– Hej, panienko! – krzyknął za mną Solomon. – Jeżeli zmienisz zdanie, wiesz, co do tańczenia w moim klubie, daj mi znać!

O nie, nieprędko.

## Człowiek, który śmiał się po cichu



Kiedy wysiadłam z windy na szóstym piętrze, pomyślałam, że pomyliłam przyciski. Ujrzałam gigantyczne, dwuskrzydłowe, bogato zdobione drzwi, na których widniały wizerunki pięknych pań. Damy pozowały w kuszącej bieliźnie, rozpyływały się w uśmiechu i epatowały silikonowymi piersiami oraz... jabłkiem Adama. Zadbane męskie dłonie podtrzymywały wylewający się biust pozostałych, obecnych na zdjęciach posiadaczy chromosomu Y. Nie było mowy o żadnej subtelności. Nawet klamki u drzwi nie pozostawiały wątpliwości co do charakteru lokalu, były to bowiem obdarte dionizyjskimi proporcjami złote penisy, tak grube, że niełatwo było objąć je dłonią, i długie na ponad trzydzieści centymetrów. Zaniepokojona – ale jednocześnie rozbawiona – odwróciłam głowę i po drugiej stronie wąskiego korytarza ujrzałam zwyczajne drzwi z dyskretną tabliczką: „Greengrass”. A jednak to właściwe piętro.

Gdy weszłam do środka, ogarnął mnie półmrok. W tle słyszałam delikatne dźwięki gitary Erica Claptona. Rozszerzyły mi się źrenice, a kiedy odzyskałam ostrość widzenia, okazało się, że pomieszczenie było zaskakująco małe i skromne. Pod ścianami, na których wisiały dobrane ze smakiem reprodukcje arcydzieł malarstwa, stały miękkie turkusowe sofy. Greengrass nie wyglądał tak niechłujnie jak One Eyed Jack. Wszystko tu było niskie, miało ostre krawędzie i zdecydowanie męski charakter.

Wzdłuż ścian ustawiono dwanaście stolików, a przy każdym okrągłe, wyściełane stołki. Brakowało okien. W jednym końcu stał uśpiony sprzęt do karaoke, nad którym dominował potężny zestaw głośników, drugi zaś koniec zajmował skromny bar. Siedziało przy nim trzech mężczyzn w bia-

łych, odprasowanych koszulach. Sprawiali wrażenie bardzo zaskoczonych moim nagłym przybyciem, bo wszyscy trzej natychmiast odłożyli papierosy na popielniczkę, niczym przyłapani na gorącym uczynku uczniacy, i dopiero kiedy najstarszy z nich wstał i gestem przywołał mnie do siebie, powrócili do palenia.

Byliśmy mniej więcej tego samego wzrostu, ale wysokie obcasy pozwalały mi spoglądać na niego z góry. Nosił dziwaczną czarną muszkę, a jego włosy nienaturalnie błyszczały, jak gdyby spryskał je farbą w aerozolu. Miał twarz w kształcie serca, uprzejme spojrzenie, nieduże usta i naprawdę kiepską cerę.

Patrzył na mnie wyczekująco, trzymając ręce z tyłu.

– *Komban wa\** – ukloniłam się. – Nathan z One Eyed Jack przysłał mnie do waszego klubu. Chciałabym zapytać o możliwość pracy.

Skinął głową i wskazał nieduży stolik stojący pomiędzy dwoma przesklonymi barkami szczelnie wypełnionymi butelkami z alkoholem. Wręcz absurdalnie niski stolik sięgał mi ledwie kolan, a kiedy usiedliśmy naprzeciwko siebie, poczułam się jak harcerka podczas narady wojennej – w istocie był to stolik zarezerwowany dla szefostwa klubu. Oburącz wręczył mi swoją wizytówkę. Widniało na niej: „Nakamura Nishi”. Powyżej znajdowały się trzy duże znaki *kanji* – był kierownikiem klubu.

Najczęściej hostess-klubowi szefuje *mama-san*, starsza kobieta, zwykle była hostessa. To ona dba o dobre stosunki z klientami, zbiera informacje na temat ich osobistych upodobań i jednocześnie niczym kwoka matkuje dziewczynom. W przypadku Greengrass wyglądało na to, że Nishi pełnił funkcję męskiej *mama-san*.

Przedstawiłam się formalnie i niemal w całości po japońsku. Uśmiechnął się, nie otwierając ust, i odezwał się dopiero wtedy, gdy skończyły mi się pomysły, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

– Ploszę, na imię mam Nishi. Nakamura to moje nazwisko. Mówisz po japońsku bardzo dobrze.

– Dziękuję, to miłe. Mówię tylko trochę po japońsku. *Chotto*. – Ułożyłam kciuk i palec wskazujący w międzynarodowy znak oznaczający „tylko odrobinę”.

---

\* Dobry wieczór (przyp. red.).

– Mój engrish\* nie taki dobly. Przykro mi – głowa Nishiego podskakiwała w górę i w dół, gdy jej właściciel zaśmiewał się bezgłośnie.

Położył przede mną kartkę papieru, na której wyłuszczonego schemat działania klubu w postaci zbieraniny akapitów opisujących zarobki, bonusy oraz warunki, jakie należało spełnić, aby je uzyskać. Zaskoczyło mnie to, że choroba podlegała karze w wysokości 2500 jenów, a za nieobecność w pracy trzeba było zapłacić aż 10 000 jenów, ale przypuszczam, że z punktu widzenia kierownictwa klubu takie obostrzenia były konieczne. Omówienie każdego punktu zajęło Nishiemu – i tej jego przedziwnej mozaice engrishu oraz niesamowicie powolnego, uniżonego sposobu mówienia – dobre kilka minut. Powoli, za pomocą precyzujących pytań, zaczynałam rozumieć różnice pomiędzy dwoma klubami i dlaczego „niektóre dziewczyny tak woła”.

Z jednej strony stawka godzinowa była wyższa, lecz liczba gwarantowanych godzin niższa. System bonusów brzmiał obiecująco, ale wymagał, aby dziewczyna zdobyła sobie stałych klientów. Nie byłam przekonana co do wygody takiego systemu, który w dodatku sprawiał, że zarabianie na swoją dolę stawało się o wiele bardziej skomplikowane niż po prostu przychodzenie do pracy każdego wieczoru i odfajkowanie kolejnych drinków – paradoksalnie, była to zaleta One Eyed Jack.

Tymczasem tutaj, żeby zapracować na przyzwoitą pensję, trzeba było cieszyć się popularnością. Klienci powinni prosić o spotkania z tobą, a po to, żeby uzyskać bonus, należało odbyć określoną liczbę *dohan*, czyli specjalnie zaaranżowanych obiadów-randek z klientami, których następnie trzeba było przyprowadzić do klubu. Jeżeli się tego nie robiło, dostawało się pensję minimalną.

Greengrass, odwołujący się do tradycji gejsz, z całą pewnością bardziej odpowiadał mojemu wyobrażeniu hostess-klubu niż wysoko mierzący One Eyed Jack. Tam rozrywkę stanowiła lustrzana scena, po której wiły się półnagie tancerki, tutaj – maszyna do karaoke i bogaty wybór piosenek stanowiły jedynie drugorzędną rozrywkę. W Greengrass ceniło się hostessy za ich umiejętność konwersacji (zwaną również dogadaniem własnemu ego); w One Eyed Jack postrzegano je jako wciśnięte w kuszące minispódniczki partnerki do picia, mające mocne pęcherze. Największą różnicę stanowiła jednak znacznie wyższa suma, jaką można

---

\* Zniekształcony angielski (przyp. tłum.).

było wyciągnąć z One Eyed Jack, wykonując dokładnie tę samą pracę, co w Greengrass. Kilkaset dolarów każdej nocy pomnożone przez trzy miesiące pracy dawało kwotę, której nie sposób było zignorować. Woląłabym pracować w One Eyed Jack.

Kiedy Nishi zakończył objaśnianie warunków, pozostało mi jeszcze jedno pytanie.

– Czy muszę śpiewać karaoke? – zapytałam, absolutnie nie zamierzając tego robić. Dla mnie karaoke to był najgorszy koszmar. Głowa Nishiego podskakiwała w ciszy w górę i w dół.

– Nie, nie. Pani Chelsea nie śpiewa. Tylko klient. Niektóre dziewczyny śpiewają. Niektóre dziewczyny śpiewają zbyt wiele i mam ogłomny ból głowy. Przyjdź w piątek wieczór, okej?

Był czwartek.

– E... czy mogę dać znać jutro? Muszę się zastanowić. – Nie powiedziałam mu, że wszystko zależy od tego, czy Nathan z One Eyed Jack powie: „Tak”. A poza tym chciałam to omówić z Mattem. – Czy mogę zadzwonić jutro? Powiedzmy po siódmej?

– Okej, jutro. Chciałbym, żebyś wybrała Greengrass. Czekam na telefon. Jeśli pani Chelsea powie: „Tak”, będę bardzo szczęśliwy.

– Halo, czy mogę rozmawiać z Nathanem?

Cichy, kobiecy głos poinstruował mnie, żebym poczekała. A więc czekałam. I czekałam. I czekałam, aż w końcu zaczęłam się martwić, że za chwilę skończą mi się impulsy na karcie. Zanim mdły J-pop, który przez cały czas sączył mi się do ucha, zdążył swoją słodyczą wyrządzić nieodwracalne szkody w moim uszębieniu, w słuchawce odezwał się męski głos:

– Nathana nie ma.

– Okej. Byłam u was w klubie wczoraj wieczorem. Nathan powiedział mi, żebym zadzwoniła w sprawie pracy około siódmej.

– Jak się nazywasz?

– Chelsea.

– W porządku. Nic o tym nie wiem. Wiem tylko, że go nie ma i nie będzie do poniedziałku.

– Do poniedziałku? – powtórzyłam z niedowierzaniem. Przecież Nathan wyraźnie powiedział: „W piątek”.

– No, do poniedziałku.



- Aha... czyli mam zadzwonić w poniedziałek?
- No... tak. Zadzwoni w poniedziałek. – Odłożyłam słuchawkę i wyjęłam z portfela wizytówkę Nishiego. Wszystko to było odrobinę tajemnicze. Do poniedziałku zostały jeszcze trzy dni, ale czułam, że nawet jeśli wtedy zadzwonię, to i tak nie otrzymam odpowiedzi.

Dryń, dryń.

- *Moshi, Moshi*\*.

- Halo, pan Nakamura? Z tej strony Chelsea, byłam wczoraj wieczorem w waszym klubie. Chciałabym u was pracować.



---

\* Japoński odpowiednik „halo” w rozmowie przez telefon (przyp. red.).

## Różowo, żółto i goło



– Cześć, złotko, wyglądasz słodko! Pracujesz tu? Świetnie! Gdzie? W Republice?

Republika mieściła się w tym samym budynku i była rosyjskim hostess-klubem.

– Nie, Solomon. W Greengrass na szóstym piętrze. Co słyhać? – Moja dłoń zniknęła w jego uścisku. Potrząsnął nią solidnie.

– Spoko, spoko. Wszystko okej, maleńka. Wiesz, mamy tu dzisiaj niezły ruch. Piątek wieczór, co nie? – Szybko puścił moją rękę, żeby pomachać krzykliwą ulotką przed nosem mijających nas sararimanów\* z teczkami pod pachą. – Sexy-laski, tancerki topless! Piękne dziewczyny!

Zignorowali go, więc krzyknął za nimi:

– Nie lubicie sexy-lasek? Co z wami nie tak?

– Miłej nocy, Solomon – zaśmiałam się i ruszyłam w swoją stronę.

– Nie, nie, kochanie, to tobie miłej nocy. O mnie się nie martw, ja sobie radę dam.

Podczas gdy Solomon skandował do przechodniów słowa zachęty, ja zajęłam się podziwianiem plakatów wiszących na ceglany murze obok drzwi windy. Uśmiechała się do mnie zgodnym unisonem grupka filipińskich dziewcząt – o imionach w rodzaju Rose, Julie czy Jenny – w niemal identycznych fryzurach, minispódniczkach i wywijanych skarpetkach do kostek. Cztery japońskie hostessy o masywnych ramionach uległy kłę-

---

\* *Sarariman* – (od ang. *salary man*) – człowiek na etacie, z pensją, zawsze w garniturze, przepracowany i ciągle niewyspany (przyp. red.).

czały w samej bieliźnie, zasłaniając twarz zewnętrzną częścią dłoni. Reklama wydała mi się mocno niepokojąca i o wiele bardziej intrygująca niż kiczowaty, zrobiony w stylu Las Vegas plakat promujący Seventh Heaven: nic, tylko różowo, żółto i goło.

Na szczęście Greengrass nie dysponował własnym plakatem i reklama ograniczała się do nazwy klubu na liście zawieszanej przy wejściu do windy. Sąsiadujący z Greengrass klub dla panów/pań również nie ogłaszał się w sposób ostentacyjny, ale wzięwszy pod uwagę niszę, jaką wypełniał, ów złotopenisy przybytek chyba nie musiał martwić się o konkurencję.

Znalazszy się w windzie, nacisnęłam szóstkę i drzwi się za mną zamknęły. Okej. Uspokoić nerwy. Greengrass nie kusił swoich klientów symbolami fallicznymi, więc nie było się czym stresować. Moim zadaniem było znaleźć odpowiedź na dwa pytania: „Jak działa ten system?” oraz „Jak mogę go rozgryźć?”. Dam radę, powtarzałam sobie w duchu. Tylko spokojnie.

Większość mieszkańców zachodniego świata nie zdaje sobie sprawy, że hostessę w Japonii najwięcej łączy z psychologią, niewiele z seksem i zupełnie nic z prostytutką. Hostessa jest raczej połączeniem żyjącego z napawków barmana z native speakerem w szkole językowej. Jak głęboki dekolt i wysokie IQ w jednym. Dlatego, gdy nie ma chłopaka, to nic złego. Chłopaka albo męża.

Wzięłam ślub w Australii. Miałam osiemnaście, a on dwadzieścia trzy lata. Niejaki Matthew Brian Brennan. Totalnie zwałił mnie z nóg. Nigdy wcześniej nie spotkałam kogoś tak opanowanego, urodziwego i absolutnie wyjątkowego. I nigdy w życiu nie przypuszczałam, że zrobię coś tak boleśnie przewidywalnego jak wyjście za męża. Ale nagle ujrzałam przyszłość taką, jaką sobie wyobrażałam, i okazało się, że obydwójmy myślimy o tym samym. Dwa miesiące później poszliśmy jak staliśmy – w tenisówkach i džinsach – do urzędu stanu cywilnego, zgarnęliśmy po drodze kilku jego dobrych znajomych, żeby robili za świadków, i powiedzieliśmy „tak”. Okazało się, że obydwójgu nam nie potrzeba było innej ceremonii.

Matt i ja nigdy nie przejmowaliśmy się konwencjami. Ja nie dbam o kwiaty, nie zaznaczam rocznic w kalendarzu i nie zastanawiam się nad prezentami, które mają symbolizować wzajemne oddanie, ale mimo to

kochamy się bezwarunkowo. Najważniejsza w naszym związku jest przyjaźń, zawsze uważaliśmy, że jesteśmy sobie równi. Dlatego, kiedy powiedziałam głośno, że chodzi mi po głowie pomysł na książkę – a zdarzyło się to pewnego popołudnia w Bangkoku, w kafejce, przy serniku – Matt odniósł się do tego niemal z większym entuzjazmem niż ja. Dwa dni później byliśmy już w drodze do Tokio. Jego wiara we mnie zawsze była niezachwiana.

Wyprawiałam się w nieznaną nie po to, by pracować jako hostessa, spędzać noce na platonicznym zabawianiu podstarzałych Japończyków, ale by zdobyć doświadczenie, okazję posmakowania życia i udokumentowania go. Miałam szczęście, że Matt darzył mnie pełnym zaufaniem i nie zamartwiał się z powodu tego szalonego pomysłu. Choć wiem, że poradzę sobie wszędzie, dokądkolwiek pójdę, to przecież nie o to chodzi w udanym związku, prawda? Matt jest oparciem dla mnie, a ja dla niego.

Świat japońskich hostess jest owszem, dziwny, i wielu obcokrajowcom wydaje się mocno niekonwencjonalny, ale trzeba pamiętać, że stanowi po prostu inny wymiar rzeczywistości. Przenieś Zulusa do Disneylandu, a pomyśli, że świat stanął na głowie, ale przecież miliony ludzi uwielbia Magic Kingdom i jego bajkową, surrealistyczną krainę, w której wszystko jest możliwe. W końcu to przemysł wart miliardy dolarów i nieodłączny element amerykańskiej kultury.

Na takiej samej zasadzie hostess-kluby w Japonii stanowią powszechny, szanowany i w najmniejszym stopniu niewywrotowy element krajobrazu. Nie jest to zresztą wymysł ostatnich lat, ponieważ na długo przedtem, zanim kobiety z Zachodu zaczęły przybywać do Japonii, by nalewać japońskim mężczyznom drinki i pomagać im w szlifowaniu angielskiego, Japończycy szukali towarzystwa japońskich hostess. Dopiero w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, na fali bańki spekulacyjnej, kiedy to handel międzynarodowy sprawił, że fortuna miejscowych milionerów i miliardów urosła do niebotycznych rozmiarów, język angielski stał się dla bogatej elity dobrem użytkowym, a wraz z nim pojawiła się ochota na błękitnookie blond piękności. Dziś kobiety nadal stanowią dla Japończyków kuszącą atrakcję – wisienkę na torcie – i prawdopodobnie tak już pozostanie, aczkolwiek hostess-klub jest miejscem, w którym drzwi się nie zamykają, zarówno dla klientów, jak i pracownic, a większość dziewczyn podejmuje tu pracę jedynie tymczasowo.

Hostess-kluby – funkcjonujące zarówno w dzielnicach handlowych, jak i rozrywkowych – są dla japońskiej mentalności tym, czym dla Anglików rodzinny obiad niedzielny. Nikt nie wstydzi się chodzenia do hostess-klubów i nikt temu nie zaprzecza. Nie ma to jak wyrwana z życiorysu godzinka spędzona w obskurnym przybytku z panienkami. W przypadku niektórych klubów już sam fakt, że bywa w nim, przydaje mężczyźnie społecznego prestiżu, a im klub bardziej ekskluzywny, tym status wyższy i jest się czym chwalić. Japończycy często wykorzystują kluby jako alibi, gdy żony ośmielają się mieć pretensje o nocne eskapady. Nierzadko bowiem firmy organizują po pracy spotkania swoich pracowników właśnie w ulubionych hostess-klubach. Uczestnictwo w nich jest, rzecz jasna, obowiązkowe. Klienci firmy bawią się w najlepszych klubach, na jakie tylko stać przedsiębiorstwo – zabiegające w ten sposób o zacieśnienie współpracy.

Hostess-kluby stanowią kulturowy fenomen, który istnieje obok zwykłej, codziennej egzystencji, a nawet ją uzupełnia. To miejsca, do których mężczyźni przychodzą jedynie po to, by pobyć w towarzystwie kobiet tak długo, jak sobie zażyczą i za ile będą w stanie zapłacić. Japończycy traktują kluby, hostessy, a nawet karaoke jako sposób na pozbycie się stresu po całodziennej pracy; w klubach mogą puścić wodze fantazji i liczyć na to, że ktoś ich wysłucha, jeśli mają akurat chęć powiedzieć, co im leży na wątrobie. W patriarchalnym świecie pracoholików to coś absolutnie niezbędnego. Nieodłączny element kultury.

Byłam tym zafascynowana. Czy rzeczywiście coś tak niewinnego może istnieć w samym oku seksualnego cyklonu? Tuż obok epatujących golizną przybytków? Drzwi w drzwi z transseksualnym skarbcem? Mając do dyspozycji tyle możliwości, czego posiadający władzę, inteligentny i nieprzyzwoicie bogaty Japończyk może szukać u młodej dziewczyny z Zachodu? Hostessa nie zrzuca z siebie ciuszków i nie tańczy na rurze. I na pewno nie zamierza nikomu robić laski. Ja zaś nie miałam najmniejszego zamiaru dyskutować na temat bieżących wydarzeń, ubrana jedynie w seksowny komplecik albo strój uczennicy, jak Rose, Julie i Jenny. Oczekiwano ode mnie, bym włożyła przyzwoitą suknię koktajlową i posługiwała się nienagannym angielskim w sposób grzeczny i czarujący. Miałam śmiać się z dowcipów, nalewać drinki i przypalać papierosy. Czy to takie trudne?

# Kompletnie zielona



Otworzyłam drzwi i z ust jednego z postawnych kelnerów pracujących w Greengrass usłyszałam głośne: *Irashaimasse!*, typowe japońskie powitanie. Mężczyzna ochoczo pochwalił się umiejętnością błyskawicznego składania głębokiego – sto stopni! – ukłonu. Zaskoczyło mnie to oficjalne powitanie, ale wszystko wróciło do normy, kiedy kelner wyprostował się i otworzył szeroko ukryte za lenonkami oczy.

– Och! Pani Chelsea. Cześć – zaśmiał się z zakłopotaniem. – Nazywam się Tehara.

Obdarzył mnie stosownym do mojej rangi ukłonem i zaprowadził do stolika szefostwa. Jakiś czas później przysiadł się do mnie Nishi z popielniczką w ręku.

– Pani Chelsea. Baldzo się cieszę, że wybrałaś Greengrass – wyszeptał. Uśmiechnął się, położył na stoliku kartkę papieru i przesunął ją swoim wysuszonym palcem w moją stronę. Kontrakt. I jeszcze jedna kartka. Stuk, stuk – palec uderzył o blat. – Baldzo ważne do pracy. Przeczytaj, ploszę.

## OBOWIĄZKI HOSTESSY

1. Podawanie klientom *oshibori* (gorący ręcznik do rąk). Kiedy klient odchodzi od stolika i do niego wraca, podaj mu *oshibori*.
2. Przygotowywanie drinków dla klientów. Jeżeli na stoliku stoi butelka whisky, brandy, wina, szampana itp., a kieliszek lub szklanka klienta są puste lub prawie puste, zapytaj klienta, jakiego drinka sobie życzy, a następnie przygotuj go.

3. Wymiana wizytówek. Kiedy usiądziesz przy stoliku, przedstaw się i wręcz klientowi wizytówkę (lub też podaj swój numer telefonu bądź adres e-mailowy).
4. Śpiewanie karaoke. Śpiewanie karaoke nie należy do obowiązków hostessy i wpływa na liczbę piosenek przysługujących klientowi. Pamiętaj, że klient nie przychodzi do klubu po to, by słuchać twojego śpiewu. Jeżeli klient zażyczy sobie zaśpiewać z tobą w duecie, spełnij jego prośbę.
5. Ubranie i obuwie. W celu utrzymania wysokiego poziomu obsługi klienta hostessa powinna pamiętać, iż istnieją pewne normy dotyczące ubioru. Na przykład: spódnica powinna być albo krótka, albo bardzo długa; buty powinny zakrywać kostki i mieć co najmniej trzycentymetrowe obcasy; zabrania się noszenia T-shirtów, spodni, rozpinanych bluzek, swetrów oraz sandałów; dopuszczalne są sukienki wyjściowe. Złamanie przepisu będzie skutkowało zakazem pracy przez jeden dzień. W razie wątpliwości zwróć się do pracownika klubu lub poproś o pomoc doświadczoną hostesę.
6. Telefonowanie do klientów (lub wysyłanie do nich e-maili). Zadzwoń do klienta następnego dnia po jego wizycie w klubie. Podziękuj mu za przybycie, powiedz, jak bardzo podobała ci się jego wizyta, rozbaw itd. Ewentualnie umów się na *dohan* (doprowadzenie do lokalu).
7. Uwagi na temat doprowadzania do lokalu (*dohan*) oraz innych czynności poza miejscem pracy. Zawsze zostawiaj pracownikowi klubu informacje na temat osoby, którą doprowadzasz do klubu (nazwisko oraz numer telefonu lub adres e-mailowy). Dotyczy to także danych kontaktowych klienta, z którym po raz pierwszy wychodzisz na drinka lub któremu pragniesz dotrzymać towarzystwa poza klubem. Wystrzegaj się pozostawiania sam na sam z osobą, której towarzyszysz (np. w prywatnym mieszkaniu, samochodzie itp.). Pamiętaj, że pewne osoby – zbrodniecy lub członkowie zorganizowanych grup przestępczych – mogą podszywać się pod zwykłych klientów w celu zwabienia i wykorzystania hostess. Bądź świadoma niebezpieczeństwa i zachowaj czujność nawet w wolnym czasie podczas dłuższych lub krótszych wyjazdów, przejazdów itp.

W sobotę pierwszego lipca 2000 roku pewna Brytyjka pracująca jako hostessa w barze Casablanca w dzielnicy Roppongi zadzwoniła do przyja-

ciółki i powiedziała jej, że zamierza wykorzystać dzień wolny, by wybrać się z klientem do Chiby, sąsiadującej z Tokio od wschodu prefektury, która dla tokijczyków przywykłych do betonowej dżungli stołecznej metropolii stanowi prawdziwy azyl. Nigdy więcej jej nie widziano.

Po jakimś czasie, lecz jeszcze w tym samym roku aresztowano Jojiego Obarę, bogatego biznesmena koreańsko-japońskiego. Zarzucono mu, że w okresie od 1996 do 2000 roku odurzył i zgwałcił ponad dwieście kobiet. W licznych posiadłościach Obary policja znalazła niemal pięć tysięcy kaset wideo dokumentujących gwałty, jak również osobiste zapiski przedsiębiorcy. Obara nie przyznał się do stawianych mu zarzutów, utrzymując, że wszystkie stosunki odbył za przyzwoleniem kobiet. Również wtedy twierdził, że jest niewinny, gdy stał się głównym podejrzanym w sprawie dwudziestojednolatniej Australijki Carity Ridgway z Perth, która w tajemniczych okolicznościach zmarła w Tokio w 1992 roku na niewydolność wątroby ponoć po tym, jak została nafaszerowana narkotykami i zgwałcona w domu sprawcy.

Ósmego lutego 2001 w jaskini w Misaki – mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów od Tokio, rzut beretem od mieszkania tego samego Jojiego Obary – odkryto zakopane rozczłonkowane ciało. Na podstawie badania uzębienia specjaliści z zakładu medycyny sądowej orzekli, iż zwłoki należały do zaginionej angielskiej hostessy Lucie Blackman. Podczas przesłuchania Obary twierdził, że spotkał się z nią tylko raz, w klubie w Roppongi, i nie miał nic wspólnego z jej śmiercią. Niemniej materiał genetyczny oraz odciski palców odnalezione w mieszkaniu Obary udało się później powiązać z porzuconym w Misaki ciałem Lucie Blackman. W świetle wyników ekspertyzy sądowej do ciężących już na Obarze oskarżeń o gwałt dodano zarzut „uprowadzenia, gwałtu ze skutkiem śmiertelnym, okaleczenia ciała oraz porzucenia zwłok”. W myśl okrutnie wypaczonej japońskiej sprawiedliwości gwałt, zabójstwo i pokrojenie kobiety na kawałki zasługują na karę od trzech lat pozbawienia wolności do dożywocia.

Jasna cholera. Kiedy przyleciałam do Tokio, proces wciąż jeszcze trwał, co skłoniło mnie do refleksji, jaka kobieta przy zdrowych zmysłach naraża się na niebezpieczeństwo i wsiada do samochodu z kompletnie nieznanym mężczyzną? Jak mogło do tego dojść?

24 kwietnia 2007 roku Joji Obara został uwolniony od zarzutów w związku ze sprawą Lucie Blackman mimo licznych poszlak łączących go



z zabójstwem: zakupu szybkoschnącego cementu i piły mechanicznej wkrótce po zniknięciu Lucie, a także poszukiwań w Internecie sposobów na pozbycie się trupa. Został wszakże uznany za winnego ośmiu gwałtów oraz jednego gwałtu ze skutkiem śmiertelnym na Caricie Ridgway i skazany na dożywocie. W 2008 roku rozpoczął się proces apelacyjny w Sądzie Najwyższym w Tokio, który nie tylko utrzymał w mocy wcześniejszy wyrok, ale dodatkowo uznał Obarę za winnego uprowadzenia Lucie Blackman, a także poćwiartowania i porzucenia jej zwłok. Szesnastego grudnia 2008 roku Obara został ponownie skazany na karę dożywotniego więzienia.

– Tu mamy przebielalnię i toaletę – oznajmił Tehara, otwierając przede mną wąskie drzwi prowadzące do przypominającej schowek na miotły wnęki, w której znajdował się wieszak na ubrania. – Ale na razie możesz usiąść tutaj, pani Chelsea.

Tehara wskazał mi wolne miejsce na bardzo niskiej kanapie, pomiędzy chudą jak patyk blondyną malującą sobie paznokcie przy świetle wyświetlacza telefonu a korpulentnym zjawiskiem wystrojonym w suknię upstrzoną kolorowymi begoniami. Blondynka nawet nie przerwała swojego absorbującego zajęcia, za to zjawisko obdarzyło mnie ciepłym, promiennym uśmiechem i przedstawiło się ze śpiewnym akcentem:

– Bianca z Rumunii. A ty jak się nazywasz?

Kolejne dziesięć minut życia poświęciłam na słuchanie skróconej wersji życiorysu Bianki, która płynęła z jej ust na obłokach papierosowego dymu.

Bianca paliła jak gwiazda kina z lat trzydziestych ubiegłego wieku: pociągała długiego, cienkiego papierosa eleganckimi pyknięciami, niby od niechcenia. Pyk, pyk. Przyjechała do Japonii w ramach stypendium. Za miesiąc miała rozpocząć studia MBA w jednej z najbardziej prestiżowych międzynarodowych szkół tokijskich. Nocą pracowała jako hostessa, a za dnia w biurze podróży – wszystko po to, by zarobić na czesne. Pyk, pyk. Panujący w pomieszczeniu półmrok nie był w stanie ukryć jej ciemnych, podkrążonych oczu. To duże obciążenie dla kogoś, kto przebywał w kraju z wizą studencką uprawniającą do podjęcia studiów, chociaż przypuszczałam, że jej oficjalny status był jednak zgoła odmienny. Niewykluczone, że miał z tym coś wspólnego zdobycie jej prawą dłoń pierścionek z ka-

mykiem, który wyglądał na autentyczny. A także fakt, iż małżeństwo z rozsądku stanowiło, powiedzmy to sobie szczerze, niewielką cenę za możliwości, jakie otwierało przed kobietą. Kiedy okazywało się, że wykształcona, władająca kilkoma językami i pochodząca z jednego z krajów Europy Środkowej dziewczyna pracowała w Tokio jako hostessa, można było śmiało założyć, że jej emigracja była wyrazem buntu przeciwko trudom życia w postkomunistycznym społeczeństwie. Nawet jeśli Bianca uzyskała wizę uprawniającą do studiów, to przecież kiedyś się one skończą – albo wcześniej wykończy ją praca w pocie czoła, by móc sfinansować naukę. A wtedy będzie musiała wrócić. Ale do czego? Do Pi-pidowa Górnego w Rumunii?

Jak długo była zameżna? Nie, nie – zaśmiała się szczerze. – Pierścionek to tylko pamiątka rodzinna. Jasne. A mój podarował mi krasnoludek.

Kiedy blondynka skończyła z paznokciami, pochyliła się nad dekoltem Bianki.

– Cześć, jestem Sonja z Kolumbii – uściśnęłam jej filigranową dłoń, ale zanim zdążyłam odpowiedzieć, nagle przez salę przemknęło coś kolorowego i rzuciło się z impetem na bar.

– Spóźniłam się? Nie karzcie mnie, proszę! Przepraszam, ale nic nie jadłam. Chyba nie chcecie, żebym pracowała o pustym żołądku, kiedy umieram z głodu, prawda? Przecież znam reguły!

Nishi wypuścił kłęb dymu, a niebrzydka Chinka obróciła się na pięcie.

– O, cześć. Jesteś nowa. Nazywam się Jamie. – Pomachała do mnie.

Uśmiechnęłam się, a ona odwróciła się z powrotem do Nishiego.

– Mam jeszcze czas na kanapkę? No, mam? Daj mi osiem minut. Zaraz wracam! – Pobiegła w stronę drzwi, ściskając w ręku zjedzoną do połowy kanapkę ze Starbucksa.

W tej samej chwili smuga światła rozświetliła ciemności i z przebieralni-garderoby dały się słyszeć chropawe głosy trójki zawzięcie o czymś dyskutujących dziewczyn, które wślizgnęły się do klubu niepostrzeżenie, zagłuszone głośnym wejściem Jamie.

Krótkie, urywane słowa, ściśnięte gardło, dziwnie wymawiane „r”. Po jakimu one mówią? Dziewczyna o ciemnej karnacji i błyszczących intensywnie oczach – z wyglądu Arabka – podała mi mokrą od potu dłoń i przywitała się po angielsku cichym, aksamitnym głosem:

– Nazywam się Dick La. *Shalom*.

To chyba jednak nie Arabka.

– Przepraszam, jak?

– Dickla. Dic-o-la – podkreśliła. – To po hebrajsku. Izraelskie imię. Wszystkie pochodzimy z Izraela. To jest Abie – szara, koścista dziewczyna, mówiąca z amerykańskim, nosowym akcentem – a to Levana – piersiasta, ufarbowana na rudo panna o skórze koloru kości słoniowej, wciśnięta w obcisły wiśniowy aksamit. Uśmiechnęła się pomiędzy jednym a drugim zaciągnięciem się papierosem, ale nie odezwała ani słowem. Dokonawszy niezbędnej prezentacji, szybko przeszły z powrotem na hebrajski. Pozostałam bez opieki do powrotu Jamie.

– Okej, słuchaj, mam ci przekazać wszystko, co trzeba wiedzieć, żeby być hostessą. Nie mam pojęcia, dlaczego wybrali akurat mnie do tego zadania, bo wiesz, jestem chyba najgorszą hostessą w historii Japonii, ale pewnie dlatego, że obydwie jesteśmy z Kanady. No, a poza tym ja, w odróżnieniu od nich, wiem, jak się mówi po angielsku. Ale teraz jesteś jeszcze ty. Spadasz mi z nieba. Słuchaj, tak naprawdę to nie bardzo wiem, co ci powiedzieć. Pokazali ci regulamin? Wiesz, „Obowiązki hostessy”, czy jak to tam zwą. Przestrzegaj zasad i będzie okej. Aha, a tam znajdziesz gotowe do wypełnienia wizytówki – pokazała palcem. – I zapalniczki. Palisz?

– Nie – zdążyłam wziąć szybki i głęboki oddech, zanim Jamie znów wpadła w słowotok.

– No to lepiej zacznij. Wszyscy tu palą. Powinnaś rzucić, wiem, ale papierosy są takie tanie! Wiesz, ile kosztuje paczka? Trzysta jenów! Tylko tyle! W Vancouver musiałabym zapłacić osiem dolarów! Ja sporo palę, ale kiedy zobaczysz, ile kopą klienci... Kup sobie taką zapalniczkę, którą wystarczy nacisnąć, wiesz, nie przypalisz sobie kciuka. Raz go sobie poparzyłam. Pamiętaj, że kiedy przypalasz klientowi papierosa, powinnaś osłonić zapalniczkę drugą ręką. Strasznie się wnerwiają, jeśli się o tym zapomni. Tak nakazuje etykieta.

Jamie przerwała wywód, by podciągnąć do połowy uda brzeg swojej czerwonej chińskiej sukienki.

– Tak za krótko! Ja obcinam sukienki trochę za mocno, ale co tam, klientom się podoba. Nie chcę tylko, żeby ktoś mi się gapił na majtki. Zresztą ja w ogóle nie powinnam nosić mini. Spójrz na moje uda! Wiesz, od kiedy zaczęłam tu pracę, przytyłam siedem kilo? Siedem pierdzielonych kilogramów! To największa wada Tokio: pijesz, objadasz się i za-

mieniasz w wielki, tłusty, napompowany balon. Nawet chodzenie na siłownię każdego dnia nic nie daje. Wyobrażasz sobie?

Hm... Jamie przypominała mi dziewczyny, z którymi chodziłam do szkoły: małomiasteczkowe piękności spędzające czas na imprezowaniu i poszukiwaniu odskoczni od szarej codzienności. Jamie wyrwała się ze schematu: stała praca, chłopak/mąż plus podmiejski kanapowy eskapizm z pilotem do DVD w dłoni, i zostawiła swoje koleżanki daleko z tyłu.

– Więc uważaj. Chociaż właściwie to chyba nie musisz uważać na dietę. Jaki nosisz rozmiar? Szóstkę? Powinnaś zostać modelką! Upadłaś na głowę czy naprawdę chcesz być hostessą? Co ty wyrabiasz? Każdy *gaijin*\* może zostać modelem lub modelką w Japonii, nawet grube staruchy. Oczywiście poza mną, bo ja jestem Chinką, to znaczy pół Chinką, pół Tajką. Oni tu nie lubią Chińczyków. Ale tobie może się udać. Wiesz, zamiast gadać o pierdołach z przedszkolakami, bo to w sumie łatwizna, przypomina opiekowanie się dziećmi. No i jest dużo lepsze niż uczenie angielskiego. Tego też próbowałam, ale, Boże drogi, co za nuuuda...

– Jamie! Jamie! – syknął Tehara, rzucając gniewne spojrzenie. – Klient! Ogłuchłaś? Chodź natychmiast!

– Co? Już? Poprosił o mnie? Boże. Słuchaj, sorry, przyszedł mój stały klient. Pogadamy później – złapała swoją kopertówkę i pognęła.



---

\* *Gaijin* – dosłownie „osoba z zewnątrz”, czasem pejoratywnie „obcy diabeł”; często używane i wbrew pozorom neutralne określenie obcokrajowca (przyp. tłum.).

## Nauka słownictwa



– *Irashaimasse!* – wyrzucił z siebie Tehara, gdy do klubu weszło dwóch mężczyzn.

W odpowiedzi klienci skłonili się sztywno. Tehara umieścił ich teczki w specjalnej skrytce, a potem odprowadził do stolika ustawionego obok karaoke. Następnie wręczył każdemu parujący *oshibori* i przyklęknawszy na jedno kolano, podał ogień. Wysłuchał zamówienia na napoje. Delikatnie pochylił głowę. Posłużył się tą samą grą gestów, której używał podczas witania każdego klienta wchodzącego do klubu, tak więc zanim jeszcze zaczął wycofywać się od stolika, obdarzając mężczyzn serią miniaturowych pokłonów, wiedziałam już, że jego kolejnym zadaniem będzie przyprowadzić hostessę. Tak się złożyło, że byłam ostatnią wolną hostessą przy stoliku szefostwa, gdzie zwyczajowo czekały dziewczyny.

Pojawił się Nishi. Gestem polecił mi wstać. Zaprowadził mnie na drugi koniec sali, a potem wskazał miejsce dłonią zwróconą wewnętrzną stroną do dołu. Wzięłam głęboki oddech. No, to jedziemy. Tak dyskretnie, jak to tylko możliwe, wytarłam spoconą dłoń i cała w nerwach usiadłam przy stoliku, olśniewając szerokim, przyjaznym uśmiechem.

– Och! *Sagoi\*!* – Ślina wylądowała na mojej twarzy. Klient szybko sięgnął do kieszeni koszuli po okulary, żeby dobrze przyjrzeć się mojemu obliczu.

– *Komban wa. Watashi wa Chelsea desu. O-namae wa nan desu ka –*

---

\* Wspaniale, super (przyp. red.).

przedstawiłam się, wyciągnęłam przed siebie moją wizytówkę i zapytałam go, jak się nazywa.

– Och! *Sagoi, sagoi!* Baldzo ładna i baldzo mądra. Bystra! Jesteś jak mój szef! Bystry gość, o tam! – Japończyk skinął głową na mężczyznę pochłoniętego rozmową z blondynką, a potem wyrwał mi z rąk wizytówkę, przysunął ją sobie do twarzy na odległość kilku centymetrów i zaczął wnikliwie studiować. – Przykro mi. Jesteś najpiękniejsza i zapomniałem moje nazwisko. Dlatego teraz przedstawię się tobie – wyciągnął swoją wizytówkę i wręczył mi ją. – Jestem Shio. To mój szef, pan Takori. Lubi dziewczyny, ale nie musisz go poznawać.

– Bardzo miło mi poznać, panie Shio – uśmiechnęłam się.

– Tak! Wiesz, że *shio* znaczy „sól” po japońsku? No, to jestem pan Sól. Ale to nie jest ważne. Z jakiego kraju pochodzisz?

– Z Kanady.

– Och! Kanada! Twój engrish baldzo dobry. Pan Takori, pan Takori! – Shio złapał szefa za kołano i potrząsnął gwałtownie. – Musisz poznać panią Chelsea! Ona jest z Kanady. Engrish baldzo dobry!

Takori uśmiechnął się, strząsnął rękę podwładnego i mocno ścisnął moją dłoń.

– Sorry, nie potrafię mówić po angielsku. Pan Shio mówi baldzo dobrze po angielsku. Pan Shio mój chłopak numer jeden. Dzisiaj święto dla niego. To jest dlatego, że niedawno dużo sukces dla firmy.

Pan Shio obdarzył mnie uśmiechem od ucha do ucha.

– Och, naprawdę?

– Tak. Jestem numer jeden, ale nie chłopak! Jestem mężczyzną. Zgadnij, ile mam lat – Shio przybrał poważny wyraz twarzy i pokazał palcem na swoją facjatę. Wyglądał, jakby dopiero przekroczył trzydziestkę, więc rzuciłam mu komplement, że ma trzydzieści lat.

– Nie! Baldzo źle! Mam czterdzieści dwa!

– No nie, daj spokój. Wyglądasz niesamowicie. Naprawdę masz czterdzieści dwa lata?

Shio był w siódmym niebie. Widać często zabawiał się w zgaduj-zgadulę.

– Dzieńki baldzo. A jednak mam czterdzieści dwa. – Wyciągnął paczkę papierosów, a ja wniosłam zapalniczkę osłoniętą drugą ręką. Pochylił się, zbliżył koniuszek papierosa do ognia i zaciągnął się. – Od jak dawna jesteś w Tokio?

– Od pięciu dni.

– Łał! – Shio był wyraźnie pod wrażeniem. – Tylko pięć dni! *Honto*?  
– *Honto*? – powtórzyłam. – Co to znaczy?  
– Naplawdę. *Honto* znaczy naplawdę. Nie martw się. Nauczę cię japońskiego. Wezmę od ciebie tysiąc jenów za godzinę. Ale – przerwał i wystawił do góry palec wskazujący – ty będziesz mnie uczyła angielskiego. Dwa tysiące za godzinę.

Zaśmiałam się. Wymieniliśmy uścisk dłoni.

– Umowa stoi.

– Co to znaczy: „umowa stoi”? – Zakłopotanie ujawniło zmarszczki na jego twarzy.

– To znaczy, że zawarliśmy porozumienie. Obydwoje zgadzamy się coś zrobić. Jakbyśmy podpisali kontrakt. Umawiamy się: „Okej, zrobmy to. Zgadzam się”. Rozumiesz?

– Ach... umowa stoi. *Wakarimashita*, zrozumiałem. Okej. Jesteś z Kanady. Rubisz nartę? – Shio wysunął do przodu ramiona, a potem łokcie, przesuwając nimi rytmicznie do przodu i do tyłu.

– Narty? Ach tak, lubię jeździć na nartach, To twoje hobby?

– Tak. Baldzo rubię narty. Ale nie mam czasu. Nie mam urlopu.

– A niedziela? Przecież nie pracujesz w niedziele, prawda?

– Tak, niestety, mam baldzo trudną pracę. Mój biznes to dźwięk i oświecenie.

– Oświecenie – poprawiłam go bez zastanowienia.

– Tak, oświecenie. Tyle pracy! Każdy potrzebuje dźwięk i oświecenie, więc nie ma czasu na hobby. To takie trudne. W przyszłym roku będzie baldzo trudna praca. Przyjdzie słynny hotel: Ritz Carlton. Ludzie z Ritz Carlton nie znają japońskich wesel, ale ja jestem ekspertem. Dlatego muszę zorganizować coś dla nich. Nie będę miał czasu na filmy. Chcę zobaczyć Michaela Moore’a.

– Fahrenheit 9.11? Ten film o wojnie w Iraku?

– Tak, tak. Wojna w Iraku. Prezydent Bush baldzo głupi człowiek – wypluł z siebie. – Japońscy biznesmeni nie rubią Busha. Ale to nieważne, to nie dla pięknej kobiety. Co to znaczy *fairly height*?

– *Fahrenheit* – sprostowałam. – Skala pomiaru temperatury, jak skala Celsjusza. Kiedy jest dziesięć stopni Celsjusza, Amerykanie powiedzą na przykład: „Na dworze jest dziesięć stopni Fahrenheita”.

– Ach tak, rozumiem. Chcę go zobaczyć, ale nie ma czasu. Filmy są za długie dla Japończyków.

I rozmawialiśmy tak dalej – między innymi o nartach, co doprowadziło do dyskusji na temat zimowych igrzysk olimpijskich z 1998 roku, ale też o wszystkim innym, co przyszło mu do głowy – a ja w tym czasie dolewałam panu Shio whisky i przypalałam papierosy, i sączyłam mój soczek żurawinowy, aż w końcu pan Takori poprosił o rachunek. Kiedy rachunek pojawił się na stole, odebrałam pierwszą lekcję japońskiej hierarchii. Otóż pan Takori zignorował paragon i to pan Shio grzecznie zapłacił setki dolarów za możliwość uczczenia swoich niedawnych zasług dla firmy. Przy windzie wręczyłam panu Shio jego aktówkę i ukloniłam się.

– Dziękuję bardzo za przybycie, panie Shio. *Arigato gozaimasu*, bardzo dziękuję. Dobranoc! Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy – powiedziałam, a Shio z werwą podał mi rękę.

– Okej! – uśmiechnął się promiennie. – Umowa stoi!

O mój Boże. Matt będzie wniebowzięty, kiedy mu o tym wszystkim opowiem. Bułka z masłem – poszło o wiele łatwiej, niż sądziłam.

Nishi nie pozwolił mi złapać drugiego oddechu. Jak tylko postawiłam wspartą na wysokim obcasie stopę z powrotem w klubie, zaraz wziął mnie pod ramię i delikatnie poprowadził w kierunku skąpanego w morzu alkoholu, rozśpiewanego, hałaśliwego stolika. Dotarło do mnie, że nie wypiłam nawet kieliszka. Obrzuciłam Nishiego długim spojrzeniem, a on w odpowiedzi poklepał mnie po ojcowsku po ramieniu i rzucił:

– Żaden problem, pani Chelsea. Więcej uśmiechu.

– Czy to Japończycy? – szepnęłam.

Nie wyglądali na Japończyków. Zniknęła też trzymana w ryzach, pomimo ilości skonsumowanego alkoholu, uprzejmość Shio.

– Koreańczycy – bąknął Nishi i zostawił mnie w samym środku brzęczącego szalonego popowego hitu.

Nie bardzo było komu się przedstawić. Wszyscy skupili się na pokazie slajdów na cyfrowym aparacie fotograficznym, a siedzącego obok mnie faceta bardziej absorbowała przyklejona do ust, ledwo tłąca się pozostałość papierosa niż moja skromna osoba. Cóż, przynajmniej zdawał sobie sprawę z obecności peta. Poczulałam się jak kretyńka. Czekałam, aż ktoś mnie zauważy.

– Co to za kolo? Czekaaj, wróć. Ten gość! Ha, ha, to Akira! Ty drań! – Aparat powędrował lotem koszącym w kierunku mężczyzny, któ-



rego ręka spoczywała niby od niechcenia na ramieniu Jamie. Stół był cały zasłany pustymi szklaneczkami, a w popielniczkach dogorywały wyciśnięte cytryny.

Kiedy mój sąsiad zdecydował się w końcu na formalną prezentację, nawet nie zwróciłam na niego uwagi. Odchrząknął i odezwał się ponownie płaskim, dobiegającym z oddali głosem, mało zainteresowany otoczeniem:

- Nazywam się Christopher.
- A ja Chelsea.

Skinął głową i zapalił kolejnego papierosa. Spojrzałam na Jamie i przejechałam kciukiem po krawędzi skrupulatnie, odręcznie wypisanej nowiutkiej wizytówki.

– „Powinam”? – zapytałam bezgłośnie. Pokręciła w odpowiedzi głową i ruchem dłoni kazała mi zapomnieć o wizytówce. To dobrze. Prawdopodobnie i tak nie wyszłoby z tego nic przyjemnego: „Co to ma być? Dajesz mi wizytówkę? A czy my tu, kurwa, robimy jakiś interes?”. Wyobraziłam sobie dalszy ciąg scenariusza.

Zastanawiałam się, co też Christopher robił w hostess-klubie. Owszem, dysponowałam niewielkim materiałem porównawczym, ale od razu było widać, że nie grał w tej samej lidze co Shio. Christopher całkowicie uległ wpływom Zachodu, a świadczyły o tym jego maniery, sposób wystawiania się i niedostrzegalna u Japończyków arogancja. Ale być może byłam po prostu uprzedzona. Kiedy rozmowa zesłała na filmy, budżet i wysokość marży, Akira pochylił się nad stolikiem, uprzejmie – a jakże! – wymierzył w Christophera oskarżycielski palec i zapytał:

- Wiesz, kim jest ten człowiek?
- Daj spokój, stary, przestań. Wiesz, kim jest ten człowiek? – odparł Christopher.
- Ten facet to producent filmowy numer jeden w całej Korei – kontynuował Akira. – To człowiek sukcesu.
- No, a ten tu gość jest jednym z największych japońskich producentów filmowych. To człowiek sukcesu. – Wszyscy roześmieli się głośno. Wzniesiono toast.
- Co pijesz? – zapytał Christopher. – Czy to jest sok? Chyba sobie jaja robisz.
- Tak, to sok pomarańczowy. Nie piję alkoholu – usłyszałam, jak odpowiadam z wyższością w głosie.

- Od jak dawna jesteś w Tokio?
- Od pięciu dni. To mój pierwszy wieczór.
- Jezu! Pierwszy wieczór? I trafili ci się Koreańczycy... i nie pijesz?

Ale to porypane, ja pierdzielę.

Wzniesiona przez Christophera ściana lodu gwałtownie stopniała, kiedy zdał sobie sprawę, że jestem istotą ludzką. A potem jego uwagę przyciągnęły pierwsze dźwięki znanej piosenki. Szybko wstał z miejsca i powiedział:

– O-ho, to moja piosenka! – Ktoś podał mu mikrofon i Christopher zaintonował *Desperado* The Eagles. Wszyscy zaczęli go dopingować. Szło mu o wiele lepiej i był bardziej urzekający, niż można było się spodziewać.

W ferworze walki ktoś pomiędzy jedną zwrotką a drugą wcisnął mi do ręki mikrofon. To Christopher. Spojrzał mi w oczy i odezwał się:

– Zaśpiewaj ze mną.

– Nie potrafię śpiewać. Naprawdę, Christopher, wierz mi, nie chcesz usłyszeć, jak śpiewam – mówiłam błagalnym głosem, podczas gdy on próbował wyciągnąć mnie z za stolika.

Na szczęście w sukurs przyszedł mi Don Henley. Usiadłam z poczuciem ulgi, ale gdy tak słuchałam smętnego wokalu Christophera na tle zawodzącego chóru, zupełnie zmieniłam o nim zdanie. Raptem wydał mi się przystępny, delikatny i promienny. Może więc jednak bardziej liczy się nie pierwsze, ale drugie wrażenie?

Gdy wybrzmiały ostatnie nuty, rozległa się wrzawa okłasków. Najbardziej pijany facet z całego towarzystwa wstał tylko po to, żeby za chwilę opaść z powrotem na krzesło. Christopher przysunął się do mnie bliżej. Uśmiechałam się od ucha do ucha.

– Jak przyjdę następny raz, zaśpiewasz ze mną – powiedział. Na jego włosach błyszczały drobne kropelki potu.

– Następny raz? Myślałam, że mieszkasz w Korei.

– Owszem, w Seulu. Produkuję filmy, koreańskie filmy. Tak jest, tym się zajmuję. Ale w październiku przyjeżdżamy na międzynarodowy festiwal filmowy – złapał mnie za kciuk. Dlaczego za kciuk? Cóż to za dziwny gest? – Wtedy znów się zobaczymy.

– Skąd będę wiedziała, że przyjeżdżasz? Masz mejla?

– Pewnie! Hej, Jodie! Pamiętasz mojego mejla? – Christopher krzyknął do blondynki śpiewającej na całe gardło przebój Steviego Wondera.

Jodie podniosła kciuk do góry. Miała usta otwarte tak szeroko, że widać było jej kolczyk na języku. – Dałem jej mój adres poprzednim razem. Chcę, żeby przyjechała do Korei. Jest doskonała... – przerwał i zerknął na mnie. – Wiesz co, podam ci mejla. Jeżeli potrafisz go zapamiętać bez zapisywania, ty też możesz przyjechać do Korei. Może wybrałybyście się razem z Jodie. Wyślę wam bilet i powiemy trochę. Będzie fajnie.

Stopniowo rozluźniałam się. Przestałam już nerwowo czekać na rozwój sytuacji i zastanawiać się, w jakim kierunku podryfuje rozmowa. Wprawdzie nadal siedziałam, jakbym kij połknęła, i wciąż dało się słyszeć w moim śmiechu niepewną nutę, ale niemal poczułam się tak, jakbyśmy byli z Christopherem starymi kumplami, którzy spotkali się po latach – czuć było zażyłość, ale z odrobiną dystansu.

– Wszystko okej? – zapytał w pewnym momencie. – To znaczy, dobrze się czujesz w naszym towarzystwie? Dobrze się bawisz? Wydajesz się taka spokojna i zrelaksowana. W odpowiedzi wzruszyłam ramionami. – Nie wiem, mam wrażenie, jakbyś przebywała w innym wymiarze – dorzucił.

Ale ja właśnie byłam w zupełnie innym wymiarze! Weszłam w ten interes dla pieniędzy i w poszukiwaniu ciekawej historii, dlatego też postrzegałam samą siebie jako oderwaną od rzeczywistości obserwatorkę, która sądziła, że potrafi zintegrować się z obcą kulturą i dowiedzieć się o niej wszystkiego bez potrzeby zbytniego angażowania się. Będąc modelką, przyzwyczaiałam się do dekadencji i absurdu egzystujących pod uprzywilejowanym kloszem świata mody – wszystko za darmo, zarabianie wręcz niewyobrażalnych pieniędzy samym tylko uśmiechem – więc uważałam, że jestem w pewnym sensie nietykalna i nic już nie może mnie zadziwić, bo widziałam wszystko: bogactwo, władzę, płytkie pochlebstwa. Nie byłam, że tak powiem, „dostępna” i nie działały na mnie zalotne zaklęcia, bo wyszłam za mężczyznę, którego uwielbiałam, i moje małżeństwo było szczęśliwe. Matt jest moim najlepszym przyjacielem, a małżeństwo to tylko wisienka na torcie naszego związku.

Poza tym praca hostessy przypominała mi aktorstwo: oto zostałam zaangażowana do autorskiego, zaplanowanego na trzy miesiące spektaklu na Broadwayu i chciałam, by przedstawienie było możliwie jak najbardziej interesujące. Dam sobie radę z Japończykami. Poradzę sobie z wy-

paczoną rzeczywistością. Owszem, może nie wszystko zrozumieć, ale przynajmniej będę wiedziała, że panuję nad sytuacją.

Tak więc odpowiedziałam mu:

– Wszystko w porządku, dzięki. Trochę szalone to wszystko, ale jestem szczęśliwa. Mam poukładane życie. Jest dobrze.

Christopher wbił wzrok w moją twarz, a potem rozejrzał się dookoła. Ludzie wokół nas spadali ze stołków, wrzeszczeli i chlali tequilę za tequilą. Pewien dorosły mężczyzna siedział nad śpiewnikiem i studiował go jak w transie. Dziewczyny z różnych stron świata wyśpiewywały słowa pojawiające się na ekranie i piszczały ze śmiechem. Jeden wielki chaos. Powoli Christopher odwrócił się do mnie.

– Widzę. Ale wiesz... trzy miesiące w takim miejscu to naprawdę długo. Będiesz musiała zacząć pić po to, żeby nadawać na tej samej fali co oni wszyscy – machnął ręką, pokazując pijacką apokalipsę dookoła nas. – W przeciwnym razie nie przetrwasz.



# Zabutelkowany



## UWAGA

Dziewczynom zakazuje się zabierania klientów klubu do innych miejsc, w których mogą uzyskać prowizję (na przykład American Bar, pokój dla VIP-ów). Otrzymaliśmy skargi od klientów. Niektórzy zgłosili sprawę na policję. Jesteśmy teraz pod obserwacją. Dziewczyna, która nie zastosuje się do zakazu, zostanie zwolniona bez możliwości wypłaty wynagrodzenia.

Kierownictwo Klubu

– Ej, Abie, co to za kartka na drzwiach garderoby?

Dochodziła dwudziesta trzecia. Jako dwa najświeższe nabytki klubu, Abie i ja jeszcze nie zostałyśmy tego wieczoru przydzielone żadnemu klientowi. To był mój drugi wieczór w Greengrass, a Abie pracowała tu już od ponad dwóch tygodni. Spojrzała na mnie obojętnym wzrokiem.

– To chodź, pokażę ci – pociągnęłam ją za sobą.

– Ożeż ty! Kiedy oni to powiesili? – Abie nabrała powietrza. Kartka papieru, na której wydrukowano komunikat, zdążyła poślizgnąć i dorobić się oślich uszu, wisiała tu więc najpewniej już od jakiegoś czasu.

– Nie pozwalają nam zabierać klientów do American? Gówna prawda. Niby gdzie mamy pójść? Nie zamierzam pić z tymi chujkami za darmo – splunęła z odrazą.

Hm. Problem z małą Izraelką Abie polegał na tym, że choć wyglądała potulnie niczym myszka, czasem wytaczała ciężką artylerię i wyrzucała z siebie przekleństwa z prędkością karabinu maszynowego.

- Nieważne – westchnęła. – W końcu możemy ich łapać na ulicy. Na mojej twarzy musiało malować się totalne niezrozumienie.
- Aaaa... bo ty pewnie nie wiesz, co to jest butelkowanie, co?

Zabutelkować, czasownik – namierzyć i podejść do mężczyzny, którego wygląd wskazuje na zamożność (znaki rozpoznawcze: zegarek «Rolex, Cartier, TAG Heuer» oraz buty «wysoki połysk, nowe, drogie»), następnie skusić/zachęcić/poprosić go lub zażądać od niego drinka (w grę wchodzi wino w cenie 200 dolarów za butelkę, szampan Moët w cenie 600 dolarów za butelkę lub Dom Perignon, kosztujący 850 dolarów), a potem zgarniać czterdzieści procent prowizji od każdej butelki dopóty, dopóki klient skłonny jest płacić, bar jest otwarty, a ty nie jesteś jeszcze zmęczona albo pijana na tyle, by paść twarzą na stolik. Na koniec udać się do domu. *Game over.*

Zdaniem Abie, butelkowanie być może nie było najbardziej uczciwym sposobem na szybką kasę, ale przecież wszystkim w Roppongi chodziło o pieniądze, czyż nie? To nie był program wymiany studentów, to nie było miejsce pielgrzymek dla kobiet szukających dobrej zabawy – to była zatęchła, plugawa, wysysająca życiową energię zapadła dziura pełna facetów, którzy nie wiedzieli, co zrobić z mamoną.

– Wiesz, dzięki butelkowaniu możesz sobie przynajmniej pozwolić na cholerne jabłko. Kto, do kurwy nędzy, każe sobie płacić prawie 5 dolarów 80 centów za jedno jebane jabłko? Pieprznięci Japończycy. Mam gdzieś, że jest doskonale, to tylko głupie jabłko. A te bogate sukinsyny mogą sobie kupić tyle jabłek, ile dusza zapragnie. No to mogą też i mi zafundować parę, nawet jeśli o tym nie wiedzą.

A niech mnie. Abie naprawdę była uroczym dziewczęciem.

Bolały mnie policzki. Bolały mnie dziąsła. Nawet zęby mnie bolały. Tak długo uśmiechałam się niczym nadgorliwa uczestniczka konkursu Miss Universum, że zaczęłam się bać, że już na zawsze zostanie mi taka twarz – pamiętam, jak matka ostrzegała mnie, kiedy miałam pięć lat i z rozkoszą wsadzałam palec do nosa i wytrzeszczałam oczy.

Czułam przemożną chęć odstawienia tego numeru tu i teraz. Musiałam upewnić się, że to, co robiłam, to nie był sen. Pierwszorzędny dre-

naż mózgu, zupełne wyczerpanie mentalne. Od ponad dwóch godzin brałam udział w rozmowie z pracownikami General Electric i miałam ochotę WRZESZCZEĆ. Ci goście przypominali roboty, które odpowiadały za montaż ich produktów – byli tacy monottonni, powtarzalni i przepracowani. Stanowili postarzały przykład typowo japońskiej szkoły powojennej, w myśl której czas wolny i zabawa to synonimy pracy, tyle że poza biurem.

Staralam się interesować tym, o czym mówili – gdyby na przykład ze- szli na temat wdrożonego przez General Electric w prefekturze Aomori programu odnawialnych źródeł energii – ale nic z tego. Byli równie nie- ciekawi jak krajobraz pustyni Atakama. Oczy same mi się zamykały. Być może wszystko to tylko mi się przyśniło: że bez końca nalewam drinki i zapalam papierosy, uwięziona w strefie mroku i karaoke. Mężczyźni zdążyli wypalić już trzy paczki, więc zaczęłam się zastanawiać, na jak długo jeszcze wystarczy płynu w mojej zapalniczce i czy moje płuca zniosą taką dawkę dymu.

Kiedy wreszcie sobie pójdą? Jedyne zegarek, jaki posiadałam, znaj- dował się w telefonie komórkowym, a nie zamierzałam go wyjmować, bo znów dostanę ochrzan od Soha, który pilnował mnie czujnym okiem. Soh był Birmańczykiem, podkomendnym Tehary. Tylko dlatego, że konse- kwentnie odmawiał określania swego kraju mianem Myanmar, postano- wiłam przymknąć oko na jego upierdliwe zapędy, czyli: czepianie się mnie, nowej dziewczyny w klubie, i nieme ruganie za to, że w popielniczce nagromadziły się pety (w liczbie przewyższającej dwa), że zbyt szybko piję mój soczek ananasowy i że zbyt wolno uzupełniam szklanki klientów. Ale z drugiej strony, niektórzy klienci wcale nie byli lepsi: a to wlałam za dużo whisky i za mało wody, a to wysypałam za mało lodu, a to że znów za dużo. „To może sam pan sobie, kurwa, z łaski swojej przygotowuje drinka, proszę pana, hę?”. Naprawdę chciałam to powiedzieć. Niewykluczone, że mog- łam powiedzieć cokolwiek, bylebym tylko się uśmiechała.

Kiedy poprosili mnie, żebym zgadła, w jakim są wieku, potraktowa- łam to jako okazję do poćwiczenia mnożenia (przynajmniej coś się działo). Po tym, jak poprawnie podałam wiek czwartego z nich, wpadli w zachwyty. Czy miałam jakieś nadprzyrodzone zdolności? Nie-e. Wy- ciągnęłam wniosek na podstawie obserwacji? Też nie. Zdaniem tego człowieka istniało tylko jedno wytłumaczenie: „Rozmawiałaś z moją żoną?”. Przechabawne.

Zanim w końcu odprowadziliśmy mężczyzn do windy, kłaniając im się z zaczerwienionymi oczami, machając i chichocząc, minęła już pierwsza w nocy. Powoli zaczynałam się przyzwyczajać do widoku rechoczących mężczyzn. Nie pozwalało mi to zapomnieć, w jak całkowicie odmienną rzeczywistość się znalazłam. Hi, hi, hi! – niechybny znak, że nie jesteśmy już w Kansas, Toto – powiedziała Dorotka\*.

Kiedy wróciliśmy do środka, Tehara skrzyżował ręce na piersi, układając je w wielkie X, co oznaczało, że na dziś koniec pracy. Pan Wielkie X i ja zdążyliśmy już się poznać. Po raz pierwszy spotkaliśmy się w sklepie, kiedy okazało się, że model telefonu, który chciałam kupić, był niedostępny. To naprawdę sprytny znak, a do tego niezwykle skuteczny, jeśli chodzi o jasność przekazu. Bardzo mi się spodobał i zaczęłam się nawet zastanawiać, w jaki sposób mogłabym go wykorzystać, kiedy już wyjadę z Japonii. „Cześć, jak się masz? Czy mogę ci zająć minutkę i porozmawiać o Greenpeace?”. Paf! Do dzieła, panie Wielkie X.

Abie i ja krążyłyśmy po Roppongi, mierząc wzrokiem każdego, kogo mijaliśmy. Na ulicach dominowały taksówki, a na chodnikach tłoczyli się przechodnie w różnym stopniu upojenia, przeważnie młodzi, spłukani imprezowicze, szukający panienki do zaliczenia. Nie widziałyśmy pośród przechodniów wielu kandydatów do zabutelkowania. Miałybyśmy mnóstwo szczęścia, gdyby udało nam się wydębić butelkę moët od tych młodzików. Był sobotni wieczór, więc mężczyźni dysponujący na tyle grubym portfelem, żeby pozwolić sobie na taką ekstrawagancję, siedzieli w domu z rodzinami. Abie nie protestowała, kiedy w końcu stwierdziłam: „To może następnym razem”. Wytrzymałam dziesięć minut. Musiałam przemknąć do pustych uliczek Moto-Azabu i spróbować dotrzeć do domu, nie obcierając przy tym stóp.

Roppongi sprawiało przytłaczająco klaustrofobiczne wrażenie. Potrzebowałam świeżego powietrza, tylko gdzie je znaleźć w mieście, w którym mieszka dwanaście milionów ludzi? Lata świetlne stąd. Wciągnęłam do płuc tak dużo dymu papierosowego, że równie dobrze mogłam przykleić sobie plasterki i rozpocząć dziesięciodniowy proces odtruwania organizmu. Nie jadłam od pięciu godzin, z wyjątkiem paru przekąsek ry-

---

\* Lyman Frank Baum, *Czarnoksiężnik z krainy Oz* (przyp. tłum.).



zowych i czekoladek, zasadniczo przeznaczonych dla klientów, którzy wszakże niczego nie zauważyli, bo byli zbyt zajęci powtarzaniem się.

Zastanawiałam się, gdzie pośród całego tego szaleństwa znajdował się Matt. Miałam mu tyle do opowiedzenia, ale przypuszczałam, że nie zastanę go w domu. Zaledwie dzień po przyjeździe do Tokio znaleźliśmy sobie nowoczesne, ekonomiczne technopudełko, które tymczasowo nazwaliśmy domem, i uważaliśmy się za szczęściarzy. Przycupnięte przy spokojnej, zamożnej uliczce w Hiroo mieszkancko stanowiło nasz – dość kosztowny, bo wart aż 1500 dolarów miesięcznie – azyl. Wiedziałam, że mając do wyboru wyjście na miasto lub spędzenie wieczoru na osiemnastu metrach kwadratowych w towarzystwie telewizora, w którym brakowało anglojęzycznych kanałów, Matt postawi na to pierwsze. Przypominał lwa – nie sposób było zamknąć go w klatce. Ale rezultat był taki, że nie wiedziałam, gdzie go szukać.

Od przyjazdu pracował jako barman tylko przez jedną noc, tak dla zabawy, ale dał sobie z tym spokój, kiedy okazało się, że z dwunastogodzinnej zmiany wyciągnął niespełna 100 dolarów. Wyglądało na to, że dla białego mężczyzny w Tokio jedyna możliwość tymczasowego zatrudnienia to niewolnicza praca fizyczna, tak więc ostatnie dwa wieczory Matt spędził w klubie Lexington Queen, zalewając się w trupa za darmo tylko dlatego, że brano go za modela. Owszem, chciałam zobaczyć się z mężem, ale niespecjalnie miałam ochotę na wycieczkę do nocnego klubu i spędzanie czasu w towarzystwie bandy modliszek. Prędzej czy później wróci do domu. Byłam zmęczona, głodna i marzyłam tylko o powrocie do własnych czterech ścian. Przynajmniej taki był plan...

– Przepraszam – rozczapierzona dłoń wystrzeliła w górę na wysokości mojej twarzy. – Skąd pochodzisz? Z Anglii, Nowej Zelandii, Australii czy Ameryki?

– Pudło. Z Kanady – delikatnie odsunęłam rękę nieznanego i ujrzałam za nią wyjątkowo wysokiego i dobrze zbudowanego Japończyka, który miał nie więcej niż trzydzieści kilka lat. – Z Kolumbii Brytyjskiej.

– Tym lepiej! Możesz zostać moją nauczycielką angielskiego. Zapłacę ci 30 dolarów za godzinę.

– On chce, żebyś została jego dziewczyną. Uważa, że jesteś seksowna – odezwała się słabym głosem mniejsza, młodsza wersja mojego nowego ucznia, po czym otrzymała od swojego starszego kolegi cios otwartą dłońią w potylicę.

– Nie słuchaj go. To idiota. Nazywam się Taka. Chciałbym podszkolić mój angielski. Jak długo zostaniesz w Japonii? – Czy to na pewno standardowa metoda szukania nauczyciela języka?

– On chce wiedzieć, czy za niego wyjdiesz. – Kolejne, tym razem silniejsze uderzenie. Prawie parsknęłam śmiechem.

– Myślę, że zostanę jakieś trzy miesiące. Ale widzę, że twój angielski jest już całkiem niezły. Do czego jest ci potrzebny nauczyciel?

– On chce, żeby ktoś go nauczył, jak pieprzyć. – Łup! Teczka Taki napotkała na swojej drodze głowę kurdupla, po czym obydwaj, będący wyraźnie pod wpływem, się zatoczyli.

– Przepraszam za brata. Jest pijany i niezbyt rozgarnięty. Chciałbym poćwiczyć konwersację. Uważam, że kuleje. Dam ci wizytówkę.

Wyciągnęłam po nią rękę, ale Taka raptownie cofnął dłoń i obrzucił mnie od stóp do głów podejrzliwym wzrokiem.

– Jaki jest cel twojej wizyty w Tokio? Jaki jest twój zawód? – zażądał odpowiedzi.

– Jestem modelką. Biorę udział w pokazach mody. – To chyba nie był najlepszy moment, żeby wyskakiwać z hostessą.

– Okej. Na wizytówce znajdziesz moje nazwisko, mój adres e-mailowy i numer telefonu. Skontaktuj się ze mną, kiedy będziesz wolna. Niestety musimy już wracać do domu, bo za dużo wypiliśmy.

„Och, jaka szkoda” – pomyślałam. Podawszy mi rękę i ukłoniwszy się, Taka podszedł chwiejnym krokiem do sznura ustawionych wzdłuż chodnika taksówek, ciągnąc za sobą swojego brata głupka. Kiedy patrzyłam, jak ich taryfa włącza się do ruchu i znika pośród morza aut, wydawało mi się, że teraz już w spokoju dotrę do domu. Ale nic z tego.

Najpierw przyczepił się do mnie jakiś staruszek o wyglądzie kloszarda, zadając te same, dobrze znane pytania, jakby wszyscy oni korzystali z tego samego *Podręcznika standardowych zwrotów używanych do nawiązywania znajomości*. Nie pozwolił mi przejść, tylko porwał mnie do dziwnego, chodnikowego walca. Odstawiając niezgrabny taniec, zerknęłam ponad jego głowę na świecące na automacie z napojami logo coca-coli. Przyjrzałam się trzydziestu z górą puszkom – był pośród nich podejrzany, mętny napój izotoniczny o nazwie Pocari Sweat – i pomyślałam: „Gdzie indziej znajdziesz tę odświeżającą miksturę, jak nie na każdym rogu w Japonii?”

W przeciwieństwie do innych państw w Japonii automat z napojami

stanowi ikonę, wszechobecny artykuł pierwszej potrzeby, który pośród miejskiej, horrendalnie drogiej dżungli jest dla ludzkiej masy niedrogim udogodnieniem. Stoi na straży sklepu spożywczego, czekając, by tych, którym notorycznie brak czasu, poratować piwem, paczką papierosów albo innym drobiazgiem – wystarczy wrzucić parę monet. Związek Producentów Automatów z Napojami twierdzi, że w Japonii na dwudziestu obywateli przypada jeden automat, co daje łącznie ponad sześć milionów maszyn w całym kraju – i nietrudno w to uwierzyć, kiedy spojrzy się na dowolną ulicę. Każda z nich lśni od blasku automatów.

Kiedy wreszcie dziadek obdartus przestał mnie bawić, zdecydowanie skrzyżowałam palce, pokazując mu miniaturową wersję Pana Wielkie X.

– Przestań, proszę! NIE mam ochoty na wino, okej? Żadnego wina!

Korzystając z elementu zaskoczenia, delikatnie odepchnęłam go na bok, obdarzyłam lekkim ukłonem – a co! – i ruszyłam przed siebie. Daleko nie uszłam. Oto bowiem zbliżał się kolejny facet.

– Masz ochotę na drinka? – zapytał.

O Boże! Co się dzieje? Od kiedy to nieznajomi ustawiają się o trzeciej w nocy w kolejkę, żeby zaprosić cię na drinka?

Miałam ochotę uciec stamtąd jak najprędzej, ale wtedy zobaczyłam, jak *sarariman*, który do mnie zagadał, nieśmiało odgarnął z czoła grzywkę dłonią, która przechodziła w ozdobiony ciężkim roleksem nadgarstek. Czekał cierpliwie na odpowiedź, ściskając nerwowo teczkę, aż białe mu kostki. Rolex przypominał mi o Abie, sumiennie krążącej po ulicach w poszukiwaniu klientów. Szybko przywołałam z pamięci jej instrukcje. Mówiła poważnie o tych łatwo zarobionych setkach dolarów?

Postanowiłam sprawdzić, co się stanie. W końcu byłam w Roppongi, tokijskiej dzielnicy rozrywki, a picie z facetami za pieniądze należało do moich obowiązków. Cóż to za różnica, gdzie i jak się spotkaliśmy? Ważne, że będziemy w miejscu publicznym. A zresztą poczułam trudną do wytłumaczenia falę współczucia dla tego faceta, którego samotność widać było jak na dłoni. Poprosił mnie o coś zupełnie nieszkodliwego, co w dodatku miało być z korzyścią dla nas obydwójga: on potrzebował towarzystwa, a ja solidnego zastrzyku jenów, ponieważ w Tokio, najdroższym mieście na świecie, gotówka ma to do siebie, że kończy się w zastraszającym tempie.

– Okej, pewnie – zgodziłam się, posyłając mu szczerzy uśmiech. Twarz nieznajomego rozpromieniała. – Znasz American Bar? To niedaleko.

## Wszystko ma swoją cenę



W mgnieniu oka pojawił się kelner i poprowadził nas obok stołu bilardowego prosto do słabo oświetlonego boksu w głębi pomieszczenia. Zdjął ze stolika mosiężną tabliczkę z napisem „Rezerwacja” i szybko podał listę win. Ceny zaczynały się od mniej więcej 160 dolarów, a kończyły na zawrotnej sumie 850 dolarów za dom perignon. Ał! Czekałam na zde gustowaną minę mojego towarzysza, ale się nie doczekałam. Kiedy kelner zjawił się, żeby przyjąć zamówienie, mój towarzysz rzucił bez namysłu:

– Białe wino. To.

Po chwili zapytał, czy jego wybór mi odpowiada. Jasne. Nie znosiłam białego wina, ale co tam.

Siedzieliśmy w ciszy. On – zgarbiony, ja – wyprostowana. Od momentu, kiedy przedstawił mi się gdzieś po drodze do baru, nie zamieniliśmy praktycznie ani słowa.

– Nazywam się Kazuki. Mój angielski jest bardzo słaby. – I tyle.

Kazuki nie miał do mnie żadnych pytań i wbrew zaleceniom protokołu nie poinformował mnie, ile miał lat i jaki był jego zawód. Mogłam się tylko domyślać, co robił pośród tłumu na ulicy o takiej porze w sobotnią noc.

Kiedy kelner wrócił z naszym zamówieniem, Kazuki wreszcie się odezwał.

– *Kurijetto-cardo mata wa cash-o desu ka* – powiedział kelner, żądając od nas najpierw zapłaty, zupełnie jakbyśmy byli na stacji benzynowej w Los Angeles.

– *Cash-o* – odparł Kazuki, wyjmując kopertę pękającą w szwach od ichimanów – banknotów o nominale 10 000 jenów, czyli mniej więcej 100 dolarów, każdy. Wziął dwa z nich i poprosił o paragon.

Nie ulegało wątpliwości, że odliczy sobie ten wydatek od podatku, zgodnie z instrukcjami zawartymi w podręczniku *Księgowość dla bogaczy*. Już to sobie wyobrażałam – strona czterdziesta siódma, drugi akapit: „Równania dla początkujących: gruba na dwa centymetry kupka banknotów studolarowych = coś, co wrzuca się jak gdyby nigdy nic do teczki, umieściwszy uprzednio w grubej kopercie”.

Z uśmiechem zażenowania na twarzy Kazuki uniósł kieliszek, rzucił: *kampai* i skupił uwagę na wielkim ekranie w drugim końcu pomieszczenia, gdzie rozgrywała się krwawa walka K-1, japońskiej odmiany kick-boxingu. K-1 to brutalny, darzony w Japonii fanatyczną czcią sport, w którym, niczym gladiatorów, do potyczki wystawia się reprezentujących różne kraje zawodników, specjalizujących się w odmiennych stylach walki, i czeka, który z nich skuteczniej stłucze przeciwnika na kwaśne jabłko albo prędzej znokautuje. Akurat wtedy stanęli w szranki japoński zawodnik sumo i biały kick-bokser. Zasługiwali na więcej uwagi ze strony Kazukiego niż ja.

Zauważyłam, że bar był w zasadzie pusty, z wyjątkiem kilku samotników i grupki wyluzowanych obcokrajowców, zajmujących sąsiedni boks. Unosiła się nad nimi zbiorowa aureola dymu papierosowego szybko wssanego przez wentylator. Zaczęłam się im po kolei przyglądać, jednemu za drugim, aż natrafiłam na spojrzenie któregoś z mężczyzn. Uśmiechnęłam się, a on w odpowiedzi skinął tylko nieznacznie głową, zaciągając się papierosem.

Kazuki poklepał mnie po ramieniu. Wyciągnął pachnącą nowością wiytówkę i podał mi oburącz. Spojrzałam na jego pusty kieliszek. Uśmiechnął się pod nosem. TANAKA KAZUKI, PRODUCENT. Wypił jeszcze jeden kieliszek uniwersalnego „rozwiązywacza języka” i dowiedziałam się, że jest producentem rewii telewizyjnych, owych eklektycznych bzdur nadawanych w najlepszym czasie antenowym. Wyszedł ze spotkania z jedną z sieci telewizyjnych, po czym wskoczył do taksówki i przyjechał prosto do Roppongi, gdzie zupełnie przypadkiem „wpadł” na mnie na ulicy. Wykonałam w myśli szybkie obliczenia. Wiedziałam, która była godzina, i wiedziałam, o której go spotkałam. Nie mógł być pijany, a przecież wypalił prosto z mostu: „Masz ochotę na drinka?”. Gdzieś w innym mieście naj-

pewniej byłabym zaskoczona, ale tutaj? W taki sposób japońscy biznesmeni najczęściej zaczepiali cudzoziemki w dzielnicy rozrywkowej.

Szybko przeszliśmy do plotkowania o jego ulubionych gwiazdach filmowych i ukochanych filmach. Wspomniał, że grywał w golfa – dwukrotnie. Trzy razy pytał mnie o imię, aż w końcu napisałam mu je. Ulżyło mi, kiedy zamówił dwie szklanki wody, ale gdy tylko zjawił się kelner, Kazuki dorzucił do zamówienia drugą butelkę wina. Nie wiedziałam, czy powinnam się z tego cieszyć. Zaczynało mi się kręcić w głowie. Widocznie wypijałam więcej niż zamierzałam, ale w żaden sposób nie potrafiłam sobie przypomnieć, ile właściwie w siebie wlałam. Kelnerzy bez ustanku dyskretnie uzupełniali nam kieliszki.

Kiedy Kazuki nagle przeprosił i poszedł do toalety, zjawił się ubrany w szary garnitur kierownik lokalu.

- Witam. Jak się nazywasz?
- Chelsea.
- Gdzie pracujesz?
- W Greengrass.

Szybko zapisał obydwie informacje, uściśnił mi rękę i podziękował. Dotarło do mnie, że spisał sobie moje dane po to, by wiedzieć, komu będzie się należało czterdzieści procent prowizji z rachunku Kazukiego. Zastanawiałam się wcześniej, jak to załatwiają.

Rozsiałałam się wygodnie, rozluźniona i rozbawiona tym, że właśnie nabijam sobie kabzę pićem drogiego wina. Był wszakże jeden problem. Nie piłam od ponad roku i teraz, po tak długiej przerwie, kręciło mi się w głowie na sam widok drugiej butelki, która właśnie pokrywała się szronem w wiaderku pełnym topniejącego lodu. Zaczynałam tracić ostrość widzenia.

– Jak się nazywasz? – Początkowo nie dotarło do mnie znaczenie wypowiedzianych słów. Aha, sąsiad z boks obok. – Nazywam się Luc. Widziałem cię w One Eyed Jack. Będziesz tam pracowała?

Opowiedziałam mu, jak to doszłam do wniosku, że wodzili mnie tylko za nos, bo kiedy zadzwoniłam w poniedziałek, tak jak kazali, nic z tego nie wyszło, więc zdecydowałam, że popracuję w Greengrass. Nie miałam czasu do stracenia.

– Ale Nathan naprawdę wyjechał i wróci dopiero w poniedziałek – odparł Luc. – Powinnaś dla pewności zadzwonić.

Rozmowa urwała się w momencie, gdy do stolika wrócił Kazuki. Kilka chwil później bar zalała ludzka fala, wraz z którą napłynęła pulsująca ba-

sowym rytmem muzyka i wymiana zdań stała się prawie niemożliwa. Były dwie po trzeciej w nocy, właśnie zamknięto okoliczne nocne kluby, a American Bar poza tym, że służył do butelkowania Japończyków, był również miejscem, do którego zagraniczne hostessy, barmani i striptizerki przychodzili sączyć, wciągać, puszczać z dymem i zrzucać z barków ciężar ostatnich pracowitych sześciu godzin. Przynajmniej na chwilę człowiek zostawiał Japonię za sobą.

Kazuki, otoczony samymi cudzoziemcami, bębnił palcami w moje ramię do rytmu piosenki Missy Elliott i przyglądał się płaszącym przy muzyce masom ludzkim. Od czasu do czasu kradł mi pocałunek w policzek. I wtedy nagle, kiedy wydawało mi się, że bawił się w najlepsze, wyszedł ot tak, podniósłszy teczkę z podłogi i ulotniwszy się bez słowa. Zero ukłonu. Żadnego: „Do zobaczenia później”. Nawet uścisku dłoni. Rzucił tylko proste: „Przepraszam” i zostawił mnie z opróżnioną do połowy butelką wina za 200 dolarów. Czyżby coś mi umknęło? Abie twierdziła, że to naprawdę proste, ale kiedy faktycznie znalazłam się w takiej sytuacji, okazało się, że byłam totalnie zaskoczona.

Kiedy tak siedziałam, zastanawiając się, co zrobić ze swoją pijaną osobą, Luc odwrócił się i spojrzał na puste miejsce przy moim stoliku.

– Skończyłaś już? – zapytał. – To może przysiądziesz się do nas?

Pozostali zrobili mi miejsce i wsunęłam się do kąta. Luc i reszta towarzystwa przypominali ONZ w pigułce. Pochodzili z Australii, Francji, Rosji, Japonii i Meksyku. Wszyscy pracowali jako kelnerzy w One Eyed Jack, czyli u Jacka, jak pieszczotliwie określali lokal. Dwie siedzące pomiędzy nimi dziewczyny o wystających kościach policzkowych były hostessami w Jacku – co ciekawe, jedna z nich zdobyła rok wcześniej tytuł wicemiss Kanady. Marc, kościsty Francuzik, zaoferował mi swoją niedojedzoną sałatkę z awokado. Nagle przypomniałam sobie, że zanim Kazuki podszedł do mnie na ulicy, umierałam z głodu. Może właśnie dlatego te ledwie kilka kieliszków wina sprawiło, że czułam się pijana w sztok. Przynajmniej nie sposób było powiedzieć o mnie: „Nędzna pijaczyna” – nie przy takiej cenie za butelkę napitku.

– *Qu'est ce que tu bois?*\* – zapytał Marc.

– *Rien, merci. J'avais bu trop*\*\*.

---

\* Czego się napijesz? (przyp. red.).

\*\* Niczego, dziękuję. Za dużo wypiałam (przyp. red.).

Obok nas przemknął kelner.

– Przepraszam? Czy mogę poprosić o dżin z tonikiem dla pani?

Kiedy kelner zjawił się z moim drinkiem, każdy z facetów wyciągnął tyśiącjenowy banknot, ale Luc był najszybszy.

– Spoko, ja stawiam.

No, dobra. Sprzedawszy własną trzeźwość za 140 dolców, bez wahania wlałam w siebie zawartość szklaneczki.

O piątej nad ranem włączono w barze światła, świecąc gościom boleśnie w oczy i dając tym samym do zrozumienia, że czas się zbierać. Wysypaliśmy się na pograżoną w ciemnościach nocy ulicę w Roppongi – słońce nie zdążyło jeszcze wstać – i rozświetlonym neonami chodnikiem udaliśmy się paradnym krokiem prosto do kolejnego baru, który zamykali dopiero po południu. Było zdecydowanie zbyt wcześnie na to, by iść do domu.

Ścianę baru Shisha, przypominającego tanią spelunę, pokrywał rzeźbiony w kamieniu mural przedstawiający sceny z *Kamasutry*. Opadłam na długą sofę, tuż obok Amy, jednej z hostess z Jacka. Była Polką, mieszkała na stałe w Wielkiej Brytanii, a do Japonii przyjechała po to, żeby pracą hostessy zarobić na szkołę. Zamówiła bananowy shake. Ja wzięłam sok pomarańczowy. Alkohol buzował mi w żyłach. Przy mojej czystej jak łąka wątrobie będę pewnie nawalona aż do wtorku.

Rozsunęły się drzwi windy i ze środka wysypała się grupa dziewczyn w ciemnych okularach, orbitująca wokół samca alfa niczym elektrony wokół, za przeproszeniem, jądra atomowego. Wpadły na parkiet i zaczęły płaszać, a facet popędził do toalety, pociągając nosem i kciukiem wpychając do kieszeni podejrzaną grudkę. Nawiązałam kontakt wzrokowy – błąd! – z jedną z dziewczyn. Ładna, ciemnowłosa, obdarzona doskonałym uzębieniem panienska podeszła do mnie i przedstawiła się. Nazywała się Nathalie. Miała do tego stopnia rozszerzone źrenice, że prawie nie było widać tęczówki. Była rosyjską Żydówką i bez ustanku, niemal w napastliwy sposób trajkotała rwanym angielskim.

– Muszę ci pofiedzieć, że jesteś naprawdę piękna – wypaliła. – Po co jesteś hostessą? Marnujesz czas! Możesz być striptizerką. To dobra kasa. Dużo fiększa. – Uśmiechnęłam się tylko i powiedziałam, że nie mam ochoty.



– Ładna jesteś. Pofinnaś to robić! – Nathalie żywo gestykulowała, rozlewając przy okazji połowę koktajlu. – Zrób to. Dafaj! Jak byłam tu ostatnio, zmarnowałam trzy miesiące życia jako pieprzona hostessa. To gófno, znaczy być hostessą to gófno. A striptiz w Japonii to taka sama robotka. Łatfizna. Nikt mi o tym nie pofiedział, kiedy byłam hostessą. Jak przyjechałam drugi raz, w tydzień zarobiłam tyle forsy, co w trzy miesiące jako hostessa. Kurfa! Możesz zarobić kupę kasy, księżniczko. Ile masz lat?

Minęła chwila, zanim sobie przypomniałam. Jezu, ale byłam pijana.

– Dwadzieścia.

– Dfadzieścia! Kurfa! Jaka młoda! Masz przyszłość, możesz dobrze zarobić. Ja mam dfadzieścia sześć. Nie jestem głupia. Nie jestem tania. Mam magistra. W Izraelu projektuję fnętrza, ale tam nie ma kasy. Jak mam przetrwać to gófno, co? Robię, co kocham. Ale muszę tu przyjeżdżać, żeby za to płacić. Słuchaj mnie! – Nathalie przerwała, w kaznodziejskim, pełnym pasji natchnieniu wycelowała palec w sufit i mówiła dalej przenikliwym głosem. – Są klienci, którzy płacą 7000 jenów za prywatny taniec. Trzy minuty. Fiesz, co to prywatny taniec, nie? A inni dają ci 5000 dolarów za JEDEN NUMER! No, daj spokój! – Resztką koktajlu należącego do głoszącej dobrą nowinę Nathalie wylądowała na moim kolanie.

Gapiałam się na nią. W lśniącej powierzchni jej ogromnych, czarnych źrenic widziałam swoje maleńkie odbicie i własne, szeroko otwarte w szoku oczy. Chwilę później inna dziewczyna-elektron pociągnęła ją za sobą, a ja postanowiłam nie „marnować” czasu i poszukać towarzystwa kogoś, kogo przynajmniej trochę znałam. Tym kimś okazał się Luc. Siedział rozwalony na kanapie, ścisnął obiema rękami piwo i studiował mural. Jediną pozostałością po Amy była stojąca na stoliku szklanka po bananowym shake’u. Poszła sobie do domu.

Luc spojrział na mnie. Przewróciłam oczami.

– Szaleni Rosjanie – powiedziałam.

Uśmiechnął się.

– No, szaleni, jebani Rosjanie.

Wyszłam z baru dopiero o jedenastej. Na zewnątrz było upalnie i wilgotno. Spódnica lepiła mi się do ud, a wysokie obcasy po prostu dobijały.

Miałam wysuszone usta. Nic nie jadłam od szesnastu godzin. Istniało tylko jedno remedium na moje kłopoty. Musiałam zjeść lody.

Zanim pośród nieznanych uliczek odnalazłam drogę do naszego mieszkania, zdążyłam posilić się porcją lodów Häagen-Dazs o smaku zielonej herbaty. Mmm.

Kiedy zaczęłam poszukiwania karty do drzwi, nagle moja torebka zawibrowała. Aha! Telefon. Zapomniałam, że w klubie jeden z kelnerów przełączył mój aparat na „uprzejmy” tryb. „Uprzejmy” tryb? Dobrze. Bzzz! Bzzz! O cholera.

– Słucham? – odezwałam się.

– To ja. Gdzie jesteś? Cały ranek próbuję się do ciebie dodzwonić.

– Jestem pod drzwiami. To znaczy już prawie w mieszkaniu. W budynku. Na dole. Znaczy się, na zewnątrz. „Na dole, przed domem, tam, gdzie mieszkasz” – zaśpiewałam. Wszystko totalnie popierdzieliłam. Matt zaczął się śmiać. Nie potrafiłam się opanować. Ależ byłam zalana. Boże, ale to słońce dawało po oczach.

– Zejdę po ciebie.

Kiedy Matt przeszedł przez automatyczne drzwi prowadzące na korytarz, siedziałam na schodkach, opychałam się lodową kanapką i patrzyłam, jak uprawiający poranny jogging ludzie z wysiłkiem biegną pod górkę.

– Chcesz trochę? – musiałam wyglądać jak małpa na haju, która pragnie podzielić się znalezionym w dżungli bananem. Jestem pewna, że Matt z radością powitał mnie w domu w jednym kawałku.

– Daj no – powiedział, besztając mnie łagodnie, po czym zjadł ostatni kawałek lodu i pomógł mi wstać. – Widzę, że miałaś ciężką noc, hm? Zabierz torebkę. Pójdziemy na górę.

Aaa! Zimna! Kiedy wiłam się pod strumieniem wody, po omacku szukając kurka, który pozwoliłby mi wyregulować temperaturę strumienia do ludzkiego poziomu, nastąpiło małe zwarcie w moim pijanym, wypełnionym chaotycznymi myślami mózgu. Woda była zdecydowanie za zimna – przypomniała mi kąpiele, do których zmuszała mnie matka, kiedy wracałam do domu po całym popołudniu zabawy na podwórku. Tyle że teraz nie miałam już pięciu lat, nie byłam ubłocona, a obok wanny nie stała moja matka, lecz mój mąż, który próbował doszorować mnie po nocy spę-

dzonej w półmroku barów na picciu z innymi mężczyznami i przesiąkaniu niczym gąbka dymem papierosowym. No przecież wiedziałam, że z prysznicą polecą woda, ale nie w tym rzecz. Była za zimna. O wiele za zimna.

Kiedy już odzyskałam jasność myśli na tyle, by ustawić sobie taką temperaturę wody, jaką lubiłam, Matt wyregulował wysokość słuchawki prysznicza zaprojektowanego dla typowego Japończyka. Z ledwością się pod nim mieściłam. Kiedy zamknęłam oczy i otworzyłam usta, poczułam, jak po twarzy płyną mi strumienie wody. Matt wycisnął na dłoń odrobinę szamponu. Pachniał cytryną. „Boże, co za SYF” – pomyślałam. Usiadłam w wannie. Matt wmasował mi szampon we włosy. Z głową między kolanami przyglądałam się, jak mydliny spływają do otworu odpływowego. Przejechał mi szamponem za uszami i poskarżył się na zapach papierosów, który przesiąknął każdy centymetr mojego ciała: włosy, rzęsy, stos ubrań, z których mój mąż mnie wyłuskał i które rzucił na podłogę naszej mikroskopijnej łazienki, słowem wszystko.

– Jak poszło? Jak tam druga noc? – Powiesił moją suknię koktajlową na wieszaku. Można ją było prać wyłącznie chemicznie.

– Chyba umrę od papierosowego dymu.

– No, to jak poszło? – powtórzył. – Masz, umyj twarz.

Namydliłam się.

– Chyba dobrze. Dziewczyny są bardzo miłe. To głównie Izraelki.

– A jak „klienci”? Podobali się? – zaśmiał się. – Uuu, brzmi podejrzanie.

– Porypani – odparłam i opowiedziałam mu o zombi z General Electric, a potem o zabutelkowaniu Kazukiego w American Bar, o Lucu i o Nathalie z jej JEDNYM NUMEREM za 5000 dolarów! Matt nie przestawał się śmiać, a ja opowiadałam i opowiadałam, dopóki nie trzeba było wyjść z wanny.

– Chodź. Uważaj, żeby się nie poślizgnąć.

Chwyliłam go za rękę i postawiłam niepewnie stopę na macie łazienkowej. A Matt zabrał się do wycierania mnie ręcznikiem.



## Dziewięć dla mnie, jeden dla jakuzy



Gdy rano, przemykając wąskim chodnikiem, w butach na wysokich obcasach pędziłam do pracy, miałam wrażenie, że moja pięta jest zupełnie pozbawiona skóry i przypomina pomarszczone jabłko. Był wtorek. Poprzedniego wieczoru poszłam na drinka z nieznanym, który zagadał do mnie na ulicy, a potem spotkałam się z Mattem. Umówiliśmy się z Lukiem i kelnerami z Jacka, poszliśmy do baru i przesiadaliśmy z nimi aż do białego rana. Zasnęłam. Jeśli nie dotrę do Greengrass w pięć minut, potrąca mi z pensji równowartość godziny pracy.

Opadłam na kanapę obok Abie, pocąc się obficie, i opróżniłam trzecią z kolei absurdalnie małą, zgodnie z regulaminem używaną wyłącznie przez hostessy, szklankę wody. W porównaniu z wielkimi szklanicami przeznaczonymi dla klientów wyglądała jak naczynie dla przedszkolaków.

– Cześć, Chelsea. Widziałam cię wczoraj wieczorem w American Bar z jakimś starym Japońcem. Ile butelek zrobiłaś?

Abie rozczesywała splątane włosy. Ona też wstała zaledwie pół godziny temu, ale w przeciwieństwie do mnie nie było jej gorąco i nie pocila się. Mieszkała pięć minut drogi od klubu, w domu wynajmowanym przez gaijinów. Domy gaijinów były obskurnymi, zatłoczonymi, horrendalnie drogimi hotelami, prowadzonymi przeważnie przez surowe i niewzruszone *mama-san* w średnim wieku, ale mimo to stanowiły najrozsądniejsze wyjście dla zagranicznej hostessy, która pragnęła żyć w Tokio na własny rachunek.

– Tylko jedną, ale nie wypłam ani tyka. Koleś nie mówił nawet po angielsku.

– Super. Uwielbiam, kiedy nie mówią po angielsku. Nie znoszę z nimi gadać. „Nie, nie mam żadnych zainteresowań. Nie, nie mam ochoty na japońskiego chłopaka. Że niby dlaczego? Bo ich kutasiki są za małe? Czy to prawda? Pojęcia nie mam. Nie, to nie dlatego nie lubię japońskich chłopaków, bo mają zbyt małe penisy. Nie, nie zamierzam w takim razie zostać twoją dziewczyną. Po prostu rób użytek ze swojej karty kredytowej, ty zboczony Japońcu”. Boże, jak ja nie znoszę tego miejsca.

– Daj spokój, nie jest tak źle. Powinnaś siebie posłuchać. Nie wiem, dlaczego trafiają ci się sami psychole. Myślę, że po prostu czują się samotni. Wiesz, kiedy rozstałyśmy się wieczorem w sobotę, facet tak po prostu podszedł do mnie i zaprosił na drinka. To było dziwne.

– Zabrałaś go do American Bar, prawda?

– No, tak. To był mój pierwszy raz. Gość był producentem telewizyjnym. Kupił dwie butelki wina. Zarobiłam 140 dolców, a przynajmniej powinna być tyle zarobić. Ale kiedy poszłam odebrać kasę, w koperce brakowało dziesięć procent sumy.

– Taaa... Sukinsyny. To podatek dla jakuzy. Dwie butelki w sobotę! Ale ci się trafiło. A w poniedziałek jeszcze jedna! Świetna robota! Prawie nigdy nie udaje nam się złapać klienta w poniedziałek. Czasami trzeba ich zaciągać siłą, ale wtedy nie chcą kupić nawet najtańszej butelki, kutwy cholerne. Powinnaś zabierać ich do pokoju dla VIP-ów na karaoke, a potem...

– Co? Czekaj, czekaj, o co chodzi z tym podatkiem dla jakuzy? – Wiedziałam oczywiście o istnieniu zorganizowanej przestępczości, ale zaraz, chwila – aż tak zorganizowanej? Gangsterzy to gangsterzy, a nie księgowi.

– Podatek dla jakuzy. To oni kierują klubem. A coś ty myślała? Że kluby nie muszą płacić za ochronę? Dziesięć procent od wszystkiego, bo jak nie, to przyjdą, rozwalą lokal w drobny mak i koniec. Nie zauważyłaś, że większość knajp w tej okolicy założono w ciągu ostatnich kilku lat? Stare bary wcale nie splajtowały, tylko po prostu nie chciały płacić haraczu. Myślę, że właściciel Greengrass też im płaci, bo nigdy nie było tu kłopotów. Słyszałam, jak Nishi mówił, że nigdy nie napadnięto na nasz lokal. Ta kobieta przychodzi raz na jakiś czas, a ponieważ każe nam mówić do siebie *mama-san* – chociaż to w zasadzie zajęcie Nishiego – nikt nie wie, jak się nazywa. Pamiętam, że ponoć niedługo przed tym, jak tu przyjechałam, jakuza po cichu wyraziła zgodę, żeby urząd imigracyjny

zrobił nalot na jeden z szemranych lokali ze striptizem. Zamknęli wszystkie dziewczyny, które nie miały odpowiedniej wizy. Wiesz, że mogą cię aresztować tymczasowo na trzydzieści dni?! Nie żartuję. Skoro wszystkie kluby i restauracje muszą płacić, to dlaczego miałabyś być wyjątkiem? Wiesz, nikt nie prowadzi oficjalnej ewidencji. Zarabiasz kasę w Roppongi – płacisz podatek.

Naprawdę? A dostanę też ubezpieczenie zdrowotne?

Godzinę później siedziałyśmy z Abie z grupą klientów i piłyśmy sok w postaci koncentratu. To gorsze nawet niż dym papierosowy, smakujące jak ropa naftowa i złożone z czystej fruktozy świństwo osadzało się niczym szlam na ściankach przełyku i powoli spływało do wszystkich tych części ciała, gdzie akurat najmniej było potrzebne: do pośladków, do ud, do bioder. Powinni tego zabronić! Ale ponieważ klienci Greengrass nie płacili klubowi za drinki hostess, miałyśmy ograniczony wybór napojów: tani sok „owocowy” albo tanie, kacogenne wino domowej roboty. Zaraz umrę, pomyślałam. Na szczęście Tehara przyprowadził do stolika Jamie, która, cały czas przekomarzając się z klientami, pokazała nam, czym jest herbata Ulung.

Ulung, podawany na zimno lub na gorąco, to płyn do ostatniej molekuly wypełniony przeciwutleniaczami i flawonoidami, niemal zerokaloryczny i dopuszczalny jako napój dla hostess. Lubiłam pić ulung na zimno z lodem, chyba że siedziałam dokładnie pod klimatyzatorem, który owiewał mnie polarnym powietrzem. Polarne powietrze? A-ha. Praktycznie każdy klient, który przychodził do Greengrass, był w garniturze. Tymczasem wszystkie hostessy musiały nosić sukienki bez rękawów. Nawet temperatura w hostess-klubie, tak samo jak wielkość szklaneczek, stanowiła przejaw dyskryminacji.

Zatrzymał mnie nagłym szarpnięciem. Coś mi strzeliło w nadgarstku i straciłam równowagę. Imadło w rękach Koreańczyka zacisnęło się tak, że nie byłam w stanie się ruszyć. Rzuciłam okiem na salę i zobaczyłam, że dwóch pozostałych klientów uprzejmie trzymało się swojego miejsca i *miejsca swoich* hostess. Wszyscy siedzieli grzecznie i rozmawiali. Wszyscy, tylko nie my. Spotkanie dwojga ludzi nie powinno tak wyglądać.

„Puść mnie, ty draniu!” – chciałam wrzasnąć, ale zabrakło mi powietrza w płucach. Dosłownie zamknął mnie w swoich ramionach. Kiedy już

miałam stracić przytomność, jego uścisk zelżał na tyle, że udało mi się wyswobodzić. Szybko złapałam szklaneczkę z herbatą i uniosłam ją do ust niczym barykadę. Gorący, parujący ulung był moją jedyną obroną.

Koreańczyk pochylił się od niechcenia i odezwał się po raz pierwszy tego wieczoru:

– Chodź się ruchać.

– CO? – łyk herbaty, który wzięłam w wywołanym szokiem odruchu, oparzył mi podniebienie.

Koreańczyk wyrwał mi z rąk szklaneczkę, rozlewając dokoła herbatę, i chwilę później ponownie znajdowałam się w jego wielkich jak u goryla ramionach.

– Chodź się ruchać. *Dohan*? – wrzasnął.

– Słucham?

– Chcesz iść jutro na *dohan*? Jeśli dasz się wyruchać, pójdę na *dohan*, żebyś mogła zarobić parę punktów. – Ścisnął mnie jeszcze mocniej.

Ze co? Zgłupiał czy jak? *Dohan* nie wiązał się z niczym więcej, jak tylko dobrym posiłkiem i przyjemną konwersacją z klientem.

– NIE jestem prostytutką. – Podjęłam próbę uwolnienia się z jego ramion. Koreańczyk zmarszczył brwi.

– Dziwna jesteś.

– Dlaczego? Bo nie chcę się z tobą pieprzyć? Nie jestem prostytutką! Wypuścił mnie.

– No, dobra, zaśpiewajmy. Cyndi Lauper.

Na moich kolanach wylądowało opaste tomiszczce – śpiewnik karaoke. Proste, prawda? Ruchanie albo Cyndi Lauper. Logiczna alternatywa. Odsunęłam się najdalej, jak tylko się dało, tak żeby nie usiąść na kolanach klientowi przy stoliku obok – i zaczęłam przeglądać książkę w poszukiwaniu *Girls Just Wanna Have Fun*. Znalazłam. Zaczęłam rozpaczliwie machać w kierunku Tehary, chcąc, by przyszedł i odebrał ode mnie zamówienie na piosenkę.

– Chcę. Zmienić mieeejsce. Boję się go – powiedziałam niemal bezgłośnie, kiedy Tehara zjawił się przy stoliku.

Skinął głową, ale dał mi znak, żebym pozostała przy stoliku, dopóki nie znajdzie dla mnie innego miejsca. Zanim z głośników popłynęła piosenka Cyndi Lauper, siedziałam już gdzie indziej, daleko od goryla o stalowym uścisku, który właśnie obłapiał moją zmienniczkę. Co gorsza, musiała z nim zaśpiewać.

## Piątkowy wieczór...



– W epoce Edo szogun zakazał Japończykom podróżowania poza granice Japonii. Jeśli ktoś łamie zakaz, jest zdrajcą i kiedy wraca do kraju, szogun skracza go o głowę. Ciaaaach! – Mój *sensei* od historii ze świstem odworował ruch miecza, a potem rzucił się na ziemię, łapiąc desperacko za gardło. Czekałam na ciąg dalszy, który nastąpił, gdy żylasty paluch nauczyciela powędrował w górę.

– Żaden kraj nie handluje z Japonią wtedy. Tylko Chińczycy i Holendrzy przybijają do brzegu w jednym tylko miejscu: Nagasaki. Szogun zakazuje dystrybucji zachodnich książek i głoszenia nauk z Zachodu, które przyczyniają się do zepsucia japońskiego...

– Pani Chelsea – przerwał nam Nishi głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Ploszę, przyjdź. Prośba.

Niemal bez słowa przeprosin Nishi zabrał mi szklankę. Poszłam za nim, zastanawiając się, jak to możliwe, że ktoś poprosił akurat o mnie. Nie minął nawet tydzień, od kiedy zaczęłam pracować w Greengrass. Miałam zero stałych klientów. Kto mógł...?

I nagle wszystko nabrało sensu.

Poczułam jego obecność, choć stał kilka metrów ode mnie, ukryty w półmroku. Sprawiał, że powietrze przed nim się rozstępowało. Był przystojny, przypominał dawnych japońskich generałów – tyle miał w sobie mocy, elegancji i innych zalet, które trudno sobie wyobrazić u jednego człowieka. Był arogancki i czarujący zarazem. Delikatny i szorstki. Ten zadbany okaz męskości stanowił przykład egoisty balansującego na granicy narcyzmu, a przy tym roztaczał wokół siebie niewidzialną aurę,



która sprawiała, że wydawał się nieodparcie atrakcyjny. Takie odniosłam pierwsze wrażenie.

Nishi zaprowadził mnie na miejsce i zostawił samą sobie. Nie przedstawił mnie, a tylko skłonił się głęboko przed klientem i zniknął. Uśmiechnęłam się do Ermy, szwajcarskiej hostessy, która siedziała obok klienta, paliła cienkiego papierosa i wyglądała na znudzoną. Wyciągnęłam do niego rękę. Nawet nie drgnął.

– Podoba mi się twoja fryzura – zagruchał. – Ale podaję rękę wyłącznie tym osobom, z którymi prowadzę interesy. Przykro mi.

Niezrażona, cofnęłam po prostu dłoń. Erma pochyliła się nad stolikiem.

– On nie podaje ręki – wyjaśniła, przewracając oczami.

– Czy mogę poznać twoje imię? – zapytałam uprzejmie.

Pochylił głowę do przodu i spojrzał mi w oczy pewnym siebie wzrokiem. Ułożył usta w bezczelny uśmiech od ucha do ucha, a swoje małe oczy zmrużył tak, że przypominały dwie cieniutkie szparki. Oceniałam go na jakieś czterdzieści lat.

– Superman – rzucił gładko. Ale po chwili zmienił zdanie. – Nie... Mr X.

– Nie ma to jak dobre imię – odparłam jak gdyby nigdy nic. – Nie brzmi typowo po japońsku.

– Ładna torebka – odpowiedział wyniośle. – Masz niezły gust. – W słabym świetle klubu moja torebka od Takashiego Murakamiego (wersja z Bangkoku) sprawiała wrażenie oryginalnej. Byłam zaskoczona, że ją zauważył.

– Najwyraźniej ty też.

– Przepraszam. – Mr X z hukiem odstawił szklanekę i po chwili zniknął w drzwiach toalety. Nishi zaczął sprzątać ze stołu.

– Co się dzieje? Wychodzi?

– Nie, nie, pani Chelsea. Przenosicie się. O tam. Chodź.

Przeniósł szklaneczkę Ermy i drink klienta na inny stolik, znajdujący się na drugim końcu sali i zawahał się chwilę, zanim zostawił nas w oczekiwaniu na Mr X.

– To bardzo dobry klient, ten człowiek. Bardzo bogaty. Ploszę, pani Chelsea, bądź miła.

– Zawsze jestem miła. – Ze zmęczonych oczu Nishiego wyczytałam pełne powątpiewania rozbawienie. Głupio sądziłam, że nikt nigdy nie zwracał na mnie uwagi.

W chwili, w której zaczęłyśmy się zastanawiać, czy Mr X zamierza w ogóle do nas wrócić, wyszedł z toalety i przemaszerował przez klub niczym paw, połyskując srebrnymi sprzączkami butów od Gucciego. Wstałam, żeby podać mu gorący *oshibori*. Wytarł sobie twarz, a następnie każdy palec po kolei.

– Cieszę się, że nas znalazłeś – posłałam mu słodki uśmiech.

Zaśmiał się niby z oburzeniem, a potem potrząsnął paczką papierosów i wyjął jednego. Pochyliłam się, oferując mu ogień. Klik. Ssssyyyk. Wdeeeech. Przedłużył ten rytuał o sekundę dłużej, niż powinien. Miało to dziwnie seksualny wydźwięk. Zamknęłam zapalniczkę, a on wypuścił ustami dym.

– O wiele lepiej. Widzisz? – zwrócił się do Ermy. – Ona jest zawodową hostessą. Nie przejmuj się, wiem, że to twój drugi dzień. Ona pracuje tu dłużej i dlatego wie, jak pewne rzeczy robić właściwie.

Erma przewróciła oczami. Moja przewaga nad nią wynosiła zaledwie pięć dni, ale przemilczałam ten fakt. Mogłabym wprawić go w zakłopotanie. Wyraźnie lubił mieć rację.

– Jaką muzykę lubisz? – zagadnęłam.

– Muzykę? Pytasz mnie, jaką muzykę lubię? – Nerwowo zaciągnął się papierosem.

Uśmiechnęłam się niewinnie.

– To zależy. Na imprezie? Podczas jazdy samochodem? Podczas pieprzenia? Za każdym razem inną. Co konkretnie chcesz wiedzieć? – Machnął ręką tak, że mignął nam przed oczami jego roleks za 4500 dolarów. Erma znowu przewróciła oczami. Zjawił się Tehara i zabrał ją do innego stolika, a ja zajęłam jej miejsce.

– No, najwyższy, kurwa, czas. Już myślałam, że nigdy jej nie zabiorą. – Mr X zgasił papierosa w popielniczce i posłał mi szatański uśmieszek. – Tak jest o wiele lepiej.

Poczułam się nagle jak mrówka, którą ktoś ogląda przez lupę. Zaczęłam się pocić z gorąca.

– To jak się naprawdę nazywasz?

– Jak się nazywam? Przecież powiedziałem ci, jak się nazywam. Już zapomniałaś?

– Nie, jasne, że nie. Mr X. Ale wątpię, żeby twoja matka tak do ciebie mówiła. – Wyprostował się jak struna, słysząc te słowa. – Jak się nazywasz? – powtórzyłam.

- Yoshi. A ty?
  - Już ci mówiłam.
  - Nie pamiętam. Powtórz.
- Powtórzyłam i tak to się zaczęło.

Dokładnie pamiętam, jakie następne pytanie zadał mi Yoshi. Początkowo nie rozumiałam, o co mu chodziło.

- Lubisz Charliego? – nie rozumiałam, „Kogo?” – pomyślałam.

Potem powiedział coś jeszcze. I jeszcze coś. Doprowadzony do ostateczności brakiem zrozumienia w moich oczach, ściszył głos.

– Koka. Lubisz? – Przyłożył palec do nosa i wciągnął głośno powietrze tuż przy moim uchu.

– Kokainę? – powiedziałam, prawdopodobnie o wiele głośniejszym głosem niż powinienam.

- Tak, kokainę.

– Nie wiem, nigdy nie próbowałam kokainy.

– Nigdy nie próbowałaś Charliego? – w jednej chwili złapał mnie za rękę i pociągnął za sobą. – O mój Boże. Chodź, idziemy. Już.

- Ale ja pracuję.

– No i? Kogo to obchodzi? Co ty? „Narkotyki są be, ach, jakie złe”, a ja jestem cnotka-niewydymka? Chyba nie – uszczypnął mnie w policzek. – A seks? Lubisz seks?

- Co to za pytanie?

– Żadne. Nie było pytania. Upewniam się tylko, że jesteś ideałem. Lubisz łowić ryby?

- Zazwyczaj tego nie robię. A ty?

– Oczywiście! Uwielbiam to! Pływam sobie moją łodzią na Hawajach albo u wybrzeży Kalifornii. I łowię wielkie ryby. O takie – wyciągnął przed siebie ręce. – Uwielbiam to. Ale jest coś, co lubię znacznie bardziej.

- Co takiego?

– Łowienie panienek. – Yoshi wykrzywił twarz w uśmiechu szczwanego lisa. – Zobaczyłem cię, jak siedziałaś tam, na drugim końcu sali, i od razu o ciebie poprosiłem. Nishi kazał mi czekać, bo byłaś zajęta, ale powiedział do mnie: „Wiem. Twój typ”. No, więc musiałem na ciebie poczekać. A ja nie czekam na nikogo. – W jego oczach pojawił się błysk

wściekłości. – Dla ciebie zmieniłem zasady. Nie tylko piękna, ale i pełna wdzięku. I taka seksowna. Wszystko jest w tobie seksowne.

Uszczypnął mnie w pośladek. Dałam mu klapsa w dłoń.

– Sorry, tylko sprawdzam. Diabeł ze mnie – puścił do mnie oko. – Gdzie mieszkasz? Wynajmujesz pokój? Mieszkanie? Mieszkasz sama? Gdzie?

– Mieszkam sama – skłamałam. – W Hiroo.

– Łał, fajne miejsce. Ja mieszkam z rodzicami, ale niedługo się przeprowadzam. W przyszłym miesiącu.

Z rodzicami? Zaskoczył mnie. Później dowiedziałam się, że Yoshi był *chonan* – najstarszym synem – co oznaczało, że nawet w przypadku tak bogatej rodziny jak jego ciążył na nim synowski obowiązek, który nakazywał mu utrzymywać rodziców i mieszkać z nimi.

– A co na to twoja żona?

Spojrzał na mnie z oburzeniem.

– Żona? Jaka żona? Na co mi żona? Ja się nigdy nie ożenię. Zwariowałaś? – Jego mięśnie napięły się pod luksusową czarną koszulą.

– Ćwiczysz? – zapytałam, chcąc poprawić mu nastrój.

– Jasne, że tak. Muszę. W tym tygodniu jestem bardzo zajęty, ale zazwyczaj chodzę na zawsoną siłownię non stop. Mam zachodni umysł, ale ciągle to chujowe japońskie ciało. I co zrobię?

Roześmiałam się głośno. Był bardzo dobrze zbudowany i opalony. Miał szczupłe, muskularne ciało, obleczone doskonałą, błyszczącą skórą. I do tego grube, przerzedzone na skroniach, lśniące włosy.

– Jestem diabeł wcielony, ale to prawda. – Ugryzł mnie w ucho i pocałował w policzek.

Odepchnęłam go.

– Nie gryź mnie. – Nie żartowałam.

– W tym miesiącu wylatuję do Los Angeles i Chicago w interesach. Nie chcę, ale muszę, wiesz. Chcę się wcześniej z tobą zobaczyć. Mogę do ciebie zadzwonić? – Wklepał sobie do telefonu mój numer. Próbował pocałować mnie w usta, ale napotkał jedynie moją dłoń.

– Raczej nie.

– Wiesz, dlaczego mi się podobasz? Bo zachowujesz się tak... no, tak jak teraz. – Yoshi wycelował nosem w sufit. – Jak snobka. Uwiiieelbiam to – zamruczał.

– Nie próbuj wciskać mi kitu, Yoshi, bo na to nie pozwolę.

Dwie sekundy później wezwał do siebie Teharę.

– Przepraszam! Poproszę rachunek!

A potem zrobił przedstawienie, wyciągając powoli z portfela swoją czarną kartę American Express i pozwalając, by światło odbiło się od jej powierzchni. Widziałam już platynowe i złote karty, ale nigdy czarnej. Kiedy zamasztyłem ruchem składał podpis, spojrział na mnie z ukosa, prześwietlając mnie na wylot i oceniając.

– Jak się nazywam? – zażądał odpowiedzi.

– Yoshi.

– Ale masz szczęście – zagruchał.

Niedługo po wyjściu Yoshiego, Soh, birmański kelner, odciągnął mnie na stronę.

– Chelsea – powiedział. – Ale to, kurwa, bogacz, ten Yoshi. Widziałś jego kartę? – Ułożył palce w prostokąt. – Czarna, nie?

– No, czarna. I co z tego?

Soh spojrział na mnie z niedowierzaniem, a ja wpatrywałam się w niego nieporuszona.

– Czarny American Express? Czarny Amex znaczy bogaty gość. – Zrobił efektowną pauzę. – Bogaty jak skurwysyn.



## ...i telefon dzień później



Z całą szóstką spotkałam się wcześniej, w poniedziałek albo wtorek, nie jestem do końca pewna. Każdy wieczór w Greengrass przypominał poprzedni – dni, nazwiska, wszystko to mieszało się i zamieniało w beładny stos wspomnień, które trudno było od siebie odróżnić.

Byłam trzeźwa, ale wszyscy pozostali byli pijani do nieprzyzwoitości. Zwłaszcza Jodie. Nawalić się, śpiewać ile wlezie i mówić, co się tylko, kurwa, żywnie podoba – tak brzmiało jej motto. Uwielbiała Billy’ego Joela i Steviego Wondera. Moim skromnym zdaniem to przez nią Nishi sądził, że „niektóre dziewczyny śpiewają zbyt wiele”.

Klientami byli pracownicy konsorcjum składającego się z siedemnastu firm, którymi zarządzał jeden tylko człowiek. Wizyty w klubie wchodziły w skład ich obowiązków pracowniczych. Dołączyłam do towarzystwa późnym wieczorem, więc żeby zaznaczyć moje przybycie, kazali mi śpiewać. Do tej pory zawsze odmawiałam i klienci byli wyraźnie zawiedzeni, ale tym razem czułam, że nie mam wyjścia, jak tylko zbratać się z okupującym karaoke kolektywem. Nie mam pojęcia, dlaczego wybrałam akurat *Somewhere Over the Rainbow*. Myślę, że to dlatego, że byłam zdenerwowana, że to był mój pierwszy raz, no i zostałam zmuszona. Kiedy skończyłam, zapadła cisza, a potem rozległo się kilka uprzejmych oklasków. Byłam przerażona.

Do tej pory zawsze zapominałam japońskie imiona, ale tego wieczoru zapamiętałam Taizo. Nie było to trudne, jako że cała grupa skandowała jego imię za każdym razem, gdy panowie wychylali rundkę kamikaze.

Stanowił też dla innych obiekt żartów. Nic dziwnego: miał wysokie

czoło, szerokie oczy i wystające kości policzkowe. Pozostali twierdzili, że pochodził z Hokkaido i dlatego był, jaki był. Taizo serdecznie się zaśmiewał z uwag na swój temat. Kiedy się nie śmiał, śpiewał, umieszczając moje imię w każdej piosence, w jakiej się dało. Najbardziej spodobało mi się *Only You* przerobione na *Only Chelsea*. Najwyraźniej uczeplił się mnie, ale nie przeszkadzało mi to, bo Taizo nie był przeciętnym wokalistą, nie był nawet dobrym wokalistą – on był wręcz genialny. Potrafił zaśpiewać na całe gardło *Bohemian Rhapsody* z większą pasją niż sam Freddie Mercury. Ale tego wieczoru uparł się, żebyśmy zaśpiewali w duecie. I tak, podczas gdy on emitował głos z mistrzowską precyzją, ja tylko ruszałam po cichu ustami, starając się jak najwięcej płaszać po parkiecie. Lubiłam myśleć, że po upokarzającym debiucie zrobiłam postępy.

Taizo miał też dryg do prawienia oryginalnych komplementów:

– Chelsea, takie małe czółko. Malutkie! I takie wielkie oczy. Kocham twój kontrast! Uwielbiam twoją linię nosa. Jaki prosty! – Wystawił do przodu własny nos. – Japońskie nosy są takie okrągłe, jak u świni! Ale Chelsea jest taka świetna! Kocham cię!

– Ja ciebie też, Taizo – zaśmiałam się i wychyliłiśmy razem naszego pierwszego kamikaze tego wieczoru.

Dzwonek telefonu wyrwał mnie ze snu. Była druga nad ranem.

Spojrzałam na Matta, który spał jak dziecko na prowizorycznym posłaniu rozłożonym na podłodze. Próbowaliśmy korzystać z pojedynczego rozkładanego łóżka, ale jedno z nas wbijało drugiemu w żebra o jeden łokieć za dużo. Jego szerokie ramiona prawie się nie poruszały, kiedy miarowo oddychał przez sen.

Jak tylko usłyszał o najbardziej w całym Roppongi pożądanej przez młodych mężczyzn z zagranicy pracy – „odławianiu” – zaraz zakręcił się i ją zdobył. Zajęcie stanowiło obiekt marzeń każdego samotnego faceta, a także przyczynek do naszych małych, prywatnych żartów. Otóż Mattowi płacono za to, że zagadywał panienki. Jego zadaniem było pilnować, by w One Eyed Jack i Private Eyes nie zabrakło najlepszych w całym Tokio striptizerek i hostess. Pensji towarzyszył bogaty pakiet dodatkowych świadczeń: darmowy alkohol, wstęp do wszystkich przybytków i wianuszek dziewcząt.

Zarabiał więc na chleb, nie tylko rekrutując dziewczyny – 500 dolarów za hostesę, tysiak za striptizerkę – ale także dbając o nie. Starał się złagodzić szok kulturowy, oprowadzając je po okolicy, pokazując najlepsze sklepy spożywcze i miejsca, gdzie mogą sprawdzić pocztę. W niecały tydzień cała wielonarodowa społeczność hostess pokochała „Przystojnego Matta”.

Było to wszakże zajęcie na pełen etat i często, kiedy spotykaliśmy się o trzeciej nad ranem i szliśmy razem do domu, cały splendor opadał i Matt bywał tak samo wykończony jak ja.

– Cześć, Chelsea. Jak się masz? – odezwał się zalotnie nieznajomy głos.

– Dzięki, dobrze. Kto mówi?

– Jak to kto? Już o mnie zapomniałaś? Ja o tobie nie zapomniałem. Yoshi! Mówi Yoshi!

– Ach, Yoshi – zaśmiałam się. Jak mogłam zapomnieć? – Oczywiście, że cię nie zapomniałam. Przecież poznaliśmy się dopiero wczoraj. Co porabiasz?

– Rozmawiam z tobą. Słuchaj, możemy się spotkać w przyszłym tygodniu?

– Którego dnia? – zapytałam figlarnie.

– A skąd mam to wiedzieć? Przecież jest dopiero sobota. Zadzwoń do ciebie w poniedziałek. Chciałbym zjeść z tobą obiad, zanim polecę do Chicago, okej? Dokąd chcesz pójść?

– Nie znam żadnego miejsca, Yoshi. Jestem w Tokio dopiero od tygodnia.

– Okej, okej. Znam parę niezłych lokali. W ten weekend jestem zajęty, ale zadzwonię do ciebie później i powiesz mi, skąd mam cię odebrać, dobra? Dla ciebie zawsze mam czas. Pójdziemy na obiad, a potem się zabawimy.

– Yoshi, ja pracuję w tygodniu.

– No już dobrze. Obiad i tyle. Ale zadzwoń, gdybyś zmieniła zdanie, okej? Dla ciebie jestem dostępny dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dzwoni, kiedy chcesz – zarechotał. – Jak na zero siedemset.

– Ha ha! Powodzenia. Na razie.

– *Hai-bye.*

\*



Matt nie ucieszył się zbytnio, kiedy opowiedziałam mu o Yoshim.

– Ja bym na niego uważał – powiedział. – Serio. Sprawia wrażenie gościa, który potrafi człowieka wciągnąć w większe bagno, niż to wszystko jest warte. Na twoim miejscu spróbowałbym się od niego uwolnić. Zaufaj mi. Kokaina plus czarna karta American Express równa się bezczelny gość, który wpakuje cię w syf, w którym nie chciałbym, żebyś uczestniczyła. Chociaż, z drugiej strony, nie znam go. Więc może jest całkiem ciekawą postacią. Trudno powiedzieć. Po prostu uważaj na siebie, w porządku?



## Czysz to nie poszrane?



– No i czo, znalazłsz tamtej nocy szwojego chłopaka?

Istnieją pewne rzeczy dla wszystkich, wydawałoby się, oczywiste. Na przykład:

1. Hostessa nie ma chłopaka.
2. Hostessa nie rozmawia o chłopaku, którego hostessa przecież nie ma (jak również, co się rozumie samo przez się, o nieistniejących chłopakach pozostałych hostess).
3. Własny chłopak jest nie do pomyslenia.
4. Własny mąż to wręcz niemożliwe.

Co oznacza, że jako hostessa musisz być doskonałą, wolną od zobowiązań młodą kobietą. Z pozycji swego zamku w chmurach nigdy nie będziesz świadczyć usług o charakterze seksualnym, ale też nie będziesz otwarcie dawała do zrozumienia, że jesteś poza zasięgiem klienta. „Dostępna, ale nieosiągalna” – tak brzmi motto hostessy, które w wyraźny sposób odróżnia ją od panienki do towarzystwa lub prostytutki. Po to, by utrzymać tę delikatną sieć pozorów, wolno nam kłamać, grać idiotkę, naiwną albo niewinną, ale pod warunkiem, że pozostaniemy stuprocentowymi singielkami. Cóż, przynajmniej w zasięgu słuchu klientów, z czego Colette, nowa hostessa szwajcarsko-niemieckiego pochodzenia, najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy. Chciałam jej wyjaśnić, jaki błąd popełniła, ale zamiast tego tylko spoglądałam na Jodie.

Jodie była dziewczyną od wykładania kawy na ławę. Angielka, niemal

zawodowa hostessa, zanim zamieszkała z pewnym Japończykiem (który nie miał nic wspólnego z hostess-klubami), wielokrotnie przyjeżdżała z rodzinnego kraju do pracy w Roppongi. Miała wyjątkowy talent do wyrywanych z kontekstu, perwersyjnych uwag – dość powiedzieć, że lubiła oglądać pornosy, jedząc przy tym płatki śniadaniowe – które jakoś pomagały nam ogarnąć to, czego nie dało się wytłumaczyć.

– To taka gra – zaczęła. – Oni o tym wiedzą i ty też powinnaś. Oni wiedzą, że nie jesteśmy wolne i że nie jesteśmy w nich zakochane. Zesraliby się w gacie na samą myśl, że mogłybyśmy naprawdę chcieć za nich wyjść. Byliby przerażeni. Oni chcą udawać. To są faceci, którzy nie mają życia towarzyskiego, nie łączy ich intymność z własnymi żonami. Płacą za to, byśmy stworzyły im iluzję. Jesteśmy po to, żeby poprawić im samopoczucie.

– No, tak. Ale może oni tak poważnie, nie sądzisz?

– Owszem, są wyjątki, tacy, którzy przychodzą tutaj w poszukiwaniu kandydatki na żonę. Ci to dopiero są odjechani. Naprawdę wierzą, że jedna z nas mogłaby na poważnie brać pod uwagę małżeństwo. Wydaje im się, że nie plotą bzdur. To znaczy, wiesz, okej, może to nie są totalne świry, bo i tak bywa. Weź Rosjanki. Mogły trafić gorzej, nie? One wcale nie chcą wracać do Rosji. Ale dla nas to po prostu praca. I ostatnie, czego nam potrzeba, to jedna głupia pinda, która spieprzy wszystko przez to, że prześni się z klientem, bo będzie się jej wydawało, że się w nim zakochała albo co. A potem te świry myślą, że im się trafiło, bo padło na jednego gościa na, kurna, milion. Ale to wszystko gówno prawda. Coś takiego nie istnieje. Oni doskonale wiedzą, co się dzieje, gdy wychodzimy z klubu. Każda z nas idzie do domu i robi dobrze swojemu chłopakowi. A oni idą do własnego domu, do swoich żon i dzieci, żeby spędzić z nimi te dwie sekundy, zanim położą się spać i wstaną następnego ranka, by pójść do pracy. Tak to jest. Miej dystans i nie daj się wciągnąć. Nachlaj się, to się będziesz dobrze bawić każdego wieczoru.

Miałam z tym problem. Trudno dojrzeć prawdziwą naturę czegoś, czego w ogóle się nie rozumiało. Colette podsumowała to najlepiej:

– Łał, czysz to nie posrane?

Ale nie, najwyraźniej to wcale nie było posrane. To dopiero początek, sam szkielet. Posrane było to:

– No, jest taki koleś, totalny pojeb, nie? Nie powiem wam, jak się nazywa, ale wygląda naprawdę dziwnie. Przychodzi co kilka miesięcy. Jest

naprawdę niegłupi, ale ma paranoję – myśli, że każdy o nim plotkuje i rozpowiada kłamstwa na jego temat. Jedna z moich znajomych pojechała z nim na wycieczkę do Stanów. On za wszystko płacił i dał jej kasę, żeby w ogóle chciała z nim pojechać, mieszkali w oddzielnych pokojach i tak dalej. Zatrzymali się na dłużej na Hawajach, bo on chciał sobie ponurkować. I wiecie, co zrobił? Wszedł do niej do pokoju z kutasem na wierzchu, waląc sobie konia. To nie wszystko! Miał na sobie tylko tę taką maskę nurka i jebane płetwy! Panna zadzwoniła do ochrony hotelu, a kiedy przyszli, koleś próbował się tłumaczyć, że dziewczyna chciała go pobić, więc go wyśmiali. Wiecie, koleś stoi pośrodku pokoju cały goły i ma na sobie cholerne gogle do nurkowania! No więc moja znajoma od razu wskoczyła w samolot do Tokio. A on ciągle do mnie dzwonił, bo chciał się dowiedzieć, czy ona już wróciła. Powiedziałam mu, że poleciała do domu, ale on tu przyszedł i zorientował się, że ona normalnie pracowała. Doprowadził do tego, że wyrzucili ją z klubu, a ponadto zabiegali o jej deportację. Sukinsyn.

– Czyśz to nie niebezpieczne? – zapytała Colette, kiedy już wyszła z szoku. Mnie cała historia wydała się wyjątkowo zabawna.

– Nie-e, to tylko świr. Nie powiedziałabym, że był specjalnie niebezpieczny. Praca hostessy nie jest niebezpieczna. Niebezpieczna to jest robota na stacji benzynowej w jakiejś gównianej części miasta – na przykład tam, gdzie niedawno postrzelili tego gościa. Po prostu nie bądź głupia i używaj mózgu, bo w przeciwnym razie, owszem, będziesz w dupie. Ale czym to się różni od innej roboty? Wiesz, nie musisz z nimi nigdzie chodzić, a samą pracę w klubie nie ma co się przejmować. Trudno ją nazwać normalną, ale najgorsze, co może ci się trafić, to jakiś porypany dziwak. A zresztą, dzięki temu jest tylko ciekawiej. No bo niby co jest normalne? Marnowanie życia w biurze za minimalną płacę? Wolę świrów.

– Kocham cię, baby, ale ich nie znoszę. Serio, wszystkich ich nie cierpię! – Taizo szerokim gestem powiódł desperacko po całym pomieszczeniu, dostając przy tym czkawki. Opadł zgarbiony na niską sofę, posyłając jednocześnie gniewne spojrzenia sześćdziesięciolatкови z ADHD, który bezlitośnie kaleczył klasyczny kawałek Elvisa Presleya, podskakując przy tym radośnie niczym uczniak.

– O nie! Nie lubię go. Nie powinien śpiewać. Nie! Nie! Nie! – Taizo

pokazał kościstym palcem na pływającego Elvisa i triumfalnie skrzyżował ręce. Dziś wieczorem Taizo postanowił cofnąć się w rozwoju. Sukcesywnie, w miarę jak noc stawała się coraz starsza, dolewała do jego whisky coraz więcej wody. Wszyscy jego koledzy byli w radosnych nastrojach. Wszyscy, prócz Taizo. Westchnął zrezygnowany. Podałam mu złotą czekoladkę Hershey's Kiss. Połknął ją, zanim zdążyłam mu przypomnieć, że papierka się nie je.

– Mmm, dobra! – Taizo błysnął uśmiechem. – Uwielbiam twoje krótkie włosy i twoje białe czoło. Twoje wielkie oczy. Uwielbiam całą... eee... ciebie. – Uczynił dłońmi bliżej nieokreślony gest.

– Jak ci minął dzień, Taizo? Dlaczego jesteś taki przybity?

– Bo jest taka zła sytuacja teraz. Moja firma ma taki duży projekt i tak dużo problemów. W przyszłym tygodniu mam spotkania duże, gdzie przyjedzie każdy szef, i to źle, to naprawdę kie-e-pawo – czknął. – Mam ochotę śpiewać 1234–04. – Znał na pamięć kod w maszynie karaoke, pod którym kryło się *Only You*.

Kiedy popłynęły dźwięki, Taizo zamknął oczy i zaczęliśmy bujać się razem, do przodu i do tyłu, ramię w ramię.

– Oł... oł-lu... *only* Chelseeeee, ja koooooocham cieeeee, twoooja twarz, twoooje czooło, takie słoooodkie! O-o-o *only* Chelseeeee....

Nie wiem dlaczego, ale zrobiło mi się smutno.

Jakaś szczęka o doskonałym kształcie pozostawiła ślad na puszystym cieście, które wręcz dusiło się pod pierzyną gęstej polewy. Nieuprażone ziarna kukurydzy tonęły w tłuszczu, a w nieruchomym powietrzu unosiła się chmura papierosowego dymu. Przy zatłoczonym stoliku było tylko jedno wolne miejsce i to właśnie do niego zaprowadził mnie Nishi. Natychmiast pojawił się problem. Pulchny facet, którego ciało zajmowało połowę mojego miejsca, nawet nie mrugnął ani nie odezwał się słowem. Wpatrywał się tylko we mnie, podczas gdy ja próbowałam poradzić sobie z niewygodną pozycją. W końcu Nishi poklepał mnie po ramieniu.

– Sorry, pani Chelsea, on nie mówi engrish.

Nishiemu musiało się to wydać zabawne, ale w końcu kazał mi się przesiąść o dwa miejsca w prawo, tak że musiałam odbyć konwersację z potylicą klienta. Czekałam i czekałam, aż gość się odwróci, a kiedy wreszcie to zrobił, doznałam szoku.

– Jimi! Wczoraj próbowałam się do ciebie dodzwonić. Co słyhać?

Jimi był niskim, łysiejącym multimilionerem, który miał specyficzne hobby: latał po świecie własnym odrzutowcem. Jakiś czas temu zabrał Jodie na wycieczkę tym swoim samolotem – a był to dopiero jej pierwszy tydzień pracy w Japonii! Owszem, kosztowna wyprawa, ale równie drogi potrafi być obiad w towarzystwie młodych cudzoziemek. Otóż w zeszły wtorek Jimi zabrał dwie Izraelki i mnie na mój pierwszy *dohan*. Poszliśmy do kosmicznej knajpy Maxim's de Paris w Ginzie, gdzie najadliśmy się prawdziwie po królewsku za prawie 2000 dolarów.

– Ale dzisiaj do mnie nie dzwoniłaś – rzucił z dezaprobatą. – Dziś chińszczyzna. Kaczka po pekińsku. Słynni szefowie kuchni z mojego ulubionego sushi-baru w Azabu-Juban są moimi przyjaciółmi, więc kiedy nie doczekałem się telefonu od ciebie, zaprosiłem ich na obiad. Nie mogę dzień po dniu jadać tego samego. Jutro zjem coś włoskiego albo może sushi – zaczął wymieniać możliwości, co potraktowałam jako nieformalne zaproszenie.

– Jimi, powiedziałaś, żebym zadzwoniła do ciebie w niedzielę, ale kiedy tak zrobiłam, nie odebrałeś telefonu. Próbowałam kilka razy. Pomyślałam, że po prostu oddzwonisz.

Jimi spojrzał na mnie chłodno.

– To ty masz zadzwonić do mnie – poinstruował mnie. – Chętnie zabieram na kolację panie, które do mnie dzwonią, ale – proszę ja ciebie – to one muszą zadzwonić.

Zacęłam protestować, ale pomyślałam, że nie warto.

– Okej, rozumiem. Przepraszam. Jak surfing w niedzielę? Podrzuciłeś znajomą na plażę swoim samolotem?

– Nie, wystąpiły jakieś techniczne problemy i nadal naprawiają mój odrzutowiec. Byłem bardzo zajęty innymi rzeczami, więc mój telefon znajdował się poza zasięgiem. Lecz dzisiaj nie byłem zajęty i mogłem odbierać połączenia – uśmiechnął się sztywno, ale zignorowałam jego dziecinne podchody.

– A jak chińszczyzna? Smakowała? – W zeszłym tygodniu u Maxima Jimi snuł plany, że w moje urodziny zabierze mnie na chińskie jedzenie i zmusi do zjedzenia kaczki po pekińsku.

– Oczywiście. Może masz ochotę na kawałek ciasta? Dziś są urodziny mojej znajomej. Dlatego poszliśmy na obiad, a teraz świętujemy tutaj. A kiedy dokładnie są twoje urodziny?

– Jutro. – Oczywiście Jimi doskonale o tym wiedział.

– To chyba nie możemy iść na obiad? Pewnie chcesz spędzić ten dzień z przyjaciółmi.

– Nie, żaden problem. Nigdy nie byłam w prawdziwym sushi-barze. Bardzo chciałabym pójść.

– Okej, to dokąd chcesz jutro pójść – zapytał. – Do włoskiej knajpy?

– Nie, poproszę o sushi. – To było podchwytliwe pytanie. Po tym, jak Jimi w zawołany sposób spróbował mnie zbesztać, najlepiej było pozwolić mu odzyskać przewagę.

– Okej. To jutro, kiedy się obudzisz i nadal będziesz chciała pójść, musisz do mnie zadzwonić, a ja zarezerwuję stolik. Restauracja jest cały czas pełna ludzi. Inaczej nie sposób dostać stolika.

– Niech będzie. Już się zdecydowałam. Idziemy.

Zadowolony Jimi odezwał się do jednego ze swoich „słynnych szefów kuchni”. Szef bez słowa położył dłonie na udach i trzykrotnie przed Jimim głęboko się uklonił. Pokazał mi kciuk skierowany ku górze – wyglądało na to, że nasza rezerwacja została niniejszym potwierdzona.

– Okej, zarezerwowałam stolik dla trzech osób – rozpromienił się Jimi. – Przyprowadź koleżankę. Nigdy nie zapraszam jednej pani. Nie chcę czuć się niekomfortowo, rozumiesz?

– Doskonale – odparłam. Mało czasu. Kogo mam wziąć ze sobą?

Abie zaciągnęła się papierosem jak odratowany pacjent tlenem. Zgodziła się pójść ze mną i Jimim na mój urodzinowy *dohan*, ale postawiła warunek: że pod żadnym pozorem nie będzie musiała jeść mięsa.

– To co, tak zamierzasz spędzić urodziny? Sushi z japońskim dziadkiem? Powinnaś pójść gdzieś po pracy z Mattem i z nami. Biedaczek. Nie mogę uwierzyć, że nie pójdziecie nawet we dwoje na kolację. Czy jemu w ogóle nie zależy?

– E tam, kupiliśmy kanapki lodowe w spożywczaku. Kosztowały po dolarze sztuka. A poza tym wiesz przecież, że potrzebuję punktów z *dohan*.

– Nie rozumiem cię – stwierdziła Abie. – Ale uwielbiam twojego męża.

Chciałam wyjaśnić jej, że w normalnych okolicznościach nie zostawiłabym Matta dla japońskiego milionera, ale cóż mogłam powiedzieć? Nie

chciałam się wygadać. Abie oczekiwała ode mnie odpowiedzi, ale na szczęście ujrzałam pędzącą ku nam przez skrzyżowanie taksówkę, punktualnie za dziesięć siódma. W środku siedział łysy czerep przytwierdzony do pary gorączkowo machających ramion.

– Chodź, to on.

Drzwi się otworzyły, wskoczyliśmy do środka i samochód ruszył. Tak oto wybierałam się na ucztę z okazji moich dwudziestych pierwszych urodzin, mając za towarzystwo podstarzałego japońskiego milionera i Żydówkę wegetariankę, a w perspektywie posiłek, który będzie kosztował więcej, niż byłabym w stanie zarobić przez tydzień. Dziwny jest ten świat.





## Muzyka gra



Zjawiłam się przy skrzyżowaniu Shibuya w chwili, gdy słońce zaczęło chować się za porastającymi miejską dżunglę strzelistymi wieżowcami i przebijać się feerią barw nielicznymi wąskimi prześwitami pomiędzy budynkami. Jego piekące promienie, rozbite na tysiące smug walczących z blaskiem neonów o dominację nad placem, utrudniały patrzenie i zmuszały do ciągłego mrugania powiekami. W powietrzu niemal wyczuwało się napięcie. Chodnikami przelewały się tłumy ludzi. Ruch samochodów na tym tętniącym życiem, przypominającym mrowisko skrzyżowaniu, które obsługiwało jednocześnie aż szesnaście ulic, zamierał w pewnym momencie, a wtedy morze przechodniów wylewało się na jezdnię. Każdy z nich pędził w swoim kierunku, ubrany w identyczny garnitur, podobny jeden do drugiego jak dwie krople wody.

Shibuya to szaleństwo. To miejsce jest najistotniejszą arterią dla niemal dwunastu milionów obywateli Tokio, z których przecież większość każdego dnia dojeżdża do pracy. Jest superwydajnym, hiperdoskonale zorganizowanym labiryntem, w którym linie metra i kolejki naziemnej mieszają się z estakadami, schodami ruchomymi, domami towarowymi, autobusami, samochodami, pieszymi i nielicznymi rowerzystami. Powierzchnia reklamowa w otoczeniu skrzyżowania Shibuya należy do najdroższych na świecie, a reklamy, oglądane codziennie przez dwa miliony osób przewijających się przez ten plac, robią największe wrażenie nocą.

Niebosiężnymi, staroświeckimi billboardami Shibuya zachwała międzynarodową firmę kosmetyczną, a migającymi, jaskrawymi neonami przypominają o sobie japońscy potentaci na rynku elektroniki. Ogromne

logo HMV roztacza swoją energożerną reklamą różową poświatę, a powietrze aż skrzy się od elektryczności. Dużo niżej, zamontowane na skrzyżowaniach ciężarówek, krążą po ulicach dwustronne billboardy, usiłując sprzedać wszystko – od lodów po wycieczki. W swojej dwupoziomowej fortecy niezmordowany, homogenizowany Starbucks przygarnia pracownicy, uzależniony od kofeiny naród i dystrybuje remedium w papierowym kubku. Góruje nad nim ekran telewizyjny wysokości dziesięciu pięter, na którym widać ciężko stąpającego, wygenerowanego komputerowo brachiozaura.

Obrazowi towarzyszy ścieżka dźwiękowa: klipy z muzyką pop, reklamy i serwisy informacyjne – soniczna beczka śmiechu, pełna atakujących z każdej strony wrzasków, krzyków, śmiechu, śpiewu i tego cudownie dziwnego zgiełku, który Japończycy wprost uwielbiają. Atak następuje w ułamku sekundy. Na lotnisku powinni zasłaniać turystom oczy i przywozić ich od razu na skrzyżowanie Shibuya.

Paczka chusteczek, którą ktoś wcisnął mi do ręki, raptownie wyrwała mnie z transu. Opakowanie miało rzecz jasna nadrukowaną reklamę. Dziewczyna w białych rękawiczkach, która strategicznie ustawiła się dokładnie pośrodku chodnika, podtrzymywała jedną ręką sięgający jej do brody stos chusteczek, a drugą próbowała wcisnąć kolorowe opakowania przechodniom, którzy rozstępowali się przed nią niczym Morze Czerwone, automatycznie odtrącając jej wyciągniętą dłoń. Kiepsko sobie radziła.

Włożyłam chusteczki do torebki razem z planem miasta, który uważnie studiowałam od momentu, gdy opuściłam Hiroo. Przyspieszyłam kroku i ruszyłam aleją Meiji-dori w kierunku Shinjuku. Spieszyłam się na zorganizowany w ostatniej chwili casting – chodziło o taniec towarzyski – do zwiariowanego TV show o J-Popie. Wolałam się nie spóźnić. Musiałam tylko złapać pociąg.

Tańczyłam w programie rewiowym *SMAP×SMAP* nadawanym przez Fuji Television w każdy poniedziałek o dwudziestej drugiej. Pewien podstarzały Angol imieniem Roger oraz ja występowaliśmy w parze ze względu na wzrost. Okazało się, że wcześniej zatrudniono grupę praw-

dziwych tancerzy, ale zwolniono ich, i wtedy do akcji wkroczyła moja agencja artystyczna z zamiarem uratowania sytuacji. Wyjaśniało to dziwny telefon w sprawie castingu:

– Potrafisz tańczyć? To znaczy, tańczyć naprawdę dobrze? Naprawdę, naprawdę dobrze? – Coś mi mówiło, że nie udało nam się nikogo nabrać.

Sports Music Assemble People – tak się nazywali.

– To nic nie znaczy, kochanieńka! Tak samo jak ten taniec i ta głupawa pioseneczka. Ot, po prostu pozbawiona znaczenia nazwa dla czegoś kompletnie nonsensownego – wyjaśnił Roger, kreśląc mną kolejny piruet.

– SMAP-P! – powiedziałam, strzelając ustami przy końcowym „p”. Chwytny skrót, trzeba przyznać, aczkolwiek nieodmiennie kojarzył mi się z jakąś jedzeniową PAP-ką\*. Niełatwo opisać fenomen, jakim jest SMAP, tę enigmę, której nie da się z niczym porównać. Jedno jest pewne: coś takiego mogło powstać jedynie w kulturze japońskiej. SMAP mają na koncie takie hity jak *Celery* czy *Raion HAATO*\*\* . SMAP są czymś, co Japończycy nazywają *bishounen* – pięknymi chłopcami zajmującymi się aktorstwem, tańcem i śpiewem. Zostali niekwestionowanymi królami oszałamiającego świata J-Popu po tym, jak odkryto ich talent w 1991 roku, kiedy byli jeszcze grupą skejtujących tancerzy. Tak jest, grupą skejtujących tancerzy. Nie pytajcie mnie, też nie wiem, jak to robili.

*SMAP×SMAP* to ich cotygodniowa rewia, w której demonstrują swoje umiejętności – dodajmy, dość przeciętne umiejętności. Co nie zmienia faktu, że jest to jeden z najpopularniejszych telewizyjnych show w Japonii. Program otwiera część pod tytułem *Bistro SMAP*, w której chłopcy konkurują w sporządzeniu najdziwniejszego dania dla specjalnego gościa, mając do dyspozycji ulubione produkty spożywcze wymienione przez zaproszoną osobę. Wyobraźcie sobie, jak dla smaku dodają curry do sosu custard\*\*\* – oto SMAP w pigułce. Uwielbiałam ich, bo byli szaleni, a teraz osobiście miałam przyczynić się do budowania ich legendy.

---

\* *Pap* – dosłownie „owsianka”, południowoafrykańska papka kukurydziana (przyp. tłum.).

\*\* Czyli *Lion Heart* – Lwie Serce (przyp. tłum.).

\*\*\* Słodki sos z mleka, żółtek i czasem mąki (przyp. tłum.).

W czasie gdy SMAP-owcy popisywali się swoimi licznymi talentami, my przenieśliśmy się do pomieszczenia, w którym znajdowała się wielka szachownica, ozdobiona palmami w doniczkach i sceną wspartą na czterech kolumnach. Odbyła się jedna próba, po czym reżyser, nieśmiały, wychudzony gość, który mówił wyłącznie po japońsku, kazał wszystkim stanąć wokół narysowanej pośrodku sali wielkiej białej litery „x”. Jedna z dziewczyn, Rosjanka, zaofiarowała się, że będzie tłumaczyć jego polecenia.

– On mówić, że SMAP będą siedzieć na stołkach tam przed sexy-tancerzami. Po drugim razie śpiewania zwrotka, e..., po druga zwrotka, wy będziecie pójść na zewnątrz, a oni będą wejść do środka. A potem, proszę, bądźcie razem. Wtedy wy... jeśli chcecie... to można... ja... ja nie mieć pojęcie, co on mówić teraz.

Reżyser ścisnął nerwowo trzymaną w dłoni kartkę i spróbował raz jeszcze, tym razem powoli i głośniej. Pochyliliśmy się i nadstawiliśmy uszu.

– Chodzi mu o to, jak mniemam, żebyśmy stanęli tam i nie ruszali się! – krzyknął Roger, a reżyser pokiwał entuzjastycznie głową, pokazując jednocześnie kolejną literę „x” wyrysowaną za linią na kwadratowych płytkach. Następnie pokazał miejsce, w którym stał, podskoczył, potrząsnął głową, głośno tupnął i ułożył Pana Wielkie X. To akurat zrozumieliśmy. Potem dał susa przez linię w kierunku drugiego iksa i nagle wypalił:

– Okej, ploszę – rozłożył szeroko ramiona, żeby zaznaczyć teren. – Eee... witam miejsce. – Wrócił na miejsce, w którym tupnął. – A tutaj nie.

Na szczęście reżyserowi wydawało się to wszystko równie zabawne jak nam. Członkowie ekipy, którzy znali angielski, wybuchali salwami śmiechu, naśladując jego „witam miejsce”, aż w końcu reżyser w udawanej złości machnął ręką, rzucił: „NO ENGRISH!” i wrócił na swoje miejsce za kamerą.

Kiedy pod czujnym okiem ogromnej liczby kamer zaczęła się próba generalna, SMAP-owcy wciąż jeszcze się nie pojawili, żeby zastąpić swoich dublerów. Weszli do studia dopiero wtedy, gdy reżyser krzyknął: „Cięcie”. Nagle poczułam się przytłoczona obecnością absolutu.

– Kim jest ten, o tam?

– To Katori Shingo. Nie patrz na niego. Nie wolno spoglądać na talent jego pokroju. Takie są zasady. Ci młodzińcy to megagwiazdy.

Ubrani byli w szalone ciuchy – jak można było się spodziewać po japońskich artystach pop, ale nie aż tak fajnie, jak sądziłam. Kiedy zaczęli śpiewać, zabrzmiało to tragicznie. Cała grupa wyglądała na zblazowaną.

Roger poprowadził nas na scenę i poczułam coś, za co miliony Japończyków gotowe byłyby zabić. Katori Shingo patrzył mi prosto w oczy.

– O mój Boże, właśnie na mnie spojrział!

– Kto?

– A jak myślisz? Katori Shingo! Patrz! Znowu to zrobił!

Katori Shingo, promowany jako „dzieciak” SMAP, nosił najbardziej cudzoziemski strój i miał farbowaną, najbardziej z nich wszystkich szokującą czuprynę. Znany był ze swojego talentu komediowego, a zwłaszcza przebieranek – zasłynął postacią Mama-Shingo. Ptaszki ćwierkały, że wołał chłopców, ale wszystkie plotki z zapalem dementowano.

Kiedy SMAP-owcy zeszli ze sceny, nie odstępowało ich na krok pięciu pomocników, każdy z butelką wody. Katori przebrał się w intrygujący strój: tunikę frotte ozdobioną sztuczną złotą biżuterią, a na to siatkowy podkoszulek przycięty tuż pod sutkami. Nie przeszkodziło mu to w usilnych próbach nawiązania kontaktu wzrokowego. Nie wiedziałam, dla czego to robił. *Ćwir ćwir?* Na pewno nie.

Rozbudziłam się na tyle, by zorientować się, że telefon zaczął dzwonić, ale zaraz szybko znów zapadłam w głęboki sen. Kiedy jakiś czas później komórka ponownie zabrzęczała, wysiliłam się, by spojrzeć na wyświetlacz. Yoshi. Super. Totalnie o nim zapomniałam. A także o obiedzie, który od poniedziałku non stop przekładałam. Tym obiedzie, na który obiecałam z nim pójść.

W poniedziałek Yoshi powiedział:

– To może jutro wybierzemy się na obiad? – Ale miałam już pewne plany, więc Yoshi powiedział tylko rozczarowanym, ale wyrażającym zrozumienie głosem, że zadzwoni w środę.

W środę zapytał:

– Może dzisiaj? – ale wtedy wypadło mi przesłuchanie do SMAP-a, więc Yoshi, już odrobinę rozdrażniony, oznajmił, że zadzwoni w czwartek.

A dziś był czwartek. Czy zgodziłam się pójść z nim dzisiaj na ten obiad? Nie mogłam sobie przypomnieć, ale jedno było pewne: Yoshi nie dawał za wygraną.

– Halo? – wychrypiałam, starając się w mało przekonujący sposób nie zabrzmieć jak osoba, która obudziła się pięć sekund wcześniej.

Chyba powiedziałam wcześniej Yoshiemu, że pójdę z nim dzisiaj na obiad, ale naprawdę nie mogłam. Byłam zmęczona, a właściwie skrajnie wyczerpana, i mimo to musiałam iść do pracy. Nie wiedziałam, czy po obiedzie nie spóźnię się do Greengrass. Tak czy siak, pojawię się tam sama, bo Yoshi nie chciał zabrać mnie na *dohan* – wyraził się jasno: „Nie jestem twoim tatuśkiem” – a ja nie chciałam tak po prostu pójść z nim na obiad. Jeżeli nasze spotkanie nie miało być bezpośrednio związane z działalnością klubu, wkraczałam na niebezpieczny teren. Pomijając to wszystko, z trudem kleciłam słowa wyjaśnienia. Próbowałam szczerze się wytłumaczyć, ale Yoshi nie dał mi skończyć.

– Okej – uciał. – Może innym razem. *Hai-bye*.

Tym razem zabrzmiało to jak jego ostatnie słowo, ale może to i lepiej. Wyłączyłam telefon i wślizgnęłam się z powrotem pod koldrę, wtulając się w Matta w nadziei uszczknięcia kilku dodatkowych godzin snu, zanim słońce zacznie chylić się ku zachodowi.



## Pieśń o zadupiu



Zamknęłam oczy i zapadłam się w miękkość kanapy, z nadzieją, że w drzwiach nie pojawi się dzisiaj żaden klient. Istniała zasada, która wyraźnie mówiła: „ZADNEGO SPANIA W KLUBIE”, ale po dwóch szalonych dniach i zaledwie półgodzinie snu byłam gotowa przyjąć na siebie dowolną karę.

– Pani Chelsea! Pani Chelsea! – otworzyłam oczy i ujrzałam Teharę, który próbował przybrać groźny wygląd, ale choć mrugałam i przecierałam oczy, było dla mnie oczywiste, że kiepsko maskował rozbawienie. – Chodź, pani Chelsea – powtórzył. – Jest klient.

– Fasolka! Jestem gościem od fasolki! – Fasolki? Ja pierdykam. Poczulałam, jak wyraz mojej twarzy zmienia się. pojawił się grymas, jaki robi Matt, kiedy ma ochotę rzucić jakąś zabawną, acz niekoniecznie cenzuralną uwagę.

– A jakiej fasolki? – zapytałam grzecznie. – Zielonej?

– Zielonej też, ale wiele rodzajów. Czy znasz japońskie słowo a-zuuu-ki? Fasola azuki? Z Hokkaido, baldzo znana, ale musisz uważać. Tylko pewna firma o wielkiej reputacji sprzedaje prawdziwą na sto procent fasolę azuki, bo jest baldzo droga. Zwykle mieszają dziesięć procent azuki i dziewięćdziesiąt procent kidney, bo mniejsza, ale ten sam smak. Nikt nie jest znany tego baldzo dużego sekretu japońskiego przemysłu fasolowego.

– Naprawdę? Chodzi ci o czerwoną soję? Wczoraj w sklepie widziałam lody Häagen-Dazs o smaku czerwonej soi.

– Tak! Baldzo popularna u Japończyków – zaśmiał się. – Ale może dziwna dla obcych. A jednak nie baldzo dziwny smak. Japońscy producenci lodów też robią lody rybne, kluskowe, o smaku smażonego bakłażana, kaktusowe...

– Jadłeś kiedyś takie coś?

– Nie, nie powiem, że pojadłem. Nie jestem słodką osobą. Jestem pikantną osobą, rubię fasolkę. A jakie jest twoje ulubione japońskie jedzenie? Sushi?

– Nie. Owszem, lubię sushi, ale moim faworytem jest o-kono miyake.

– Japońska pizza! Znasz o-kono miyake? Jestem pod takim wrażeniem. To musisz spróbować też daifuku mochi, jeżeli jesteś fanem o-kono miyake.

– Daj co? Możesz to napisać?

– Daifuku mochi, lepkie kulki z ryżu. Baldzo znany japoński deser na święta. Chyba możesz kupić w sklepie, ale najlepsze w Japonii robią w Kioto. Byłaś?

– Nie, ale chciałabym tam pojechać. Kioto jest dość daleko, a podróż droga...

– Droga tak, ale nie daleko. Wsiadasz w shinkansen, może trzy godziny. Polecam, żebyś pojechała w inne okorice poza Tokio. Nikko, Hakone, Nara – wszystkie baldzo piękne. Tokio to nie Japonia. Każdy Japończyk przyjeżdża z jednego powodu: pieniądze! Tokio to miasto pieniędzy. Ja rubię bardziej wiejskie okorice, jak Kioto albo Nikko.

Gość od fasolki przerwał na chwilę, żeby zlustrować wzrokiem swojego towarzysza, mocno opalonego faceta, który zajęty był mało komfortową rozmową z Rumunką Biancą.

– On jest z Brazylii. Myślę, że hostess-krub jest dziwaczny dla obcych. U nich nie ma takiego krubu do rozmowy. Obcy zawsze są nerwowi, a powinni się zrelaksować i dobrze bawić. To japoński obyczaj i mój obowiązek, żeby zabrać klienta do krubu, ale zawsze ja bardziej się bawię.

– Myślę, że nic mu nie będzie. W każdym kraju są zwyczaje, które przyjezdnym wydają się dziwaczne.

– Tak, masz rację, myślę. A więc opowiem ci zabawną historię. W grudniu wiele lat temu pojechałem służbowo do Mongolii – to taki mały kraj bez dróg i z małym lotniskiem. No, i jest taki mróz, że samolot nie może lecieć, więc muszę jechać pociągiem z Chin dwa dni, żeby dojechać na to zadupie. Kiedy przybywam, odkrywam, że jest jeden hotel na



całe miasto, ale nie ma gorącej wody! Nie mogłem wziąć prysznica przez dwa tygodnie! Byłem pierwszym gościem z Japonii. Wszyscy przychodzili, żeby się przywitać, nawet burmistrz! Wszystko takie dziwne, ale mongolskie jedzenie wygląda zawsze tak samo i rozpoznałem tylko jagnięcinę. Wiele dziwnych rzeczy, ploszę ja ciebie, na przykład oko w mojej zupie. Byłem specjalnym gościem, więc nie mogłem odmówić i musiałem jeść te dziwne rzeczy. Nigdy nie jadłem takiego okropieństwa. I taki mocny alkohol. Codziennie byłem pijany! Kiedy wracam do Japonii, moja żona mówi od razu: „Śmierdzisz. Weź prysznic”. To była moja najdziwniejsza podróż służbowa.

– A cóż, na Boga, robiłeś w Mongolii? – zapytałam, a gość od fasolki spojrział na mnie takim wzrokiem, jakbym chciała się od niego dowiedzieć, jakiego koloru jest niebo.

– Pojechałem z fasolką, oczywiście. Żeby zrobić ważny kontrakt dla mojej firmy. Zawsze sprawdzamy wiele okoric, żeby lepiej rosła fasolka. To nie nasza wina, że najtrudniejsza fasolka postanowiła najlepiej rosnąć na zadupiu w Mongolii.



## Nadchodzi Nori



Załóżmy, że ktoś dałby ci piękną gitarę akustyczną, cyfrową lustrzanekę i pachnący farbą drukarską plik banknotów o czterocyfrowym nominale; rozpuściłby cię wystawnymi kolacjami i zaproszeniem, byś towarzyszyła mu w podróży służbowej do Kioto – dostalibyście, rzecz jasna, oddzielne pokoje – po to, byś mogła poznać prawdziwą Japonię; próbowałby przekonąć cię, że warto wrócić na studia i że „marnowanie czasu na podróż do brudnych Indii” poparte 15 000 dolarów na naukę i wydatki to nie taki głupi pomysł; zapytałby: „Wolisz gotówkę, czy przelew?” – czy byłabyś zadowolona?

Abie nie była. Ona chciała laptop.

Żał mi było faceta, którego Abbie pieszczotliwie określała mianem „Dziazio”. Podobnie jak wielu przedstawicieli swojego pokolenia, Dziazio był niskiej postury – niewątpliwie wskutek nieobecności pewnych składników odżywczych firmowanych logiem McDonalda w diecie dorastającego w latach tuż po drugiej wojnie światowej chłopaka – którą wszakże nadrabiał wylewną i osobliwą hojnością względem Abie. W jego oczach ta dziewczyna była potulnym stworzeniem, którym należało się opiekować, choć wszyscy inni postrzegali ją jako upartą i zadufaną w sobie. Ale cóż, samotne serce, które prowadzi samotne życie, chętnie spełnia swoje zachcianki, więc nietrudno było się zorientować, że Dziazio, choć był bogatym i obrotnym biznesmenem, cierpiał z powodu zwyczajnej naiwności.

Kiedy tak słuchałam Abie opisującej ze szczegółami swoją nadchodzącą wyprawę do Kioto, coraz bardziej opanowywał mnie ponury na-

strój. Gdzie też podział się mój stały klient: szalony, o gołęmbim sercu i portfelu bez dna? Nie miałam na oku żadnych kandydatów. Jimi zniknął, a Yoshi poleciał do Chicago – ale nawet gdyby był na miejscu, to i tak byłam pewna, że nie zadzwoniłby do mnie, a co dopiero zabrał na wycieczkę do Kioto. „Może innym razem”, powiedział przecież. Zresztą jego intencje trudno było nazwać filantropijnymi.

Usiłowałam się nad sobą nie użalać, słuchając, jak Nicole – kolejna hostessa z Izraela, z blond lokami, błyszczącymi niebieskimi oczami i zaraźliwym śmiechem – doradzała mniej doświadczonej koleżance, co Abie powinna robić, kiedy Dziadzio zabierał ją na zakupy. Dla Nicole sprawa była prosta: bycie hostessą przypominało korzystanie z bankomatu. Rzecz w tym, żeby pobrać tyle pieniędzy, ile tylko się zdoła. Łatwo powiedzieć. Jeśli o mnie chodzi, istniały pewne ograniczenia, a poza tym zarabiałam niewiele dodatkowych punktów. Przynajmniej w tym miesiącu. Z dwoma *dohan* w zanadrzu, i gdybym postarała się jeszcze o kilka próśb, być może miałabym dość punktów, żeby zawalczyć o małą podwyżkę. Tak mi się wydawało, dopóki nie zerknęłam na tabliczkę zawieszoną na drzwiach garderoby i nie odkryłam, że jestem na szarym końcu. Mae: *dohan* (4), próśby (5), punkty (28). Abii: *dohan* (1), próśby (3), punkty (14) i tak dalej, aż w końcu ja. Cherishi: *dohan* (1/2), próśby (2), punkty (2).

Co? Pół *dohan*? Jak to w ogóle możliwe? Byłam dwukrotnie na obiedzie z Jimim, a dwa to nie pół, hę? Cała Ulica Sezamkowa o tym wie. Nishi musiał się gęsto tłumaczyć, ale wytłumaczenie okazało się mało dla mnie przyjemne. Otóż obiad u Maxima nie liczył się. Równał się zero. Trzy dziewczyny to, zgodnie z niepisaną zasadą *dohan*, o jedną za dużo, i to właśnie ja w tajemniczy sposób zostałam pozbawiona możliwości odbioru dywidendy. Totalna bzdura, ale nie mogłam nic na to poradzić. Procent za moją urodzinową kolację został podzielony równo pomiędzy Abie i mnie, ale czy to na pewno było fair, skoro Jimi nie zgodził się, żebym poszła z nim sama? Wszystko stało się jasne w momencie, gdy Nishi niechętnie przyznał, że, tak samo jak każdy klient, który zabiera hostessę na *dohan*, Jimi musiał zapłacić klubowi ponad 200 dolarów za ten przywilej. Nic dziwnego, że tylko nieliczni lekką ręką fundowali dziewczynom *dohan*. Wszystko okej, ale czy klub, który bez skrupułów ściągnął z klienta tak wysoką opłatę, nie mógł mimo wszystko po prostu

wypłacić nam obu premii w wysokości 25 dolarów, zamiast dzielić punkty? Najwyraźniej nie.

– Taki jest system krubu, pani Chelsea. Płoszę, nie mogę tego zmienić.

Świetnie. W ten sposób nie miałam punktów. Nie miałam premii ani klientów. Dostałam tylko minimalną płacę hostessy i musiałam jeszcze pójść na półtora *dohan*. Zanurkowałam w odmet frustracji. No, dalej! Który z was, dziadki, zlituje się nade mną i ukoj poczucie samotności prezentami? Co za gówno. Nie znoszę tej pracy i czuję się jak śmieć. Byłam wyczerpana, przemęczona i niepokieszona, że nie dane mi było uczestniczyć w pełnym blichtru życia i że bogactwo przechodziło mi koło nosa. Kurna, nawet jena.

Mówiąc szczerze, istniały pewne okoliczności, które powinny były rzucić nieco światła na sytuację, którą uważałam za totalnie niesprawiedliwą. Nikomu nie było mnie żal, bo nie zachowywałam się jak osoba samotna. Bo nią nie byłam. Ani razu nie poprosiłam klienta o wizytówkę ani o to, żeby zabrał mnie na *dohan*. Nigdy nie dzwoniłam do klienta, jeżeli nie wyraził takiego życzenia. Niewykluczone, że musiałam albo zmienić strategię, albo przeprogramować swój mózg. Desperacko potrzebowałam solidnego drylu w zawodzie hostessy, z niekłamną trudnością przychodziło mi bowiem uchodzenie za profesjonalistkę.

Co takiego mi umknęło? Czego nie potrafiłam ogarnąć? Sporządziłam listę.

1. Mężczyzna to nic więcej jak rzeczownik. Klient jako obiekt, który należy zdobyć. Mężczyzna nie jest przecież rzeczą.
2. Wyrażenie „mój klient”. Dziwaczne. Przywołuje skojarzenia, które – jak na ironię – w rzeczywistości nie istnieją. Mimo to brzmi dziwnie.
3. Prośzenie klientów o zabranie na kolację i o kupno różnych rzeczy. Dodatkowe korzyści. Czy to nie powinna być ich decyzja? Zapłacili za możliwość wstępu do klubu, za drinki, za relaksującą atmosferę. Czy zapłacili również za to, by sępic od nich dobra materialne?
4. Dzwonienie do klientów do biura w ciągu dnia. Dzwonienie do klientów do domu wieczorem. Czy to nie jest odrobinę bezczelne? Wiecie, człowiek ma spotkania, je kolację z rodziną, ale nie znajduje czasu, żeby przyjść do klubu?

5. Podstępne sztuczki, intrygi i kłamstwa po to, by manipulować biednymi, samotnymi duszyczkami. Po prostu nie potrafiłam i tyle.

Nie miałam zamiaru się zmieniać, ale – do diabła! – chciałam dostać tę premię, kusily mnie kolacje i, mówiąc zupełnie uczciwie, nie powiedziałabym „Nie” parze wypasionych butów od Manola Blahnika.

Sohowi ze zdziwienia wyskoczył drugi podbródek, kiedy ze złością poprosiłam o białe wino. Od tygodnia, jak na grzeczną dziewczynkę przystało, piłam ulung, ale teraz, siedząc obok kolejnego anonimowego klienta, poczułam się nieszczęśliwa i zniechęcona – czemu więc, do diabła, miałam nie być nieszczęśliwa, zniechęcona i nawalona? Nie byłam w stanie znieść myśli o następnej nocy na trzeźwo w tej krainie fantazji. Koniec z ulungiem. To wszystko jeden wielki absurd. Czułam, że gdy byłam pozbawiona chemicznej zapory, noce w niezgłębiony sposób piętrzyły się na moich barkach.

Dlaczego, gdy facet skłonny był wydać setki, tysiące dolarów w jedną noc tylko po to, by pobyć w towarzystwie hostessy, nazywał to luksusem? Moim zdaniem zakrawało to na delikatne szaleństwo. Albo nawet więcej niż delikatne, jeśli akurat byłeś jak Pan Wtorek, który nie chciał rozmawiać, ale za to z chęcią śpiewał; albo spazmatyczny Pan Czwartek, który kazał do siebie mówić per Johnny Depp i który uparcie próbował wyciąć moje cycki. Co stanowiło przyczynę takiego zachowania? Dlaczego wszyscy ci mężczyźni, choć było grubo po północy, dokazywali rażno z zachodnimi panienkami, podczas gdy ich rodziny spały w domu? A co gorsza, po co chwalili się nam zdjęciami swoich rodzin, zdradzali imiona żon, wiek dzieci, opowiadali o swoich „dobrych małżonkach” i „słodkich” pociechach? Jeżeli większość z nich była taka szarmancka, dlaczego zachowywali się jak dojrzewające nastolatki? Jakim sposobem niektórzy z nich potrafili wyjść z klubu z godnością, a innych, którzy nie byli w stanie nawet wybelkotać własnego imienia, trzeba było wynosić? Dlaczego jako mężczyźni mieli chęć dyskutować o polityce, historii i środowisku, a jako samce woleli pytać cię o to, czy byłaś dziewicą, za ile dałabyś się przelecieć i jak wielkiego fiuta miał twój chłopak? Czy naprawdę wierzyli w nasze głupie odpowiedzi na ich równie głupie pytania? Czy ktokolwiek byłby w stanie w to uwierzyć?

Zastanawiałam się, czy wierzył w to osobliwy gość, który siedział obok mnie. A może rozmyślał o tym samym co ja? Niczym niesamowita personifikacja Cogswortha, Pana Zegara z Disneyowskiej *Pięknej i bestii*, miał natapirowane włosy, które spływały kaskadą i zawijały się do góry tuż nad uszami, obnosił się z lekko wystającym brzuchem i siedział jak na szpilkach, jakby miał się zaraz przewrócić. Wymieniliśmy kilka grzecznych uwag: ot, gotowe odpowiedzi na standardowe pytania. Nijakie. Nudne. Nazywał się Ito. Ja pochodziłam z Kanady, a on mieszkał w Jokohamie, gdzie prowadził prywatną praktykę. Ja przebywałam w Tokio od osiemnastu dni, a on lubił pracować siedem dni w tygodniu. Ja byłam modelką, a on specjalistą od gastroenterologii. Siedzieliśmy, a między nami wisiała niezręczna cisza. On wpatrywał się w sufit, a ja studiowałam skórki wokół paznokci. Aż wreszcie...

– Przyjechałaś do Tokio sama? – wypalił niespodziewanie.

Spojrzałam na niego z ukosa. A cóż to miało za znaczenie? Byłam do tego stopnia rozczarowana naszą przewidywalną wymianą zdań, że odpowiadałam mu niczym robot. „Tak. Przyjechałam. Sama”.

– Czy masz chłopaka? – zapytał.

„Nie. Nie mam. Chłopaka”. Uśmiechnął się i zapytał, czy mieszkam z innymi hostessami.

„Nie. Sama. W mieszkaniu”.

– Sama? – uniósł brwi. – Musisz czuć się strasznie samotna. – Na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiego współczucia. Nagle coś, być może ton jego głosu, skłoniło mnie do nietypowej reakcji. Moja cierpliwość była na wyczerpaniu.

– Tak, czuję się taaaka samotna. Po prostu... nie wiem... co robić. – Mój monotony sarkazm musiał jakimś cudem skojarzyć się z domniemaną samotnością, ponieważ współczucie ze strony Ita przeszło zadziwiającą metamorfozę. Stało się oto dziką rozkoszą.

– Samotna? Rozumiem. Czy masz jakichś japońskich znajomych? – Pokręciłam głową. – A, e... inne hostessy? Czy nie są przyjaźnie nastawione?

Szczęka zaczęła mi opadać, ale pozbierałam się.

– Tak, ale to co innego – żaliłam się z fałszem w głosie. – Tak naprawdę nikogo nie znam, a poza tym, cóż, nie mamy ze sobą wiele wspólnego. Trudno mi z nimi rozmawiać. – Nie owijałam w bawełnę, wszystko miało być jasne jak słońce.

– Hm, rozumiem. Nie martw się. Ja także jestem samotny. Powiedziałem ci, że nazywam się Ito, ale możesz do mnie mówić Nori. Będę twoim nowym, japońskim przyjacielem.

To oznaczało badanie kontrolne. Najpierw obydwaj moje przedramiona zostały solidnie ściśnięte, a potem wszystkie dziesięć paznokci sumiennie szczygnięte tak, że aż krew przestała dopływać do palców. Następnie wewnętrzna część moich dłoni została poddana gruntownej analizie, a na koniec, kiedy już uaktywnił we mnie więcej punktów uciskowych niż tak naprawdę miałam, Nori zbadał moją energię wewnętrzną i podsumował, że nie mam żadnych problemów gastrycznych. Ulga była nie do przecenienia.

Co zaskakujące, zaczęłam się dobrze bawić. Nori był inteligentny, a jego częste wyprawy do karaoke dawały mi okazję, żeby złapać drugi oddech – nawet jeśli w jego ustach John Denver, Beatlesi i Bee Gees brzmiali dokładnie tak samo. Było już po północy, kiedy Nori postanowił zakończyć wieczór. Do Jokohamy miał godzinę jazdy taksówką, a przecież o szóstej rano musiał stawić się w pracy.

– Jakie masz plany na najbliższy poniedziałek? – zapytał. – Wypada japońskie święto, więc mógłbym cię zabrać do Kamakury, stolicy z czasów szogunów. W niedzielę niestety nie dam rady, ponieważ muszę przeprowadzić kilka ważnych operacji w Jokohamie. Jeżeli będziesz wolna... mógłbym do ciebie zadzwonić.

Pewnie, zgodziłam się, ale miałam wątpliwości, czy faktycznie zadzwoni.

Kiedy Tehara przyniósł rachunek, Nori wręczył mi niedużą kopertę. Tehara wyjął banknoty i przeliczył je w naszej obecności: jeden, dwa, trzy... dziewięć, dziesięć. O jejku! Nori wydał 1000 dolarów na siebie i dwóch znajomych po to, by pośpiewać karaoke, napić się taniej szkockiej i pogawędzić niezobowiązująco z cudzoziemkami. Wciąż jeszcze byłam w lekkim szoku, kiedy poczułam stuknięcie w nogę i coś szeleszczącego w dłoni.

– Ciii, tajemnica – wyszeptał Nori. Wsunęłam to „coś” do torebki, a on poklepał mnie w kolano i wyszedł.

Kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi windy, zajrzałam do torebki. Zapalniczka, telefon, parę monet. O, jest. Zawieruszyło się pomiędzy dwiema wizytówkami. Więcej niż mogłam się spodziewać. Nori podarował mi ichimana – 100 dolców. Hm, a może jednak zadzwoni?

## Sobotnie sushi



– W sumie mogłybyśmy pójść do domu.

Greengrass był otwarty od dwóch godzin, ale przez cały ten czas nie zajrzał nawet jeden klient, a pominąwszy sączącą się w tle muzykę, jedynymi dźwiękami w całym klubie były prowadzone przyciszonymi głosami dyskusje na zwyczajowe tematy: jedzenie, klienci oraz Izrael, jako że, patrząc na przekrój etniczny naszej załogi, Greengrass przypominał zgromadzenie Żydówek. Wielu klientów wiedziało nawet, jak z poprawnym akcentem powiedzieć: „Cześć” po hebrajsku – *lechaim*, czy jakoś tak.

– A może byś zadzwoniła do tego chirurga, co ci dał ichimana w napivku? – zaproponowała Nicole. – Masz jego numer, nie? To zadzwoń. Powiedz, żeby przyszedł.

Zazgrzytałam zębami.

– No co? Myślę, że jest dla ciebie niezłym klientem. Lubi cię, to widać. Jeśli przyjdzie, nabijesz sobie punkty za prośbę albo nawet zaliczysz *dohan*.

– Jest jedenasta w nocy! Niby co mu powiem?

– I co z tego? Obudź go. Będzie zadowolony. Zresztą pewnie i tak jeszcze nie śpi. Żaden z tych psycholi nie sypia. Mówię ci, oni nigdy nie śpią. Po prostu zrób tak. – Podniosła wyimaginowaną słuchawkę. – „Cześć, doktorku, mówi Chelsea, jak się miewasz? Dziękuję ci za ostatnią noc, było naprawdę miło cię poznać. Świetnie się bawiłam. Co robisz dziś wieczorem? Z chęcią bym się z tobą ponownie spotkała. Czy możesz przyjść do klubu?”. I tyle. Przyjdzie. Musisz go tylko poprosić. Oni tylko na to czekają. No, dalej! Dawaj!



Skrzywiłam się na samą myśl, że będę musiała wcisnąć mu tyle kitu, ale ugięłam się jak posłuszne dziecko i sięgnęłam po telefon.

– Nie, nie, nie, co ty wyprawiasz? Odłóż to! Skorzystaj z telefonu Nishiego. Nie dzwoń za swoje. Zwariowałaś?

– Ale myślałam, że nie wolno...

– Ależ oczywiście, że wolno. Przecież chodzi o telefon do pieprzonego klienta, prawda? Powiedz Nishiemu, że chcesz zadzwonić do swojego doktora. Na pewno da ci telefon. Rozejrzyj się – i tak jest pusto. A teraz idź wreszcie – krzyknęła. – No, idź!

Nori zjawił się godzinę po moim telefonie. Kiedy Nicole zobaczyła go, jak cicho przechodzi drzwiami, prowadząc ze sobą swojego najlepszego kumpla Fumio, szychę w jokohamskiej policji, pogratulowała mi. Fumio przyjeżdżał zabawić się w Tokio, bo u siebie był zbyt dobrze znany i nie mógł pozwolić sobie na to, by ktoś zobaczył go, jak szaleje na parkiecie i generalnie robi z siebie głupka z dziewczynami wyższymi od siebie o dobre pół metra. Za każdym razem, kiedy nasze spojrzenia spotykały się, wykonywał swoimi tłustymi paluchami niezidentyfikowane ruchy w powietrzu, niczym ukwiał. Trudno mi było wyobrazić go sobie w mundurze, jak wydaje rozkazy i sieje przerażenie.

Godzinę później nic się nie zmieniło.

– Czy jesteś głodna? – zapytał Nori.

Czy byłam głodna? Mój żołądek zaburczał w odpowiedzi. Pozostało dwadzieścia jeden dni do wypłaty, więc z Mattem zadowalaliśmy się francuskimi tostami, darmową kawą w kafejce internetowej i kosztującymi 100 jenów za sztukę kanapkami lodowymi, które kupowaliśmy za napiwki i pieniądze, jakie zarabiałam na butelkowaniu klientów po godzinach. Zanosilo się na mój pierwszy darmowy posiłek po pracy.

– T-tak – przyznałam nieśmiało. – Odrobinę zgłodniałam, owszem.

– Dobrze! Chodźmy więc na sushi. To niedaleko. Pójdziemy piechotą, nie bój się – zaśmiał się Nori. – A potem, jeśli będziesz miała ochotę, możemy pójść na karaoke do Deep Blue. Tam też dotrzemy piecho, bo to bardzo blisko. Zapytam Nishiego, czy możemy cię zabrać.

\*

Pulsacja była niemal nieuchwytna, ale dało się ją wyczuć. Czaiła się w tle i pozostawała w podświadomości. Drgania wywołane naporem tysięcy stóp zamieniły chodnik w kanał, którym płynął żywy prąd. I pulsował, pulsował, pulsował.

Był sobotni wieczór. Hedonistyczne Roppongi pracowało pełną parą. Grupy amerykańskich marines – kilka godzin wcześniej trzeźwych i niemających problemów z równym chodem – szłały się chodnikami, bełkocząc, wrzeszcząc i zerkając pożądliwie. Japonki w butach na obcasach tak imponujących, że dziewczyny wydawały się niemal o jedną drugą wyższe, spacerowały chwiejnym krokiem, trzymając się za ręce i chichocząc do wtóru nigeryjskim krzykaczom, których nawoływania trafiały w próżnię. Izraelczycy przestępowali z nogi na nogę, sprzedając z plastikowych stolików sprowadzone z Chin filmy na DVD, a tuż obok umięśnieni Irańczycy handlowali kebabem prosto z przenośnych kramów, którymi tarasowali pół chodnika. Niejeden *sarariman* spał z teczką pod głową, rozwalony na schodkach prowadzących do czynnego za dnia centrum odnowy biologicznej albo kwaciarni.

Wszędzie dookoła stan upojenia alkoholowego sięgał szczytu. Kiedy staliśmy z Norim i Fumiem przed zatłoczonym sushi-barem i czekaliśmy na wolny stolik, rozejrzałam się w poszukiwaniu Matta. Nigdy nie oddalał się zbyt od skrzyżowania Roppongi, a chciałam mu pokazać Noriego. Ale nie zdołałam go wypatrzeć. Zanotowałam za to pięć intensywnie we mnie wpatrzonych par oczu.

Mężczyźni byli uroczy, jak centralnie zawiadywane robociki. Nie mogłam się nie uśmiechnąć. Czy marines zdarzała się samowolka? Choć miałam na sobie sportowe buty i džinsy, mogli mnie wziąć za prostytutkę. Trudno było mieć do nich pretensję. W końcu ulicami Roppongi krążyło mnóstwo dziwek o szklistym spojrzeniu, głównie Rosjanek, w towarzystwie starszych Japończyków. Niby skąd te utuczone kukurydzą chłopięta miały wiedzieć, że byłam na zwyczajnej, niezobowiązującej kolacji? Większość z nich nie miała zapewne pojęcia, co to takiego hostessa, a to dlatego, że hostessy nie miały zbyt wielu okazji do rozmowy z marines. Za to prostytutki owszem.

Stolik w końcu się zwolnił. Nori wszedł do środka, a ja spojrzałam gapiącym się na mnie mężczyznom w oczy i posłałam im niefrasobliwy uśmiech, który mówił: „Darmowe sushi. O ja cię!”.

## Jokohama



Beton i błękitne niebo. Stal i pierzaste chmury. Ciągące się w nieskończoność dziesiątki kilometrów fabryk i ogromnych zbiorników paliwa upstrzonych logotypami międzynarodowych firm, przemyciła za szybą lśniącego mercedesa. Z kominów fabrycznych buchały kłęby dymu, układając się w niegroźne, wręcz przyjemne kształty. Przemysłowy koń pociągowy Zatoki Tokijskiej robił wrażenie tak nieskazitelne, że przypominał miniaturowy model samego siebie. Przyglądałam się kierowcom aut pędzących sąsiednimi pasami. Czy oni też jechali do Jokohamy, tak zachłannie i sprawnie połykając kilometry bitumicznej nawierzchni, czy może jeszcze dalej?

Spojrzałam na Noriego, rozpartego w skórzanym fotelu, jak prowadził łagodnie z obiema rękami na kierownicy. Opisałam go Mattowi w najdrobniejszych szczegółach i obydwójce uznaliśmy, że nic nie wskazywało na to, bym podczas wspólnej niedzieli z Norim nie miała czuć się bezpiecznie.

Obiecałam, że będę dzwoniła do Matta co godzinę. Nie bałam się. Mattowi wystarczył rzut oka na człowieka, by go trafnie ocenić. Powiedział, że Nori jest nieszkodliwy, a ja zaufałam jego opinii.

Kiedy regulowałam pozycję fotela – ulokowany na drzwiach panel kontrolny oferował pełen wachlarz możliwości: elektroniczne sterowanie, ogrzewanie, wentylator (standard prawie jak w japońskiej toalecie publicznej) – raptem w kabinie rozległo się niskie buczenie. Bzzz. Nori spojrzał na mnie kątem oka.

- Widzę, że podoba ci się ten hotel. Chcesz taki?
- Jasne – wypaliłam. – Wstawię go sobie do salonu. Zarechotałam, a ja pomyślałam, że chyba mówił serio.

Promienie słońca odbiły się od eleganckiego łuku mostu Rainbow i pomknęły ponad wodami zatoki, zamieniając poszatowane odbicie Jokohamy w połyskujący, falujący dywan betonowych szarości, błękitów i zieleni. Niedaleko widać było uśpione popołudniowym słońcem doki i wznoszące się ku niebu pomarańczowe żurawie, które wskazywały na postęp, odsuwając w niepamięć burzliwą przeszłość miasta.

Jokohama powstała w jedenastym stuleciu naszej ery, ale dopiero kiedy w 1859 roku otwarto tu port, stała się integralnym elementem japońskiej myśli ekonomicznej. W okresie Edo, gdy Japonia wciąż pozostawała wierna polityce izolacjonizmu, podjęto pierwsze próby współpracy handlowej z zagranicą. Po to jednak, żeby odseparować dzielnice zamieszkiwane przez gaijinów od czysto japońskich, powstały specjalne strefy dla obcokrajowców.

Kiedy w 1923 roku wielkie trzęsienie ziemi prawie doszczętnie zniszczyło miasto, w ciągu zaledwie sześciu lat udało się przywrócić świetność jego kwitnącej przed wystąpieniem kataklizmu infrastrukturze – tylko po to, by podczas drugiej wojny światowej naloty alianatów obróciły niemal połowę Jokohamy w perzynę. A jednak odbudowano ją raz jeszcze. Od tego czasu Jokohama rosła w siłę i awansowała do rangi najważniejszego japońskiego portu międzynarodowego.

Nori wskazał na wznoszący się wysoko ponad zatoką budynek.

– Najwyższa budowla Jokohamy. To biurowiec, ale górne piętra zajmuje słynny hotel. Kiedy zamieszkaż w Jokohamie, zafunduję ci apartament na najwyższym piętrze, tam gdzie widok jest najwspanialszy. – Ton jego głosu brzmiał niewinnie, ale poczułam, jak ciarki przeszły mi po plecach.

– Po co miałbyś to robić? – zapytałam. – Kiedy miałabym zamieszkać w Jokohamie?

Zaśmiał się, odrobinę zawstydzony.

– Nie powinnaś mieszkąć w Tokio. Bo to bardzo złe miejsce, a Jokohama jest znacznie tańsza i życie jest lepsze. I nie jest taka mała. To drugie co do wielkości miasto Japonii! Ludzie są miłsi. Jest piękniejsze. To

mój dom. Pokażę ci moje miasto, a ty postanowisz zamieszkać w Jokohamie.

Nic nie odpowiedziałam. Odwróciłam głowę i skupiłam się na refleksach skaczących po powierzchni wody.

– Nie masz ochoty na pizzę? – Nori wzruszył ramionami. Potrząsnęłam głową. – Czego się napijesz? Może wina?

Wybrałam sok z pomarańczy malinowej. Nie chciałam pić alkoholu, o ile nie musiałam tego robić. Kiedy słońce schowało się za horyzontem, wybraliśmy się na wycieczkę objazdową po Jokohamie. Program obejmował wizytę w okolicy, w której wychowywał się Nori, hotel New Grand, w którym zatrzymał się generał MacArthur, gdy w 1945 roku przybył do Japonii, aby podpisać traktat pokojowy, a także szkołę, gdzie hostessa, którą Nori poznał w Tokio, uczyła angielskiego – bo doszła do wniosku, że „Jokohama to najlepsze miejsce do mieszkania”. Przypominało to dzień spędzony z agentem nieruchomości: ja byłam potencjalnym kupcem zainteresowanym przede wszystkim darmowym lunchem i zwiedzaniem miasta, a Nori gościem, który w imię potencjalnego kontraktu deklarował: „Zrobię dla ciebie wszystko”.

Było to odrobinę niepokojące.

Już pomijając wszystko inne, spotkaliśmy się przecież jakby wczoraj. Ja byłam jedną z miliona hostess, które przychodzą i odchodzą, ale Nori wydawał się przekonany, że wrócę do pracy w wakacje, a on będzie mnie sponsorował, dopóki nie zdecyduję się, co chcę robić – a wtedy on zafunduje mi moją własną firmę.

– Pomogę ci we wszystkim. Nie martw się. Będziesz musiała nauczyć się japońskiego, ale pošlę cię do dobrej szkoły. A wtedy znajdziesz dużo możliwości dobrego życia. Hostessa nie ma dobrego życia. Bardzo trudne, żyjesz fantazją, śpisz w ciągu dnia. Ja to wiem. Miałem wiele przyjaciółek hostess przez lata. A poza tym Nishi to bardzo zły człowiek.

– Co masz na myśli, mówiąc, że to zły człowiek?

– To wielki kłamca! Dla Nishiego jestem ważnym klientem, bo mam mnóstwo pieniędzy. Zawsze liczy mi za dużo i kłamie, żeby zarobić więcej. Nie lubię Greengrass! Ale teraz, od kiedy ty tam jesteś, to mój ulubiony klub.

Kapitalnie. Uśmiechnęłam się i przełknęłam łyk zupy.

Nori wjechał w wąską, jednokierunkową uliczkę prowadzącą do mojego domu, zatrzymał się i wyprostował w fotelu.

– Chcesz iść teraz do domu czy masz ochotę pójść jeszcze gdzieś? Może napiłabyś się drinka?

– Nie, nie trzeba. Pójdę już do domu. Rano musisz iść do pracy, prawda? – Było późno i choć Nori sam zapytał, czy nie wolałabym pójść do domu, teraz wydawał się zdziwiony moją odpowiedzią.

– Do domu? Chcesz iść do domu?

– Cóż, właściwie nie. A zresztą. Dokąd konkretnie chcesz pójść na drinka?

– Znam takie jedno miejsce. Bardzo mały bar niedaleko stąd. Ale jeśli jesteś zmęczona...

– Nie, nie jestem zmęczona, wstałam przecież dopiero pięć godzin temu. Mam wakacje, pamiętasz? Nie ma sprawy, możemy pójść do tego małego baru. Nie ma problemu.

Brwi Noriego tańczyły z radości. Ruszył. Tak blisko, a jednak tak...

Wszystko było pozamykane. W Akasace, „małym barze” Noriego, pocałowaliśmy tylko kłamkę.

– No, cóż, chyba nie znajdziemy nic otwartego w niedzielę wieczorem. Będziesz musiał zawieźć mnie do domu.

– Nie, nie, gdzieś musi być otwarte. Znajdziemy – nalegał, a ja wlokłam się za nim. Już miał zawrócić do samochodu, kiedy nagle ujrzał światło sączące się z pogrążonej w mroku klatki schodowej. Poświata padała na niewielki, napisany kredą na tablicy szyld: „Winiarnia. Otwarte do późna”.

Świetnie. Po prostu super.

– Och! Fantastycznie! – wykrzyknął, a brwi powędrowały mu w górę. – Możemy tamuj pójść.

– Możemy tam pójść – poprawiłam go, próbując ukryć konsternację.

Pierwszą rzeczą, jakiej udało mi się dokonać w pustym barze, było przypadkowe oblanie krocza Noriego mieniącym się malinową czerwienią martini. Nie przejął się zbyt, tylko kupił mi następne martini. Kiedy odrobinę podkoloryzowałam opowieść, jak to trudno było oszczędzić trochę grosza w Tokio, wsunął mi do dłoni ichimana. Najwyższa pora – poza samą chęcią zobaczenia Jokohamy i wyrwania się z dusznej atmosfery

Tokio, napiwki od Noriego stanowiły podstawową motywację, która kierowała mną, gdy podejmowałam decyzję, że wolę spędzić wolny dzień z nim niż z własnym mężem. Dawno już wróciłabym do domu, gdyby nie to, że dostałam od przedsiębiorczej Jodie – jak to określić? – cynk.

– Bingo! Wygląda na to, że spodobałaś się doktorkowi! – stwierdziła zeszłej nocy, gdy Nori wyszedł już z klubu. – On jest naprawdę dobrym klientem. Fakt, wywołuje u mnie gęsią skórę, ale jest niesamowicie bogaty. Dostałaś od niego studolarowy napiwek? Teraz już będzie przychodził cały czas. W zeszłym roku był klientem mojej kumpeli, aż w końcu całkiem ześwirował i chciał, żeby za niego wyszła. Ale w sumie jest w porządku. Musisz tylko przeciągać najdłużej jak się da, zanim wypali z propozycją. No bo wiesz, dziewięćdziesiąt procent tych, którzy przychodzą samotnie, prędzej czy później proponuje małżeństwo. Sama zobaczysz. Normalne świry.

Dziś wieczorem to Nori uraczył mnie opowieścią ku przestrodze.

– Musisz uważać na niektórych klientów. Nie każdy klient jest taki miły jak ja. Czasami są bardzo źli i nie powinnaś im ufać. Zwłaszcza jeśli mają tajemniczą albo okropną twarz.

– Tajemniczą twarz?

– Tak, ale częściej okropną. Czasem klient jest mętny, nie mówi, jak się nazywa albo co robi. Dlaczego coś ukrywa? To nietypowe. Znasz historię o Sagawie? – zmarszczył brwi.

– Nie. A powinnam?

– Phi! Sagawa to bardzo słynny klient hostess-klubów w Roppongi. Studiował we Francji, kiedy poznał bardzo młodą, bardzo piękną kobietę. Miała blond włosy. Sagawa zaprosił ją do swojego domu na obiad. Bardzo się w niej zakochał, ale ona wolała, żeby zostali przyjaciółmi. Sagawa chciał z nią robić pewne rzeczy, ale ona odmówiła, a więc ją zastrzelił. O tak – Nori wycelował we mnie palec. – Bam! Strzelił do niej, a ona upadła na podłogę. Pomyślał, że jeśli ją zje, wtedy ona będzie do niego należała już na zawsze i...

– Co? Że niby zjadł ją?

– Tak. Sagawa pociął jej ciało na kawałeczki, a potem ugotował te kawałeczki tak, żeby mógł je zjeść. Ale niektóre kawałeczki próbował zjeść na surowo, jak sashimi.

– Mój Boże, to obrzydliwe! Przestań! Kiedy to się stało? Skąd o tym wiesz?

– To w Japonii bardzo słynna historia. Ale nie martw się. Zjadł ją może dwadzieścia lat temu. Teraz jest stary. Każdy zna historię o Sagawie. Nagrał jedną płytę i narysował jedną mangę o tym, jak zjadł tę dziewczynę. Raz go widziałem w porannym programie o gotowaniu. I też napisał jedną książkę o tym, jak mu się podobało jeść mięso takiej pięknej dziewczyny. Czytałem ją – oznajmił Nori, dziwnie zadowolony z siebie samego.

Opanowała mnie szczerą odrazą. Dłonie zaczęły mi się pocić.

– Skazali go na śmierć? Co się z nim stało?

– Nie, francuski sędzia uznał, że Sagawa jest szalony, więc zamknęli go w szpitalu dla chorych umysłowo. Ponieważ jego ojciec jest bardzo bogatym i bardzo wpływowym biznesmenem, Sagawę odesłano do Japonii. Tutaj też go wsadzili do szpitala dla psychicznie chorych, ale po półtora roku jego ojciec wykorzystał swoje wpływy i Sagawa nie poszedł do więzienia. Dzięki Japonii Sagawa wyszedł na wolność.





## Zakupy w Harajuku



– Nori, daj spokój. Widzisz, że nie mają mojego rozmiaru. Nie potrzebuję spodni. Nie chce mi się przymierzać kolejnych. Chodźmy na kawę.

Czwarty dzień z rzędu spędzałam wolny czas z Norim, który stał właśnie pośrodku Gapa w Harajuku z naręczem wąskich damskich džinsów ultrabiodrówek. Przesadnie uprzejma sprzedawczyni stała obok niego i posyłała mi promienny uśmiech. Obydwoje wyglądali idiotycznie, a ja czułam się jak kretyńka.

– Okej, ale najpierw znam jedno miejsce, w którym będzie lepiej. Jest popularne wśród zachodnich dziewczyn i może znajdziesz sobie jakieś spodnie.

Nie chciałam znaleźć sobie spodni. Raz, że stare sprawowały się bardzo dobrze, a dwa, czułam się dziwnie, robiąc zakupy z facetem, który jeszcze cztery dni temu był dla mnie zupełnie obcą osobą. Protesty nie wchodziły w grę. Ruszyliśmy przez skrzyżowanie w kierunku Zary.

– A może to? – Nori uniósł do góry krótką kurtkę w kolorze wozu strażackiego.

– Nie-e. Wolę czarne. To ja może poszukam w tamtym miejscu – zaczęłam przeglądać sekcję jednokolorowych ciuchów, aż w końcu natknęłam się na coś: aksamitną kamizelkę przesywaną jedwabną nicią i ze stójką. – Ta jest kapitalna. Co sądzisz?

– Okej, bardzo ładna. A może coś jeszcze? Spodnie?

– Nie, nie potrzebuję spodni, Nori. Myślę, że nie... o mój Boże! Spójrz na tę koszulę!

– Weź ją sobie – pokiwał głową z entuzjazmem. – Coś jeszcze?

Spojrzałam na metkę. O, cholera.

– Zwariowałaś? Nie uważasz, że już wystarczy? To znaczy, wiesz, naprawdę nie musisz mi nic kupować.

Nori wydawał się rozczarowany tym, że nie chciałam wydawać jego pieniędzy. Odbierając resztę, którą wydała mu kasjerka, zauważył, jak głąskałam eleganckie futro w kolorze głębokiej czekolady. Ściągnął je z wieszaka z prędkością błyskawicy.

– Chciałabyś je mieć? – zapytał podniecony.

Przetrawiłam liczbę zer na metce. Perspektywa była kusząca, ale czułam, że postąpiłam już wystarczająco nieuczciwie. Wiedziałam, że takie prezenty to u niego standard, ale zasady postępowania przyjęte w mojej – zachodniej – kulturze wzięły górę nad emocjami. Aby zaakceptować jego hojność i nie mieć jednocześnie dojmującego poczucia winy (albo, co ważniejsze, by nie mieć wrażenia, że jestem tylko jego zabawką), musiałam non stop przypominać samej sobie, że jestem przecież w Japonii. Futro to jednak zbyt wiele.

– E... nie, nie trzeba. Podobają mi się czarne. Chodźmy na kawę.

Nori zmarszczył brwi.

– Za dużo kawy to niedobrze... dla zdrowia – poradził mi. – Pójdziemy zamiast tego do meksykańskiej restauracji. Tutaj niedaleko. Myślę, że ci się spodoba.

Jasne. Nie powinnam się kłócić. W końcu ten człowiek był gastroenterologiem.

Niecałe dwadzieścia cztery godziny po tym, jak Nori uzupełnił mi garderobę, wypełnił żołądek quesadillą i nieświadomie wysłał mojemu mężowi piezzonego łososia z cytryną – którego celowo nie ruszyłam – znów odebrałam od niego telefon. Ale zanim wcisnęłam przycisk z zieloną słuchawką, musiałam wpięrować się do naszej miniaturowej łazienki. Matt brał właśnie prysznic i pogwizdywał przy tym na cały głos. Ciężka kołdra pary wodnej opadła mi na twarz.

– Kochanie, ciii! Dzwoni Nori. Uciszyć się na chwilę! – Gwizdanie ucichło. Zamknęłam drzwi i dopiero wtedy odebrałam telefon.

– Cześć, Nori. Jak się masz?

– E... cześć, Chelsea. Teraz pracuję. Jak się masz. – Jego głos brzmiał niepewnie. – Y... chciałbym się z tobą zobaczyć. Teraz jestem

w szpitalu, ale wieczorem przyjdę do Greengrass, żeby się z tobą zobaczyć.

– Okej, dobry pomysł. Do zobaczenia wieczorem. Miłej drogi.

– Okej, e... tobie też – wybąkał. – Y... okej, to cześć.

Odkryłam, że najlepszym sposobem na Noriego było szybko się rozłączać. Nasze rozmowy zawsze wyglądały dokładnie tak samo. Równie dobrze mogłabym odtworzyć własny nagrany głos, a on i tak pomyślałby, że rozmawia z żywą osobą. Miałam wrażenie, że celem jego schematycznych telefonów było sprawdzenie mnie, upewnienie się, że nadal byliśmy „przyjaciółmi”. Chyba powinnam była porozmawiać z nim dłużej, ale przed pracą chciałam jeszcze pójść na spacer, a poza tym czekało na mnie poranne muesli – awansowałam oczko wyżej z poziomu francuskiego tostu. Muesli było o wiele bardziej pożywne, bo zawierało rodzynki.

Nori nie pojawił się tej nocy. Próbowałam się do niego dodzwonić, korzystając z klubowego telefonu, ale nie odbierał komórki. Nie dane mi było usłyszeć nawet jego rozwlekłego powitania na automatycznej sekretarce. Dzwoniłam, dzwoniłam, aż wreszcie jakiś automat o damskim głosie oznajmił: „*Denwa bango wa* coś tam coś tam-*desu*”.

Miałam nadzieję, że jednak przyjdzie. Jego hojność stanowiła dla mnie nieocenione źródło wsparcia, niemal deskę ratunku. Chociaż narzuciliśmy sobie z Mattem restrykcyjny program oszczędzania, to i tak Tokio było dla nas na tyle droгим miastem, że zostało nam zaledwie 3000 jenów do wypłaty, od której dzieliło nas piętnaście dni. Kto wie, jak radziły sobie pozostałe dziewczyny. Wiele z nich zdecydowało się na przyjazd do Tokio dopiero w ostatniej chwili i dysponowało bardzo ograniczonymi zapasami gotówki. Ale z drugiej strony myślę, że – w przeciwieństwie do mnie – korzystały z większej liczby okazji, jakie podsuwał im los. Izraelki każdej nocy zabawiały się w butelkowanie, a ja nie chciałam już tego robić, bo czułam się przez to jak pasożyt. Jak pasożyt alkoholik. Na szczęście Abie i Nicole pożyczyły mi kilka setek, żeby udało mi się jakoś przetrwać, aczkolwiek Nicole była zdania, że gdybym tylko poszła za jej radą, nie groziłoby mi bankructwo.

– No i co? Chirurg nie przyszedł? Jak spotkasz się z nim jutro, poproś go o kasę. Ale nie o jakieś marne grosze, Chelsea. Poproś go, żeby opłacił ci czynsz za kolejny miesiąc. Nie bój się, zaufaj mi. Zapłaci. Ma tyle

kasy, że nie wie, co z nią robić. Po prostu do niego zadzwoń! Chcę cię zobaczyć w poniedziałek ze 100 000 jenów w garści. To 1000 baksów. Amerykańskich. Zobaczysz, że miałam rację.

Oczywiście, że Nicole miała rację. Nori już wcześniej zdążył zaproponować mi, że zapłaci za czynsz, nie musiałam go o to prosić, ale nie było takiej możliwości, żebym przyjęła jego propozycję. Tego byloby odrobinę za wiele.

Siedzieliśmy z Mattem na betonowych schodkach i pożeraliśmy świeżo zakupioną za 100 jenów paczkę mochi, ciasteczek ryżowych, a nad nami, w logo całodobowego sklepu spożywczego, błyszczała żółta krowa. Była czwarta nad ranem. Przed nami stało zaparkowane na chodniku czerwone ferrari testarossa 512TR.

– Spotkałam dziś w klubie ciekawego gościa. Był naprawdę dziwny, ale wiesz, w pozytywny sposób. Shin. Tak się nazywał. Shin.

Matt wpatrywał się w ferrari.

– Jak noga?\*

– No, jak noga. Kiedy na niego spojrzałam, nie mogłam uwierzyć, że stać go było na wizytę w klubie, ale twierdził, że bywał już wcześniej w Greengrass. Opowiedział mi o swojej ostatniej przyjaciółce hostessie, Karolinie z Polski, która teraz podobno mieszka w Tajlandii ze znajomą. Miał na sobie zmechacone spodnie od dresu i wyglądał naprawdę jak menel. Ale jest inteligentnym gościem, naprawdę inteligentnym. Aha, i pił sok pomarańczowy w wielkiej szklance. To też było dziwne, bo Japończycy tankują jak szaleni.

– Ha ha, zabawny kolo. Ile ma lat?

– Pojęcia nie mam, czterdzieści parę, jak oni wszyscy. Zaprosił mnie w jedno takie miejsce – Hakone – do gorących źródeł. Ja mu, że pewnie, jasne, jedźmy. Aha, przypomnij mi, że mam ci coś pokazać: takie zagadki z Mensy, z zapałkami, które Shin...

– Co to jest Mensa? – przerwał mi Matt. Spojrzałam na niego pytająco.

– Wiesz, to taki klub dla geniuszy. Żeby się do niego dostać, musisz mieć IQ, które nie mieści się na skali Richtera. Nieważne, słuchaj: Shin

---

\* Shin – goleń (przyp. tłum.).

rozłożył zapalki na stole, wiesz, jak w tym zadaniu, w którym musisz ułożyć pięć kwadratów, ale wolno ci przesunąć tylko trzy zapalki. Udało mi się utworzyć jeden, Shin był pod wrażeniem, i prawie drugi, tyle że ten bezczelny typ poszedł sobie i zepsuł mi całą zabawę. Podoba mi się. Jest niesamowity.

– Założę się, że jest nieprzyzwoicie bogaty i jeździ ferrari testarossa.

– Wątpię. Uch. Już nie mogę. Chcesz zjeść resztę? – Matt zabrał ode mnie resztę ciastek, a ja wstałam, żeby wrzucić puste opakowanie do kosza. – Mówiłam ci, że Nori znów do mnie dzwonił?

– No – odpowiedział Matt z pełnymi ustami. – Mówiłaś mi przez telefon – wytarłam mu z policzka sos sojowy. – Czego chciał tym razem?

– Powiedzieć, że przyjdzie do klubu. Ale się nie pojawił. Dzwoni do mnie każdego dnia, choćby po to, żeby zapytać, jak się miewam, co porabiam i takie tam. Nie wiem, dlaczego w klubie panuje zasada, że należy dzwonić do klientów. To oni zawsze dzwonią do mnie.

– No tak, ale to chyba dobrze, nie? Przecież pomógł ci nabierać punkty czy jaki tam macie system. To zwyczajny staruszek. Jest niegroźny.

– Wiem, on jest taki... zwyczajny. Znalazłeś dzisiaj nowe hostessy?

– No. Wyrwałem dwie, więc przy okazji najbliższej wypłaty wpadnie nam tysiączek. A pod koniec tygodnia być może przyjdzie striptizerka na przesłuchanie.

– To nieźle. Najadłeś się? To chodź, powinniśmy się zbierać.

Matt zrobił jeszcze jedno okrążenie wokół ferrari, taksując zadek fury, a potem ruszyliśmy do domu.

Kiedy wróciliśmy do mieszkania, wypróbowałam na Matcie zagadki Shina: zadania ze składaniem kartki papieru, figury z zapalek i tak dalej. Rozwiązał je wszystkie, jedną po drugiej, jak gdyby sam wymyślił te cholerne testy!

– Co to jest Mensa?

Nie wiem. Ty mi powiedz, cwaniaczku.



## Tower Records



Szu. Wbiłam wzrok w sufit, po czym znowu przekręciłam się na drugi bok. Nie mogłam zasnąć. Przekonywałam samą siebie, że przecież musiała istnieć taka pozycja, która w magiczny sposób pośle mnie w objęcia Morfeusza, ale póki co nie udało mi się jej odnaleźć. W ciągu czterech godzin podjęłam osiemdziesiąt sześć nieudanych prób zapadnięcia w sen. I nic. Nagle zadzwonił telefon i zanim go odebrałam, poczułam jak na twarzy pojawia mi się uśmiech.

– Cześć, Shin.

– Cześć. Jak się miewasz? Co porabiasz? Śpisz? – zapytał.

Przez telefon głos Shin był jeszcze bardziej monotony niż na żywo, płynął od początku wypowiedzi do jej końca tą samą nutą. Nie wynikało to bynajmniej z braku inteligencji, ale raczej z jego łagodnego, spokojnego usposobienia.

– Nie, nie śpię. Już nie.

Shin zaśmiał się, a potem, ku mojemu zaskoczeniu, zaczął wspominać najciekawsze momenty naszej ostatniej rozmowy, przywołując zaskakująco wiele szczegółów. Nie wiedziałam, że poświęcił dyskusji aż tyle uwagi. Przytaczał moje wypowiedzi co do słowa.

– Co będziesz teraz robić? – spytał.

– Zjem śniadanie – odparłam.

Podobało mi się, jak Shin posługiwał się angielskim, oddzielając słowo od słowa mikroskopijną, zabawnie brzmiącą przerwą. Złapałam się na tym, że podświadomie kopiowałam jego charakterystyczną manierę i gramatykę.

- Y... zastanawiam się. Czy masz jakieś książki do nauki o Japonii?
- Mam zestaw podręczników do nauki japońskiego, z kasetami.
- Nie, nie chodzi o kasety. Książki o historii. Wczoraj wieczorem powiedziałaś, że interesuje cię historia i kultura Japonii. Dzisiaj o czwartej pójdę do Shibui, żeby ci kupić książki do nauki o Japonii.
- Nie musisz...
- To ważne! Możemy się tam spotkać, jeśli nie jesteś zbyt zajęta. Przy pomniku Chu-ken Hachikō. Wiesz, gdzie to jest?

Chu-ken Hachikō to bez wątpienia najślynniejszy pies w całej Japonii. Urodził się w Akicie w 1923 roku i został przygarnięty przez profesora Eizaburo Ueno z Uniwersytetu Cesarskiego. Wkrótce zaczął każdego dnia towarzyszyć nauczycielowi w drodze na stację Shibuya. Kiedy profesor wracał wieczorem z pracy, Hachiko już na niego czekał. Rytuał powtarzał się przez następne dwa lata do dnia, w którym profesor zmarł w pracy na zawał serca. Hachiko na próżno czekał na swojego pana przez całą noc, a potem przychodził co wieczór i czekał aż do świtu. Kolegom zmarłego profesora zrobiło się żal psiaka, więc postanowili zaprowadzić go do domu, ale Hachiko uciekł. Na początku marca 1935 roku znaleziono Hachiko martwego – zmarł z przyczyn naturalnych – w tym samym miejscu, w którym przez tyle lat wiernie czekał na powrót swojego pana.

Niezachwiane oddanie Hachiko stało się inspiracją dla mieszkańców Shibui. Postawiono mu pomnik z brązu, który w czasie drugiej wojny światowej został przetopiony przez armię cesarską. Hachiko stał się jednak na tyle znanym symbolem wierności, że po wojnie powołano do życia Stowarzyszenie na rzecz Odtworzenia Posągu Hachiko, które zobowiązało syna artysty, który wyrzeźbił oryginalną statuetkę, do stworzenia nowej wersji. Obecnie każdego roku w marcu obchodzi się tutaj Chu-ken Hachikō Matsuri – święto Hachiko – dla uczczenia pamięci wiernego psa, którego pomnik stał się najbardziej charakterystycznym miejscem w całej Shibui. Jeżeli nie będziesz mieć okazji obejrzeć posągu, zawsze możesz rzucić okiem na wypchanego oryginalnego Hachiko, będącego elementem ekspozycji w National Science Museum.

- Tak, znam historię Hachiko. Trzeba go poklepać po łebku na szczęście, zgadza się?
- Tak! Skąd wiesz? Spotkamy się przy pomniku psa, a potem zabiorę cię na japońską kolację, więc może nie jedz za dużo. Najwyżej maleńki francuski tost. Tak będzie lepiej.

– Okej, tylko kawa – rzuciłam w odpowiedzi. – No, dobrze. To o której chcesz się spotkać?

Byłam właśnie w pasażu pod stacją Shibuya, próbując zabić czas przed pojawieniem się Shina, kiedy zadzwonił Goro. Goro zajmował się modą z wyższej półki, był dyrektorem generalnym firmy, która trudniła się sprowadzaniem do Japonii kolekcji największych europejskich projektantów. Poznałam go w klubie dzień wcześniej, a on zapytał mnie, czy, jeżeli będzie miły, ma szansę zostać moim chłopakiem. Okej, trochę go pozwodziłam, ale wszystko w granicach normy. Zresztą tego właśnie oczekiwał.

– Co porabiasz? – zapytał.

– Jestem w Shibui. Oglądam jabłka po 680 jenów sztuka. – Każde idealnego kształtu, takiego samego jak pozostałe, indywidualnie pakowane, połyskujące niczym klon doskonałego, nieskazitelnego wzorca przechowywanego gdzieś w czeluściach laboratorium. – A ty gdzie jesteś?

– W pracy. Pracuję. Chelsea – zaczął poważnym tonem. – Wiem, że jesteś zajęta, więc mam tylko jedno pytanie. Proszę, powiedz mi, jaki nosisz rozmiar buta?

– Europejską czterdziestkę, a co? Co kombinujesz?

– Nic, nic. To tajemnica. Okej, dziękuję. Muszę kończyć.

– Hej, zaczekaj... Kiedy się znowu zobaczymy w klubie?

– W piątek. Przyjdę w piątek – Goro rozłączył się.

Nasza krótka, kompletnie wyrwana z kontekstu rozmowa była co najmniej dziwna, ale nie poświęciłam jej zbyt wiele uwagi, bo ujrzałam przed sobą na półce melon o doskonałej barwie, który wyglądał jak odlew prawdziwego owocu – rzekłbyś: Miss Warzywniaka. Kosztował 5800 jenów. Prawie 60 dolarów! Na mnie właśnie coś takiego robiło o wiele bardziej osobliwe wrażenie niż ledwo poznany facet, który pyta mnie o rozmiar buta, żeby sprawić mi parę blahników.

Punkt widzenia. To wszystko kwestia punktu widzenia.

Kiedy okazało się, że Shina nie było w umówionym miejscu przy pomniku psa, wyruszyłam na poszukiwania i odnalazłam go na drugim piętrze pobliskiego, niemiłosiernie zatłoczonego Starbucksa, jak zajadał się makowcem i popijał kawę. Wstał i zaproponował, żebym usiadła na jego



miejscu, a potem zapytał, czego się napiję. Spojrzałam na jego kubek: „C” jak cappuccino.

– Zdaje się, że kawa ci szkodzi...

– Ale za to jak smakuje! Czasem jest okej, byle nie codziennie.

Ujrzałam uśmiezek na jego ustach, kiedy ruszył do kasy po kawę dla mnie. Bezcelny typek.

Tymczasem na zewnątrz niepowstrzymana ludzka fala spiętrzyła się wokół świateł na skrzyżowaniu Shibuya, a kiedy sygnalizacja się zmieniła, mrowie rozlało się po całej jezdni. Światła były niczym kij wsadzony w mrowisko pełne posłusznych mrówek. Czerwone – przegrupować się. Zielone – iść. Zorganizowane szaleństwo.

Siedząca przy sąsiednim stoliku młoda Japonka nagrywała ten rytuał kamerą, która idealnie pasowała do jej malutkiej dłoni. Nagle widok przysłonił mi zielony fartuch pracownicy Starbucksa.

– *SUMIMASEN!* – zaskrzeczała i w tej samej chwili na dźwięk tych wyrażających dezaprobatę, wypowiedzianych wysokim, piskliwym głosem japońskich słów kilkadziesiąt popijających kawę głów odwróciło się w moją stronę.

Co ja takiego zrobiłam? Podniosłam tylko ręce bezradnie do góry.

– *Wakarimasen!* – broniłam się. – Nie rozumiem!

Kobieta natychmiast dźgnęła palcem przyklejony do szyby komunikat, a potem pokazała na mnie. Potrząsnęłam głową. Kolor jej twarzy zmienił się z lekko czerwonego na czerwony jak zawstydzona cegła.

– *Sumimasen, gomen nasai* – wydyszała przeproszającym tonem, jakimś cudem mieszcząc pełny ukłon w przestrzeni, która nas dzieliła.

Przypuszczałam, że zniknie równie niespodziewanie, jak się pojawiła, ale zamiast tego zrobiła zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i stanąwszy przed nieposłuszną Japonką filmowcem amatorem, ułożyła swoje małe ramiona w wyraźny znak Pana Wielkie X. Bez chwili wahania powtórzyła najgłośniejszym jak tylko potrafiła: „ZAKAZ FOTOGRAFOWANIA!”, tyle że tym razem posłużyła się nienagannym angielskim – ot, kolejne dziwactwo pozostających pod wpływem Zachodu Japończyków.

Wkrótce wrócił Shin, niosąc moją latte z lodem, i zaczął, aż miejsce obok mnie będzie wolne. Miał na sobie wyprasowaną białą koszulę, dżinsy i świeżo wypastowane buty marki Birkenstock – wyglądało na to, że zamienił wczorajszy wizerunek lumpa na dzisiejszy grzecznego

chłopca. Polubiłam jego spodnie od dresu, ale widać *look* menela miał zarezerwowany na wieczorne wyjścia.

– Urodziłem się w Shibui – szturchnął mnie w łokieć, pokazując brodą widok za oknem – panoramę miasta na sterydach, które diametralnie różniło się od dzielnicy, jaką zapamiętał z dzieciństwa.

Trudno było wyobrazić sobie, że miejsce, w którym dorastał Shin, było niegdyś bardzo spokojną, cichą okolicą. Szkoła, dom, w którym przyszedł na świat, wspomnienia szczenięcych lat – wszystko to odeszło w mrok przeszłości wraz z wyrastającymi jak grzyby po deszczu salonami *pachinko* pełnymi automatów do gry, love-hotelami, wieżowcami oferującymi małeńkie, standardowe mieszkanie. Gdzieś tam, poniżej poziomu rojnej jak ul arterii komunikacyjnej i skrzyżowania o największym natężeniu ruchu na świecie, płynęła rzeka, w której kiedyś łowił ryby. Gdy koryto rzeki zaczęło przeszkadzać we wznoszeniu kolejnych budowli, po prostu zepchnięto ją... pod ziemię. Tym sposobem przeszkadzający komuś widok kłębiących się ryb został zastąpiony przez zanieczyszczone powietrze – oto kwintesencja paradoksu, jaki niesie ze sobą postęp.

Nie zawsze tak było. Zdaniem Shina, wszystko zaczęło się w 1964 roku, kiedy w Tokio odbywały się igrzyska olimpijskie. Shin miał wówczas pięć lat.

– Przed i po, ogromna różnica – ubolewał. – Tyle się zmieniło.

Igrzyska olimpijskie stały się dla Japonii kamieniem milowym w historii kraju i szansą obwieszczenia reszcie świata, że powojenna odbudowa zakończyła się powodzeniem (przynajmniej z pozoru). A było co odbudowywać. W sierpniu 1945 roku dwie bomby atomowe o niewinnych przydomkach „Little Boy” i „Fat Man” spadły z nieba na japońską ziemię, zrzucone przez państwo, które błyskawicznie przyjęło na siebie funkcję samozwańczego zastępczego rodzica japońskiego narodu. Hiroszima i Nagasaki zostały niemal doszczętnie zniszczone. Pokłosiem niszczycielskiego eksperymentu były setki tysięcy zabitych i okaleczony naród.

Tragiczny finał wojny postawił Japonię przed koniecznością odbudowy państwa nie tylko w sensie fizycznym, ale i kulturowym. Apokalipsa, jakiej doświadczyli Japończycy, głęboko odcisnęła swoje piętno na ich mentalności. Mówi się, że w Japonii nie istnieje coś takiego jak wypaczenie normy społecznej, a jedynie kompensacja wojennych koszmarów.

Nikt nie sądził, że Japonia dźwignie się z popiołów. A jednak niecałe dwadzieścia lat później naród wziął się w garść, uzyskał prawo zorgani-

zowania igrzysk olimpijskich i zaprezentował światu odnowioną wersję samego siebie: odświeżoną, zdyscyplinowaną, przestrzegającą zasad.

Celem powojennego, napędzanego poczuciem kolektywnego wysiłku, społeczeństwa japońskiego było nie tylko dogonić pozostałe narody, ale prześcignąć je najszybciej jak to możliwe. Debiut pociągu Shinkansen w 1964 roku stanowił zaledwie początek czterdziestoletniego wyścigu, który uczynił z Japonii najbardziej zaawansowane technicznie państwo na świecie. Mało tego – Japonii udało się w cudowny sposób połączyć szacunek dla tradycji przodków i przestrzeganie obyczajów z superno-woczesną współczesnością. Pomimo bolesnej przeszłości Japończycy zdołali utrzymać skrajne siły w harmonijnej równowadze. Shin był przedstawicielem pokolenia owej rodzącej się harmonii.

Z jednej strony był miłośnikiem spokoju i zadumy, które wołał od zgiełku i tłumy, czego wyrazem było jego oddalone o godzinę jazdy pociągiem od Roppongi miejsce zamieszkania, nazywane przez niego „większą okolicą dla niższej warstwy społeczeństwa”, a które tak naprawdę było prawdopodobnie równie zatłoczone co przedmieścia innego wielkiego miasta. Lubił je, ponieważ nie stawiano tam wysokich budowli i zamieszkiwało je stosunkowo mało ludzi. Na swojej „wsi” Shin odnalazł zieleń, śpiew ptaków i poczucie samotności.

Ale z drugiej strony, Shin uwielbiał przyglądać się ludziom w zatłoczonych pociągach. Razem z płynącą przez sklepy wartką ludzką masą z radością oddawał się polowaniom na najnowsze techno gadzety i wraz z milionami współplemieńców korzystał z nieskończonych możliwości, jakie dawało wielkie miasto. Kochał Tokio. Dlaczego? Tego nie potrafił wyjaśnić. Po prostu dawało mu energię. Myślę, że go rozumiałam.

Kiedy sączyłam ostatnie łyki kawy, Shin zauważył, że mu się przyglądam. Wydawał się dużo bardziej przygaszony niż przedtem, zanim nie zatopił się we wspomnieniach. Przywołał na usta enigmatyczny uśmiech, zbeształ mnie za siorbanie, wstał i cicho zapytał:

– Idziemy?

Na wysokości sklepu sieci Tower Records ruch uliczny zamarł. Jezdnią niepodzielnie zawładnęła radosna parada osobników ubranych w tradycyjne stroje shinto, wiedziona rytmami sześćcioosobowej kapeli grającej na pace ciężarowej toyoty. Za autem szło niemal trzydziestu wyznawców,

dźwigając na ramionach długi palankin, na którym znajdowała się kolorowa rzeźbiona budowla.

– *Mikoshi* – wyjaśnił Shin. – Japońska kapliczka.

Złapał mnie za łokieć i poprowadził w sam środek tłumu. Otoczyło mnie mrowie mężczyzn i kobiet, którzy uśmiechali się, śpiewali, pokrzykiwali i wyciągali ręce, by z radością klaskać mi tuż przy uchu. Shin klepnął mnie w ramię i zwrócił uwagę na gładkie jak pupcia niemowlaka pośladki mężczyzny, który tańczył obok nas w ekstazie, z szeroko otwartymi oczami. Dźgnęłam Shina w żebra. Ku uciesze wszystkowidzącego Shina, niektórzy spośród mężczyzn posłali mi mrugnięcie okiem, o które wcale nie prosiłam.

– Świątują *matsuri*, święto lata – wyjaśnił Shin, wyciągając mnie z ludzkiego roju i prowadząc na chodnik po drugiej stronie ulicy. – Wiesz, dlaczego bujają kapliczką w górę i w dół? Bo bogu, który w niej mieszka, bardzo się to podoba.

Roześmiałam się na samą myśl o shintoistycznym bóstwie, które tarza się po podłodze kapliczki, doświadczając przy tym nieziemskiej rozkoszy.

Wpadliśmy do sklepu Tower Records, który o tej porze wypełniały tłumy młodych ludzi, oblegając stanowiska odsłuchowe i bujając się do rytmu dźwięków swojego małego, oderwanego od rzeczywistości świata. Zanim skręciliśmy w lewo, Shin zatrzymał się, by zlustrować dziewczynę z Harajuku, ubraną w ekstrawagancki strój Małej Pasterki i paradującą z jaskraworóżowym irokezem na głowie.

– Tędy. Wiesz, co jest na siódmym piętrze? – zapytał. Potrząsnęłam głową. – Księgarnia.

Kiedy znaleźliśmy się na górze, pokazał głową kierunek.

– Okej, wiele książek. Ty szukasz tu, a ja tam. Spotkamy się na tym piętrze – powiedział i zostawił mnie sam na sam z albumami zawierającymi reprodukcje pocztówek. Kiedy wychodziliśmy z Tower Records, wręczył mi zawiniątko z trzema książkami. – Na później – oświadczył. – Byłaś w Harajuku?

Przemierzaliśmy wolnym krokiem zatłoczoną ulicę, kierując się w stronę nowoczesnej, wyznaczającej trendy w modzie dzielnicy Harajuku i przerzucając się od niechcenia pytaniami w przerwach pomiędzy długimi minutami niezobowiązującej, odprężającej ciszy. Shin chciał wiedzieć

wszystko, ze szczegółami, na temat panującego w Kanadzie klimatu i krajów, które odwiedziłam.

– Wszędzie tylko lato, lato, lato. A ty nie masz ciepłych ubrań! Wkrótce zrobi się zimno. Potrzebujesz bluzkę z długim rękawem. Lubisz Gapa? – zapytał.

– Wszystko w Gapie jest na mnie za małe.

– Bo mają japońskie rozmiary. A ty jesteś wysoką gaijinką, więc może tutaj będzie lepiej – powiedział Shin i otworzył drzwi prowadzące do znajomego sklepu Zary. – Okej, to ty szukasz tu, a ja tam. Znajdź coś, co ci się spodoba.

Wypatrzyłam cienką, żółtą sukienkę letnią. „Coś ciepłego” – przypomniałam sobie i precyzyjnie się do męskiej części sklepu. Zanim się ponownie spotkaliśmy, wybrałam „coś ciepłego, co mi się podoba” – czarny sweter.

Shin przyjrzał się rzeczom, które wybrałam.

– A dlaczego niekolorowe?

– Jestem buddystką – wypaliłam ze śmiertelną powagą.

– I tylko czarne? Hm, ja lubię różowe – oświadczył z miną jeszcze poważniejszą niż moja i zabrał się do oglądania swetra.

Kiedy przechodziliśmy obok stojaka pełnego drogich, czarnych skórzanych kurtek, zatrzymał się.

– Twój kolor – uśmiechnął się znacząco i namówił mnie do przymiерzenia prawie wszystkich modeli. Niestety, pomimo metek z czterocyfrowymi cenami, żadna nie chciała na mnie idealnie leżeć. W żartach włożyłam jeszcze na próbę atłasową kurtkę *très* w stylu młodych gwiazdek Hollywood. Shin wydał z siebie tylko zaskoczone: „Ło!”.

– Co? Nie podoba ci się?

– Nie! Jest dobra, ale... jesteś pewna, że ją chcesz? Jest brązowa. Nie będziesz żałowała?

Potrząsnęłam głową i niniejszym brązowa Ło! Kurtka została doliczona do niemałego rachunku, który Shin uregulował gotówką. Kiedy wychodziliśmy, przytrzymał mi drzwi i zapytał:

– To może jakieś spodnie?



## Dwa razy jednego wieczoru



– *IRASHAIMASSE!* – wystrzelił kelner jak z karabinu maszynowego, rozsuwając drzwi. Shin odwrócił się do mnie i zobaczyłam w jego oczach i własne, i jego rozbawienie. Kelner w tradycyjnej *yukata* koloru indygo pochylił się przed nami tak, że jego plecy utworzyły z podłogą kąt prosty, po czym wyrzucił z siebie kolejną formułkę powitalną, która wybrzmiała echem w samych trzewiach restauracji Inakaya. Rogal na naszych twarzach sięgał od ucha do ucha.

Umiejscowiony w centralnym punkcie pomieszczenia i wykonany niemal całkowicie z drewna, specjalny blat przeniósł nas w czasie. Usiedliśmy przy witrynie prezentującej warzywa na bambusowych tacach i wiaderka z lodem pełne świeżych owoców morza i ponadziemnych na szpikulce kawałków mięsa. Po drugiej stronie witryny klęczało dwóch mistrzów kuchni w tradycyjnych strojach i poskręcanych opaskach *hachimaki* na głowach, pilnując wpuszczonych w podłogę paleńsk – grillów.

– To są *yakikata* – wyjaśnił Shin. – Kucharze od grilla. A tam – Shin wskazał drewnianą tabliczkę – jest „metka”. – Wiszący nad głowami kucharzy zapisany odręcznym pismem zwój stanowił kartę dań. Rzucający się w oczy brak podanych cen sygnalizował coś, do czego zdążyłam się już przyzwyczaić w restauracjach, w których towarzyszyłam japońskim klientom – że Inakaya była niewiarygodnie droгим miejscem.

Podczas gdy Shin kompletował niekończące się zamówienie, nasz kelner krzykiem przekazywał kolejnemu wybór, a ten następnemu, aż informacja dotarła do kucharza. Choć byliśmy jedynymi klientami, zgiełk

rozniósł się po całym pomieszczeniu. Wyobraziłam sobie, jaki harmider musiał panować w restauracji, gdy pracowała pełną parą.

Miałam wrażenie, że Shin czuł się w Inakai jak w domu, i zastanawiałam się, ile razy skusił młode cudzoziemki na ten japoński kulinarny klejnot. Mimo to czerpał z posiłku tyle samo przyjemności co ja. Prawie się rozplakał, patrząc jak z uporem maniaka próbowałam opanować fechtunek pałeczkami i śmiał się, kiedy za nic nie mogłam złapać pestki miłorzębu, a skapitulował i pospieszył z pomocą dopiero wtedy, gdy postawiono przede mną nadzianego na szpikulec lucjana, który wyglądał jakby *uśmiercono go, rażąc prądem*.

– Patrzy na ciebie – żartował Shin. – Nie jedz mnie, Chelsea, mówi.

Dźgnęłam Shina pałeczką, aż prawie spadł ze stołka. Chwilę później odebrałam lekcję dzielenia na kawałki pomarańczowego mięsa ryby, które okazało się prawdziwą delikacją.

Każdy kąsek – podany drewnianą łopatką prosto z grilla – jaki położył przed nami kucharz z bicipsem à la Popeye, był po prostu doskonały. Dania anonsowano, wykrzykując ich nazwę ile sił w płucach. Wyglądało to co najmniej komicznie: przekładasz swój posiłek z łopatki, a wszyscy dokoła drą się po japońsku: „GRZYBK! SHIITAKE! PODAJEMY GRZYBK! SHIITAKE!”. Kiedy twoja filizanka wymagała napełnienia, chłopiec nalewający herbatę wykrzykiwał: „OCHA! OCHA DESU!”, a wraz z nim sześciu pozostałych kelnerów. Mając obok siebie Shina, który objaśniał mi każdy szczegół rytuału i doprowadzał swoimi uwagami do łez, czułam się zauroczona magią tego miejsca.

– To bardzo słynna restauracja – wyjawiał mi Shin. – Ostatnio widziałem tu Yoko Ono, jak siedziała o tam. – Sprawiał wrażenie, jakby nie robiło to na nim wrażenia. – Wiesz, co to znaczy *inakaya*? To znaczy „wiejski domek”, ale myślę, że chyba nie. To błąd. Japońskie domy zazwyczaj nie są takie wielkie – uśmiechnął się. – Może powinno znaczyć „wiejska rezydencja”, ale może to dla ciebie dobry rozmiar. Tyle jesz!

– Przecież to ty zamówiłeś! Daj spokój. Przegoniłeś mnie po Hara-juku, a ja od rana nic nie jadłam. Czego się spodziewałeś?

– Tak – przyznał Shin. – Ale jak ty jesz tyle? Jesteś taka chuda – pochylił się i zlustrował resztę ciała kryjącą się pod blatem. – Gdzie to idzie?

\*

Po wyjściu z restauracji zdążyliśmy przejść jedną przecznicę, kiedy raptem Shin zatrzymał się i wręczył mi torby z zakupami. Ciężar sprowadził mnie do parteru.

– Jak daleko do twojego domu?

– Dziesięć minut piechotą, może piętnaście.

– Dasz radę z torbami? – zapytał, a kiedy zapewniłam go, że sobie poradzę, zrobił dwa kroki do tyłu i uniósł prawą rękę. – Okej, to ja jadę do domu. Pociągiem. Do zobaczenia – oznajmił, po czym włożył ręce do kieszeni, odwrócił się i ruszył przed siebie sprężystym krokiem.

Zatkało mnie. Co to miało być? Poznałam Shina przed niespełna dwudziestoma czterema godzinami i chociaż miałam wrażenie, jakbyśmy od zawsze byli dobrymi kumplami, to sposób, w jaki mnie tu zostawił, po tym wszystkim... co to miało być? Tego wieczoru nie pracowałam. Nie poszliśmy na *dohan*, to było tylko luźne, niezobowiązujące spotkanie. Shin zdecydowanie nie przypominał innych klientów, poznanych w Greengrass. Nie potrafiłam nawet myśleć o nim w kontekście klienta, ale nie był też moim dobrym znajomym. Nie umiałam tego jednoznacznie określić. Jedynie, na co było mnie stać, to mało przekonujące bąknięcie:

– Na razie. I DZIĘKUJE!

Shin w odpowiedzi podniósł po prostu prawą rękę, nawet nie obejrzawszy się za siebie.

Właśnie wchodziłam do mieszkania, kiedy zadzwonił Nori. Jego głos brzmiał okropnie.

– Mój pacjent zmarł w szpitalu, a ja... nie potrafiłem go ocalić. To dla mnie najtrudniejsza sytuacja. Co teraz robisz? Chcę przyjechać do Tokio.

Zgodziłam się z nim spotkać pod moim domem o ósmej.

Nori zatrzymał auto na parkingu niedaleko Greengrass. Była niedziela, pięć po ósmej. Wszystkie kluby były już zamknięte, więc zastanawiałam się, po co właściwie przyjechalśmy do Roppongi.

– Pójdziemy do pewnej restauracji, która jest, e... dziwna, i to będzie niespodzianka. To japońska knajpa, ale nietypowa. Jest bardzo... osobliwa.

Ścisnęło mnie w żołądku. Chyba nie mówi o...



– Co masz na myśli? Gdzie jest ta restauracja?

Nori nie był skłonny do współpracy.

– Bardzo niedaleko. To śmieszne i... bardzo hałaśliwe miejsce.

– Dlaczego jest hałaśliwe? – dopytywałam się, gdy szliśmy w kierunku skrzyżowania Roppongi.

– Bo każdy powtarza twoje zamówienie i krzyczy – zaśmiał się. – To bardzo dziwne miejsce, ale bardzo słynne.

O choleera. Nie mogłam pójść drugi raz do tej samej restauracji tego samego wieczoru, tyle że z innym facetem. Wyszliśmy z Shinem z Inakai niespełna godzinę temu.

– Y... wiesz, nie jestem szczególnie głodna. Nie wolałbyś raczej pójść gdzieś na kawę? – zasugerowałam. Nori zatrzymał się w pół kroku. Wyglądał na załamane.

– Niegłodna? Ale to bardzo zabawne! Może będziesz głodna, kiedy to zobaczysz. – Zaczęłam protestować, ale Nori niespodziewanie obrócił się na pięcie. – Tak jest – zakomenderował. – Inakaya.

Nie udaliśmy się do tej samej Inakai, w której zjadłam kolację z Shinem, ale do drugiej, mniejszej. Niemożliwe. Nie mogłam uwierzyć, że w ciągu jednego wieczoru poszłam dwa razy do tej samej restauracji! Kiedy powitało nas wszechobecne: „*Irashaimasse!*”, poczułam, że robi mi się niedobrze.

Staralam się udawać jak mogłam, że wszystko tu było dla mnie nowe, ale z ledwością byłam w stanie przetrzymać tę godzinę, którą spędziliśmy w Inakai. Nie chodziło o kucharzy ani też o jedzenie, choć kiedy wychodziliśmy, miałam ochotę zwymiotować. Z powodu Noriego. Gdy bezskutecznie krążyliśmy po Ginzie w poszukiwaniu baru, który ponoć znał, stało się dla mnie oczywiste, że Nori przestał być dla mnie po prostu interesującym towarzyszem, a stał się uciążliwym maniakiem, który domagał się nieistniejących odpowiedzi na swoje pytania i wybuchał gniewem, jeżeli nie potrafiłam ich udzielić. Coraz trudniej przychodziło mi powstrzymanie śmiechu w reakcji na jego cudaczne poglądy albo w ogóle ignorowanie ich.

– A może ten bar, tutaj? – zapytał Nori. Westchnęłam.

– Jasne. Chodźmy.

– Bardzo mnie interesuje Adolf Hitler, ponieważ y... napisał taką książkę, *Mein Kampf*, wiesz? – Dziwnym trafem Nori uznał, że to był wła-

ściwy moment na rozmowę o jednej z postaci z przedziwnej, inspirującej go galerii osobliwości. Ostatnio mówił o Alainie Delonie, którego rola mordercy socjopaty w filmie *W pełnym słońcu* wywarła na niego znaczny wpływ. Marzeniem Noriego było „stać się takim jak on”. Ale Hitler? Ro-  
biło się coraz ciekawiej.

– *Mein Kampf*? No, znam. Napisał ją w więzieniu. Dlaczego uważasz go za wspaniałą postać? Przecież to okropny, zły człowiek, który sprowadził cierpienie i śmierć na miliony ludzi. Powiedz mi, proszę, co w nim jest tak wspaniałego?

– He, he, tak, wiem, on był złym człowiekiem, ale miał wielki... wielki... jak to mówicie? Psychologiczny wpływ na ludzi. Chcę się nauczyć tego wpływu od niego.

Patrzyłam na niego z powątpiewaniem. Uniósł brwi.

– Był zły, wiem, ale ja... mogę być dobry.

– Czego mógłbyś się nauczyć od tego szaleńca?

– No, na przykład, przyglądał się sobie w zwierciadle...

– W lustrze – poprawiłam go.

– Tak, w lustrze, i ćwiczył przemawianie z mocą, i jak robić miny, żeby ludzie słuchali. I ja robię tak samo. Ponieważ Hitler stał się silnym umysłem, mógł mieć władzę nad ludźmi słabego umysłu i sprawić, żeby go słuchali. Dla mnie to ważne, bo jestem biznesmenem, a teraz chcę prowadzić więcej firm, żeby być bogatym i potężnym, i chcę... chcę, żeby ludzie mnie słuchali.

– Jakie firmy chcesz prowadzić? – zapytałam szybko. Niespecjalnie mnie to ciekawiło, ale wołałam nie kontynuować dyskusji o domniemy-  
nych zaletach Adolfa Hitlera i jego „silnym umyśle”. A poza tym nie byłam pewna, czy Nori nie wpadnie we wściekłość, jeśli zacznę krytykować jego zacofany sposób myślenia.

– Wiele różnych, bo jestem nie tylko lekarzem, ale i biznesmenem. Najważniejsze dla mnie to zbudować więcej domów starców, bo y... to niemiłe do powiedzenia, ale w Japonii to dobry interes. Wielu obywateli się teraz starzeje i to są dobre perspektywy na przyszłość.

„Tak, będziesz mógł wypróbować technikę «silnego umysłu» na ich słabych, posuniętych w latach mózgach” – pomyślałam, ale nic nie odpowiedziałam. Zapadła cisza, którą przerwał dopiero śmiech Noriego.

– Lubię cię, ponieważ nigdy nie patrzysz na zegarek – oznajmił z po-  
dziwem.

– Bo nie mam zegarka – odparłam chłodno.

– Wiem – zaśmiał się. – I... dlatego cię lubię. Jesteś bystra, myślę. Inne hostessy zawsze patrzą na zegarek i chcą iść do domu. Myślę, że chcą tylko iść na zakupy i myślą tylko o pieniądzach. Nie odniosą sukcesu, ale ty możesz osiągnąć sukces w Japonii. A może otworzysz hostess-klub w Jokohamie? Byłabyś *mama-san*.

– Ha, ha, raczej nie. – „Czyż Matt nie byłby zachwycony?” – przeleciała mi przez głowę myśl. Mógłby zostać kelnerem. Zastanawiałam się, jak to się stało, że Nori znalazł się w tym punkcie swojego życia, kiedy spędzał niemal każdy wieczór, kursując swoim importowanym mercedesem z Jokohamy do Tokio tylko po to, by spędzić kilka godzin w hostess-klubie w Roppongi, zgadzając się na grę pozorów.

Nori nie był złym człowiekiem, a tylko potwornie, żałośnie samotnym. Ciężko pracował na swój sukces, który jednak nie dał mu szczęścia. Twierdził, że jego wizyty w hostess-klubie były jedynie niewinną zabawą, ale trudno przychodziło mi w to uwierzyć. Uważał, że jeśli tylko zdoła znaleźć hostesę, która zechce go pokochać i przeprowadzić się do niego, do Jokohamy, świat stanie się piękny.

Wiara Noriego w wyidealizowaną przyszłość stanowiła zaledwie odbitą w krzywym zwierciadle smutną rzeczywistość, ale najsmutniejsza dla mnie była w tym wszystkim jego przewidywalność. Podrzucił mnie do mieszkania tuż przed północą, wciskając do ręki kolejnego pachnącego farbą drukarską ichimana, i ruszył w drogę powrotną do Jokohamy, bez wątpienia snując w głowie szalone plany. Kiedy następnym razem zadzwoni, ponownie odegramy scenariusz naszego spotkania. A potem moją rolę przejmie kolejna dziewczyna. A potem następna. I następna.



## Typowy wieczór



Liście na drzewach zaczęły żółknąć. Niektóre zrobiły się pomarańczowe, a inne lśniły czerwienią. Za dnia rzadko kiedy widziałam świat na zewnątrz, bo odsypiałam. Ale tego dnia zobaczyłam je – liście zmieniające kolor.

Wczesnym popołudniem zadzwonił Nori, żeby odwołać nasz *dohan*. Powiedział, że choć pragnął się ze mną zobaczyć, to jednak jest zbyt zajęty i będziemy musieli przesunąć nasze spotkanie na następny dzień. Ostatni dzień miesiąca – ostatnia szansa dla mnie, żebym wyrobiła normę, o czym Nori dobrze wiedział. Ale z drugiej strony pacjent Noriego i obawa, że nie przeżyje nocy, liczył się przecież bardziej niż kolacja, to rozumiałe.

Wysłałam wcześniej do pracy, pragnąc uciec przed klaustrofobią naszego mikroskopijnego mieszkańka. Powlokłam się wzdłuż wypielegnowanej jezdni, taszcząc w przewieszonej przez ramię torbie swoje służbowe szpilki.

Kiedy zmierzch ustąpił miejsce znajomemu sztuczному oświetleniu, spróbowałam odfiltrować odgłosy miasta i skupić się na myśleniu o przyjemnych rzeczach: błękitnym niebie, zapachu górskiego powietrza, wielkiej misie sałatki, słodkich szczeniaczkach upchanych w szklanych klatkach na wystawie sklepu zoologicznego. Okej, odwołuję to ostatnie. Był tylko jeden szczeniak, nadpobudliwy chihuahua, wyjątek pośród szerokiego asortymentu miniaturowych psiaków, przygnębionych, samotnych i znudzonych, lecz mimo to rozkosznych i *kawaii* – słodziutkich.

Być może cieszył się, że wyceniono go na 3000 dolarów, albo może

robił wszystko, byle nie podzielić losu tych nieszczęśników, których nikt nie kupi. Abie zdradziła mi tajemnicę poliszynela, że jeżeli pies nie znajdzie nabywcy, zostanie spalony. Każdy szczeniak. Za stary? Za duży? Spalić go i zastąpić nowym, jeszcze słodszy!

W Greengrass wrzało jak w ulu. Colette, wsparta na ramieniu Ermy, wyplakiwała oczy. Trudno winić dziewczyny, że dopada je chandra, że czują się zagubione i oszołomione. Szok kulturowy potrafi zrobić swoje. Do diabła, nawet jeśli nie pochodzisz z niemieckojęzycznej części Szwajcarii i nie budowałeś domów w jednym z głodujących krajów Trzeciego Świata, do pierdzielenia o Szopenie każdego wieczoru w fioletowej sukni koktajlowej niełatwo się przyzwyczaić.

Nicole za to okupowała drugi koniec emocjonalnego spektrum. Dziś wieczorem świeciła podwójnym, świeżym i pachnącym blaskiem, choć z natury i tak była radosną osobą. Stanowiła ucieleśnienie rozkwitającej restauratorki, której do szczęścia wystarczyło namówienie ulubionego klienta, by zabrał ją do Inakai. Pocieszenie Colette przy wtórce Nicole nawijającej o hojnym, bogatym kliencie, który chciałby zainwestować w koreańską restaurację w Izraelu, to doprawdy wyższa szkoła jazdy.

Gdyby to ona zwierzyła się Noriemu ze swojej – mrugnięcie okiem – samotności, razem szkicowaliby teraz plany najpy i dobierali kolor karty dań, tak by odcień pasował do kafelków.

Do tego wszystkiego była jeszcze Abie. Zadzwoił do niej rozwścieczony ojciec po tym, jak napisała mu w mejlu, że zamierza przyjąć 15 000 dolarów od klienta, którego nazywała Dziadzio. Moim zdaniem dzielenie się tego typu informacjami z kimś, kto miał swój bezpośredni udział w stworzeniu twojego materiału genetycznego, było wysoce niewskazane, ale być może Abie oczekiwała wsparcia i porady. No to je dostała. Pośród wielu innych rzeczy, które ojciec wykrzyczał jej do ucha z drugiego końca świata za pośrednictwem połączenia satelitarnego, było zdanie, które wszystkim nam tu pracującym powinno dać dużo do myślenia: „Nie ma czegoś takiego jak darmowy lunch”.

– Chelsea! – krzyknął Taizo, gdy tylko mnie zobaczył. – Kocham cię, małeńka!

Wyglądało to jakby właśnie sobie o mnie przypominał. W zeszłym tygodniu był tak pijany, że musiałam mu się ponownie przedstawić.

– Dzisiaj był dzień spotkania udziałowców. A teraz koniec i sukces! W końcu nie mam stresu po raz pierwszy od miesiący. Jestem taki szczęśliwy. Zaśpiewam dla ciebie, okej?

Nie zdążyłam nawet otworzyć książki karaoke.

– 1234-04 – wypalił Taizo. – Spoko, wiem.

Bez cienia fałszu wyśpiewał na całe gardło *Only Chelsea*. Potem przyszedł czas na komplementy.

– Uwielbiam twoje czoło, twoje wielkie oczy i nos. Ale najbardziej twoje uszy i dodatki. W ogóle całą cię, taka piękna. Kocham cię. Ploszę, zaśpiewaj Céline Dion.

– To nie jest dobry pomysł, Taizo.

Dał prztyczka mojemu kolczykowi.

– Super, super, ekstra! Kocham cię, Chelsea.

– I ja ciebie też, Taizo.

– Bóg nas stworzył – westchnął. – Chelsea i Taizo. Zaśpiewajmy Queen.

Ale zanim to zrobiliśmy, pojawił się Nishi, żeby zabrać mnie od stolika. Taizo zaprotestował.

– Nie martw się, Taizo. Wrócę. Dasz sobie radę beze mnie.

Z zaskoczeniem stwierdziłam, że Nishi posadził mnie obok trzech białych gaijinów, którym nie towarzyszył Japończyk. Michelle, Charles i Norman, cała trójka w średnim wieku, byli dyrektorami tokijskiego banku, którzy postanowili, że „dla żartu” zrobią „coś japońskiego”. W ten sposób trafili do hostess-klubu świętować sukces firmy. Nieczęsto zdarzało się, że klub odwiedzali biali, a jeszcze rzadziej, że była wśród nich biała kobieta. Kiedy wyszłam obronną ręką z krzyżowego ognia dociekań na temat zawilości bycia hostessą, dotarła do moich uszu aria Taiza, który właśnie interpretował *Bohemian Rhapsody*. Nie potrafiłam powstrzymać śmiechu. Czy to prawdziwe życie, czy może tylko fantazja?

– Czy on śpiewa o tobie? – zapytał Charles, zerkając w stronę stolika Taiza.

– Tak, mieliśmy zaśpiewać razem, ale przeniesiono mnie do waszego stolika...

– O rety, przykro mi. Jejku. To może pójdiesz i zaśpiewasz z nim? Wrócisz, kiedy skończycie. Nam to nie przeszkadza.

– E... to niestety nie działa w ten sposób. Szefostwo będzie złe, jeżeli odejdę od stolika. Ale nie szkodzi, ja zawsze z nim siedzę. Widzicie tego

gościa z długimi włosami? To Misaki, szef Taiza. Jest właścicielem siedemnastu firm, a przychodzi tutaj przynajmniej dwa lub trzy razy w tygodniu.

– W porządku. To może wybierzemy jakąś piosenkę i zaśpiewamy? Szkoda mi go, chociaż przyznaję, że ma świetny głos. Gdzie jest ta książka? Dobrze śpiewasz Bon Joviego?

– Chyba żartujesz. Czy ktokolwiek potrafi dobrze zaśpiewać Bon Joviego?

Nie muszę dodawać, że *It's My Life* zabrzmiało okropnie, ale wszyscy Japończycy w klubie nagrodzili brawami wysiłki dzielnego gajjina. Następna w kolejności miała być Michelle z kawałkiem The Police, ale wycofała się w ostatniej chwili i wykonanie *Roxanne* przypadło akurat mnie w udziale.

– Ale ja nawet nie znam tej piosenki! – spanikowałam.

– Nie szkodzi, po prostu czytaj z telepromptera – przekonywał Norman. – Masz głos jak PJ Harvey!

Wydawało mi się, że trafiałam w manierę Stinga. Trochę dziwnie się czułam, śpiewając piosenkę, która w tak oczywisty sposób odzwierciedlała protekcyjny stosunek Michelle do otaczających ją w klubie dziewczyn. Choć ta kobieta na własne oczy widziała, jak wyglądał klub, nadal nie chciała wierzyć, że nasze zajęcia polegały wyłącznie na sztuce konwersacji. Myślę, że cały czas zastanawiała się, gdzie ukryto pokoik, w którym odbywały się perwersyjne sesje seksualne.

Gdyby tylko udało jej się skonfrontować rzeczywistość ze swoimi uprzedzeniami, zobaczyłaby, że stanowiliśmy po prostu piątkę zwyczajnych ludzi, którzy spotkali się na drinka w barze – scenka, która mogłaby rozegrać się w dowolnym miejscu na świecie.



## Niebezpieczna twarz



„*Denwa bango wa* cośtam coś tam-*desu*. Bip. Bip. Bip”. Był ostatni dzień miesiąca, a Nori nie odbierał telefonu. Obiecał mi pomóc, więc dzwoniłam do niego wiele razy, do znudzenia wysłuchując przepraszającego głosu, który odzywał się, gdy jego automatyczna sekretarka była włączona. Dziś wieczór Nori był moją ostatnią szansą na *dohan*, bo jutro obliczano nasze comiesięczne punkty bonusowe. Tymczasem on świadomie wystawiał mnie do wiatru. Super.

Kiedy deszcz przeszedł w kapuśniak, poszłam do wynajmowanego przez Nicole i Abie mieszkanca we wschodnim Roppongi. Miałam pokazać im kilka niezawodnych ćwiczeń na mięśnie brzucha. Kilka tygodni popijawy i minimalnej ilości ruchu – typowe dla stylu życia hostessy – sprawiło, że wszystkie z przerażeniem obserwowałyśmy, jak obwód naszych bioder niebezpiecznie się zwiększył. Dziewczyny w desperackiej próbie pozbycia się brzuszka zaczęły nawet biegać w górę i w dół po schodach w tym swoim rozpadającym się bloku.

Dwa cienkie futony – prezent od klienta Nicole – zajmowały większą część zapuszczonego pokoiku, buty zaś, bagaże i gitara – ta ostatnia prezent dla Abie od Dziadzia – wypełniały pozostałą przestrzeń. Mikroskopijna łazienka i kuchnia jak w domku dla lalek dopełniały obrazu tego kosztującego 1200 dolarów miesięcznie mieszkania. Dało się wytrzymać, dopóki z Nowego Jorku nie przyleciała przyjaciółka Nicole, Stacy. Trzy dziewczyny gnieździły się ściśnięte jak sardynki w puszce w pomieszczeniu zbyt małym nawet na budę dla psa. Teraz dopiero zdałam sobie sprawę, jakie mieliśmy z Mattem szczęście, że dysponowaliśmy naszym



niewielkim, nowoczesnym, czystym lokum, które choć trochę przypominało warunki, do jakich przyzwyczailiśmy się w rodzinnym domu. Gdyby nie to, już dawno bym zwariowała.

Podczas demonstracji ćwiczenia na *rectus abdominis* mój telefon rozdzwonił się na dwie sekundy, po czym zamilkł. Nori. Zadzwoiłam do niego kolejny raz. Dryń. Dryń. „*Denwa bango wa...*”. Ten sam przepraszający ton. Dziwne. Zadzwoił, przerwał połączenie i wyłączył telefon w niespełną minutę.

W ostatniej, desperackiej próbie zaliczenia *dohan* postanowiłam spróbować wyciągnąć na kolację Goro, gościa od mody, ale on też nie odbierał telefonu. Świetnie. Zostałam ekskomunikowana, nie udało mi się spełnić klubowej normy zakładającej dwa *dohan* w miesiącu i straciłam zarobiony ciężką pracą bonus w postaci 500 dolarów. Wcale nie będę się cieszyła, kiedy Nori w końcu zdecyduje się dać znak życia.

Dryń, dryń! Tym razem dzwonił Shin – w samym środku naszego downward doga, ćwiczenia, które korzystnie działa na *adductor magnus*.

– Cześć, Shin. Jak się masz? Co porabiasz?

– Zabieram teraz kota do domu żony. Mój kot nie może zostać sam. Lecę do Chin siódmego, ale jedyna okazja jest dzisiaj.

Przepraszam, że co? Shin ma żonę? Dlaczego jego żona ma własny dom? A może to była żona? Żyją w separacji? Jego bezwiedna obojętność zupełnie zbiła mnie z tropu. Oczywiście nie miało to żadnego znaczenia, ale mimo wszystko byłam zszokowana.

– Och, e... – nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Co robisz? – zapytał podejrzliwie. – Biegasz?

– Nie, joga. Jestem u Nicole. Ćwiczmy jogę, żeby nie utyć.

– Nie ma wyboru! To się stanie... każdy, kto przyjeżdża do Roppongi, tyje. Zapytaj Karolinę. Ona wie. W każdym razie, ona przyjeżdża jutro, więc jutro się z tobą spotkam – oświadczył Shin, po czym rozłączył się, zadowolony z siebie, a ja nie mogłam powstrzymać się od chichotu.

Ponowne nałożenie rozmazanego tuszu do rzęs to delikatna operacja, nawet jeśli akurat nikt nie wali pięściami w drzwi garderoby tak małej, że nie sposób w niej wykonać pajacyka. Tehara znów zastukał, tym razem szybciej i mocniej. Ledwo trafiłam w rzęsy.

– Pani Chelsea – powiedział surowym głosem. – Pan Ito.

– Co on tu robi? – wyszczałam, otwierając drzwi na oścież. – Przecież nie ma jeszcze wpół do dziesiątej! – Tehara wzruszył ramionami i poprawił okulary. – Oooch, nie wierzę. Kłamliwy drań!

Wersja Noriego brzmiała tak, że zapomniał zabrać do pracy telefon. Dopiero o ósmej wieczorem zobaczył, że do niego dzwoniłam i nie zostawiłam wiadomości.

– Pomyślałem, że potrzebujesz pomocy – wyjaśnił. – Więc przyjechałem od razu tutaj.

– Dlaczego po prostu nie zadzwoniłeś? Wiedziałeś, że dzisiaj mam ostatnią szansę na *dohan*. Mogłam poprosić kogoś innego, ale ty mi obiecałeś! I niby w jaki sposób zadzwoniłeś do mnie wcześniej, przed ósmą, i od razu się rozłączyłeś? Podobno zostawiłeś telefon w domu.

Nori zaśmiał się nerwowo.

– E..., kiedy? Kiedy do ciebie zadzwoniłem? Ja... nie wydaje mi się. Nie mogłem. Mój telefon był w domu, a ja byłem w szpitalu w Jokohamie.

– Twój numer pojawił się na moim wyświetlaczu około szóstej – uparcie twierdziłam.

– Nie, y... ja... ja... e... nie sądzę – zaczął się pocić i wić. – Nie wiem. – Już miałam go przycisnąć, kiedy Nishi przerwał nam, sadzając z nami nową Izraelkę. Nie wiem, kogo bardziej poirytowało jej przybycie – mnie czy Noriego. – Nie przeszkadza ci, że ona siedzi z nami? – wyszeptał Nori po tym, jak dziewczyna popisała się świadczącym o wyjątkowej ignorancji stekiem komentarzy na temat Japończyków „marnujących kasę w takim miejscu”.

– Skąd – warknęłam. – Czym mam się przejmować? Tak to jest w hostess-klubach, że dziewczyny z tobą siadają.

Moja riposta wyraźnie odrzuciła Noriego, ale miałam to gdzieś. Działał mi na nerwy jego brak skruchy za tarapaty, w jakie mnie wpakował. Tak samo jak jego śpiew, który z każdym znajomym dźwiękiem coraz bardziej mnie irytował. I tylko jedna rzecz pozostała niezmiennie przyjemna: banknot o nominale 10000 jenów, który wręczył mi na odchodnym i który odłożyłam do wypełniającej się powoli szuflady z napisem „Bank Ito”.

Był wprost zachwycający. Kazuhiro Kobayashi wystroił się na wieczór na miłą w czarne spodnie od garnituru i różową koszulę. Jego żywą, pulchną, okrągłą twarz, ozdobioną jasnymi, błyszczącymi oczami, dopeł-

niał wesoły chichot i towarzyszący mu zdumiewający, nieskrępowany pisk, który sprawiał, że ani Chip, ani Dale nie umieliby oznajmić: „Mów do mnie Kozy”, w słodszy sposób. Miałam ochotę go wyściskać.

Praktycznie natychmiast po pojawieniu się w Greengrass Kozy zaprosił mnie do siebie na weekendowy lunch. Zaproponował specjalność domu, o-kono miyake, a przy okazji jedyną potrawę, jaką umiał przyrządzić (bo wszystko inne, jak przyznał, jadał na mieście). Kozy, stary kawaler, mieszkał w dzielnicy Setagaya i choć odrzuciłam jego ofertę, zgodziłam się, by „wojna kciuków” zdecydowała, czy pójdę z nim do kina w Shibui. Jeżeli przegram, będę musiała pójść. Jego kciuk był znacznie grubszy niż mój, więc miał nade mną przewagę.

- No dobrze, ale pójdziemy w niedzielę. I to ja wybiorę film.
- Masz dla mnie jakąś kartkę?

Podaliśmy mu karteczkę samoprzylepną.

- Długopis?

Kozy zamasztyłymi ruchami zapisał cały świstek ogromem informacji: pełne nazwisko, numery telefonów (łącznie z kodem kraju i numerem kierunkowym), trzy różne adresy mejlowe, a także płeć Kozy’ego – męska – w razie gdybym miała wątpliwości. Na odwrocie dodał: „Wszystkie soboty i niedziele to dni wolne”.

- Jakie lubisz twarze? – zapytał nagle, wydymając wargi.
- Co masz na myśli?
- Jakie... lubisz... twarze? – powtórzył powoli, jak gdybym nie rozumiała angielskiego. – Przystojne? – uniósł podbródek i wyduł usta jeszcze bardziej. – Dzikie? – nałożył „dziką” maskę. Mówił poważnie. – Jakie twarze? – powtórzył. – Niebezpieczne?

Wybuchłam śmiechem.

- Niebezpieczna twarz? A cóż to takiego?
- O, takie coś – zademonstrował i okazało się, że jedyna różnica pomiędzy „niebezpieczną” a „dziką” twarzą zasadzała się na oczach, w których brakowało szaleństwa. – Jak Bond.

Z trudem wzięłam się w garść.

- TAK! To jest to! Skąd wiedziałeś? Absolutnie, facet z niebezpieczną twarzą, to jest to, co lubię.

Kozy prychnął z satysfakcją. W końcu był mężczyzną biegłym w robieniu niebezpiecznej twarzy.

- A ciało? – spytał. – Niskie i okrągłe jest okej? – nastawiłam uszu,

żeby słyszeć go na tle Bon Joviego i jego piosenki, której przesadnie rozkręcony bas zagłuszał spółgłoski wypowiedane przez Kozy'ego. Podniosłam głos, żeby mnie słyszał.

– NO, NIE. BO NIE MOGLĄBYM CHODZIĆ NA SZPILKACH. POTRZEBNY JEST MI KTOŚ DUŻY.

– NIEDUŻY?! – pisnął Kozy i obiema rękami zasłonił swoją męskość. – GDZIE nieduży?

Tego było za wiele. Ze śmiechu prawie spadłam pod stół.



## Tajfun 20 ileś tam



Miałam spokojny sen. Trwałam w nim, zawieszona w tym wszechogarniającym, pozbawionym ciężkości stanie niewykorzystanych możliwości, kiedy nagle – DRRRYŃ!! – sen zmienił się w jawę. Moje powieki zrobiły się ciężkie. Przeszedł mnie dreszcz, a wraz z nim obudzenie. Ech...

– Halo – nie miałam pojęcia, która była godzina, ale cienka smuga światła, która przecinała na pół pogrążony w półmroku pokój, sugerowała, że moja noc nadal trwała w najlepsze.

– Halo – usłyszałam znajomy głos. – Spałaś? – Nori.

– Czy spałam? Skąd, nie spałam. Właśnie się obudziłam, ale... – wyszłam na palcach na korytarz, żeby nie musieć mówić szeptem. Matt wciąż jeszcze drzemał. – Jesteś w Jokohamie?

– Teraz tak, jestem w Jokohamie. Y... co robisz dziś wieczorem?

– Nic. Nie mam żadnych planów – ziewnęłam głośno.

– Okej, y... to dobrze. E... no, to przyjadę do Tokio i pójdziemy razem zjeść gdzieś kolację.

Czy on naprawdę nie mógłby zostawić mnie w spokoju? Przypuszczam, że mogłam po prostu powiedzieć: „Nie”, ale perspektywa darmowej kolacji i gwarantowane 100 dolarów warte były kilku godzin z życiorysu.

– Jasne. Jestem wolna. Która godzina?

– Teraz jest wpół do czwartej. Może o wpół do szóstej?

\*

Dwadzieścia trzy po piątej byłam już gotowa. Schowałam się we wnęce, kryjąc się przed „skutkami ubocznymi” tajfunu numer dwadzieścia ileś tam, który szalał nad niziną Kantō. W ciągu roku w Japonii występuje tyle tajfunów, że meteorolodzy nie zwracają sobie głowy nadawaniem każdemu imienia, po prostu oznaczają je kolejnymi numerami i koniec.

Fakt, ten akurat tajfun należał do stosunkowo łagodnych, ale sezon cyklonów trwał w najlepsze i północno-zachodni Pacyfik niezmordowanie produkował jednego skurczybyka za drugim. Licząc od dnia, w którym przyjechalśmy z Mattem do Japonii, przeszły już aż trzy cyklony o znacznej sile, które sprowadziły na Wyspy Japońskie ulewne deszcze, wysokie fale i silny wiatr.

Dzięki swojej historycznej regularności i średniej prędkości przemieszczania się wynoszącej zaledwie dwadzieścia kilometrów na godzinę, japońskie *taifu* – wielkie wiatry – mają wyczerpującą dokumentację. Goriwe media śledzą każdy ich krok, podając ostrzeżenia o sile wiatru, spodziewanym kierunku przesuwania się tajfunu oraz wpływie na środki transportu. Dziennikarze w jaskrawych płaszczach przeciwdeszczowych ustawiają się obok smaganych wiatrem drzew i fal wściekle bijących o ląd, i nadają raport, wrzeszcząc do wodoodpornego mikrofonu, podczas gdy montażysta w studiu daje przebitkę obrazu z satelity albo scenki z biednym urzędnikiem, któremu wiatr wyrócił parasol na drugą stronę. Takie relacje przyciągają rzesze widzów. Możecie sobie wyobrazić, o jakich bzdurach muszą gadać ci dziennikarze, byle tylko zapełnić czas antenowy.

– „...wracamy do sprawy tajfunu. Właśnie otrzymaliśmy informację, że tajfun osiemnaście wywołał opad deszczu z trzech kierunków, przez co shinkansen został czasowo unieruchomiony ze względu na nagłe porywy wiatru, który wieje z taką prędkością, że gałki oczne wyschną wam na wiór, a czarny płaszcz, który Nori kupił wam w Zarze – ten sam, który macie akurat na sobie na znak wdzięczności – rozerwie się na strzępy...”.

Podniosłam oczy ku niebu i oddałam się trwającym dokładnie siedem minut obserwacjom kropel deszczu, dopóki Nori nie zajechał po mnie swoim błyszczącym białym mercedesem. Pomimo szalejącego tajfunu pojawił się idealnie o czasie.

– Lubisz kraby? – wyszczerzył zęby w uśmiechu, kiedy wskoczyłam na przednie siedzenie. – Kiedyś powiedziałś mi, że lubisz kraby, więc pojedziemy do Ginzy, do jednej słynnej restauracji.

Nigdy w życiu nie mówiłam Noriemu, że lubię kraby. Nigdy nie jadłam

kraba. Myślę, że zaczęły mu się mylić szczegóły rozmów ze mną i hostessą, z którą spotykał się przede mną.

Czasem czułam się jak smagana falą przyływu linia brzegowa.

– Kiedy byłem małym chłopcem – Nori zadumał się nad piwem – Japonia była bardzo biedna. W tamtych czasach pewien słynny pisarz napisał, że Japonia stanie się wielkim krajem, ale ja w to nie wierzyłem. Niewielu zresztą uwierzyło, że to możliwe. Ale powoli, kiedy dorastałem, wszystko zaczęło się zmieniać i pomyślałem, że może... to prawda. Japonia pracowała bardzo ciężko na swój sukces. Nie sądzisz?

– Cóż, Japonia jest w posiadaniu połowy Ameryki i całych Hawajów, prawda? Więc chyba tak. Wiesz, że czasem Hawaje nazywa się czterdziestą ósmą prefekturą Japonii?

– Ha, ha. Tak myślę. I do tego tam jest miło, na Hawajach.

– Ale co tak naprawdę Japończycy myślą o Amerykanach? Czują złość? Masz im za złe, że stacjonują w twoim kraju od zakończenia wojny?

Przy tej samej ulicy, tylko trochę dalej, znajdował się New Sanno, hotel wojskowy stanowiący terytorium Stanów Zjednoczonych. Jodie opowiadała mi, że jedenastego września 2001 roku siedziała w barze pełnym Japończyków, którzy oglądali walące się wieże, wznosili radosne okrzyki i skandowali: „Precz z Ameryką! Nienawidzimy Busha!”. Tylu ludzi wznoszących tego typu okrzyki musiało mieć jakiś wspólny mianownik, ale nawet jeśli istniał pewien podtekst, Nori nie był go świadom albo – co bardziej prawdopodobne – nie chciał o tym ze mną rozmawiać.

– Myślę, że gdyby Japonia nie zaatakowała Pearl Harbor, nie ucierpielibyśmy podczas wojny, ale wtedy to była decyzja rządu i wojska. To nie ludzie zdecydowali. Wtedy to był głupi rząd i myślę, że większość Japończyków tak sądzi. To był błąd. Starzy ludzie nie są źli... nie sądzę.

– Ale Amerykanie owszem. Mój tata kiedyś wywieszał niemiecką, amerykańską i japońską flagę, ale musiał zdejmować japońską, bo ludzie zaczynali się skarżyć. Nienawidzili Japończyków. Przychodzili i mówili mu to otwarcie. Wiesz, ich przyjaciele zginęli na wojnie. Samoloty zaczęły spadać z nieba. Po co Japończykom byli piloci kamikaze?

– Nie wiem, jaka strategia wojskowa stała za tym, ale myślę, że kamikaze nie byli źli. Ważne, żeby znać znaczenie słowa „kamikaze”, zanim

się ich zrozumie. Dla Japończyków to słowo nie oznacza pilota samobójcy – tych nazywamy *tokkoutai*, a „kamikaze” znaczy „boski wiatr”. To określenie pochodzi ze słynnej opowieści, kiedy to siedemset lat temu wielki mongolski wódz, chan, przebył ze swoją armią morze, żeby podbić Japonię. Przybył z mnóstwem okrętów i tysiącami żołnierzy, ale kiedy się zbliżali, nadciągnął wielki tajfun. Zepchnął ich z powrotem na morze, spowodował wiele uszkodzeń i zmusił wojowniczego chana do powrotu do swojego kraju. Mongołowie jednak nie poddali się. Wrócili i mieli jeszcze więcej statków, ale znowu pojawił się tajfun, zatrzymał ich i zniszczył. A potem już nie próbowali. Japończycy wierzą, że boski wiatr zesłała bogini słońca razem z bogiem burzy i że to oni ocalili Japonię. I Mongołowie nie mogli podbić wielkiej Japonii. Dlatego myślę, że piloci kamikaze nie byli tacy źli. To byli żołnierze, którzy oddali własne życie cesarzowi, a honor krajowi, ale w duchu może myśleli o swoich matkach i żonach i poświęcili życie, żeby chronić swoje rodziny. Może to był prawdziwy powód, dla którego popełnili samobójstwo, ale... – Nori zamilkł i uśmiechnął się nieśmiało. Siorbnął pianę z piwa.

– Ech, ten weekend, Fumio przyjeżdża do Tokio i razem z jego przyjaciółką hostessą pójdziemy w wyjątkowe miejsce w Asakusie. Potem możesz zjeść węgorza. I pójdziemy do Akihabary, bo pamiętam, że mówiłaś, że chcesz kupić japoński komputer, więc kupię ci go jako prezent, jeżeli chcesz. Dowiedziałaś się o wizę pozwalającą na pracę sezonową?

– Tak, sprawdziłam w Internecie. Trzeba złożyć podanie, przebywając poza granicami Japonii, więc pewnie wyślę je, kiedy dotrę do Vancouver – plotłam trzy po trzy. Wcale nie miałam zamiaru wracać. – Mogę wziąć cztery tygodnie wolnego, a ponieważ i tak jadę do domu na święta, kiedy będę zbierała się do powrotu, wiza będzie już czekała.

– Okej, to dobry plan dla ciebie – Nori uśmiechnął się i wznosił toast piwem za wymagowaną przyszłość. Zaczęłam wznosić toast szklanką wody, ale Nori szybko zareagował.

– Nie, nie, nie – syknął. – Nigdy nie wznos *kampai* wodą!

– Dlaczego nie? – wcześniej w Greengrass spotkałam się już z podobną reakcją.

– To jeszcze jedna rzecz, której nie powiedziałem ci o kamikaze. Ponieważ piloci musieli lecieć wiele kilometrów do celu, wznosili toast za powodzenie lotu wyłącznie wodą. To jest zarezerwowane dla osób, które planują samobójstwo.



\*

Nigdy nie widziałam, żeby lekarz najpierw zbadał pacjenta, a potem wręczył mu gratyfikację pieniężną po to, by chory zastosował się do wysłuchanej porady. Ścisnęłam mocniej torebkę, gotowa przebiec w deszczu odcinek dzielący samochód i drzwi budynku, w którym mieszkałam. Była prawie północ. Nori wręczył mi dwa ichimany.

– To mój prezent dla ciebie. Wcześniej mówiłaś, że nie chcesz utyc w Japonii, więc jutro możesz pójść na siłownię – uśmiechnął się. – Dla zdrowia.

Zdecydowaliśmy z Mattem, że to raczej on powinien pójść na siłownię. Przewidywalność jego zajęcia działała na niego otępiająco, ale pozwalała na wysupłanie z grafiku odrobiny czasu na ćwiczenia. Matt nie miał zbyt wiele obowiązków, musiał jedynie od czasu do czasu przyprowadzić nową dziewczynę. Podobało mu się Tokio. Nie musiał wysłuchiwać mężczyzn wypruwających przed nim flaki każdej nocy. Miał tylko mnie, wielokrotnie przeżywającą każdy odcinek swojej sagi.

Matt tak samo jak ja oswoił się ze stałymi bywalcami. Śmiał się z najnowszych przypowieści serwowanych przez Shina – którego przezwiał Tao Te Shin na cześć *Tao te ching* (*Księga drogi i cnoty*), jednego z najstarszych tekstów chińskich – i robił miny na wieść o rosnącej rozpacz Noriego. Słuchał mnie uważnie, komentował, patrząc na sprawy z męskiej perspektywy, i przytulał, kiedy kładliśmy się spać. Mimo to nadal nie potrafiłam szybko zasnąć. Zanadto oswoiłam się z sufitem nad głową.



## Kryzys



Miałam już dość tego syfu. Postanowiłam, że jutro odejdę. Jutro już mnie tu nie będzie. Zamierzałam powiedzieć Nishiemu, że rezygnuję, poprosić o wypłatę zaległości i odlecieć stąd najbliższym samolotem. Nie mogłam tego dłużej znieść. Co mi, kurwa, strzeliło do głowy? Jak mogłam pomyśleć, że to będzie dobry pomysł? Czy naprawdę sądziłam, że zachowam pozory normalności w tym szalonym kołowrotku? Nikomu nie życzyłabym, żeby trafił do takiego miejsca.

Wczoraj wieczorem odkryłam, że Greengrass był tym samym klubem, w którym pracowała Lucie Blackman przed swoim zniknięciem trzy lata wcześniej. W jednej chwili przestałam być ubraną w jasnoniebieską sukienusię Alicją, która podskakując na jednej nodze i pogwizdując wesoło, przemierzała metaforyczną krainę czarów, i zmieniałam się w lodowaty szkielet, zgwałcony, zamordowany i pokrojony na kawałeczki.

Lucie niczym nie zawiniła. Zrobiła jedynie to samo co ja: wsiadła do samochodu lekko ekscentrycznego Japończyka w średnim wieku. Poznała go w tym samym miejscu, w którym i ja pracowałam. W tym samym pomieszczeniu. Przy tej samej książce do karaoke. Przy tym samym niskim stoliku, przy którym prowadziła identyczne jak moje, pozbawione głębszego znaczenia rozmowy.

Poznała tutaj mężczyznę, który okazał się jej mordercą, i nikt nie potatygował się, żeby mnie o tym poinformować. Casablanca przechrzciała się po prostu na Greengrass – jakby to było takie proste: ot, posadzić na grobie zieloną roślinkę, która zamaskuje wstydlivy fakt, że śmierć odwiedziła ten dom, że warstwa ziemi przykrywa ofiarę morderstwa.

Nishi znał Lucie. Niektórzy spośród obecnych klientów klubu również musieli się z nią spotykać. Po prostu musieli, nie ma siły. I choć wszyscy oni mieli doskonale rozeznanie w sytuacji, to zbagatelizowali sprawę i uznali, że nie ma potrzeby ostrzegać nowych hostess. Morderstwo wiśniało nad klubem niczym złowieszczą chmura.

Czułam się jak jeden z maniakałnych łowców burz złapany w samym środku pierdolonego tornada tylko dlatego, że w ferworze podniecenia pokierował się błędnymi obliczeniami. Czy pracując jako hostessa, milcząco zgadzałam się na okoliczności, które doprowadziły do śmierci tej biednej dziewczyny? A może powinnam spojrzeć na sprawę trzeźwo: że była to pojedyncza tragedia, która mogła wydarzyć się gdziekolwiek, niezależnie od środowiska, w którym obracała się Lucie?

Nie wiedziałam, co powinnam o tym myśleć. Jedyнным sposobem, by sobie poradzić z całą tą sprawą, było odsunąć od siebie te myśli jak najdalej. A jednak nie to mnie najbardziej gnębiło, lecz drobnostki, niedostrzegalne pęknięcia, które po cichu poszerzały się tak, że w pewnym momencie przeistoczyły się w głęboką, ziejącą przepaść.

Zanim wyszłam do pracy, wypłakałam sobie oczy nad swoim totalnym brakiem zrozumienia, nad tym, że nie potrafiłam znaleźć... równowagi. Oszustwa, kłamstwa, wszechobecne podteksty seksualne, a wszystko za cienką zasłoną z papierosowego dymu.

Matt, owszem, współczuł mi, ale to nie on musiał tego wszystkiego doświadczać. On znał Roppongi wyłącznie od zabawowej strony: blask światła, niezła imprezka i tak dalej. A tymczasem ja miałam do czynienia z rzeczami, których miejsce było w thrillerze klasy B, a nie codziennym życiu zawodowym.

Martwiło mnie – wręcz przerażało – nie to, jak gładko Japończycy przełknęli moją maskaradę, lecz z jaką łatwością to ja się w niej odnalazłam. Choć zdarzały się też chwile, kiedy najtrudniejszą dla mnie rzeczą na świecie było utrzymać pozory i złudzenie, że byłam... no właśnie, kim właściwie byłam? Nie miałam pojęcia.

Gdybym wiedziała, wszystko byłoby prostsze. Mogłabym przynajmniej zaklasyfikować emocje, zamienić je w widoczne spektrum i zidentyfikować konkretną częstotliwość – tak, ale w jaki sposób mam przeprowadzić eksperyment, gdy wszystko dookoła to jedynie gra pozorów? Nie miałam do dyspozycji gotowej na badanie grupy kontrolnej, a jedynie niekończący się korowód mężczyzn, którzy, wcale nie mając takiego zamiaru,

wysysali ze mnie życie, płacili i wracali po jeszcze. Ale skąd to się w ogóle brało? Co takiego im oddawałam i co by się stało, gdybym przestała? Gdzie przebiegała cienka granica pomiędzy szczerością przekazu a zwyčajnym wampiryzmem emocjonalnym? W którym momencie zaczynasz wierzyć w cały ten kram?

Mój umysł zaczął się zmieniać wbrew mnie samej, gdy odwróciłam od niego uwagę. Otoczona ostentacyjnym bogactwem, setkami, tysiącami jenów, którymi sypano jak z rękawa, zaczęłam inaczej postrzegać pieniądze. Zaczęłam je uwielbiać. Nie potrafiłam jeszcze co prawda manipulować klientem tak, by wyciągnąć z niego jak najwięcej gotówki, ale wszystko było przede mną. Przyzwyczaiałam się do wygodnej sytuacji, w której, zupełnie bez powodu, wszystko miałam podane na srebrnej tacy. Tymczasem potrzebny był mi właśnie ten powód, bo dookoła widziałam tylko coraz więcej pytań.

Nori Ito to wariat. Facet był chirurgiem. Kierował szpitalem. Odpowiadał za setki zatrudnionych i tysiące pacjentów, a jednak priorytetem były dla niego zagraniczne hostessy. Nie byłam jedyna. Wiedziałam, że przede mną miał inne, jedną po drugiej. Czy zastanawiały się, jaki wpływ miały na życie otaczających je samotników? Czy powinny się były nad tym zastanawiać? Mężczyźni potrzebowali nas tak samo, jak my potrzebowaliśmy ich.

Nori uprzedził, że zna reguły gry i je akceptuje, ale zdążył już mi udowodnić, że w rzeczywistości jest inaczej. Jego umysł zaciął się i odgrywa wciąż ten sam kawałek. Każda kolejna hostessa wytrzymywała z nim kilka miesięcy, po czym zabawa zaczynała się od nowa. Nori nie mógł nic na to poradzić, ponieważ korzenie scenariusza tkwiły w nim zbyt głęboko.

Czym więc było to miejsce? Transseksualiści po drugiej stronie korytarza. Rosjanie piętro wyżej. Na ulicy jakuzi w rolls royce'ach phantomach, a na dole Nigeryjczycy nagabujący przechodniów. „Roppongi” znaczy dosłownie „sześć drzew”, ale ja tłumaczyłam sobie tę nazwę jako „trzy wypchane wieżowcami przecznice pełne dragów, seksu i kasy, które wciągają człowieka, przeżuwiają go i wypluwają”.

Wydawało mi się, że bez trudu wniknę w to życie, ale wszystko było na opak: chodziłam spać o wschodzie słońca i budziłam się o zachodzie; odychałam absurdem; tonęłam w poczuciu bezsensu; byłam wyczerpana. Upadłam na samo dno. Koniec gry. A do tego nie mogłam tak po prostu odejść. Gdybym była tylko jedną z dziewczyn, kupiłabym bilet na samo-

lot i wróciła do rzeczywistości. Ale ja musiałam się dowiedzieć. Jeżeli to była normalna reakcja, to co dzieje się po drugiej stronie?

Matt starał się mnie wspierać. Powiedział, że jeżeli czuję, że nie dam dłużej rady, możemy po prostu wyjechać.

– Może powinnaś na jakiś czas wrzucić na luz – powiedział. – Nie wychodź z nimi tak często. Wracaj do domu po pracy. Nie musisz się starać aż tak bardzo. W końcu wystarczająco dużo dzieje się w samym klubie, nie uważasz?

Być może Matt miał rację. To przecież tylko rozmowa, puste słowa wrzucane do pustej studni. Powinno być łatwo. Ale nie było. Zdążyłam obejrzeć tyle zdjęć dzieciaków, żon, fretek i psów-zabawek, że robiło mi się od nich niedobrze. Wytrzymałam z bólem twarzy więcej sesji karaoke, niż życzyłabym komukolwiek. Boże, i ten alkohol. Kiedy przyleciałam do Japonii, w ogóle nie piłam. Mało tego, wcale nie zamierzałam pić. A teraz? Jestem praco-alkoholikiem. Po prostu, kurna, świetnie.



## Powrót supermana



Minał prawie tydzień od dnia, w którym dopadł mnie Wielki Kryzys. Było już lepiej, ale wciąż ze sobą walczyłam. Po trochu każdego dnia. To nie takie proste znieczulić się do tego stopnia, by móc uśmiechać się przekonująco, gdy ktoś każdego wieczoru lekką ręką obiecuje ci gwiazdkę z nieba. Przynajmniej Nori nie dzwonił od czterech dni. To już dziewięćdziesiąt sześć godzin. Odmierzałam czas z poczuciem ulgi.

Wszyscy mężczyźni, którzy w tym czasie odwiedzili Greengrass, byli porządnymi, inteligentnymi i uprzejmymi facetami, choć ich nazwiska ulatywały mi z pamięci jak stare magnesy, które nie trzymają się drzwi lodówki. K.A. Brakująca litera. U.O. „Dziękujemy za przybycie!”. Nie miało to znaczenia. I tak większości z nich nigdy więcej nie zobaczę.

W tygodniu Taizo ze swoim szefem, Misakim, odwiedzał nas dwa razy. Śpiewaliśmy, jak zwykle. W ramach postawy „mam to wszystko w dupie” postanowiłam awansować z chórków na drugą wokalistkę prowadzącą w *Bohemian Rhapsody*, ale i tak nie dawałam rady Taizowi.

Lubiłam, kiedy przychodził. Dobrze się razem bawiliśmy. On nigdy nie próbował mnie uszczypnąć, a ja nie musiałam bić go po rękach. Kiedy o tym pomyślę, dochodzę do wniosku, że choć większość czasu w klubie wypełniali mi faceci w rodzaju Taiza – pracownicy, wierni osobnicy obdarzeni mózgiem i duszą – to zawsze czułam się przytłoczona obecnością tych nielicznych świrów.

Jodie pocieszyła mnie, że moja reakcja była całkowicie naturalna. Nazywała ją „testem pierwszego miesiąca” – to dla tych hostess, które wytrzymały aż tak długo.

Absolutnie nie miałam zamiaru na stałe zmieniać mego stylu życia na ten szalony wir, w którym kręciłam się od miesiąca. Musiałam wciąż sobie przypominać: „To tylko eksperyment”. Jeżeli miałabym funkcjonować tak dłużej niż dziewięćdziesiąt dni, to chybabym implodowała, uległa samozniszczeniu – nie wiem, które najpierw. Do tej pory nie potrafię wyjść ze zdumienia, że niektóre Japonki uważają taką egzystencję za swoje powołanie, ale cóż, w końcu one wychowały się w tej kulturze i rozumieją jej dynamikę. Ja niestety nie. Z trudem przechodziły mi przez gardło kłamstwa, choćby nie wiem jak niewinne, na których upływała noc za nocą, wypełniona kolejnymi męskimi twarzami.

A jednak coś się zmieniło – coś, czego nie potrafiłam przyporządkować żadnemu konkretnemu zdarzeniu. Nie chodziło o Matta, bo on był E, która równoważyła moje  $mc^2$ , jedyną stałą w moim życiu. Zauważyłam tylko, że podczas gdy ja usiłowałam wszystko to sobie jakoś poukładać, Matt objawił mi się od strony, od której go nie znałam: był moim „wentylem bezpieczeństwa”, „solowym komikiem”, „kotwicą, która szorowała po dnie morza łez” i tak dalej.

Matt był gwarantem mojego zdrowia psychicznego, ale ta świeża, niemal niedostrzegalna zmiana pozostawała zupełnie poza zasięgiem jego oddziaływania, jak gdyby w niewielkim pokoju oświetlonym dwunastoma żarówkami nagle ktoś zapalił trzynastą i tylko ja to zauważyłam. Nie wiem. Nie potrafię tego wyjaśnić. Nie widziałam powodu, dla którego to nagle „coś” miałoby pojawić się akurat w momencie, gdy jeden krok dzielił mnie od spakowania manatek i wyniesienia się stąd. Istniały zapewne tysiące czynników. Ale bez względu na to, o co w tym wszystkim chodziło, poczułam spokój pośród chaosu, akceptację drażniącej dychotomii i niewytłumaczalną ciszę.

Potem było już okej. Przynajmniej na tyle okej, na ile to możliwe.

Nishi miał delikatny problem z pićm. W gruncie rzeczy nie była to jego wina, lecz prawdopodobnie przypadłość nierozzerwalnie związana z charakterem wykonywanej pracy. Ale fakt był faktem i każdego wieczoru wraz z upływem czasu zwiększał się poziom upojenia alkoholowego Nishiego. Dlatego też, gdy pewnego razu wezwał mnie do stolika szefostwa, spodziewałam się, że to nie będzie łatwa rozmowa.

– Masz interesy do zrobienia – zaczął Nishi chrypiącym głosem. –

Chelsea jest młodą dziewczyną... taką młodą. Może zostaniesz pół roku – dumaj, błagając mnie swoim komicznym wyrazem twarzy. – Rób więcej interesów.

– Sześć miesięcy to o wiele za długo, Nishi. Nie wytrzymam tyle.

Nishi zaśmiał się bezgłośnie, a jego głowa podskoczyła przy tym w górę i w dół.

– Tak, ale, proszę, pamiętaj, prywatne życie i interesy oddzielnie. Bardzo ważne. Masz wielu japońskich przyjaciół – mamrotał z krzywym uśmiechem na twarzy. – Proszę, rób więcej interesów.

– Y... – Okej. O co mu chodziło?

Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć, więc tylko podałam mu rękę i wróciłam do siedzących na kanapie Izraelek. Dziś wieczorem do naszej klubowej mafii dołączyła nowa hostessa, Sara – skromna, acz piękna i bystra dziewczyna, która niedawno zrezygnowała z posady w jednym z klubów ze striptizem w Roppongi, ponieważ, hm, nazwijmy to, „stosunki” w klubie nie do końca spełniły jej oczekiwania. Przed przyjazdem do Tokio Sara nigdy w życiu nie uprawiała striptizu, ale kiedy przyszła do klubu z zapytaniem o pracę hostessy, Nigeryjczyk zważył ją wizją furi pieniędzy i obietnicą, że będzie musiała „tańczyć w stringach, o tak” – Sara zademonstrowała zgrabnym ruchem bioder, na czym miał polegać taniec. Tak się jednak złożyło, że nasz nigeryjski znajomy zapomniał nadmienić, że striptiz w Japonii to: raz – sport full-contact od pasa w górę; dwa – dyscyplina, w której szemrane japońskie towarzystwo wylewa ci na piersi napoje wysokokowe, a następnie zlizuje je z sutków; trzy – arena, na której kołysanie biodrami to nie wszystko, bo w ciemnym kącie klubu ma miejsce coś więcej niż tylko prywatny taniec. Okazało się, że sytuacja, w której striptizerka ogranicza się li tylko do machania pupą, ma zasadniczo charakter tymczasowy, w związku z czym Sara postanowiła, że nie ma ochoty przekonywać się, co oferował kolejny etap.

Kiedy Sara pozbyła się balastu traumatycznych wspomnień, poczuła się w Greengrass jak w domu. Nie dość, że wszystkie odnosiłyśmy się do niej przyjaźnie i byliśmy ubrane, to w dodatku nikt tutaj nie wbijał drugiej osobie noża w plecy i nie podkradał klientów, co było na porządku dziennym w dużych klubach w rodzaju One Eyed Jack – tam przymykano oko na pozbawioną skrupułów rywalizację, a nawet ją podsycano.



Karolina, ulubiona hostessa Shina, zawitała na krótko do Greengrass. Siedziałyśmy właśnie i plotkowałyśmy o dziwactwach Shina, kiedy pojawił się wilk, o którym była mowa. Zatrzymał się w drzwiach, pozdrowił nas podniesioną prawą ręką, uśmiechnął się pogodnie, a potem poszedł za Teharą do swojego stałego stolika pod ścianą i zaczął, aż Karolina i ja zostaniemy mu przyprowadzone.

– Dzisiaj jest ostatnia szansa, żeby zobaczyć Karolinę – zaczął Shin.

– Ponieważ za dwa dni lecę do domu – wtrąciła Karolina.

– Tak, wiem! – zawył Shin, niczym byk wypuszczając powietrze przez nozdrza. Potem odwrócił się do mnie i zachichotał. – Będzie za mną płakała jak dziecko, ale lecę jutro do Chin, więc teraz jest być może ostatnia szansa. Powinienem zostać w domu i wyspać się, ale może ona będzie na mnie zła, zadzwoni, obudzi mnie i będzie krzyczała! Jest taka hałaśliwa!

W pewnym momencie Shin poprosił o piosenkę na pożegnanie i gdy on drżącym głosem i wilgotnymi oczami wyśpiewał po japońsku *Sayonara Song*, Karolina odwzajemniła mu się żeńską wersją Bona w *With or without You*. A potem zupełnie niespodziewanie nastąpiło trzęsienie ziemi.

Pierwszy wstrząs przechylił budynek na lewą stronę. ŁUP! Spojrzeliśmy po sobie głupkowato, zastanawiając się, jakie monstrum miało dość siły, żeby przesunąć cały budynek. Potem ŁUP! pokój poleciał gwałtownie na prawo. Shin złapał mnie za rękę. Wtedy nastąpiły kolejne wstrząsy. Betonowo-stalową wieżę rzucało na wszystkie strony. Do przodu i do tyłu. Do przodu i do tyłu. Coraz szybciej. Mocno ścisnęłam dłoń Shina. „O Boże, o Boże, o Boże”. Zaczęłam gwałtownie oddychać. Nie byłam w stanie zamknąć oczu. Niektórzy nadal śpiewali, pili i śmiali się, jak gdyby nie działo się nic nadzwyczajnego, ale ja zamarłam, czekając, aż niebo spadnie mi na głowę. Do przodu i do tyłu. Do przodu i do tyłu. Nagle koniec. Shin zamknął moją dłoń w swojej dłoni.

– Już dobrze – powiedział cicho. – Już dobrze.

Karolina śmiała się histerycznie przy sąsiednim stoliku. Uważała trzęsienie za coś zabawnego. Ja miałam wrażenie, że lada moment wybuchnę płaczem. Nie pomogło, kiedy Shin przyznał, że nie pamiętał tak silnego wstrząsu.

– Ale już dobrze. Nie ma niebezpieczeństwa. Jak ziemia rusza się na bok, to dobrze. Nie do góry i na dół. Do góry i na dół jest niebezpieczne. Może to były cztery stopnie. Ale przy do góry i na dół wystarczą dwa stopnie, może trzy, i budynek pada w gruzy. Ale – dodał, posyłając nam uśmiech pocieszenia – to nie takie częste.

Nishi przeniósł mnie bez słowa wyjaśnienia. W spowitym mrokiem kącie byłam w stanie dostrzec jedynie wolne miejsce, otwartą paczkę papierosów i wysoką szklankę z whisky. Co prawda żaden z tych nieożywionych przedmiotów z osobna nie mógł być dla mnie wskazówką à propos tego, kto za chwilę wyłoni się wolnym krokiem z toalety, ubrany w gładki garnitur, świeżo wyprasowaną koszulę i krawat od Armaniego, ale dziwnym trafem od razu wiedziałam, że chodziło o niego. Przeszedł mnie dreszcz, kiedy go ujrzałam. Poznaliśmy się trzy tygodnie temu. Trzy tygodnie wypełnione spotkaniami z nowymi osobami, ale jakimś sposobem jego magnetyzm nadal działał. Widziałam je wyraźnie: niebieskie Y, pomarańczowe O, zielone S, żółte H, czerwone I.

– Co tu robisz? – warknął. – Nie prosiłem o ciebie.

– Też się cieszę, że cię widzę, Yoshi.

Yoshi usiadł i dał upust irytacji. Odrzącił moją dłoń, sam zapalił sobie papierosa, a potem wylał z siebie potok pretensji, jak śmiałam nie spotkać się z nim na kolacji. Czułam się speszona.

– Dwa tygodnie temu wróciłem z Chicago. Dzisiaj byłem na imprezie firmowej. Było tysiąc pięćset osób. Nienawidzę tego. Pieprzenie bzdur. Kurwa-to, kurwa-tamto. Co mnie to obchodzi? „Wypad!”, mówię. Mam ich gdzieś.

Perorował tak w najlepsze, dopóki dwie whisky później rwąca niczym wezbrana rzeka skarga Yoshiego nie skręciła w moim kierunku i nie zeszła na uczucia względem mnie.

– Będziesz moją dziewczyną. Jestem kanalia, mówiłem ci. W pracy tylko interesy: pierdolone „Jak się masz?”. Ble, ble, ble. Profesjonalnie wciskam kit. W wolnym czasie jestem niegrzecznym chłopcem. Ale dla ciebie – mrugnął okiem – będę dobry.

Zbył moją próbę podania mu ognia i mówił dalej, wtrącając fragmenty po francusku:

– O mój Boże, uwielbiam krótkie włosy. Jak cię pierwszy raz zoba-

czyłem, ła! Nishi powiedział: „Wiem, twój typ”. *S'il vous plait, ma chérie\**.  
Powiedz mi. Jeśli będę grzecznym chłopcem, mam szansę?

– *On ne sait jamais\*\** – odarłam dwuznacznie. Yoshi zrozumiał to tak, jak mu było wygodniej.

– Ach... okej – uśmiechnął się. – Jestem szczęśliwy. Pojedziemy na małą wyspę, a tam... w hotelu... – Nachyliłam się nad stolikiem i poprawiłam kołnierzyk Yoshiego, podczas gdy on opisywał włoską restaurację na przystani. Nagle zamilkł. – Zapomniałem, o czym mówiłem.

– Mówiłeś o wysepce – powiedziałam cicho.

– A, tak – wyszczerzył zęby. – Wysepka. Impreza. Gdzie byś chciała pojechać? Do Europy? Pojedziemy. Zabiorę cię na Lazurowe Wybrzeże, do Wenecji, popłyniemy gondolą. Będziesz musiała się we mnie zakochać. Nie będziesz miała wyjścia, a kiedy wrócimy, zobaczysz, że będziesz moją dziewczyną. Już ja się o to postaram. To co chcesz zabrać na tę wysepkę? Maryskę? Kokę? Powiedz, co chcesz, a ja to załatwię. To co chcesz?

– Własne łóżko – rzuciłam stanowczo. – Okej, pojedę z tobą na tę twoją wysepkę i spędzimy czas w cywilizowany sposób, ale nie prześlę się z tobą. To się nie stanie i koniec. Jasne?

– Och, wiem – zagruchał Yoshi. – Nie jesteś łatwa. Mogę mieć każdą łatwą dziewczynę, ale to żadna frajda. Wystarczy pójść do baru – Ukrainki, Rosjanki, Litwinki. Wszystkie kurewsko łatwe. Wszystkie chcą tylko kasy. To nie w moim stylu. Nie jestem twoim tatuśkiem.

– Wiem, że nie jesteś. Nie kupiłeś mi brylantów.

– Phi! Brylanty! Kim ja, kurwa, jestem? Kolejnym klientem? Klientem!

Yoshi naburmuszył się. Próbowałam zmienić temat rozmowy:

– Lubisz jazz, prawda? – ale to tylko rozwścieczyło go jeszcze bardziej.

– Oczywiście! Daj spokój, przecież ostatnio rozmawialiśmy o jebanym B.B. Kingu. Już, kurwa, zapominałaś! Pierdol się! – Yoshi złożył ręce na piersi i znów zagotował się ze złości.

– Okej, dobrze. – Wyprostowałam się i spokojnie czekałam, aż ujdzie z niego cała para.

---

\* Bardzo proszę, moja droga (przyp. red.).

\*\* Nigdy nie mów nigdy (przyp. red.).

Musiało minąć kilka minut, zanim Yoshi w końcu spojrział niechętnie w moją stronę. Wpatrywałam się w niego chłodno.

– Co? – warknął.

– Poniosło cię.

– Mówiłem, że nie prosilem o ciebie. Poszedłem do kibla, a oni mi cię tu posadzili. Nie miałem ochoty cię, kurwa mać, widzieć. Nigdy. A potem wracam i widzę ciebie, jak sobie siedzisz, więc zmieniłem zdanie. Szukam takiej kobiety jak ty. Luksusowej, która ma wdzięk i trochę tego – Yoshi zadarł nos do góry. – Jak snob. To cała ty. „Och, och! Właśnie śpię” – naśladował mój głos. – RAZ proszę, nigdy dwa razy. Okej. Pierdol się. Dwa razy! „Jutro śpię. Och, jaka zapracowana”. Daj spokój! Nie wciskaj mi kitu. Ktoś wciska kit, mówię: „Zapomnij”, nie marnuj mojego czasu.

– Przykro mi, ale to prawda, Yoshi. To był mój pierwszy tydzień i byłam wykończona. Myślisz, że łatwo jest się do tego przyzwyczaić? – Yoshi popatrzył mi w oczy, szukając w nich potwierdzenia moich słów. Tak, mówiłam prawdę.

Oparł dłonie o blat stolika.

– Mogę do ciebie jutro zadzwonić?

– O której? – zapytałam kokieteryjnie. Nie mogłam się powstrzymać, żeby się z nim trochę nie podroczyć.

– NIE WIEM! To ty ciągle śpisz. O pierwszej?

– Może lepiej o drugiej – posłałam mu uśmiech.

– Okej, niech będzie trzecia. Zarezerwuję wysepkę na niedzielę. Wiesz, gdzie jest Odaiba? Wyruszamy o dziesiątej. Nie, lepiej o dziewiątej. Sprawdzę pogodę dla żeglarzy. Wszystkim się zajmę, spokojna głowa. Powiem po prostu mojej pieprzonej bezużytecznej sekretarce, co ma zrobić.

– Co z ciebie za typ, Yoshi. Przepraszam cię, muszę pójść do toalety. – W ten sposób mu uciekłam.

W łazience światło było znacznie mocniejsze niż na sali. Z daleka od Yoshiego mogłam wreszcie wziąć głęboki oddech i pozbierać myśli. Czy zgodziłam się spędzić z nim noc na prywatnej wyspie? Idiotyczny pomysł. Ile już wypitałam? Czy on mówił poważnie? Boże, gdzie moja kredka do oczu?

Kiedy przeszukiwałam torebkę, próbując namierzyć kredkę, ze swojego domu w Jokohamie zadzwonił Nori z pytaniem, czy wszystko u mnie w porządku po niedawnym trzęsieniu ziemi.

– Byłem w szpitalu, kiedy to się stało – oddychał ciężko. – Pomyślałem, że może się przestraszyłaś, ale wcześniej nie mogłem zadzwonić. Przepraszam. Na pewno wszystko w porządku? Myślę, że być może nie, więc przyjadę natychmiast do Tokio, żeby się z tobą zobaczyć.

Świetnie. Ostatnią rzeczą, jakiej mi teraz było trzeba, to Nori, który ubzdurał sobie, że jest moim obrońcą i osobą czuwającą nad moim dobrym samopoczuciem. Katastrofa. Musiałam przekonać go, żeby jednak nie przyjeżdżał – zbyt długa podróż, późna pora (było już dobrze po północy) i tak dalej. Zanim w końcu udało mi się go odwieść od zamiaru odwiedzenia klubu, okazało się, że niemal wychodził już z domu. Potrząsnęłam tylko głową i przejechałam kredką po górnej powiece.

Kiedy wróciłam do stolika, zobaczyłam, że, ku mojemu rozbawieniu, zastąpił mnie nie kto inny, jak *mama-san* we własnej osobie – osoba, która naprawdę sporadycznie zaglądała do klubu. Choć zwykle stawała za barem i przyjmowała stoicką pozę, u boku Yoshiego zmieniała się w hostessę o dziewczęcym wręcz uroku. Myślałam, że może mnie nie zauważyli, więc planowałam po cichu przemknąć się obok stolika, ale nagle PAC! – mogłabym przysiąc, że najpierw usłyszałam świst powietrza, a dopiero potem poczułam szczypanie. Yoshi, nie przerywając konwersacji, dał mi solidnego klapsa w tyłek. Nawet nie spojrział w moją stronę. *Mama-san* nie mrugnęła okiem. Ja – owszem.

– Yoshi! Co ty, KURWA, wyprawiasz? Co ty sobie myślisz? Po co to zrobiłeś? – Byłam tak wnerwiona, że nie zwracałam sobie głowy dyskrecją. Jeden z klientów odwrócił głowę i wbił w nas wzrok. Walić dobre wychowanie.

– Chelsea! – Yoshi wzruszył ramionami z miną niewiniątka. Wyglądał na zaskoczonego. – Bo cię lubię.

– Pierdol się. Po coś mnie klepnął w tyłek?

– Myślałem, że ci się spodoba.

– Ale się nie spodobało. Jeśli zrobisz to jeszcze raz, już nigdy się do ciebie nie odezwę.

Yoshi zaśmiał się niby z oburzeniem, a ja szybko zmieniłam temat.

– Poczujesz dzisiejsze trzęsienie ziemi?

– Nie-e. Daj spokój – powiedział, przeciągając samogłoski. – Jakie trzęsienie? Kogo to, kurwa, obchodzi?

Powiedział coś po japońsku i *mama-san* zachichotała. Obydwoje spojrzeli na mnie wyczekująco.

– *Wakatta\**, nie?

Nie mówiłam aż tak dobrze po japońsku, więc odparłam jak gdyby nigdy nic:

– *Wakarimasen\*\** – czym zasłużyłam sobie na wesoły śmiech *mama-san* i ostre parsknięcie Yoshiego, który pozbył się *mama-san*, wysyłając ją po drinka dla mnie.

– No więc, panno Chelsea, kiedy zerwała pani z chłopakiem?

– Z którym? – podjęłam rękawicę. Matt zwolnił tę funkcję trzy lata temu.

– Nie wiem, kurwa, z ostatnim. Kiedy byłaś w Australii?

– Dwa miesiące temu. Mogę tego spróbować? – pokazałam palcem whisky Yoshiego. Podsunął mi szklaneczkę. Upiłam łyk i zrobiłam minę. Przelał połowę swojej whisky do mojej szklanki z wodą.

– Hm. Kiedy poznałem ciebie, właśnie zerwałem z moją australijską dziewczyną. Byliśmy razem półtora roku. Nigdy nie kręcę. Ale przeszłość to przeszłość. Mam to w dupie. – Yoshi wyszczerzył zęby i wypił solidny łyk. – Tylko terażniejszość, a przyszłość przyjdzie. – Cóż za romantyczny filozof. Przewróciłam oczami. Yoshi pogładził kosmyk moich włosów. – Czy mogę cię o coś zapytać? Lubisz seks?

– Yoshi – odparłam beznamiętnie. – Pytałeś mnie o to poprzednim razem. Czy ja wyglądam jak zakonnica? Co to za pytanie? – nieświadomie skrzyżowałam ręce na piersi.

– Okej, okej. Nie byłem pewien, może żyjesz w celibacie albo co.

– Nie, nie żyję w celibacie, ale i tak się z tobą nie prześpię. Nigdy. Obrażasz mnie.

Yoshi zmrużył oczy tak, że niemal całkiem je zamknął.

– Wiem – rzucił lodowatym głosem. – Mówiłem ci, że mogę mieć Rosjanki.

Sześć lub siedem kolejek whisky i pewien nieokreślony czas później wciąż przerzucaliśmy się z Yoshim uszczypliwościami. W końcu postanowił zakończyć wieczór, zaprezentowawszy uprzednio niby od niechcienia swoją czarną kartę American Express, która wysunęła się powoli z portfela na

---

\* Rozumiesz (przyp. tłum.).

\*\* Nie rozumiem (przyp. tłum.).

krótką chwilę, by zaraz wrócić na swoje miejsce i ustąpić karcie Visa. Jak brzmiało to stare porzekadło – że od człowieka prawdziwie zamożnego nigdy nie usłyszysz o jego bogactwie, lecz je ujrzysz? Cały Yoshi. Kilka minut później podniósł mnie i obrócił w pijanym piruecie, stojąc w drzwiach windy, a kiedy wylądowałam z powrotem na podłodze, przypomniałam mu, żeby do mnie zadzwonił, choć pewnie i tak nie usłyszał, bo większą część uwagi skupił na trzech nienagannie ubranych Japonkach, które chichocząc, zmierzały prosto do klubu dla chłopców/dziewcząt na drugim końcu korytarza. Ulżyło mi, kiedy drzwi windy wreszcie się za nim zamknęły.

Dobry Boże. W co ja się pakowałam? Nedorzeczna wycieczka na prywatną wyspę. Lazurowe Wybrzeże. Wenecja. Kolacja. Ekstrawaganckie propozycje ze strony klientów to standard, ale Yoshi sprawiał, że obietnice zaczynały nabierać realnych kształtów, stawały się czymś więcej niż tylko fantazją.

Yoshi nikogo nie pozostawiał obojętnym. Nie tylko gwarantował dobrą zabawę, nie tylko był diabło przystojny. Otóż taki gość jak Yoshi nie zabierał cię ot tak, po prostu, na swoją wyspę, ale z drugiej strony nie było to dla niego nic wielkiego. Nie, skoro mógł sobie kupić odrzutowiec, płacąc za niego czarną kartą kredytową, o której kiedyś krążyły legendy, że jedyną osobą, która ją posiadała, był Michael Jackson, zanim stała się popularną, choć wydawaną wyłącznie wybranym przepustką do świata dużych chłopców multimiliarderów. Zwykle bywa tak, że tego typu „zabawki” potrafią wiele zmienić. Wiele zupełnie podstawowych spraw. Jak na przykład ocenę sytuacji. Zaufanie. Siłę głosu małego, czerwonego facecika z rogami, który siedzi ci na ramieniu. Ale bywa też, że nie zmieniają nic a nic.

Aha, jeszcze jedno: Nishi przyznał, że Yoshi jednak o mnie poprosił. Zapłacił 295 dolarów wyłącznie za możliwość zaproszenia mnie na randkę.



## Dohan z Yoshim



Następnego dnia za dziesięć szósta po południu odebrałam telefon od Yoshiego. Struktura molekularna mojej kawy rozpuszczalnej właśnie transformowała się w mikrofalówce.

– Miałeś zadzwonić trzy godziny temu – zbeształam go łagodnie.

– Halo, halo, *ma chérie!* Jak się masz? Trzy godziny temu spałaś, a ponieważ jestem grzecznym chłopcem, nie budziłem cię. Wszystko zarezerwowałem na wyspie. A skoro potrzebujesz oddzielnego łóżka, zamówiłem dla ciebie specjalny apartament.

– Super. A co z tajfunem, który zbliża się do Japonii?

– Tajfunem? E tam, nie przejmuj się. Do niedzieli już będzie po nim. Żaden problem, wypłyniemy łodzią z Odaiby i będziesz miała czyste niebo. A jak będzie sztorm na oceanie, pojedziemy samochodem i wsiądziemy na prom. To tylko godzina drogi. Bo nie chcesz umrzeć młodo, nie? Zobaczmy, jak będzie. Gdzie mieszkasz?

– Hiroo.

– Okej, czekaj na mnie przed oddziałem Citibanku. Wiesz, gdzie to jest, prawda? Obok supermarketu Medi-ya. Zadzwonię do ciebie w niedzielę o dziewiątej piętnaście, albo może o dziewiątej. Tylko nie śpij, bo cię, kurwa, zabiję. Halo, tu Yoshi... POBUDKA!

Matt spojrział na mnie, kiedy z niedowierzaniem odłożyłam telefon. W niedzielę. Za trzy dni.

– Co jest?

– Yoshi mówił poważnie o tej wycieczce na wyspę. Chce jechać w tę niedzielę. Popłyniemy jego łodzią z Odaiby. Wszystko dzisiaj zabukował



i nawet zarezerwował dla mnie apartament, żebym miała własny pokój i w ogóle – zaśmiałam się, wciąż w szoku. – Dasz wiarę?

– Myślę, że nie powinnaś jechać – opowiedział natychmiast Matt. – Nie panujesz nad sytuacją. Żeby nie było: „A nie mówiłem?”. Co by to dało? Musiałbym zabić tego żół... – przerwał. – I musielibyśmy stąd wyjechać.

– Phi, daj spokój – przewróciłam oczami i otworzyłam drzwiczki kuchni. – To niezły materiał do książki. Nie ma powodu do obaw.

– To nie o ciebie się martwię – wypalił Matt i na tym zakończyliśmy rozmowę.

Nieważne. To tylko weekendowa wyprawa, a Yoshi był typem erotomana gawędziarza. Wątpię, żeby do czegoś doszło.

Dwadzieścia trzy godziny później usłyszałam niewyraźny dzwonek telefonu, który usiłował przebić się przez równomierny szum deszczu tłukącego w mój parasol. Odebrałam połączenie.

– Halo, jak tam? – zagruchał Yoshi. – Właśnie skończyłem pracę w biurze. Jestem wolny dziś wieczorem. Co powiesz na kolację? Przyjadę do ciebie, dokąd zechcesz.

Godzinę później Yoshi zatrzymał się przed wejściem do hotelu Grand Hyatt. Przebiegłam kawałek w strugach deszczu i zanurkowałam na kanapę luksusowego, srebrnego mercedesa. Yoshi błysnął rolksem.

– *Sorry* – wzruszył ramionami przepraszająco. – Jebane korki. Tajfun. Co robić? *Vous êtes très belle ce soir\**. No, *ma chérie*, to na co masz ochotę?

– Na cokolwiek, byle nie chińszczyznę. Ani japońszczyznę – szybko dodałam, zdając sobie sprawę z podtekstu.

Yoshi obrzucił mnie spojrzeniem i wybuchnął śmiechem.

– Okej, może później. Zabawna jesteś babka, ale wiem, wiem – poklepał mnie po kolanie. – Teraz tylko przyjaciele. To może coś włoskiego?

– Brzmi apetycznie.

– Znam dobrą knajpę. Małą, ale dobrą. To moja ulubiona.

---

\* Pięknie dziś wyglądasz (przyp. red.).

Tego wieczoru Yoshi hołdował Pradzie. Był świeżo ogolony, a jego ciemne, soczyste jak moje campari z grejpfrutem oczy błyszczały. Brzdęk!

– Za naszą pierwszą randkę.

Niech mu będzie. Ja wołałam myśleć o naszym spotkaniu jako o profesjonalnej zabawie w kotka i myszkę, ale skoro niuanse obydwu rendez-vous były z gruntu do siebie podobne, to po co protestować? Jeżeli udaje się nie odzywać zbyt często i nie ujawniać zbyt wielu informacji o sobie, bez trudu można sprawiać wrażenie nieosiągalnej, nieuchwytniej. Sprawa stawała się jeszcze prostsza, jeżeli pozwoliłam mówić Yoshiemu. Najtrudniej przychodziło mi traktować obojętnie jego namiętne spojrzenie. Choć dzielił nas stolik, czułam, że jego wzrok przekraczał pewną granicę.

Od dwudziestu lat – od dnia, w którym Yoshi po raz pierwszy zawitał w towarzystwie ojca do tej niewielkiej włoskiej restauracji – zawsze zamawiał to samo. Gdy kelner po raz pierwszy zaprezentował mu, punkt po punkcie, listę dań, ja miałam roczek i śmigałam po podłodze w pieluchach. Wówczas Yoshi miałby niejaką trudność z nakłonieniem mnie do dyskusji o Vivaldim i Chopinie, i raczej nie chętnieby się tym, że wszyscy dookoła zazdrościli mu tak olśniewającej kobiety, ale najprawdopodobniej z identyczną atencją zabrałby się do wyboru – na moją prośbę – dania dla mnie – tylko bez mięsa! Padło na carpaccio.

Chociaż stosunek Yoshiego do innych ludzi był odrobinę lekceważący – nastawał na życie przechodniów, gwałtownie zawracając autem po chodniku, wrzeszczał na staruszki na przejściu dla pieszych, wygrażając im, że umrą młodo, i parkował dosłownie kilka centymetrów od drzwi – to w dziedzinie dbania o samego siebie był perfekcjonistą. Jego nazwisko oznaczało „najlepszy”, „numer jeden”, „najwspanialszy”. Wszystkim tym przymiotom Yoshi na przestrzeni swoich czterdziestu kilku lat życia starał się – z powodzeniem – sprostać, kultywując swój godny podziwu kulturowy sznyt i niewiarygodną inteligencję. Pod tą urzekającą fasadą krył się obrotny biznesmen. Yoshi był dyrektorem generalnym rodzinnego, międzynarodowego imperium czy też, jak zwykł sam siebie określać, „Szefem”, i prócz obowiązków, które ciążyły na nim z racji jego bycia *chōnan*, musiał mieszkać w Tokio i zawiadywać milionami, podczas gdy jego młodszy brat rozkoszował się życiem w Huntington Beach – zwa-

nym także Surf City – w Stanach, gdzie prowadził filię rodzinnego przedsiębiorstwa przy wtórce fal Pacyfiku omywających brzeg Kalifornii.

Nie sposób było oprzeć się magnetyzmowi Yoshiego. Stwierdziłam, że nawet jego nonszalancja miała w sobie zagadkowy urok, ponieważ wynikała z potrzeby stawiania samego siebie na pierwszym planie, ale przecież myślał też o innych. To przez tę osobliwość był człowiekiem, którego dało się lubić. Biła od niego charyzma, która wszakże nie była w stanie zamaskować pewnej melancholii. Zdobył moje serce.

Kiedy tak sączyliśmy sobie chianti classico, oznajmił:

– *Au futur*. Odnalazłem *mon étoile*\*.

Przyciągnął mnie do siebie. Zaśmiałam się. Traktował mnie jak księżniczkę, i choć niespecjalnie różniło się to od zachowania większości klientów, intencje Yoshiego wydawały się szczerze. W jego słowach krył się zbyt duży ładunek powagi. Był człowiekiem, który zobaczył zbyt wiele świata, odebrał zbyt dobre wykształcenie i był, ośmielię się twierdzić, zbyt „mało japoński”, żeby traktować jego osobę z przymrużeniem oka. W przypadku innych mężczyzn to właśnie ta ich „japońskość” pomnażała obroty absurdalnych, tonących w iluzji hostess-klubów. Gdybyśmy z Yoshim jedli kolację w Nowym Jorku, słuchałabym jego kuszących słówek z zupełnie innej perspektywy, ale tutaj, w Tokio, musiałam intensywnie napominać samą siebie, że on był tylko klientem, a ja tylko jego hostessą.

Zanim przyniesiono nam deser, minęło już wpół do dziewiątej, a Yoshi nadal nie dał mi jednoznacznie do zrozumienia, czy to, co robiliśmy, podpadało pod *dohan*, czy nie.

– Mamy czas na drinka?

– Nie wiem, to zależy. Pojedziesz ze mną do klubu?

– Oczywiście, *ma chérie* – zagruchał, jak gdyby była to najjaśniejsza rzecz pod słońcem. Nie-tatusiek. Nie-klient.

– No, to mamy czas do wpół do dziesiątej. Muszę zadzwonić do Nishiego.

Dryń, dryń! Dryń, dryń!

– Halo, Nishi? Mówi Chelsea. Przyjdę dziś o wpół do dziesiątej, okej? Jestem na *dohan* – wyjaśniłam. – Z Yoshim.

---

\* Za przyszłość. Odnalazłem moją gwiazdę (przyp. red.).

Nishi nabrał gwałtownie powietrza.

– Z Yoshim?

Ale Yoshi przerwał mi, wrywając z ręki telefon.

– On ci nie wierzy. *Nishi-san! Hai, hai, Yoshi desu* – a potem pogawędzili sobie krótko, po czym telefon do mnie wrócił. – Ha! Nishi nie wierzy. Nigdy wcześniej nie miałem *dohan*. Jesteś wyjątkowa, *ma chérie*. To dla ciebie ten pierwszy raz.

Jasna sprawa. Strategia Yoshiego działała bez zarzutu. Wiedział, od której strony podejść do tematu, co i kiedy powiedzieć. To było nie do wytrzymania. Jak można podważać sens wycieczki na prywatną wyspę, która nazywała się Grand XIV i na której mieściła się przystań i ośrodek talasoterapii? Yoshi przyniósł wydrukowany na grubym papierze prospekt: urządzone z przepychem apartamenty, wytrawna kuchnia, spa, w którym zdążył już zarezerwować dla mnie pół dnia zabiegów. Na zdjęciach widać było górę Fuji, otwartą przestrzeń oceanu i żaglówki, które zostawiały za sobą białe pociągnięcia pędzla na błękitnym płótnie wody. Wszystko mamiło doskonałością, w którą jednak ciężko było uwierzyć.

Yoshi zaparkował mercedesa i wyskoczył na deszcz, żeby otworzyć przede mną drzwi prowadzące do Hobgoblina, baru w Roppongi, pękającego w szwach od wieczornego tłumu składającego się prawie w stu procentach z gajjinów.

– Czego się napijesz, maleńka? Mleka? – drażnił się ze mną, podczas gdy ja szukałam wolnego stolika, lustrowana jednocześnie pożądlivym wzrokiem Anglików, których obecność sprawiła, że Yoshi szedł jeszcze bardziej dumnym krokiem niż zazwyczaj.

– To nawet niezły pomysł, Yoshi. Poproszę o baileys z mlekiem.

– Phi. Na wszystko masz odpowiedź – prychnął Yoshi.

Kiedy ruszył krokiem dumnym jak paw w stronę baru, sprawdziłam telefon. Miałam dwa nieodebrane połączenia od Noriego. Cholera. Od tygodnia nie dawał znaku życia i musiał wybrać sobie akurat dzisiejszy wieczór. Była dziewiąta. Pewnie zdążył już dotrzeć do klubu i zastanawiał się, gdzie się podziewałam. Muszę do niego zadzwonić, bo będzie wściekły. Kiedy więc Yoshi pojawił się z drinkami i wymknął się do toalety, szybko wybrałam numer. „Oby tylko Nori nie był w Greengrass”,

pomyślałam. Na szczęście nie był, ale bardzo chciał wiedzieć, dlaczego dopytywałam się, czy był w klubie.

– Jesteś na *dohan*? – gwałtownie wciągnął powietrze.

– Tak, ale...

– Och, e... rozumiem – Nori sprawiał wrażenie zdradzonego. – I dlatego nie ma cię w klubie, bo jesteś z innym klientem na *dohan*. Gdzie jesteś? – zapytał.

– Słuchaj, Nori, to nie ma znaczenia. Wiesz, że to po prostu część mojej pracy. To nic nie znaczy. Muszę chodzić na *dohan*, żeby zdobywać punkty, pamiętasz? Wiem, że wiesz o tym, więc proszę cię, nie denerwuj się – w słuchawce zapadła długa cisza.

– Okej – odetchnął głęboko. – To ja może przyjadę do klubu, żeby się z tobą zobaczyć.

– Może. Y... w porządku, ale czy możesz przyjechać później, za godzinę albo nawet później? Będę jeszcze miała *dohan*. On musi przeprowadzić mnie do Greengrass, a nie chciałabym... to może być kłopotliwe...

– Okej, przyjadę – powtórzył Nori. Oczami wyobraźni widziałam jego nadąsaną minę i te idiotyczne, natapirowane włosy.

– Tak, ale później. Obiecujesz?

– Y... tak, obiecuję – wyczułam w jego głosie jakąś dziwną nutę. – Później, kiedy będziesz wolna. Rozumiem – rozłączył się dokładnie w tej samej chwili, w której Yoshi wrócił z toalety.

– Ha, ha. Spójrz, *ma chérie*. Wszyscy się na mnie gapią, bo zastanawiają się, jakim sposobem zasłużyłem sobie na tak olśniewającą kobietę. Nigdy nie chodzę na te głupie *dohan*, ale dla ciebie mam to gdzieś. Dla ciebie wszystko. Nie chcę innych. Jutro będę spał, nie mam nic innego do roboty, jak tylko spotkać się z tobą. Zakochuję się. To uczucie, którego dawno nie miałem. Masz tyle wdzięku – szeptał słodko.

Widzicie, o co mi chodzi? Yoshi miał to wyćwiczone.

Dwadzieścia minut później, jak tylko Nishi zdążył posadzić mnie z Yoshim przy stoliku sąsiadującym z barkiem, do klubu wmaszerował Nori – zdecydowanie wcześniej, niż obiecał – ściskając w ręku torbę lekarską. Jego wzrok pomknął niczym strzała przez całe pomieszczenie, wbił się groźnym spojrzeniem w Yoshiego i pozostał tam niezauważony,

dopóki Nori nie pozwolił się posadzić, acz niechętnie, przy stoliku w kącie, tak że pozostawałam poza zasięgiem jego wzroku. Nie na długo. Wkrótce Nori zaczął tańczyć z Abie – nieczęsto spotykany widok – a chwilę później Soh przeniósł mnie do stolika Noriego. Kiedy usiadłam obok niego, wydawał się zadowolony z siebie.

– To twój *dohan*? – wyrzucił z siebie.

– To mój przyjaciel, Nori, nie twoja sprawa. Dlaczego przyszedłeś tak wcześniej?

– Y... chciałem się z tobą zobaczyć. Mam w samochodzie komputer – uśmiechnął się i z radością poklepał mnie po kolanie. A więc to szantaż. Co za podstępny truteń. – Tak się cieszę, że cię widzę. W tę niedzielę Fumio pojedzie z nami do Asakusy, a potem pójdziemy do restauracji podającej węgorki, a potem pokażę ci różne miejsca w Tokio...

– Przykro mi, Nori, ale nie dam rady w niedzielę. Mam już inne plany. Nie odzywałeś się przez cały tydzień, więc myślałam, że jednak nie jedziemy.

Noriemu opadła szczęka. Z płuc uszło mu powietrze, w języku karaoke powiedzielibyśmy, że dostał „postrzał w serce”, ale zanim zdążyłam na własnej skórze odczuć jego reakcję, pojawił się Soh i zabrał mnie z powrotem do Yoshiego. Kiedy znowu usiadłam przy stoliku Noriego, oznajmił mi sztywno, że musi już iść, zapłacił opiewający na 500 dolarów rachunek i z ponurą miną pozwolił odprowadzić się do drzwi, nie wydobywszy z siebie praktycznie ani słowa.

Kiedy zostałam sama na korytarzu, nagle ogarnęły mnie wyrzuty sumienia za to, że tak brutalnie pozbawiłam Noriego nadziei. Był moim stałym, hojnym klientem i pomimo mrocznych dziwactw, które od czasu do czasu wypływały w naszych rozmowach, całkiem nieźle się ze sobą dogadywaliśmy. A poza tym, choć z oczywistych przyczyn nie wręczył mi go tamtego wieczoru, Nori faktycznie kupił mi laptop, o który go prosiłam – co prawda wcale tak naprawdę nie potrzebowałam komputera, ale potraktowałam tę prośbę jako test. A teraz głupio się z tym czułam. Przywary Noriego miały młodzieńczy charakter, ale on sam był przecież inteligentnym mężczyzną. Czy to ja się pomyliłam, czy też nie zdołaliśmy się porozumieć? Prawdopodobnie zastanawiałabym się dłużej nad naszymi wzajemnymi relacjami, gdyby nie to, co chwilę później zrobił Yoshi.

Kiedy tylko znalazłam się ponownie na jego orbicie, poprosił, żebyśmy

zaśpiewali karaoke. Myślałam, że żartuje. Wydawało mi się, że taki gość jak on nie będzie zawracał sobie głowy takim głupstwem. Ale wtedy on przykleknął na jedno kolano. Powiedziałam mu, żeby przestał. Jedną ręką trzymał mikrofon, a drugą ujął mnie za dłoń. Zaczęłam się śmiać i wciąż się śmiałam, kiedy zaczął śpiewać, ale chwilę później zamilkłam.

Przez cztery i pół minuty Yoshi patrzył mi prosto w oczy, trzymał mnie za rękę i wyśpiewywał tekst *Right Here Waiting*, jak gdyby sam wymyślił tę serenadę. Był seksowny i czuły. Totalnie mnie zatkało. Yoshi sprawił, że Richard Marx spalił się ze wstydu.

– Zaczekam na ciebie – dodał, gdy wybrzmiała ostatnia nuta. – Ale nie za długo, okej? Jestem mężczyzną, pamiętaj. Dwa lata maksimum, ale może sześć miesięcy, jeśli będę grzeczny. Kiedy wyjedziesz do Kanady, nie wytrzymam, bo będziesz za oceanem. Pojadę tam. Zapytaj rodziców, czy zgadzają się, żebyś miała paskudnego chłopaka. Poważnie, dla ciebie wszystko, ale tylko jedno pytanie. Zabukowałam największy apartament, żebyś mogła spać na drugim końcu pokoju, ale kiedy będziemy w hotelu, mogę mówić, że jesteś *ma chérie*?

– Okej – zaśmiałam się. – W porządku, Yoshi. Możesz tak mówić – tyle mogłam mu obiecać.

– Kiedy wrócisz z Kanady, będę dumny. Przedstawię cię znajomym. Jesteś trudna i dlatego cię lubię, ale wiem, za sześć miesięcy będziesz moją dziewczyną. Nie prosiłem o ciebie, kiedy wróciłem – gładko skłamałem – ale po prostu tam siedziałaś. Jesteś mi przeznaczona. Miłość jest dobra. Nawet miłość bez wzajemności. Kiedy pojechałem do Chicago, myślałem tylko o tobie. Myślałem, rety, naprawdę ją lubię, ale ona mnie nie lubi. Dzisiaj było drogo, 380 dolarów kolacja, 490 Greengrass, ale to żaden problem. Nigdy nie chodzę na głupi *dohan*. Nishi powiedział: „Yoshi, dobrze się czujesz?”. Tak! Jestem taki szczęśliwy! Wcześniej myślałem, że nigdy mnie nie polubisz, ale teraz jedziemy na wysepkę. Hotel jest bardzo zatłoczony, ale wysepka jest cicha. Możemy chodzić na spacer...

– Weź ze sobą aparat – przerwałam mu.

– Będę musiał wziąć z biura.

– Ja nie mam aparatu.

– Okej, nie martw się, kochanie. Oczywiście podaruję ci aparat. Dla ciebie wszystko.

Oto okrutnie obciążające słowa dla kogoś, kto zajadle bronił się przed

etykietką „tatuśka” – takiego, którego mamusia budziła w weekendy i prała jego bieliznę.

O pierwszej w nocy odprowadziłam Yoshiego do drzwi. Spędziwszy ze mną sześć godzin, stwierdził, że zmęczyłam go i potrzebuje snu, ale w końcu był piątek wieczór, więc może po prostu miał ochotę przenieść się do innego klubu. Chyba wołałam, jak uganiał się za łatwymi Rosjanami, niż gdyby jego uczucie do mnie było prawdziwe. Moje serce by tego nie zniosło.

Siedząca przy stoliku szefostwa Karolina nie mogła pogodzić się z tym, że następnego dnia miała lecieć do Polski, żeby skończyć studia. Ciekawiło mnie, czy znała Yoshiego. Wystarczyły trzy słowa, żeby zrozumiała, o kim mówię: obrzydliwie bogaty Superman.

– O mój Boże, Yoshi, prawda? Nosi takie małe okulary i wszystko ma takie stylowe, Gucci i w ogóle. Jest przystojny, nie uważasz? I seksowny. I niewiarygodnie arogancki. Był tu dzisiaj? Nie widziałam go.

– Ta... – zignorowałam jej pytania. – Co o nim wiesz?

– Zanim z moją koleżanką Minką pojechałyśmy do Tajlandii, Yoshi był jej klientem. Ten facet jest totalnie uzależniony. To znaczy, uzależniony od hostess. Raz przytapałyśmy go w windzie po tym, jak już wyszedł z Greengrass po spotkaniu z Minką. Jechał do Republik, tego rosyjskiego klubu, ale udał, że wraca po coś, co zostawił z klubie.

A-ha! Tak jak myślałam.

Wiesz, że twoje życie nigdy już nie będzie takie samo, jeżeli najbardziej romantyczne chwile przytrafiły ci się w tokijskim hostess-klubie. Zniechędziłam za to Yoshiego. Dziewczęce marzenia, lalki Barbie, książniczki i tak dalej, wiedziałam o tym, ale choć nie potrafiłam mu uwierzyć, choć nie akceptowałam tego, co się działo, to i tak, kiedy Yoshi zaśpiewał dla mnie tę piosenkę, z trudem powstrzymałam łzy. Jak duże, naiwne dziecko. Może i szumiało mi w głowie od nadmiaru czerwonego wina, i może poddałam się czułym słówkom mistrza Casanovy, ale kiedy Yoshi wziął mnie za rękę, klęknął na podłodze w tych swoich spodniach od Prady i zaśpiewał pięknym głosem, było to tak cudowne, że miałam wrażenie, jakby świat się dla nas zatrzymał. W hollywoodzkim filmie ła-



twowierne młode dziewczę zakochałoby się w tym momencie w magnacie milionerze, któremu nie potrafiłoby się oprzeć mimo jego wad. Ale ja dobrze znałam samą siebie.

Gdyby życie faktycznie miało okazać się bajką, chwyciłabym byka za rogi w jednej chwili. Skoczyłabym głową w dół, nie oglądając się za siebie. Ale po bajce nie było śladu. Obietnica była uludą.

Fundamentem tego zadziwiającego kulturowego fenomenu była iluzoryczna konstrukcja oparta na grze dymu i luster. „Związek” pomiędzy klientem a hostessą zasadzał się na obietnicy niemożliwego, był zamkiem na piasku, iluzją, fantazją, która nigdy nie miała się ziścić.

I wiecie co? Rozczarowanie to zbyt małe słowo na opisanie uczucia, które przychodzi wraz ze zrozumieniem, że z tak doskonałych okoliczności przyrody nie może wyniknąć nic szczerego i prawdziwego. Ale mimo wszystko odzyskałam wiarę w ludzkiego ducha i jego zdolność do dawania miłości. Bo nieważne, jak bardzo masz popierdolone życie, twoja ludzka dusza potrafi wykrzesać odrobinę czystej, choćby i ulotnej, miłości. To wspomnienie jeszcze nieraz mnie ocali. Choć tak naprawdę wcale go nie pragnęłam, to jednak dało mi coś, co będę pielęgnowała już na zawsze. Oto paradoks życia.

Za każdym razem, gdy słyszę tę piosenkę, serce mi łka.

Drań.

Kiedy o wpół do czwartej nad ranem w końcu dotarłam do domu, mokra, pijana i wykończona, Matt wciąż jeszcze nie wrócił z pracy. Widocznie musiał harować do późna. Ale nie odbierał telefonu. Super. Naprawdę go teraz potrzebowałam. Chciałam, żeby zadziałał jak mój prywatny wentyl bezpieczeństwa. Chciałam go zobaczyć, poczuć go i ucześcić się tego, co prawdziwe. Dziś wieczorem miałam aż nadto wrażeń.

Miałam zamiar poszukać go, odtwarzając trasę, którą zwykle wracaliśmy razem do domu, ale zanim znalazłam parasol, zadzwonił Nori z Jokohamy, ponury i wściekły.

– Teraz nie jestem dobry i nie mam dobrych uczuć, i nie dzwonię do ciebie – burknął posępnie. Zdjęłam buty i włączyłam telewizor na kanale meteorologicznym. Dziennikarz w jaskrawym, żółtym sztormiaku zmagił się z huraganowym wiatrem, a mapka w rogu ekranu pokazywała trasę tajfunu.

– Dlaczego? Co się stało? – zapytałam niewinnie. – Nie rozumiem.

– Nie wiesz? – warknął Nori. – Niedziela! Przyjechałem do Tokio, żeby ustalić z tobą plany na niedzielę. To wszystko. Chciałem się z tobą zobaczyć w niedzielę – dodał ciszej.

– Słuchaj, Nori, nie możesz oczekiwać, że rzucę wszystko, kiedy nagle zadzwonisz po tygodniu. Mówiłam ci, że mam już plany na niedzielę, których nie mogę zmienić. Przykro mi.

Dziennikarz wyglądał na nie mniej zmarnowanego ode mnie. Wrzeszczał bez przerwy: „*Tsunami desu yo!*”, a towarzyszący mu wykres pokazywał liczby ponad zarysem linii brzegowej niziny Kantō: 0,4–4 metry, 7–10 metrów.

– Tak, ale możesz je zmienić – nalegał Nori. – Dla mnie.

– Nie. Nie mogę. Muszę pojechać w pewne miejsce. – 5,5–7 metrów.

– Co? – wrzasnął gniewnie Nori.

– Powiedziałam, że mam plany, nie słyszałeś? – Spojrzałam za okno i zobaczyłam, że zerwał się wiatr. Czerwone kółeczko na mapie pogodowej znajdowało się u samych wybrzeży Japonii.

– Ale...

– Żadnego „ale”, Nori. Jestem zajęta. – Cisza. Shinkansen nie jeździł. Zawieszono wszystkie loty. Nie zanosilo się na to, że za trzydzieści godzin uda nam się z Yoshim popłynąć łódką na wysepkę. – Wszystko okej? – zapytałam.

– NIE. Nie okej!

– Nie możesz zabrać ze sobą jednej z przyjaciółek Fumio?

– Nie! Tylko ty – rzucił desperacko. – Dlaczego nie możesz zrozumieć?

Nie było czego rozumieć. To on wszystko zepsuł. Jego zachowanie było żałosne i kto jak kto, ale Nori powinien był o tym wiedzieć. Nigdy nie powiedziałam czegoś, co mogłoby dać mu złudną nadzieję. Odgrywałam po prostu uczciwie swoją rolę. To on wszystko zepsuł.



## Szalone Kioto



Był szary niedzielny poranek. Yoshi podjechał spóźniony pod oddział Citibanku w Hiroo. Kiedy go zobaczyłam, zeskoczyłam z wielkiej żardiniery, na którą wspierałam się wcześniej, i pobiegłam, stukając obcasami po mokrym asfalcie, przebijając się przez ruch uliczny, do jego samochodu.

– Dzień dobry, *ma chérie*! Jak się masz? – Posłał mi promienny uśmiech. Rzuciłam torbę obok walizki z logo Louisa Vuittona, która spoczywała na tylnym siedzeniu nieskazitelnego mercedesa.

– Po prostu zabierz mnie do tego spa – zaśmiałam się. – Spałam tylko godzinę i czuję się jak wrak. – Yoshi był za to pełen energii. Ubrał się w czarnego Gucciego i Pradę. Włączył Norah Jones. Spojrzał na zegarek. A potem, kiedy pędziliśmy pustymi ulicami Roppongi, niby od niechcenia rzucił:

– Musimy dotrzeć na dworzec do dziesiątej. Tajfun zniszczył wysepkę, więc pojedziemy do Kioto.

– Nie ma mowy, Yoshi – zaprotestowałam bez emocji. – Nie jedziemy do Kioto. – Ale on tylko uśmiechnął się szeroko. Wyprostowałam się w miękkim, skórzanym fotelu. – CO? Mówisz poważnie? Nie, nie może być. Serio? O mój Boże. Kioto? Yoshi! Żartujesz sobie! Jak to się stało, że zamiast na wyspę jedziemy do Kioto?

Uśmiech Yoshiego sięgał już od ucha do ucha.

– Wczoraj wieczorem zadzwonili z hotelu i powiedzieli: „Wysepka mocno uszkodzona, więc odwołujemy wszystkie rezerwacje”. Zadzwoniłem do znajomego w Kioto i on wszystko dla mnie załatwił.

– Ale mamy długi weekend. W Kioto będą tłumy!

– Wiem. Nie martw się. Masz szczęście, dziewczyno. Mój znajomy potrafi dużo załatwić – ładny hotel, niezłą kolację. Wyluzuj! Spodoba ci się. Prześpij się, *ma chérie*, wyglądasz na zmęczoną. Obudzę cię, jak dojedziemy na dworzec.

Zdaję sobie sprawę, że w tym momencie większość ludzi zapragnęłaby jak najprędzej wysiąść z samochodu Yoshiego, ale muszę przyznać, że pomysł urwania się do Kioto – ot tak, na zasadzie chwilowego kaprysu – wydał mi się wyjątkowo ekscytujący. To było japońskie miasto snów, dusza kraju i czy mógł istnieć lepszy sposób na doświadczenie go, jeśli nie z Yoshim? Do diabła, czemu nie?

Spędzenie nocy – czysto platoniczne – z klientem milionerem stanowiło w pełni akceptowalny element relacji na linii klient–hostessa. Abie pojechała do Kioto z Dziadziem, a Karolina wielokrotnie wyjeżdżała z Shinem do Hakone i Chiby, więc sam pomysł takiej eskapady nie stanowił dla mnie problemu. Cztery tygodnie temu sama myśl, że miałabym wsiąść do auta klienta, napędziła mi totalnego stracha, ale od tamtej pory coś się zmieniło. Pojawiła się trzynasta żarówka. Ale było coś jeszcze: zaufałam Yoshiemu. Połączyła nas zażyłość.

Taka, która łączyła też mnie i mężczyznę, którego kochałam najbardziej na świecie: Matta.

Nieprzypadkowo spotkałam Matta akurat w tym okresie mojego życia, kiedy na chwilę opuściłam gardę. Miałam siedemnaście lat, wskoczyłam w hedonistyczny wir eksperymentów z narkotykami, pić, brakiem snu przez kilka dni. Ekstremalna imprezowiczka. Wpadłam w sieć zarzuconą przez Matta, któremu przypadła rola samca alfa w moim stadzie, a przynajmniej wszystko na to wskazywało. Pokazał mi pieniądze i zgiełk wielkiego świata. Rozpieszczał mnie i otaczał troską – czymś, czego nigdy nie zaznałam w małomiasteczkowej Kolumbii Brytyjskiej ani nawet w Tokio, Paryżu, Cascais, ani w ogóle w żadnym z tych miejsc, do których zawędrowałam w mojej lekkomyślnej pasji podróżowania.

Potem odnalazłam równowagę i wtedy bardzo się do siebie zbliżyliśmy. Wiedziałam, że ponieważ łączyła nas z Mattem silna więź, podróż z Yoshim do Kioto nie mogła w żaden sposób jej zagrozić. Ale z drugiej strony, oto byłam cała ja – choć nie chciałam przyznać się do tego – dryfująca ku brawurowemu stylowi życia, nie tak wcale różnemu od tego, z którego wyrwał mnie Matt, podstępem przyciągając moją materialistyczną uwagę. Myślałam, że mam to już za sobą, ale ciemna strona mocy

bywa nieodparcie kusząca, jeśli pozwolisz porwać się jej urokowi – albo może raczej: jeśli pierwszy raz niczego cię nie nauczył.

Przez ostatnie kilka tygodni żyłam w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa. Postanowiłam przedzierzgnąć się z powrotem w tę niemal archetypiczną dziewczynę z prowincji – przynajmniej na tyle, na ile pozwalał mi status kobiety zamężnej – i pozwolić, by rozplywano się nad moimi zaletaniami, adorowano mnie, pożądaną i komplementowaną sześć wieczorów w tygodniu. Początkowo uznałam, że to okropne, potem poczułam się z tym niezręcznie, a wkrótce zaczęłam czerpać z tego przyjemność, potem pławić się w tym, aż w końcu – zupełnie jak co druga dziewczyna w tokijskim hostess-klubie – doszłam do wniosku, że przecież na to zasługiwałam. Bingo! Garda w dół.

Wtedy pojawił się Yoshi i poświęcił mi uwagę akurat wtedy, gdy poczułam się otoczona mężczyznami, z którymi nie potrafiłam się porozumieć. Yoshi rozsiewał dokoła feromony samca alfa, wręcz cuchnął nimi, a ja – z moim osłabionym systemem obronnym – dałam się ponieść fali. Gdziekolwiek indziej, w dowolnym czasie, nietrudno byłoby się go pozbyć, ale Yoshi to był ktoś – gość, który mógłby od ręki kupić sobie egzemplarz odrzutowca z wykończeniami na zamówienie. Miał do dyspozycji miliony, które podawał mi na srebrnej tacy. Naprawdę, wszystkie, czysto hipotetycznie, albo i nie. Bo, kurna, wiedział, co powiedzieć.

Kiedy śmigasz z prędkością dwustu pięćdziesięciu siedmiu kilometrów na godzinę w przedziale pierwszej klasy pociągu jadącego do Kioto, twoje źrenice muszą dostosować się do niewiarygodnego tempa podróży, choćby po to, byś mogła podziwiać krajobraz za oknem. Policz do jedenastu i... o! przejechaliśmy kilometr. Licz dalej, a Yoshi pokaże palcem swoją cenną wysepkę, majaczącą gdzieś na horyzoncie, a potem zamówi kawę dla ciebie i kanapki dla siebie. Tysiąc osiemset – przełykasz mocną kawę. Tysiąc osiemset jeden – on przeżuwa ostatni gryz. Sto trzydzieści kilometrów dalej Yoshi chrapie ci głośno tuż nad uchem. Zauważasz, że buty od Gucciego, których używa do jazdy samochodem, zamienił na czarne zamszowe mokasy. Najchętniej poszłabyś spać, ale wszystko to wydaje ci się tak nierealne, że nie możesz zmrzyć oka – boisz się, że obudzisz się z tego snu, a tego byś nie chciała. Choć powieki opadają ci raz

za razem, trzymasz się dzielnie, a shinkansen powoli wyłania się z porośniętych gęstą zielenią gór i wtacza do doliny Kioto.

Wychodzisz ze stacji i wita cię trzydzieści stopni Celsjusza w cieniu. Ptaszki świergołą, pot spływa spod pach. Dostrzegasz długą kolejkę taksówek, ale Yoshi ciągnie cię za rękę, aż docieracie do czarnego mercedesa, który tylko na was czeka. Ten facet nawet nie korzysta z normalnych taksówek.

Czujesz się bogata i sławna, a wszystko przez to, jak ludzie na ciebie patrzą, kiedy jesteś z nim, i z powodu galanterii, z jaką cię traktuje. Wasze auto płynie z prądem niespiesznego ruchu ulicznego. Yoshi pokazuje hotele: ten jest najdroższy – zatrzymał się w nim ostatnim razem – w tym chciał, żebyście zamieszkali, ale wszystkie miejsca były zajęte. Chce zrobić na tobie wrażenie, w końcu jesteś jego *chérie*. Hipotetycznie.

A gdzie się podziało liczenie? Osiem tysięcy sto, osiem tysięcy sto jeden. Gawędzi o czymś z kierowcą w języku, który nadal jest dla ciebie czarną magią, a ty patrzysz przez szybę, jak przepływa obok ciebie kolejne miasto z betonu.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć, kiedy boy hotelowy w pośpiechu otworzył mi drzwi samochodu i podał pomocną dłoń w rękawiczce. A potem Yoshi wziął mnie pod rękę i wkroczyliśmy po królewsku do lobby hotelu Nikko Princess Kyoto z okularami przeciwsłonecznymi na nosie i dumnie wypiętą pierśią, pod ostrzałem spojrzeń i szeptów. Podczas gdy Yoshi zajął się regulowaniem słonego rachunku za apartament na piętnastym piętrze, ja trzymałam się z boku, przeglądając ofertę sklepu z upominkami i podziwiając perfekcyjnie gościnnych pracowników recepcji. Nadal nie odezwałam się słowem, kiedy boy zaprowadził nas do windy, a potem korytarzem. Wybuchnęłam śmiechem dopiero wtedy, gdy zamknął za sobą drzwi.

– O mój Boże. Ten apartament jest wielki! Myślałam, że zarezerwowałam go w ostatniej chwili.

– E... to pokój o niższym standardzie – poskarżył się Yoshi, otwierając francuskie drzwi oddzielające salon od sypialni. – Nie w moim stylu, ale co robić? Przynajmniej masz oddzielne łóżko, *ma chérie*.

Owszem, a do tego łazienkę większą niż całe moje mieszkanie w Hiroo – to, w którym Matt w tej chwili spał, najpewniej wepchnąwszy

pod głowę moją poduszkę. Będę musiała do niego zadzwonić, żeby mu powiedzieć, że nie jestem na wyspie, ale w Kioto. Nie chciałam go budzić. Matt, biedactwo, potrzebował snu i nie było sensu dodawać mu niepotrzebnych zmartwień. Do ostatniej chwili wołał, żebym nie jechała. Wziął prysznic w ciszy i położył się do łóżka, a ja spakowałam świeżą zmianę ubrań i rzeczy osobiste. Smutno mi się zrobiło, kiedy musiałam zabrać swoją szczoteczkę do zębów, która w łazience leżała obok jego szczoteczki, ale cóż, on pewnie nawet nie zauważyłby czegoś tak nieistotnego.

Usiadłam na brzegu materaca i pocałowałam go na do widzenia. Spojrzał na mnie tymi swoimi oczami i powiedział:

– Uważaj na siebie. Kocham cię.

Roześmiałam się i odparłam:

– Nie martw się. Zadzwonię do ciebie z wyspy. Kocham cię, starszku.

A teraz zamierzałam zadzwonić do niego z Kioto, ale dopiero o piątej, kiedy wstanie i będzie szedł do pracy w Roppongi.

– Chelsea... ej, Chelseeeeeeeeee. – Spojrzałam na Yoshiego, który stał w drugim końcu pokoju. – Pozwól, że przebiorę się w coś wygodniejszego. Potem pójdziemy na Ogurę, piękne wzgórze w północno-zachodnim Kioto, gdzie jest wiele kapliczek i świątyń. Pierwsze z mnóstwa miejsc dla ciebie. Spodoba ci się – zamruczał Yoshi, a kiedy zamknął za sobą drzwi, opadłam na kanapę i włączyłam telewizor na kanał NHK, czekając aż Yoshi-przewodnik będzie gotów do drogi.

Mówi się, że w Japonii Bóg objawia się w szczegółach. To coś, co ogromnie lubię u Japończyków. Choć są najszybciej rozwijającym się, najbardziej technologicznie zaawansowanym narodem na planecie, zachowali wrażliwość na duchową energię świata natury. Zdołali połączyć codzienną egzystencję w dwudziestym pierwszym wieku z poszanowaniem boskości. To bardzo poetycki sposób życia.

Wspinając się w ślad za Yoshim po schodach prowadzących do świątyni Nenbutsu-ji, mogłam powiedzieć: „Bóg jest w promieniach słońca, które padają na osiem tysięcy kamiennych buddów” – i miałabym rację. Albo mogłam być bardziej konkretna i rzec: „Bóg jest w złożonej prostocie świątyni Ghi-ohji”, do której udaliśmy się w następnej kolejności, i to też byłaby prawda.

Rzecz polega na tym, że piękno się wchłania. Są miejsca na ziemi, w których owa absorpcja przebiega z trudnością, ale w Kioto to niemal najprostsza rzecz pod słońcem. W chwili, gdy przekraczasz próg świątyni lub kapliczki, czujesz fale spokoju, które przenikają każdą belkę i każdy kamień, aż wreszcie każdy twój krok i oddech stają się częścią medytacji.

Obečne Kioto zaledwie w drobnym ułamku przypomina miasto sprzed wieków, ale podziwiając je, nietrudno domyślić się, dlaczego podczas drugiej wojny światowej alianckie bombowce łaskawie je oszczędziły. Nawet wrogowie uszanowali Kioto.

Ja również odnalazłam szacunek – dla Yoshiego. Stało się to, kiedy wędrowaliśmy po bambusowym lesie i brzegiem rzeki Oi. Za każdym razem, gdy na niego spjrzałam, dostrzegałam coś nowego. Tutaj, gdy był otoczony historią swoich przodków, gdy wędrował pośród duchów, bóstw i królewskiego piękna tej krainy, nietrudno było zorientować się, że wreszcie, choć raz, Yoshiego przepełniał spokój.

– Cześć, staruszku, to ja. No, wszystko okej. Jestem w Kioto. Tylko nie bluzgaj. Wysepkę uszkodził wczorajszy tajfun, więc Yoshi zmienił plany. Pojechaliśmy shinkansenem. Ychy. Tak, wiem. Daj spokój, chyba wiem, co robię. W porządku. Masz długopis? Zatrzymaliśmy się w hotelu Nikko Princess Kioto w pokoju numer 1015. Numer telefonu: 75-342-2111. Tak, będę na siebie uważała. Wiem. Tak, to też wiem. Okej. Też cię Kocham. Ychy. Okej. Cmoook. Zadzwoń rano.

– O Boże, ja tego nie zjem. Czy to jest jeżowiec? To jest jeżowiec, prawda?

– Daj to, *ma chérie*, ty rozpuszczony bachorze. To japoński przyśmak – Yoshi zgał mnie gniewnym spojrzeniem.

Przesunęłam talerz w jego stronę. A niech sobie je. Przeszło mi gładko przez gardło już tyle arcydzieł japońskiej sztuki kulinarnej, że jeszcze jedno morskie stworzenie pewnie niczego by już nie zmieniło, ale może nie tym razem. Wino zabiłoby posmak oślizgłego żyjątko, ale cóż, wina też już miałam dość. Z niewyobrażalnym wysiłkiem weszłam w szpilkach po schodkach i udałam się do damskiej toalety, gdzie, sam na sam z odbiciem w lustrze, walnęłam sobie wykład: „Koniec z winem.



Słyszysz? Ledwo chodzisz, cholerna kretynko”. Ale kiedy wróciłam do naszego stolika w kącie, okazało się, że tymczasem kelner zdążył napełnić mój kieliszek.

Byłam pod wrażeniem Yoshiego. To nawet nie była ekstrawagancja, a czysta, wystawna rozpusta, która na nim praktycznie nie robiła wrażenia. Subtelny efekt jego galanterii: ani razu nie odczułam, że naciska; niczego nie insynuował, nie sondował, nie żądał; nie przekroczył granicy relacji klient–hostessa; nawet nie zapytał o nic wprost. Zresztą, mówiąc uczciwie, od dnia naszego pierwszego spotkania Yoshi nigdy nie zadał mi żadnego osobistego pytania, a ja odwdzięczałam mu się tym samym. Czerpaliśmy po prostu przyjemność z własnego towarzystwa, nie zwracając sobie głowy szczegółami, które cementują prawdziwy związek. Być może na tym właśnie polegał klucz do bycia hostessą i niezatrącenia się w tym wszystkim: być jak światła Kioto – piękną, ale jednocześnie jak za mgłą, niewyraźną, przemykającą jak czerń miejskiej nocy. Nigdy do końca niepoznaną.

– Kurwa, to była piękna kolacja. Przepraszam, czy właśnie przeklełam? Nie lubię przeklinać.

– Jebać to, rób co chcesz – odparł Yoshi. – Rób, na co masz ochotę. O Boże. – Uniósł głowę i spojrzał w niebo ponad hotelem. – Ależ jestem pijany.

Ja też, pomyślałam, ale nie odezwałam się.

Przyjemnie upojeni wcisnęliśmy się w kąć windy. Dostrzegłam swoje odbicie w lustrze. Wyglądałam na zadowoloną, zaspokojoną – ale nie w sensie: „niegłodną”.

Piętnaście piętér wyżej drzwi windy otworzyły się. Ruszyliśmy wolnym krokiem. Zatrzymałam się, żeby powąchać bukiet świeżych kwiatów wstawiony do wazonu na korytarzu. Yoshi nie obejrzał się za siebie. Przekręcił klucz w zamku. Po cichu zamknęłam za nami drzwi naszej krypty.



## Powrót do Tokio



Zobaczyłam jego ciemne źrenice schowane za dwiema cienkimi szczelinami powiek. Ich powierzchnia była matowa, choć żarówka w żyrandolu świeciła jasnym światłem. Zresztą każda powierzchnia sprawiała takie wrażenie: stolik między nami, jego koszula, moja koszula. Nawet powietrze było mętne.

Przeniosłam spojrzenie na wielki, porzucony talerz sushi, a potem na drugi, pozostawiony przez kelnerkę w skarpetkach *tabi*, która bawiła się w „a kuku” z szerokim brzegiem jej kimona. Szur szur – to jej drewniane sandały. Szur szur – białe palce jak u ninja. Nie zapamiętałam jej twarzy, ani też nie posłałam jej uśmiechu. Powoli sączyłam gorącą ocha i marwiłam się tylko o to, żeby w filiżance nie zabrakło zielonej herbaty.

Żadne z nas się nie odzywało, a jeśli już, to tylko po to, by poinformować to drugie, jak bardzo było się sennym. Wpatrywałam się w moją ocha. Czułam się, jakby nie było przyszłości ani przeszłości, a jedynie surowa pustka, w której unosiłam się w stanie nieważkości.

Oczywiście, że ów poranek miał swoją historię. Historię, w której byłam ja i w której był on, historię przetykaną mętным kalejdoskopem ziarnistych przebitek, niczym zaniedbany, wyświetlany zbyt wiele razy niemy film.

Zanim wstaliśmy, godzinami wpatrywałam się w ciemność, słuchając Yoshiego, jak zasypiał zrywami, i myśląc, czy aby nie umarł. Połówka *valium* leżała nietknięta na szafce nocnej. Zasnęłabym, gdybym ją połknęła, ale bałam się. Nagle w prosty, dziecinny sposób przestraszyłam się przyjęcia lekarstwa od obcego.

Leżałam bez ruchu pod kołdrą, regularnie przywołując w pamięci twarz Matta i rozmyślając nad moją miłością, wiedzą i zależnością od niego – tego, który powstrzymał mnie przed wpadnięciem do dziury, której dna wolałam nie zobaczyć. Czułam ucisk w piersi. Oddychałam z trudem. W każdym razie nie był to normalny oddech. Wyzbrałam się myśli, uczuć, obaw i bólu poza jednym światełkiem, które przesączało się przez niezgłębiane ciemności i usiłowało opanować moją duszę: kochałam go. Matta. To było najwspanialsze uczucie, jakie kiedykolwiek stało się moim udziałem. Jedyne, najprawdziwsze.

I wtedy zaczął się powrót do rzeczywistości. Musiałam użyć wszystkich środków, żeby nie stracić z nim kontaktu, wrócić do niego, do tej latarni, dzięki której opierałam się falom oceanu i zdradzieckim skałom. Nie było łatwo. Nie było łatwo oprzeć się pokusie utonięcia w tej ciemności, która zamykała się nad moją głową. Ale zwyciężyłam ją miłością, a gdzieś w środku dostrzegłam pozostałości chemicznego wspomnienia, które wypaliło mi żyły i wciąż tliło się długo po tym, jak ogień raptem zgasł.

Była sobie karta kredytowa. Nie czarna, taka pokryta pyłem. Później wylizał ją do czysta. Były dwie kreski. Zrolowany banknot tysięcjenowy. On miał jeden i ja miałam jeden. Aż mnie zatkało. Skróciło mi oddech i zamieniło tlen w kontrolowaną linię ratowniczą, której z ledwością mi starczało. To nietypowe, pomyślał. Moje trudności z oddychaniem. Przyniósł mi coś do picia. Opróżniliśmy minibarek. To był mój jedyny problem. Jedyny problem. Kurwa mać, czy kiedykolwiek było tak, że nie miałam żadnego problemu?

I była druga kreska z górką, jeszcze większy zestaw cząsteczek  $C_{17}H_{21}NO_4$ , tak doskonale matematyczna, klarownie zawieszona, tak zażebicie zajebista w krwiobiegu. Kokaina.

Zawartość następnej dilerki o śmiesznym kształcie. A potem trzeciej. Yoshi nie mógł uwierzyć, że to mój pierwszy raz.

Kiedy rozległ się dźwięk budzika, udałam, że przespałam te wszystkie godziny, choć tak naprawdę nie potrafiłam powiedzieć, dokąd zawędrowałam. Udawałam, że byłam wypoczęta, udawałam, że wszystko było okej

i że śniły mi się spokojne pola pełne kwitnących diazepamowych kwiatów, ale w rzeczywistości czułam się jak wydrażona. Miałam wrażenie, że moje gałki oczne wychudły. To samo zęby, które wyszczerzyłam na widok odsłaniającego okno, pogwizdującego Yoshiego.

Wziął prysznic. Potem ja wzięłam prysznic. Otworzył drzwi. W ostatniej chwili zreflektował się i cofnął, żeby sprzątnąć ze stolika. Niczym dwa zombie, napiliśmy się kawy w lobby, a potem pojechaliśmy taksówką do starej jak świat Świątyni Czystej Wody, Kiyomizu-dera, która, przypchnąwszy na okalających Kioto wzgórzach, z wysokości czuwała nad miastem.

Kiedy tłumy zwiedzających zaczęły nas już drażnić, uciekliśmy w puste, wąskie uliczki, przy których wznosiły się niewielkie, drewniane budynki. Yoshi tłumaczył mi dyskretne, ręcznie kaligrafowane szyldy ukrytych restauracji i pubów.

Znalazłam na tych wijących się ścieżkach kocich łbów pewien kojący spokój, który zrodził się w tym miejscu przed wiekami. Obydwoje to poczuliśmy. Yoshi powiedział, że wyglądałam, jak gdyby moje miejsce było w Japonii, a ja nie dopytywałam się, co miał na myśli. Nagle znów miałam wrażenie, że występuję w filmie. Pod wysokim, czerwonym *torii* starej kaplicy, na wystawie zakładu krawca i w każdej alejce szukałam gejszy, kobiety będącej raczej złudzeniem niż istotą z krwi i kości, ale bez względu na to, jak usilnie starałam się ją odnaleźć, ona pozostawała tak samo nieuchwytna jak jej sztuka. Być może powinnam jedynie spojrzeć na własne odbicie, dostrzec samą siebie gestykulującą z manierą, której próżno było szukać jeszcze dwa miesiące temu, zadowoloną z bycia u boku mężczyzny imieniem Yoshi, śmiejącą się, milczącą i patrzącą tak, że można by o tych gestach napisać słownik.

– Gdzie w Hiroo? – zapytał Yoshi, torując nam drogę w nieskończonym labiryncie tokijskiego dworca.

Gdzie w Hiroo? Czekałam na to pytanie. Bałam się go. Nie chciałam, żeby Yoshi wiedział, gdzie mieszkalam – popełniłam już ten błąd w przypadku Noriego. Mogłam powiedzieć, że blisko supermarketu, a potem wymyślić jakieś wytłumaczenie, że, nie wiem, muszę po drodze kupić proszek do prania. Zabrzmiałoby to głupio i wiedziałam, że Yoshi natychmiast by się zorientował, gdybym próbowała kręcić. No, ale co niby

miałam powiedzieć? Właśnie odwoził mnie do domu, więc musieliśmy dokądś pojechać.

- Znasz National... – zaczęłam, ale Yoshi od razu mi przerwał.
- Supermarket National obok stacji Hiroo. Znam, spoko – i tyle.

Kiedy przejeżdżaliśmy przez Roppongi, zamknęłam oczy i zasłoniłam uszy, na co Yoshi roześmiał się na cały głos. To miejsce to nie jestem ja, chciałam powiedzieć, ale słowa okazały się niepotrzebne. To miejsce to również nie był Yoshi. Kiedy położył rękę na mojej dłoni, nie cofnęłam jej. Leżała sobie spokojnie. A ja siedziałam bez ruchu. Deszcz padał leniwie na przednią szybę.

Kilka minut później jechaliśmy powoli wzdłuż zalesionego parku Ari-sugawa w kierunku supermarketu National.

- Dobra, gdzie chcesz wysiąść? – zapytał Yoshi.
- Gdziekolwiek.

Zapaliło się akurat czerwone światło. Yoshi trzymał obydwie ręce na kierownicy. Pochyliłam się i pocałowałam go w policzek. Zamknął oczy.

- Okej, do zobaczenia, Yoshi. Zadzwońię do ciebie.

Złapałam torebkę i wyskoczyłam prosto na jezdnię. Pobiegłam dookoła auta, przeskoczyłam barierkę i znalazłam się na chodniku. Poma-chałam do niego na odchodnym, ale nie patrzył na mnie. Miał zamknięte oczy, a ręce nadal trzymał na kierownicy. Dżentelmen czy zawiedziony mężczyzna? Nie potrafiłam rozstrzygnąć. A najsmutniejsze, że zupełnie się to nie liczyło.



## No Sleep Till Brooklyn



Hm. Fajita czy tacos? Nie mogłam się zdecydować. Chyba nie byłam głodna. W tle sączyła się hiszpańska muzyczka. Gwar wielojęzycznego tłumu unosił się pośród odurzających zapachów. Powinnam była cieszyć się z tak sprzyjających okoliczności przyrody, ale zamiast tego moją pieśnią *du jour* stał się cynizm. Tak się działo, kiedy nie zmrużyłaś oka przez dwie doby z rzędu i zamiast słodko kimać w łóżeczku, okupowałaś stolik do spółki z trzema Izraelkami i jednym japońskim chirurgiem.

Dopiero co zdążyłam wysiąść z mercedesa Yoshiego i nie dotarłam nawet na szczyt wzniesienia za supermarketem, kiedy zadzwonił Nori z zaproszeniem na kolację do podziemnej meksykańskiej restauracyjki w Harajuku. Dodał przy tym niby od niechcienia:

– Mam twój komputer. Y... co porabiasz? Jesteś zajęta?

– Nie. Ja... właśnie wracam ze sklepu. – Zdusiłam ziewnięcie i podjęłam trud ożywienia mojego zblazowanego głosu. Dlaczego Nori zawsze musi dzwonić w tak beznadziejnie nieodpowiednim momencie? Nieważne. Tym razem muszę się postarać i zabrzmieć przekonująco. – O której chcesz po mnie przyjechać?

– Za pół godziny? – zaproponował skwapliwie.

– Aha. Okej.

I w ten sposób trzydzieści minut później siedziałam w kolejnym importowanym mercedesie. Ale najpierw, rzecz jasna, wróciłam do domu, do męża.

\*

Szłam korytarzem z pewną taką... nieśmiałością. Nie to, żebym miała się czymś denerwować, ale lekko, okej, dość nietypowe okoliczności mojej absencji przydały powrotowi pewnego dreszczyku emocji, przynajmniej w moim odczuciu. Myślę, że mogłam w sumie przemyśleć to, co chciałam powiedzieć, ale byłam tak zmęczona, że trudno było nazwać myśleniem procesy zachodzące w mojej głowie. Byłam ponad tym wszystkim.

Cóż więc zrobiłam? Zachowałam się, jak gdyby nigdy nic.

– Cześć, staruszkule! – zawołałam. – Wróciłam. – Rzuciłam torbę na podłogę i z ulgą wypuściłam powietrze z płuc. W mieszkaniu pachniało świeżo usmażoną jajecznicą.

– Cześć! – odpowiedział Matt, wychylając się zza ściany. Uśmiechnął się do mnie z pełnymi ustami.

Przeszłam po dywan, powłócząc nogami, aż znalazłam się w zasięgu ramion mojego męża, i wtuliłam się w jego objęcia.

– No i jak było? – zapytał, jakbym właśnie wróciła z muzeum albo targu rybnego. Puścił mnie i usiadł przy stole z zamiarem dokończenia śniadania.

– Świetnie, ale jestem wykończona. Byliśmy dzisiaj rano w szalonej świątyni na takiej górze niedaleko Kioto. Kiedy patrzysz w dół, widać kamienie, którymi upamiętnia się tych, którzy skoczyli w przepaść, wiesz, przyszli do świątyni popełnić samobójstwo. Poczułam się dziwnie. Strasznie mi Ciebie brakowało.

Stałam obok Matta, który wpatrywał się w talerz. Przejechałam dłonią po szczecinie na jego głowie.

– E... co jeszcze? Widziałam Świątynię Złotego Pawilonu i setki innych kapliczek, i w ogóle. Mam zdjęcia, ale Yoshi musi je najpierw wywołać. Bo są na jego aparacie. Cholercia, Nori niedługo po mnie przyjedzie, bo chce mi przywieźć laptop i pewnie będzie chciał pójść na kolację. Zadzwonił, kiedy szłam do domu. Nie mogłam odmówić. W sumie powinnam była, bo jestem tak cholernie zmęczona, że ostatnią rzeczą, której mi potrzeba, jest spotkanie z Norim, ale on nawet nie wie, że byłam w Kioto. Myśli, że przespałam cały dzień. Może powinnam odwołać to spotkanie... Myślisz, że powinnam pójść?

– No cóż, w końcu po Ciebie przyjedzie, nie? Więc dlaczego nie? – powiedział Matt.

Okrążyłam stół i zaczęłam się rozpakowywać. Powiesiłam do szafy koszulkę, której nawet nie założyłam. Rzuciłam skarpetki na stos rzeczy do

prania. Spojrzałam na Matta, a Matt wbił we mnie wzrok. Przeżuwał powoli swoją jajecznicę. Raz, drugi, trzeci.

– Wzięliśmy kokę w hotelu – wypaliłam nagle.

– Hm – mruknął. – Kiedy?

Patrzyłam, jak nabierał na widelec porcję jajecznicy i podnosił ją do ust. Napięcie między nami spadło, ale tylko odrobinę. Wiedziałam, że on wiedział, że coś było nie tak i choć spokojnie mogłam to przemilczeć, stwierdziłam, że lepiej będzie, jak wszystko wyjaśnię: że zażyłam po prostu trochę przetworzonych liści krasnodrzewu pospolitego, że nie wybrałam kryjącej się w bramce numer dwa, niszczącej ognisko domowe opcji rodem z telenoweli.

– Po kolacji. W hotelu. Przereklamowane, jak dla mnie.

– Wiem.

– Prawie dostałam zawału serca. Ale wiesz... czasem musisz spróbować tego, co złe, żeby wiedzieć, co jest dobre – sentencję podkreśliłam uśmiechem.

– No – zarechotał Matt. – Wiem.

– Pomyślałam, że powinieneś wiedzieć. Ale nie zamierzam zdawać ci relacji z każdej sekundy wycieczki, bo naprawdę uważam, że nie ma to znaczenia. Nic się przez te dwa dni nie zmieniło.

– Jasne, że nie. – Matt przeżuwał, nie spuszczać ze mnie oka. Miałam wrażenie, że dostrzegłam w nich błysk protekcyjnego rozbawienia, ale co tam. Jeśli faktycznie tak było, trudno. – To kiedy przyjeżdża Nori?

Sprawdziłam na telefonie.

– Za piętnaście minut.

– No to lepiej weź prysznic, śmierdziuszk.

– Po co? – zaoponowałam. – Jest cool, po co mi prysznic? Zmienię tylko koszulkę.

Matt przewrócił oczami i skierował widelec w moją stronę. Potem uśmiechnął się, tym razem pełną gębą. Pokazał widelcem drzwi łazienki.

Posłusznie poszłam pod prysznic.





## Półmetek



Poczułam, jak coś mokrego zbiera mi się pod lewym okiem. Z szumu zaczęły wylaniać się słowa, wypowiedane szybko i głośno. Mój umysł raptem przeszedł z fazy snu w stan świadomości. Muzyka mieszała się z niskim buczeniem golararki elektrycznej. Mój mózg wypełniała uporczywa łupanka. O mój Boże. 50 Cent. Stary, naprawdę cię lubię, ale proszę, nie teraz. Ciało przyssało się do materaca jak schnący cement. Chwilę później zjawił się Matt. Pogłodził mnie po twarzy i powiedział, że muszę wstać pomóc mu ogolić głowę.

– No, chodź. Muszę niedługo iść do pracy.

– Jeszcze sekundkę, proszę. *Chotto matte kudasai!*

Daj mi minutę, a pozbieram się w coś kształtem przypominającego żywy organizm. Matt podkreślił głośność, usiadł na brzegu wanny i zaczął rozprawiać o jakimś tam wykończeniu jakiegoś tam samochodu, który gdzieś tam zobaczył. Nie wiem, nie słuchałam go. Myślałam tylko o tym, jak znów zasnąć. Piętnaście godzin? Mało!

Jak tylko za Mattem zamknęły się drzwi, opadły mi powieki.

Ciekawe, co porabiał Yoshi. Następnego ranka musiał być w biurze, znowu w tym swoim garniturze od Valentina i krawacie od Armaniego. Mogłam się założyć, że czuł się okropnie i bez wątplenia coś wziął, ale na pewno wyglądał nienagannie. Szalony sukinsyn. Ciekawe, kiedy znów zadzwoni. Wspominał o czekającym go ciężkim tygodniu. Nie, powiedział, ten tydzień będzie wręcz niewiarygodnie ciężki. Nierentowne pole gol-

fove pod Barceloną miało problemy z pracownikami. Yoshi poleciał na inspekcję trzy miesiące wcześniej, ale od tego czasu sprawy tylko się pogorszyły. Nie znosił takich historii, ale obowiązki posłusznego syna wymagały od niego interwencji. Za problemy pola obwiniał, rzecz jasna, Hiszpanów i ich lenistwo, ale zamierzał sumiennie spełnić oczekiwania rodziny. Yoshi był dobrym chłopcem, który bardzo kochał swoją mamę.

Zadzwoił telefon.

– Cześć, nie śpisz? – Matt. – Jak wygląda Yoshi? Bo wydaje mi się, że siedzi obok mnie. Nosi ciuchy od Armaniego, zgadza się?

– No... tak. Ale nie on jeden. Co to za kryterium?

– Nie wiem. Wyczuwam szóstym zmysłem, że to on. Małe okulary?

– Tak, ma małe oczy, małe okulary, zakola, przczesane włosy. Nosi roleksa GMT Master II, takiego z czerwono-niebieską ramką szkiełka. Widzisz go? Co jeszcze? Niech pomyślę... doskonałe buty. Ma taki małeńki telefon?

– Co? Małeńki telefon? Nie, nie jest mały. No, myślę, że to on. Siedzi w Starbucksie z jakąś Japonką. Ale on siedzi w środku, a ja przy stole na zewnątrz.

– Myślę, że to nie on. Wątpię, żeby interesował się Japonkami, i jeszcze do tego zabierał je do Starbucksa. Pewnie jest jeszcze w biurze. Wiesz, jest Japończykiem.

– Hm. Opalony, taki ciemny Japoniec, małe okulary w brązowych oprawkach...

– Może... Ma tysiące par...

– Zachowuje się na luzie. Jest trochę arogancki, nie?

– No. Może to jednak on. Może jest z nim jego sekretarka. Wspominał, że ma biuro gdzieś w okolicy.

– Nie wiem dlaczego, ale mam przeczucie, że to on.

– I nie próbuje cię zabić?

– Co? Nie próbuje, co?

– Nieważne. Okej, trzymaj się.

Zdawałam sobie sprawę, że niemożliwością było, żeby którykolwiek z Japończyków, jakich poznałam, rozpoznał Matta, ale zaświtało mi, że w tej grze jeden gracz nie powinien wiedzieć o drugim. Być może nie powinnam była po pracy wracać do domu piechotą razem z Mattem. Tak będzie bezpieczniej. Bo co, jeśli wrednym trafem Nori zobaczy nas razem i będzie „bardzo zły”, zupełnie jak ci irracjonalni maniacy w jego ulu-

bionych filmach o nieodwzajemnionej miłości? Niewykluczone, że obserwowiał budynek. Kto wie? Dla tego gościa bohaterem był Hitler – i inni socjopaci. Ale o czym ja w ogóle mówiłam? Przecież Matt był moim mężem. Nikt nawet nie podejrzewał jego istnienia. Bo niby dlaczego? W ogóle nie powinnam była o tym myśleć. Ani o mocnym drinku, skoro wstałam ledwo pół godziny temu.

Porąbane, porąbane, porąbane. To miejsce mnie wykończy.

Matt siedział przed Food Magazine i żłopał sok warzywny z kartonu. Minęłam go po drodze do pracy. Chciałam jeszcze wstąpić do kafejki internetowej.

– Co się stało z twoimi oczami? – Zmrużył powieki, jakby chcąc mi się lepiej przyjrzeć. – Wyglądają jak opuchnięte.

– Opuchnięte? No, nie wiem. Niby dlaczego? – Siadając, otworzyłam szeroko oczy.

Matt przyjrzał mi się uważnie. Zastanawiałam się, czy zauważył mikroskopijne drgania, w które jakiś czas temu wpadły koniuszki moich palców. Kiedy się obudziłam, nie miałam czucia w dwóch palcach. Potrzebowałam kawy, ale nie miałam czasu, bo mogłam spóźnić się do pracy, więc zanim dałam Mattowi szansę zdiagnozowania moich dolegliwości, wychyliłam potężny łyk soku i cmoknęłam męża na do widzenia.

Kiedy dotarłam do kafejki, zastałam tam Abie i Nicole.

– Wiesz, że zaczynasz za dziesięć minut – ostrzegła mnie Abie, mrużąc podejrzliwie oczy. Zalogowałam się do hotmaila. Co jest z tymi moimi oczami? Nic dziwnego, że ludzie noszą ciemne okulary.

– Wiem, ale naprawdę muszę coś sprawdzić. Będę za dwie minuty.

Dostałam dwie wiadomości. Jedną od mamy – coś odświeżająco normalnego, a jednocześnie absurdalnego, o jakimś pluszaku o imieniu Popples, który był do kupienia na eBayu za 20 dolców. I drugą od Matta:

Data: Niedziela, 9 października 2004, 19.33

Temat: Kocham Cię

Kocham Cię, ptaszyno moja –

Tyle właśnie wiem.

Słońce, księżyc, gwiazdy mówią,

Kocham dzień za dniem.  
Moja miłość najczystsza jest,  
Tak silna, że hej  
Że tajfun, grad, deszczu pora  
Niestraszne są jej!

Skórę zmarszczki pokryją, lecz  
Młodzi będziemy.  
Gdy miłość prawdziwa, wszędzie  
Szczęście znajdziemy.  
Złe myśli z tajfunem zmyło  
I podejrzenia  
Ucichły, a nasza miłość,  
Nic się nie zmienia.

Na zawsze przy Twym boku trwam,  
Dynamiczne dusze dwie.  
Przez życie dwojgu jest dziś nam  
Ścieżka ułożona.  
Ptaszyny dwie –  
Mąż i żona.

Och rety. To takie piękne. Miałam ochotę się rozplakać. To było do niego niepodobne. Matt nie miał w sobie za grosz romantyzmu. Nie potrafił pisać miłosnych wierszy, nawet takich słodkich dupereli. Dlaczego więc teraz? Czyżby we mnie wątpił? Przytłoczyła mnie ta myśl. Czyżby wątpił?

A potem spojrzałam na datę. Matt wysłał mi ten wiersz, zanim pojechałam do Kioto. To moja wina, że go napisał. Moja wina.

Lubiłam być częścią naszego „my”. Ale muszę otwarcie przyznać, że teraz, tutaj, w Tokio, częściej myślałam o sobie w liczbie pojedynczej. Niewykluczone, że w tym środowisku to było zjawisko będące częścią mechanizmu przetrwania, ale z drugiej strony większą część dnia spędzałam sama i dopiero kiedy wracałam do domu, Matt ponownie wkraczał do mojego życia, i wtedy „ja” znów stawało się „my”, tyle że „my” chłodniejszym, bardziej zdystansowanym. On czuł, że się oddaliliśmy – wiedziałam to, bo sama też to odczuwałam.

I wysłał mi wiersz miłosny. Co ja najlepszego wyprawiałam?

## Zwariować powoli, powoli zwariować



Yoshi zadzwonił dokładnie w momencie, kiedy zaczęłam pracę. Od naszego powrotu z Kioto minęły trzy dni, ale było dla mnie oczywiste, że celowo zwlekał z telefonem.

– Hej! *Ma chérie*, jak się masz? Ha! Bo ja dobrze, oooooo jak dobrze. Gdzie jesteś? – Brzmiał jakby coś uderzyło mu do głowy, ale i tak cieszyłam się, że w końcu zadzwonił.

– Jestem w pracy, Yoshi. Są już ludzie.

– LUDZIE! – wrzasnął. – Jacy ludzie?

– Klienci, a niby kto?

– A. No, to okej, miłej zabawy – rzucił szyderczym tonem. – Baw się dobrze.

– Nie, poczekaj chwilę. – Weszłam do garderoby i zamknęłam za sobą drzwi. – A ty co porabiasz?

– Właśnie skończyłem pracę. Pracowałem aż do tej godziny! Nie mam łatwego życia, jak ty – wydyszał ciężko, udając oskarżycielski ton, który gładko przeszedł w śmiech.

– Z czego się śmiejesz?

– Bo rozmawiam z TOBĄ!

– Oookej. To co, jedziesz do domu czy idziesz gdzieś z jedną ze swoich dziewczyn?

– Co? Co powiedziałaś?

– Słyszałeś. Zapytałam, czy wychodzisz gdzieś z dziewczyną?

– Z dziewczyną? Nie, ona teraz pracuje.

– A-ha.

- No, tak. Więc jadę do domu. Sam.
- Och, jak szkoda.
- Ta... szkoda. Okej, to ty wracaj do pracy. Do zobaczenia. *Hai-bye*.

Nie mogłam się skupić przez cały wieczór. Mój umysł zataczał jakieś wariackie kręgi i czułam, że czegoś było mi potrzeba, ale czego – tego nie wiedziałam. Miałam tylko to przytłaczające poczucie pustki, którą należało zapełnić.

Abie zapytała, w jaki sposób udało mi się namówić Noriego na laptop, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć. Chyba powiedziałam mu, że dzięki pisaniu uda mi się pokonać porażającą samotność. A potem Dikla zapytała, czy Nori mógłby jej załatwić pigułki antykoncepcyjne. Nie miała ochoty płacić zwyczajowych 100 dolarów za wizytę u lekarza – trudno się dziwić – ale niby jak miałam napomknąć o tym Noriemu? Przynajmniej prośba Jodie była prostsza do spełnienia:

– Ej, słuchaj, kiedy będziesz się widziała z tym swoim doktorkiem? Potrzebuję tabletki nasenne.

– Mam nadzieję, że nigdy – burknęłam. Zauważyła, że coś jest nie tak. Zaprowadziła mnie do stolika szefostwa i zażądała wyjaśnień.

– Mam ochotę odejść. Wziąć kasę i odejść. Nie wytrzymam już dłużej.

– Dlaczego? Z powodu doktorka?

– To nie takie proste.

– Ależ tak. Jesteś tutaj, bo to twoja praca. Japończycy to świry, każdy z nich – i dokładnie tak samo zwariowany jest cały ten biznes. Jasne, że i ciebie dopada szaleństwo... *O ILE* traktujesz to wszystko poważnie. Bo oni na pewno tak tego nie traktują, uwierz mi. Przychodzą, bo wiedzą, że jesteśmy poza ich zasięgiem. Ty sama się nie liczysz, po prostu odgrywasz pewną rolę. Jeżeli nie ty, to ona, ona albo ona – pokazywała palcem. – Kiedy odejdziesz, oni po prostu znajdą sobie kogoś innego i dalej będą robili to, co robią, przez kolejne dwadzieścia, trzydzieści lat. Rozumiem starszych gości, oni wiedzą, jaka jest sytuacja, ale ci młodszy? Mój chłopak dwa razy był w hostess-klubie, bo zmusił go do tego szef. Jest Japończykiem – i szef, i chłopak, znaczy się, są Japończykami – ale nie znosi tego. Kiedy poszedł drugi raz, poradziłam mu, żeby nikomu nie dawał swojego numeru telefonu, nazwiska, nic. Nie rozumiał, o czym mówię. Wiesz, co mi powiedział? „Ale ostatnim razem bardzo się spodobałem

dziewczynom”. Oczywiście, że się spodobałeś, kretynie! Nie bądź głupi! Ale oni i tak głupieją, bo niczego nie rozumieją.

– Ale ja naprawdę uważam, że niektórzy z nich mówią poważnie – zaprotestowałam. – Okej, Nori to wariat, ale Yoshi... Moim zdaniem przynajmniej część z tego, co mówi, mówi na serio. Myślę, że jest inny. Wierzę w jego motywę, nawet jeśli nie potrafię... Nie wiem, jak długo jeszcze będę w stanie się z nim widywać bez tego wrażenia, że kłamiąc, nieustannie go oszukuję. To okropne!

– Zadam ci pytanie: widziałas się z nim w ten weekend? – Jodie wbiła we mnie czujne spojrzenie. Skinęłam głową. – I jak było?

– Było kurewsko fajnie. – Uśmiechnęłam się wbrew sobie.

– Okej, to trochę komplikuje sprawę. Słuchaj, nikogo nie oszukujesz. Po prostu dochodzisz do momentu, w którym nie możesz się już dłużej wykręcać, a wtedy nieuchronnie następuje ultimatum. Na pewno ci to zaproponują, spokojna głowa. Tak to już jest zrobione. Nudzi im się czekanie. Miałam raz gościa, który chciał wiedzieć, czy ma u mnie szansę, czy nie. Odpowiedziałam: „Zobaczymy, dam ci znać”. Wiesz, takie bzdury. A potem – jak już zabrał mnie trzy razy na kolację – poprosił, żebyśmy spotkali się w Shibui. Wciągnął swój makaron jak odkurzacz, wziął mnie za rękę, zaprowadził do love-hotelu po drugiej stronie ulicy i powiedział: „Teraz albo nigdy”. A ja na to: „Nigdy”. Pewnie przerzucił się na inną pannikę. Przychodzą i przychodzą, i mówią wciąż o tych samych bzdurach. Za każdym razem oczekują takiej samej reakcji – i dostają ją. Oni nie mają własnego życia. Ty, ja, my wszystkie mamy swoje życie, przyjaciół, a oni nie. Ich życiem jest praca, po której idą do hostess-klubu. Tak wygląda ich kultura, w której usiłują przetrwać.

– Ale wydają tu tyle pieniędzy, że nie mogę pozbyć się wrażenia, że ich wykorzystuję. Wiesz, ile kosztowała wycieczka do Kioto z Yoshim? Skończyłam notować, kiedy suma przekroczyła 7000 dolców. Za trzydzieści sześć godzin pobytu!

Wyraz twarzy Jodie nie zmienił się ani na jotę.

– To ich wybór, Chelsea. Przecież nie zmuszasz ich do tego, żeby przychodzili tutaj i zostawiali setki dolarów. Czy mówisz: „Zabierz mnie na kolację, kup mi nowe ciuchy”? Nie, oni robią to, bo tego chcą, i są naprawdę popierdoleni. Posłuchaj mnie. Oni uwielbiają dreszczyk ugania się z czymś, czego nie mogą dostać. Pracuję tu od dawna i wciąż widzę, jak przychodzą. Nigdy nie przestają. Kiedy zaczęłam, myślałam:

„Co to, kurwa, za praca?”. Pierwszy wieczór upłynął mi na siedzeniu z mordą w muszli klozetowej w tym cholernym miniaturowym kiblu, bo za dużo wypiałam. Płakałam, śmiałam się, a potem miałam ochotę wrzeszczeć. Zaczęłam rozumieć, że ich mózgi nie działają w ten sam sposób co nasze. Nie przejmuj się. Nawal się, pośmiej się z nich, zabaw się dobrze. Jebać ich, to świry.

Mimo to mój umysł zataczał wariackie kręgi.

Często myślę o Yoshim.

On jest gigantyczną czarną dziurą, która wsysa mnie z kosmiczną prędkością, choć stawiam jej opór. W jego obecności staję się sobą do kwadratu, co powinno mnie wnerwiać – wiem, że powinnam to nienawidzić – ale z jakiegoś powodu podoba mi się to. Powinnam unikać Yoshiego jak ognia, ale znam jego koordynaty, zapisałam je sobie, i nic nie mogę poradzić na to, że mój mały, prywatny prom kosmiczny wciąż dryfuje w jego kierunku, coraz bliżej. Alfa Omega Sześć, zbliżamy się. Zbliżamy się z dużą prędkością. I już jestem w środku. Wszystkie śluzy zablokowane, ale nie czuję się uwięziona. Nie odczuwam zagrożenia. Jestem... urzeczona... obcą galaktyką odgradzoną od świata aksamitną zasłoną. Tysiące gwiazd, a każda świeci tylko dla mnie. Tak to odczuwam, taką atmosferę generuje ta galaktyka.

Yoshi jest tajemniczy. Sprawia wrażenie otwartego, a jednocześnie wiem, że zamyka się na wiele spraw. Czy to przeze mnie? Czy to ja powinnam go otworzyć?

Czasem myślę o Yoshim przed snem. W ciemności i w ciszy myślę o milionie rzeczy, które nigdy nie powinny były odnaleźć drogi do mojego umysłu. Zastanawiam się, zupełnie obiektywnie, jak by z nim było – tak naprawdę. Jak wyglądałoby „my” stworzone z „kimś” takim jak Yoshi? Byłoby spektakularnie. Ale czy szczęśliwie? Może autentycznie, coś innego może bowiem powstać, jeśli spróbujesz sprawiedliwie połączyć dwie złudne postaci? On wiecznie gryzłby się myślą, czy kochasz jego, czy może styl życia, który za jego sprawą stał się twoim udziałem. Nieustannie żądałby wyjaśnień i zapewnień, a twoje życie przypominałoby spowiedź bez końca. Myślę o tym, że tak musiałby wyglądać nasz związek. I myślę sobie: „Czy to naprawdę ja?”.

Przed snem myślę też o Macie. Leży tu, obok mnie. Pękłoby mu serce,



gdyby dowiedział się o brudnych, niefrasobliwych myślach przemierzających moją neuronową sieć, powoli, lecz pewnie układających się w pewien wzór, wzmocniony przez inwazyjność nowych dla mojego organizmu związków chemicznych i podszepty chciwości, władzy i pożądania.

To wszystko to nie jestem ja. Z całą pewnością. Patrzę na Matta. Widzę, jak wypuszcza powietrze z płuc. Czuję jego skórę. To on jest jedyną pewną rzeczą. I ja też. Jestem pewna, ale...

I właśnie tu, w tych trzech literach, leży pies pogrzebany: A.L.E.



## Kraj Wschodzącego Słońca



Przez takie dni jak dzisiejszy zastanawiam się, co ja właściwie robię w Japonii? Nie znoszę tej ponurej refleksji, że kiedy ja nad ranem kładę się spać, mężczyźni, z którymi spędzam całą noc, właśnie wstają do pracy – idą prowadzić firmę albo zarządzać szpitalem. Czuję ból na samą myśl o tym, że dziesięć godzin później nadal będą tkwić na swoich stanowiskach, nieustępliwie dążąc do perfekcji, podczas gdy mnie obudzi nadawany codziennie muzyczny komunikat – przypomnienie dla dzieciaków z sąsiedniej dzielnicy Minato, że powinny gnać, pędzić i pedałować na złamanie karku do domu na kolację. Boże, jak ja nie cierpię tego dyskretnego komunikatu, tej radosnej melodyjki, zredukowanej do smutnego, przygnębiającego dźwięka, znaku mojej niemożności podniesienia głowy z poduszki.

W takim to stanie znajduje się moje życie.

Nie mam zbyt motywacji, żeby w ogóle opuszczać dom. Nie mam ochoty na ćwiczenia. Nie chce mi się chodzić. Nie kręci mnie nawet wyprawa do Starbucksa. Zapadłam w taki letarg, że nie jestem w stanie czytać, choć próbuję każdego dnia – przelatuję wzrokiem wciąż te same trzy linijki, po czym w końcu odkładam mojego Murakamiego na półkę obok *A History of Japan*, *Creative Visualization* i *Trump: The Art of the Deal*. Każda z nich z oślimi uszami i żadna niedokończona. Potem robię sobie tanią kawę rozpuszczalną ze zbyt dużą ilością mleka sojowego. Wtedy najczęściej dzwoni telefon. Dziś: „Shin W DOMU”. Cieszę się, że dzwoni, nie widziałam się z nim po jego powrocie z Chin.

\*

Wczoraj późnym wieczorem Shin zostawił mi wiadomość w tym obojętnym, rozbijającym popierniczonym stylu, jaki lubię: „Cześć. To mówię ja, Shin. Y... Jestem właśnie z powrotem w domu i sprawdziłem e-mail. Jak się masz? Y... Okej. Y... zadzwonię później. Cześć”. Ale że było grubo po północy, przez grzeczność nie oddzwoniłam. Wiedziałam, że Shin spróbuje ponownie następnego dnia.

Z ulgą usłyszałam jego głos. Potrzebowałam porozmawiać z kimś, kto wiedział, jak podejść do tego wszystkiego na spokojnie. No, do prawie wszystkiego. Nie licząc Chin.

– Chińczycy wszyscy wyglądają tak samo! – wykrzyknął z niedowierzaniem. – Taki sam wzrost, takie same włosy. Takie same twarze. Takie same ubrania! I bez koloru. Nie widziałem koloru! Wszyscy się patrzyli. Widzieli, że jestem Japończykiem? Nie wiem. Nie lubią Japończyków.

Shin cieszył się z naszej zbliżającej się niedzielnej wyprawy do gorących źródeł w Hakone, ale niepokoił się o mnie.

– Musisz wziąć dwa ręczniki. Duży i mały i... nic. Rozumiesz?

Zachichotałam w odpowiedzi. Shin usilnie starał się wytłumaczyć mi, że kąpiel w podgrzewanych temperaturą wulkanu gorących źródełach – japońskich *onsen* – wymaga nagości kąpiącego się, ale niewiele mnie to obeszło. Musiałam się odprężyć, nieważne, w stroju kąpielowym czy bez. Ręcznik wystarczy. Powiedziałam Shinowi, żeby się nie przejmował, bo znałam zasady *onsen*. Obiecał, że zadzwoni następnego dnia.

– Jutro mam golfa – poskarżył się. – Nie znoszę. Potem, jeśli nie będę zmęczony, może pójdziemy do restauracji na tempurę? – zaproponował. – Ale zadzwonię, jak kupię bilet.

– Jasna sprawa, Shin. Nie mogę się doczekać. Odpoczywaj.

– Okej – westchnął. – Cześć – i rozłączył się.

Bogu dzięki za Shina. Moja ziemia niczyja. Teraz pozostało mi tylko opracować plan zwabienia Noriego gdzieś w sobotę, bo pomimo zesłotygodniowego napadu złości nadal zakładał, że niedziela należy do niego. Ha! Ależ był bezczelny. Choć z drugiej strony sprezentował mi laptop tego samego wieczoru, kiedy wróciłam z Kioto, i w jego oczach znów byliśmy „przyjaciółmi”. Z czystej grzeczności zamierzałam dać mu drugą szansę. Oczywiście, jeżeli ktokolwiek zasługiwał na to, by poświęcić mu czas w dzień wolny od pracy, to osobą tą był Matt, ale ponieważ plan mojego męża zakładał przespanie całego dnia, pomyślałam, że nie będzie

miało znaczenia, czy potowarzyszę mu fizycznie, czy wirtualnie – na japońskiej wsi, kilka godzin drogi od Tokio.

No proszę, kolejny weekend za pasem, a ja nie spotkałam się z moim rycerzem w lśniącej zbroi, galopującym ku mnie na białym, potyskującym ogierze. Bez przerwy gorąco pragnęłam, żeby oddelegowano Yoshiego do Barcelony w sprawie pola golfowego jego ojca. Może życie stałoby się wtedy o wiele prostsze.

O MÓJ BOŻE UWIELBIAM TOKIO – oto hasło, które umieściłabym sobie na koszulce. Nie tylko trzymałam w ręku zaproszenie na zamkniętą imprezę z Tomem Cruise'em z okazji tokijskiej premiery filmu *Zakładnik* Michaela Manna, ale również pełen wybór wizytówek niejakiego pana Fujimoto, którego miałam niebywałą przyjemność poznać dzisiaj wieczoru.

Pan Fujimoto był zapracowanym, utalentowanym mężczyzną: producentem filmowym, specjalistą od dystrybucji filmów, szefem marketingu/sprzedaży japońskich oddziałów najważniejszych hollywoodzkich studiów filmowych, a także dyrektorem własnej firmy w branży rozrywkowej. Wszystko to robiło na mnie duże wrażenie, ale, pomijając imponujące CV, to jego wyjątkowa *joie de vivre* sprawiła, że zakochałam się w nim od pierwszej sekundy.

Pojawił się w idealnym momencie, jak ożywczy powiew, gdy zaczęłam się wypalać, i okazał się podnoszącym na duchu przypomnieniem, że nawet w najdziwniejszych okolicznościach można w ułamku sekundy zapalać do kogoś sympatią.

– Pani Chelsea! Nie jesteś typową gaijinką – oświadczył radośnie pan Fujimoto pięć minut po tym, jak wznieśliśmy kieliszki do *kampai*. – To pierwsza rzecz, jaką w tobie zauważyłem!

Natomiast pierwszą rzeczą, jaką ja w nim dostrzegłam, była jego energia. Powietrze wokół niego dosłownie eksplodowało. Był dobrze po pięćdziesiątce, szczupły i zrelaksowany, a jego elegancko upstrzony siwymi kosmykami zarost uzupełniała kruczoczarna czupryna. W urzekający sposób chwalił się, że był „najstynniejszą” postacią w swojej branży. Jako cieszący się międzynarodową renomą dyrektor w branży filmowej, pan Fujimoto obejrzał w życiu ponad dziesięć tysięcy filmów. Przyznał, że filmy to jego pasja, „ważniejsza niż wszystko inne, z wyjątkiem zdrowia i ciekawości”.

Przyciągnęła mnie do pan Fujimoto jego nieskrępowana radość. Miałam wrażenie, że każdą nową informację lub odczucie kwitował zaraźliwym wybuchem śmiechu.

Zwierzył mi się, że w pewnym momencie choroba zagroziła jego życiu i niemal zmusiła do porzucenia na dobre przemysłu filmowego. Gdy zachorował, miał za sobą aż trzydzieści siedem lat nieprzerwanej pracy, bez żadnego urlopu, a mimo to trudno mu było przyjąć do wiadomości, że coś mogło być nie tak z jego wątrobą, a jego krew mogła zawierać zbyt dużo związków tłuszczowych. Następne dziewięć miesięcy spędził na badaniach, przyjmowaniu pokarmów do tysiąca pięciuset kalorii, spotykaniu się z przyjaciółmi i chodzeniu na seanse akupunktury. Wszystko to zaowocowało triumfalnym powrotem do pracy i zadowoleniem z odzyskanej żywotności. Jedną z niewielu rzeczy, których żałował, było to, że nie mógł teraz zbyt często jadać toro – tłustej części brzucha tuńczyka – ponieważ lekarze zalecili mu ograniczenie się do diety o niskiej zawartości cholesterolu.

Opowiedziawszy wystarczająco dużo o własnym zdrowiu, pan Fujimoto postanowił zbadać mnie. Najpierw „przeczytał” moją dłoń, a potem zapytał, czy może dotknąć mojej kostki. Odrobinę zestresowana, pozwoliłam mu na oględziny, po których stwierdził, że mam dobre kości. W tym czasie opowiedział ze szczegółami – podając nazwisko aktorki, tytuł filmu, rok produkcji, reżysera oraz studio filmowe – swoje ulubione fragmenty filmów, w których widać kostkę kobiety schodzącej po schodach. Ponieważ było to jedyne dziwactwo pana Fujimoto, zgodziłam się bez oporów, kiedy poprosił, żebym wstała, tak by mógł obejrzeć sobie moją kostkę pod innym kątem.

Później, jak przystało na każde szanujące się spotkanie w gronie kolegów (ponieważ okazją było spotkanie po latach pana Fujimoto z jego dawnymi znajomymi), nadeszła pora na karaoke.

– Pani Chelsea, zawsze ty musisz wybierać dwie piosenki do karaoke! – powiedział pan Fujimoto, starając się przekrzywić muzykę. – Jedną na rozgrzewkę – dał mi wesołego kuksańca w żebra – a drugą do zabawy! Nauczyły mnie tej bardzo ważnej zasady lata spędzone na opiekowaniu się słynnymi gwiazdami odwiedzającymi Tokio – uśmiechnął się, ale chwilę później, jakby wyczuwając mój rodzący się sprzeciw, zrobił zasadniczą minę. – To mus – powiedział poważnie. – Żadnych „ale”. Spróbuj Beatlesów, jeśli nie przepadasz za śpiewaniem. Tom Hanks śpiewał

Beatlesów. Ale Robin Williams... ła! On to lubi, bo jest dobrym... – jak to się mówi po angielsku? – Ktoś podsunął słowo „aktorem”, ale nie, chodziło o coś innego. – Ma wiele głosów – wyjaśnił pan Fujimoto.

– Ach, jest dobrym parodystą – załapałam. Trzej mężczyźni powtórzyli między sobą nowe słowo.

– Pani Chelsea. W tym miesiącu jestem bardzo zajęty. W przyszłym tygodniu przylatuje Tom Cruise. Michael Mann też przylatuje, na premierę *Zakładnika* – współprodukcja DreamWorks i Paramount Pictures – a potem znowu Tom Hanks z okazji filmu *Ekspres polarny* – taka animowana historia dla dzieciaków, wyprodukowana przez Warner Brothers – ale w przyszłym miesiącu, o ile będziesz wolna, chciałbym zjeść z tobą kolację.

– Rety – zaproszenie od faceta, który większość czasu spędzał na spożywaniu niskokalorycznych posiłków z megacelebritymi, totalnie mnie zaskoczyło. Nie zdołałam wykrztusić z siebie nic więcej.

– Nie, nie, pani Chelsea. Nie zrozum źle, proszę. To mój obowiązek. Tak wygląda moja praca! Muszę dbać o rozkład zajęć każdej gwiazdy filmowej, która przyjeżdża promować nowy hit, muszę chodzić na premiery, zabawiać wszystkich cały wieczór i pilnować, żeby bezpiecznie wrócili do hotelu. To świetna praca *desu yo*, ale, co oczywiste, czasem po prostu okropna – roześmiał się. – Jestem jak niańka! Ale nieważne. Dziś wieczorem możesz pójść z nami coś zjeść? Możesz pić? Czerwone wino? – posłał uśmiezek, pokazując palcem mój ulug.

– Czerwone wino? Nie wiem, nadal czuję się trochę nie w formie – zaprotestowałam, wskazując chrypiące gardło.

– To bardzo, bardzo dobre czerwone wino – zauważył pan Fujimoto, więc nie pozostało mi nic innego, jak – przewróciwszy oczami – zgodzić się. Pan Fujimoto przywołał Nishiego i zapytał, czy będę mogła wyjść z klubu. Nishi zrobił grymas i bez słowa pokręcił przecząco głową. Pan Fujimoto zapalił papierosa i obydwaj panowie trochę sobie porozmawiali. Kiedy skończyli, Nishi złożył głęboki ukłon i oddalił się.

– I co? – zapytałam niecierpliwie.

– Pan Nishi powiedział, że twoja karta jest podbita do pierwszej, ale zapłacę małą sumkę i będziesz mogła wyjść. – Zaczęłam narzekać na wygórowane żądania Nishiego i mijanie się z prawdą, ale pan Fujimoto tylko wzruszył ramionami. – Negocjacje – zarechotał, wsuwając rękę pod stół – to mój chleb powszedni.

Poszliśmy na krótki spacer szalonymi ulicami Roppongi, który zakończył się przed niepozornym wieżowcem przycupniętym tuż obok Gas Panic, baru, w którym tłoczyli się spragnieni tanich drinków turyści. Kiedy wyszliśmy z windy, pan Fujimoto wskazał mosiężną tabliczkę, na której widniał napis: „Petits Pois”.

– Co znaczy *petits pois*? – zapytał jeden z jego kolegów.

– Groszek – odparłam. – Wiesz, to małe, okrągłe, zielone warzywko.

– Aaa! *Kirei!* – wykrzyknął pan Fujimoto. Ładne warzywko. – Ale to miejsce to nie żadne warzywo! O, nie! To klub tylko dla członków, a ja jestem jego członkiem – uśmiechnął się, otwierając ciężkie, drewniane drzwi. – To klub tylko dla mężczyzn, ale jesteś moim gościem. Panie przodem.

W środku okazało się, że byliśmy jedynymi klientami mamiącego arystokratyczną atmosferą salonu, który urządzono we francuskim stylu kolonialnym. Wydawało mi się niesamowite, że tego rodzaju enklawa przetrwała w dzielnicy pokroju Roppongi. Sofy z wysokim oparciem, upstrzone haftowanymi poduchami, stały wokół wielkich dębowych stołów, balkon został zamieniony w dyskretny ogród, a w niewielkiej, odgrodzonej kotarą kuchni przygotowywano posiłki dla delikatnych podniebień. Szybko pojawił się Mistrz, niski, okrągły staruszek, który prowadził klub. Mistrzowi towarzyszyły dwie młodzietki asystentki o smukłych nogach i z wystającymi zębami. Dziewczyny wniosły cztery ogromne kieliszki oraz – tak jak obiecał pan Fujimoto – butelkę bardzo, bardzo dobrego czerwonego wina.

– To wyjątkowe wino – pochwalił się z błyskiem w oku. – Sprowadzono bardzo niewiele butelek. W barze jedna kosztuje 100 000 jenów. Jeśli dopisze ci szczęście, możesz je nabyć u dystrybutora i wtedy zapłacisz 25 000 jenów, ale u Mistrza cena wynosi 50 000.

Mistrz dysponował również serem, ponieważ „oczywiście zechcesz zjeść ser do wina – w końcu jesteś gajinką!”.

– Tak naprawdę – odparłam żartobliwie, pragnąc raczej uniknąć kulturowego stereotypu niż wyprowadzić go z błędu – to lubię japońską kuchnię. Zwłaszcza natto – zadrwiłam. Natto to przygotowywane ze sfermentowanej soi danie, które skutecznie zniechęca gajinów do japońskich przysmaków.

– Och, proszę, nie jedz natto – twarz pana Fujimoto wykrzywiła się z obrzydzeniem.

– Dlaczego nie? Uwielbiam je. Tak samo jak o-kono miyake. Pychota.

Pan Fujimoto spojrział na mnie z niedowierzaniem.

– Jesteś naprawdę dziwną gajinką – wykrzyknął. Czekaliśmy, aż wino zostanie przelane. – Nigdy wcześniej nie spotkałem takiej gajinki jak ty! A teraz zaśpiewaj, proszę!

– Teraz? Ale ja...

– Wstydzisz się! – zachichotał pan Fujimoto. – Wiem. Napij się więc, a potem wybierz piosenkę.

Jedna z japońskich kelnerek wręczyła mi książkę do karaoke. Pan Fujimoto zajął się piosenką *Greenfields*, jego kumple zaprzyjaźnili się z Bobem Dylanem, a ja w tym czasie wypiałam wino i pochłonęłam trzy likiery kahlúa z mlekiem, aż w końcu zdecydowałam się pójść w ślady Toma Hanksa i nieśmiało zaczęłam nucić *In My Life* Beatlesów.

Dzięki piosence spaliłam osiem kalorii. Oto jedna z zalet Petits Pois: należący do Mistrza wyjątkowy system karaoke potrafił zmierzyć spalanie kalorii podczas śpiewania, przetwarzając dane o sile głosu śpiewającego. Bez wątplenia jego dokładność pozostawiała wiele do życzenia – a mój wynik wypadł dużo poniżej średniej – ale i tak nagrodzono mnie gromkimi brawami, okrzykami i gwizdami.

– Suuuuuper! Nie potrafię twojej twarzy! – zawołał pan Fujimoto. Spojrzałam na niego w osłupieniu. – To znaczy... nie potrafię... zapamiętać twojej twarzy! Jest taka *kirei!* A twoje oczy, bardzo niemieckie, moim zdaniem. Tutaj jest bardzo dobrze – pan Fujimoto odstawił swoją *shōchū* i zasłonił dolną połowę mojej twarzy. – Ach! Świetnie! Na ekranie widowni wystarczy tylko tyle. Spotykam wiele aktorek, bo ciągle zabieram je na kolacje, ale ty jesteś o tutaj – podniósł wysoko rękę. O wiele lepsza. Uwielbiam twoje oczy.

Kiedy tak słuchałam trajkoczącego pan Fujimoto, podziwiałam jego niewyczerpany entuzjazm, a jednocześnie nie mogłam się nadziwić, że tak świetnie się z nim – i jego szaloną naturą – bawiłam. Przysięgam, że ani na chwilę nie przestałam się uśmiechać. Liczba kalorii spalonych przy karaoke powoli rosła, drinki płynęły wartkim strumieniem, jedzenie wciąż donoszono, a noc była młoda.



## Wyprawa do Hakone



Dziewięćdziesiąt minut przewracania się z boku na bok – tyle udało mi się wyrwać rzeczywistości po sobotniej nocy, a już zbliżał się niedzielny poranek i znów była pora wstawać. Pociągając nosem i kaszląc, wzięłam prysznic, a potem pocałowałam śpiącego Matta na do widzenia. Czułam się paskudnie, ale tego dnia wybierałam się z Shinem do gorących źródeł w Hakone i nie mogłam się już doczekać. Sen musiał ustawić się w kolejce.

Wysłałam z domu i ruszyłam w kierunku stacji, kiedy nagle zadzwonił Yoshi.

- Cześć, *ma chérie* – zagruchał pogodnie. – Śpisz?
- Nie, nie śpię. Wybieram się do Hakone. A ty co porabiasz?
- Płynę moją łodzią na ryby. Wrócę o siódmej, więc może wybierzemy się na kolację? O której wracasz z Hakone?
- Nie jestem pewna. O ósmej?
- Okej. Zadzwonię do ciebie. Aha, *ma chérie*...
- Tak?
- Bądź grzeczną dziewczynką. Ja jestem grzecznym chłopcem. Cały dzień dla ciebie. Płynę na ryby *sam*.

Shinowi wystarczyło jedno spojrzenie na moje znękanymi obolałymi zatokami oblicze, by od razu zaprowadzić mnie do juice-baru mieszczącego się w podziemiach domu towarowego Shinjuku. Znów był ubrany jak menel, ale tym razem jego czarnej czapce z daszkiem, zmechaco-

nym spodniom od dresu i taniej koszulce towarzyszyła szara, przewiązana w pasie i wypłowiała na słońcu bluza z kapturem. Myślę, że sprzedawca w juice-barze z powątpiewaniem przyjął ewentualność, by żul pokroju Shina dysponował w ogóle jakimiś pieniędzmi, ale Shin wyjął gotówkę z żółtego winylowego woreczka i chwilę później ze świeżym sokiem cytrusowym w ręku ruszyliśmy do najbliższej apteki, gdzie zakupiliśmy krople do nosa w sprayu, supermocne hallsy i paczkę chusteczek higienicznych.

– Coś jeszcze? – zapytał z troską wypisaną na twarzy.

– Nie, Shin, dziękuję. Zająłeś się już wszystkim.

– Okej, musimy iść tędy. To jest broszurka dla turystów, ale może nie po angielsku. Możesz obejrzyć zdjęcia... a to jest Freepass – bilet na pociąg, mniejszy pociąg i kolejkę linową. Jesteś pewna, że wszystko okej? – zapytał, wręczając mi stosik papierków.

W odpowiedzi pociągnęłam tylko nosem. Zmarszczył brwi z dezaprobatą i zaprowadził nas na pełen ludzi peron, z którego odjeżdżał pociąg linii Odakyu do Hakone. Psiknęłam sobie krople do nosa i natychmiast się rozplakałam, kiedy piekący ból rozpalił moje kanaliki łzowe. Na Shinie nie zrobiło to wrażenia.

– Dlaczego płaczesz? – krzyknął. – To nie są silne krople! Wiem, bo je kupiłem! Ja potrafię czytać po japońsku!

Oczy zaszyły mi mgłą i naraz Shin stał się niczym więcej jak rozmazanym kształtem. Zaczęłam szybko mrugać powiekami.

– Wszystko dobrze? – usłyszałam, jak zapytał. – Masz, weź to – złapał mnie za rękę. – Chusteczka. Wszystko okej?

– Jasne, dam sobie radę – bezskutecznie próbowałam osuszyć oczy.

Tłum pasażerów zaczął ładować się do pociągu. Kiedy skład ruszył, Shin zaciągnął rolety, żeby odciąć dopływ światła słonecznego, przykrył mi nogi swoją bluzą nie pierwszej świeżości i powiedział, żebym się prześpała. Zamknęłam oczy i szybko odpłynęłam.

Hakone zapisało się na kartach historii w okresie Edo jako swego rodzaju „brama wjazdowa” do regionu Kantō, punkt graniczny pomiędzy rządzonej przez szoguna Tokio a cesarskim Kioto. To położone w malowniczym parku narodowym Fuji-Hakone-Izu miasto jest najpopularniejszą miejscowością wypoczynkową współczesnej Japonii.

Ulokowane zaledwie osiemdziesiąt kilometrów na zachód od Tokio, malownicze, wulkaniczne, gorące źródła niewielkiego, liczącego mniej niż piętnaście tysięcy mieszkańców Hakone, jak również wzniesione tutaj luksusowe hotele, przyciągają każdego roku dwadzieścia milionów turystów. Gdyby zależało to ode mnie, poprzestałabym na tych piętnastu tysiącach, plus jeden.

Zakochałam się w Hakone od pierwszego wejrzenia, tyle że niestety jedynym środkiem na uwiecznienie uroku miasteczka, jaki miałam na podorędziu, był zabawny aparacik fotograficzny przypominający kształtem puszkę piwa Asahi, który dostałam w pociągu od Shina. Najwyraźniej rozbawił go fakt, iż będę chodziła cały dzień po Hakone, sprawiając wrażenie nabuzowanej gaijinki i przyciągając pełne dezaprobaty spojrzenia statecznych Japonek w podeszłym wieku.

Niezależnie od niemożności uchwycenia na zdjęciu nieskazitelnego krajobrazu Hakone, miasteczko wydało mi się wyjątkowo romantyczne. Ogromnie mi się spodobały wagoniki Hakone Tozan, kolei górskiej, której kręty szlak prowadził nad rzeką, tunelami i przez lasy, aż do stacji Chokoku-no-mori, gdzie znajdował się wspaniały skansen Hakone – siedemdziesiąt tysięcy metrów kwadratowych czystej natury upstrzonej ponad setką rzeźb. Skansen szczyli się jedną z największych na świecie kolekcją prac Henry'ego Moore'a, a także spektakularną instalacją gigantycznych rzeźb Rodina, ja jednak moją prywatną nagrodę za najciekawszy eksponat wręczyłabym ex aequo wyrzeźbionemu z brązu nagiemu mężczyźnie leżącemu na trawie twarzą do ziemi, oraz *Dłoni Boga*, dynamicznemu dziełu szwedzko-amerykańskiego artysty Carla Millesa, popełnionemu w 1954 roku, a przedstawiającemu mężczyznę kwestionującego wolę niebios.

Na zwiedzaniu spędziliśmy ponad godzinę, po czym kierując się strzałkami, wróciliśmy do wyjścia, mijając po drodze jeszcze jedną instalację ustawioną u stóp stromych ruchomych schodów. Było to pulsujące, czerwone światło zamknięte w gigantycznych rozmiarów plastikowym, zielonym stworze. Shin wyprzedził mnie i był już w połowie schodów, kiedy nagle odwrócił się i zawołał do mnie:

– Ty też jesteś obca w Japonii!

Roześmiałam się i zrobiłam ufoludkowi zdjęcie aparatem-puszką po piwie. Shin nawet nie wiedział, ile w tym było prawdy.

\*

Wagonik kolejki linowej piął się powoli pod górę, a pasażerowie wyciągali niecierpliwie szyje, chłonąc widok za oknem. Kiedy pokonywaliśmy pierwszą grań, mojej uwagi nie przyciągnęły jednak malownicze, bulgoczące, parujące sadzawki, ale para majtek w jaskrawym kolorze, która musiała wypaść mi z torby, gdy ją przetrząsałam w poszukiwaniu swetra. Byłabym tym pewnie śmiertelnie przerażona, gdyby nie fakt, że dosłownie wszyscy tkwili z nosem przy oknie, wypatrując góry Fuji. Zanim dotarliśmy do kolejnej grani, udało mi się niepostrzeżenie usunąć gatki z widoku.

Im bliżej szczytu, tym intensywniej zapach siarki wypełniał wagonik. W pewnym momencie pasażerowie zatkali nosy i zaczęli chichotać między sobą, dopóki nagłe pojawienie się góry Fuji w całej okazałości nie sprawiło, że zapomnieliśmy o przykrej woni. Fuji była wspaniała, niczym ulotna akwarela na płótnie nieboskłonu, która zniknie, jak tylko zmrużysz oczy. Dały się słyszeć pełne szacunku westchnienia i szcęk naciskania spustów migawki. Wysiedliśmy z kolejki na skraju Ōwakudani, Wielkiej Wrzącej Doliny. Jak można się było spodziewać po położonej tak blisko stolicy miejscowości wypoczynkowej, na parkingu roiło się od autobusów wycieczkowych, ale, co ciekawe, pośród odwiedzających wcale nie było aż tak wielu obcokrajowców.

Shin okazał się zaprawionym przewodnikiem, a do tego chciał, żebym pozowała do zdjęć praktycznie wszędzie: przy kolorowych kapliczkach, na tle stromych zboczy, z których wydobywały się kłęby dymu, a nawet przy zwyczajnych płotach i skałkach. Niektóre obszary były zamknięte ze względu na wysokie stężenie kwasu siarkowego i siarkowodoru, ale my trzymaliśmy się głównego szlaku, aż wreszcie dotarliśmy do jednej z najciekawszych na świecie atrakcji turystycznych: czarnych, gotowanych na twardo jajek. Jajka gotuje się w wypływającej z wulkanu wodzie, a ich porowata skorupka nasiąka minerałami i nabiera czarnej barwy. To fakt, że smakują wyśmienicie, ale opowieści o tym, jakoby każde zjedzone czarne jajko przedłużało życie o siedem lat – i dlatego turyści z zapałem konsumują je z odrobiną soli, wpatrując się w monumentalną górę Fuji – należy raczej między bajki włożyć.

Zrobiliśmy jeszcze rundę po sklepach z upominkami, próbując wszystkiego, od ciasteczek fasolowych po różne odmiany zielonej herbaty, aż wreszcie Shin pokazał mi lody o smaku wasabi – najlepszą rzecz, z jaką kiedykolwiek zetknęły się moje kubki smakowe. Nabyłam sobie tubkę

wasabi, a Shin dorzucił do zakupów uroczy breloczek z czarnym jajkiem. Kiedy podniosłam go pod światło i spojrzałam przez dziurkę, ujrzałam wyłaniający się zza kłębow pary ośnieżony szczyt góry Fuji.

Pod wieczór wróciliśmy w dolinę. Wzięliśmy taksówkę z dworca i pojechaliśmy wzdłuż rzeki do *onsen*, z których korzystało się na godziny. Choć Shin zdecydował się na droższą łaźnię, ponieważ stwierdził, że będziemy mieli spokój i będzie to „lepsze doświadczenie”, nadal martwił się, czy na pewno będę wiedziała, jak się zachować. Mimo to ani on sam, ani właściciel *onsen* nie zamierzali mnie oświecić, co do panujących w łaźni reguł. Zgodnie pokazali palcem rysunkową instrukcję i polecili zapytać kobietę po damskiej stronie łaźni. Damskiej stronie? No jasne, w tym *onsen* istniał podział ze względu na płeć (jak się później dowiedziałam, jedynymi wyjątkami były w tym względzie łaźnie spotykane na japońskiej wsi). Przygotowałam się już na to, że będę musiała wejść do wody nago na oczach Shina i grupy zupełnie obcych mi ludzi, ale mimo wszystko odetchnęłam z ulgą. W korytarzu każde z nas skrzyło w swoją stronę. Weszłam do wąskiego, zaparowanego, wyłożonego drewnem pomieszczenia, które kończyło się zejściem do trzech rozlewających się między skałami sadzawek zasilanych wodą z niewielkiego, ale olśniewającego urodą wodospadu. Magia. Rozebrałam się szybko, wrzuciłam ubranie do plecionego kosza i – ściskając miniaturowy ręcznik – stanęłam, trzęsąc się i dyskretnie rozglądając dookoła w poszukiwaniu jakiejś wskazówki. Nieopodal rzędu umieszczonych nisko nad ziemią kranów siedziała na stołku Japonka i gorliwie szorowała mydłem każdy centymetr ciała. Zaczekałam, aż spłucze mydliny wodą z drewnianego wiadra, po czym zwinnie przemknęłam po posadzce z lodowatych kamieni i zrobiłam to samo, co ona.

W całym *onsen* siedziało zaledwie kilka kobiet. Wybrałam więc sobie pustą, płytką sadzawkę. Najpierw zamoczyłam w wodzie palec u nogi. Ukrop. Powolutku, centymetr po centymetrze zanurzałam się, aż w końcu wulkaniczna woda stała się całkiem znośna i wtedy nagle napięcie i ciężar miliona trosk uleciały w chłodne, nocne powietrze. Zapomniałam, że minęła właśnie moja dwudziesta czwarta godzina bez snu. Leżąc na dnie sadzawki i wpatrując się w spowite mrokiem niebo, przypomniałam sobie, jakie to uczucie, gdy jest się w pełni obudzonym. Ko-

jące cząsteczki wody sprawiły, że moja skóra stała się gładsza i bardziej miękka. Piętnaście minut później miałam wrażenie, jakbym przespała rok, a po kolejnej półgodzinie poczułam się jak nowo narodzona. Nic dziwnego, że Japończycy otaczają *onsen* nabożną czcią.

Godzinę później natknęłam się w korytarzu na Shina, który zakładał właśnie skarpetki. Był radosny i wręcz promieniał blaskiem.

– Było okej? – zapytał, najwyraźniej wciąż ciekawy, jak cudzoziemka zareaguje na kąpanie się i szorowanie na golasa.

– Okej? – zaśmiałam się. – Było genialnie!

– To fajnie – wyszczerzył zęby. – U mnie też. Przed pociągiem do Tokio przegryźmy coś. Potem możesz spać.

Czy mogę poprosić o kartę „Idź do więzienia”? Wiem, że jest gdzieś tam i czeka na mnie. **IDZIESZ DO WIEZIENIA. NIE PRZECHODZISZ PRZEZ START. NIE OTRZYMUJESZ PREMII.** Chcę dostać tę kartę, i to już. Nie mam ochoty czekać, aż pojawi się przypadkowo na polu „Szansa” gdzieś pomiędzy Gdynią a Montrealem. Chcę, żeby trafiła mi się natychmiast. Mam dość huśtawki. Jestem uzależniona od uwagi. Jestem uzależniona od alkoholu. Za każdym razem, gdy rzucam kośćmi, wychodzą dwie jedynki, a obawiam się, że może być znacznie gorzej.

W pociągu, gdzieś po drodze z Hakone do Tokio, gdy Shin drzemał spokojnie, zadzwonił mój telefon. Przeszłam na początek wagonu, żeby nie przeszkadzać towarzyszowi. Zgodziłam się spotkać z Yoshim, jak tylko dotrę do stacji Shinjuku.



## Yoshi-cola



Yoshi podjechał mercedesem z drugiej strony stacji Shinjuku i odebrał mnie za piętnaście dziewiąta wieczorem. Chwilę wcześniej pożegnałam się z Shinem na peronie Yamanote. Byłam śpiąca i rozleniwiona – Yoshi przeciwnie: zachowywał się nerwowo i zdradzał podekscytowanie. Choć planował tego ranka wypłynąć łodzią z Odaiby, wyprawę uniemożliwiły mu zbyt wysokie fale i w rezultacie musiał wrócić do domu.

Widać dzień minął mu na beczynności, bo teraz pędził jak szalony w świetle ulicznych neonów, wparował jak wariat do podziemnego parkingu, a potem zaciągnął mnie do windy, która zabrała nas na najwyższe piętro jednego z wieżowców Shinjuku. Znaleźliśmy się w zatłoczonej restauracji. Zamówiliśmy górę tempury i pośledniej jakości wino. Yoshi stawał się coraz bardziej pobudzony i zaczął narzekać na wszystko, co się ruszało – poza mną. W normalnych okolicznościach przywołałabym go do porządku, wytykając mu zrzedliwą naturę, ale tym razem byłam przemęczona i zawieszona w niepewności – nie potrafiłam się zdecydować, czy w ogóle mam ochotę przebywać w jego towarzystwie. Z emocjonalnego punktu widzenia odpowiedziało mi gromkie: „Tak”, ponieważ w jego obecności czułam się bezpieczna, adorowana i wyjątkowa. Ale po stronie logiki szare chmury powoli zmieniały kolor na czarny. Kiedy najedliśmy się do syta, a ja byłam już tak pijana, że musiałam wesprzeć się na jego ramieniu, Yoshi uregulował wygórowany rachunek swoją czarną kartą American Express, a potem zapytał, odsuwając na bok zasłonę *noren*:

- Do domu czy na jednego?
- Na jednego – odparłam bez wahania.

Jakuza nie tykała koki. Amfa owszem, to lubili. Tak przynajmniej stwierdził Yoshi. Powiedział też, że mafia bawiła się w jej rozprowadzanie, a od całej reszty tylko brała procent: od kokainy, cracku, heroiny, prochów. Wszystko przechodziło przez Rumunię albo Iran. Yoshi wołał rumuńskie dragi. Mieli dobre źródła, ale lepiej się upewnić. Po klubach krążyła plotka, że w tym tygodniu aż dziesięć osób, w tym kilku obcokrajowców, zmarło po zażyciu kokainy zaprawionej heroiną. Nikt nie znał źródła towaru, ale ci, którzy mieli wybór, unikali go jak ognia, przynajmniej dopóki plotka nie umarła śmiercią naturalną, co nie zajęło wiele czasu. W Japonii złe wieści nigdy nie krążą zbyt długo, zwłaszcza jeśli dotyczą gaijinów.

Kiedy wyszliśmy z restauracji, Yoshi pojechał do Roppongi i zaparkował przed budynkiem stojącym przy głównej alei. Po kilku drinkach wciąż był nieprzyjemny.

– Nienawidzę tego jebanego Roppongi – wypluł z odrazą. – Ale muszę tu czasem przyjeżdżać.

Nie miałam ochoty wysłuchiwać wyjaśnienia, więc nie dopytywałam się. Zostałam w aucie, tak jak mi kazał. Posłał mi szelmowski uśmiech, po czym wyskoczył z samochodu i zniknął w windzie. Wrócił kilka minut później, cięższy o parę gramów.

Jakiś czas później siedzieliśmy na eleganckiej sofie baru The Compass Rose, który znajdował się na dwudziestym drugim piętrze hotelu Westin w Ebisu. Piliśmy i słuchaliśmy piosenkarki jazzowej, która akompaniowała sobie na fortepianie buduarowym. Za oknem wieżowce Tokio miały się feerią czerwonych świateł. Powstrzymałam wzbierające ze zmęczenia i upojenia alkoholowego ziewnięcie. Yoshi spojrzał na mnie.

– O co chodzi, *ma chérie*? Spać ci się chce? Nudzę cię?

– Nie wygłupiaj się, Yoshi. Po prostu nie spałam ostatniej nocy. Jestem wykończona.

– Nie szkodzi. Mam lekarstwo – powiedział szybko. – Chcesz?

Spojrzałam w te jego maleńkie oczka.

– Spoko.

– Chodź – pociągnął mnie za rękę. Drinki zostały na stoliku. Kiedy znaleźliśmy się na korytarzu, odeszliśmy daleko, aż odzwierny zniknął nam z oczu. – Okej, zaczekaj. Sprawdzę. – Dziesięć sekund później kiwnął na mnie palcem.



– Ależ to męska toaleta! – wyszeptalam, ale wepchnął mnie do środka.

– No i? Żaden problem. Pospiesz się.

Zaprowadził mnie do ostatniej kabiny i zamknął za nami drzwi. Wyjął portfel, a z niego malutką dilerkę. Na niedużej srebrnej półce usypał dwie nierówne kreski. Wręczył mi kartę kredytową i rzucił:

– Weź no je wyrównaj. Ja jestem za bardzo nawalony.

Ułożyłam zgrabne kreski, posługując się milionami Yoshiego, który w tym czasie zwinął w rulonik banknot o nominale 10 000 jenów i podał mi go ze słowami:

– Ty wybierasz. Jestem dżentelmenem – po raz pierwszy tego wieczoru jego oczy zaśniły. – Panie zawsze przodem.

Obrzuciłam go długim spojrzeniem. Wiercił się niecierpliwie. To okropne uczucie tak bardzo pragnąć czegoś tak niszczycielskiego. Ale jebać to. Pochyliłam się i wciągnęłam swoją działkę koki. Podałam Yoshiemu banknot i usunęłam się z drogi, stukając obcasami na terakocie. Oparłam się o ścianę kabiny i obserwowałam go: w tym, jak wciągał kreskę, była jakaś desperacja. Starał się opanować, ale zanim odwrócił się, żeby pociągnąć nosem i oczyścić gardło, zobaczyłam efekt działania narkotyku.

Nagle usłyszeliśmy, jak ktoś otworzył drzwi do toalety. Yoshi położył palec na ustach. Dźwięk odpinanego rozporka, krótka przerwa, a po chwili długi strumień moczu. Wydało mi się to okrutnie zabawne i prawie się zakrzusiałam, próbując zachować ciszę i nie parsknąć śmiechem. Yoshi gestem kazał mi usiąść na sedesie, a sam wyszedł z kabiny. Słyszałam, jak umył ręce i uciął sobie pogawędkę z drugim facetem. Jak gdyby nigdy nic. Zachichotałam w duchu. Siedziałam w kabinie w toalecie i byłam wniebowzięta. Yoshi zapukał do drzwi, a potem wyszliśmy pojedynczo, w odstępach dziesięciosekundowych – jak w filmie z Bondem. Zanim wróciliśmy na salę, musiałam wziąć głęboki oddech i odzyskać panowanie nad sobą. Byłam przeczulona i nadmiernie pobudzona, miałam wrażenie, że wszyscy na nas patrzą. A my tymczasem siedzieliśmy niewinnie na kanapie pod ścianą w odległości pół metra od siebie.

– Aaach, teraz jestem *genki* – westchnął Yoshi. – A ty? Okej?

– Super. Tylko znowu nie mogę oddychać – oparłam dłoń o mostek. Yoshi zmarszczył brwi.

– Znowu? – skinełam głową. Przesunął mi daiquiri. – Wypij.

– Wszystko w porządku. Zaraz przejdzie. Nie przejmuj się – uśmiechnęłam się.

Yoshi promieniał. Znów był urzekająco pewny siebie i uroczo arogancki. A ja odlatywałam. Z trudem utrzymywałam równowagę, słuchając Yoshiego, który zaczął narzekać, jak to musiał spędzić Boże Narodzenie na Oahu w apartamencie swojego ojca w Waikiki. Niełatwo przyszło mi skupić spojrzenie na jego twarzy i opanować narastające poczucie paniki.

– Po kiego mam jechać na święta na cholerne Hawaje? I to na dwa dni. Tam nie ma nic do roboty. Będę się nudził. Chyba że pojedziesz ze mną – zasugerował.

– Yoshi, na święta jadę do domu.

– Okej, okej. Dlaczego jesteś taka trudna? Dam ci w prezencie bilet lotniczy. A potem możesz wrócić do Tokio w styczniu i pracować w Greengrass...

– Co? Nie chcę już być hostessą. Zwariowałeś?

– To co będziesz robiła? Pracowała jako modelka? – rzucił od niechcienia.

Raptem dotarła do mnie cała absurdalność sytuacji, w jakiej się znalazłam. Nawet w oczach Yoshiego praca hostessy nie była niczym dziwnym. Postrzegał hostessę jako po prostu jeden z kobiecych zawodów, a także część kultury swojego kraju. Poczulałam się oszukana, kiedy zdałam sobie sprawę, że Yoshiego niespecjalnie obeszłoby, gdyby jego hipotetyczna dziewczyna miała pracować w klubie jako hostessa. Poczulałam niesmak. Zgoda, moja praca w Greengrass nie stanowiła problemu dla Matta, ale on wiedział, że chodziło o tymczasowe zajęcie, a poza tym, o ile nadal nad tym wszystkim panowałam, wspólnie przecież tkwiłszy w mistyfikacji.

Tymczasem Yoshi nadal w beznadziejny sposób próbował mnie zdobyć. Wówczas, zupełnie nagle, stało się to dla mnie jasne jak słońce. A to skurwysyn.

Prawił mi komplementy, trajkocząc o mojej urodzie i jaką frajdę mielibyśmy, strojąc się do opery. Powiedział, że gdybym została jego dziewczyną, byłby dumny jak paw, moje życie byłoby pełne niespodzianek, a jedyną niespodzianką, jaką ja musiałabym sprawić jemu, byłyby nowe stringi. Jego matka, rzecz jasna, z zaskoczeniem znalazłaby je u syna w rzeczach do prania, a wtedy Yoshi powiedziałby jej, żeby pilnowała własnego nosa. Wyglądałabym świetnie w rzeczach od Valentina

i wszyscy znajomi Yoshiego by mu zazdrościli. Mogłabym wprawdzie odrobinę przytyć, ale poza tym byłam doskonała. Yoshi nie lubił chudych panienek.

– W każdym razie, *ma chérie*, mam ochotę wziąć co nieco. Też masz ochotę?

– Nie, dzięki. Nadal z trudem oddycham. To chyba za dużo dla mnie.

– Okej, zaraz wracam.

Yoshi udał się samotnie do męskiej toalety, a ja usiadłam na kanapie w przyzwoitej pozie i opróżniłam najpierw swoją szklankę wody, a potem jego. Właśnie sączyłam drugie daiquiri, kiedy wrócił do baru, krocząc dumnie jak paw. Musiałam znieść kolejną dawkę barwnych obietnic. W końcu z rozmysłem wbiłam wzrok w jego roleksa. Yoshi spojrział mi w oczy.

– Chcesz, żebyśmy wzięli pokój? – zapytał bezceremonialnie. Pierwszy raz Yoshi ubrał swoje pragnienia w tak bezpośrednie słowa. Zrobiło mi się gorąco. Było mi wstyd i poczułam się okropnie na samą myśl, że moja obecność tutaj z nim była jednym wielkim kłamstwem.

– Nie – uciełam ostro. Wzruszył ramionami, jak gdyby nie zrobiło mu to najmniejszej różnicy. Miałam dość. – Chcę pojechać do domu, Yoshi. Jestem zmęczona – powiedziałam.

Na co on odparł z uśmiechem:

– Oczywiście, *ma chérie*, dla ciebie wszystko.

Obydwoje byliśmy nabuzowani tak, że Yoshi nie powinien był prowadzić auta, a ja nie powinnam była mu na to pozwolić. Ale wsiedliśmy do samochodu i pokonaliśmy wyludnione o tej wczesnorannej porze ulice, aż dotarliśmy do mojej dzielnicy. Poprosiłam, żeby się zatrzymał. Odwrócił głowę w moją stronę i wyznał:

– Mam co do ciebie poważne zamiary. Jestem zdecydowany.

– Naprawdę? – zaoponowałam. – Czy na pewno jestem osobą, którą chciałbyś przedstawić swojej matce?

– Jeszcze nie wiem – odparł cicho.

– Cóż, wychodzi na to, że jednak nie masz poważnych zamiarów – podsumowałam beznamiętnie. – Bo ja wiem, że ty wiesz, że nie zrobiłbyś tego. Jestem tylko częścią twojej gry, Yoshi.

– Nie, *ma chérie*. Zależy mi na tobie, ale ty nie...

– Daj spokój, Yoshi – przyłożyłam dwa palce do jego ust. Złożył na nich pocałunek. – Nie mów już nic więcej. Dzięki za dzisiejszy wieczór – powiedziałam cicho. – Do zobaczenia.

Wysiadłam na pustą ulicę, delikatnie zamknęłam drzwi samochodu i nie obejrzałam się za siebie. Byłam tylko zastępstwem, dublerką, której przypadło w udziale odgrywanie głównej roli po tym, jak poprzednia aktorka wypaliła się twórczo. Prawdopodobnie z tej przyczyny odeszła jego ostatnia dziewczyna. Zmęczyły ją narkotyki, ten przychodzący falami magnetyzm Yoshiego, kłamstewka, to że tak naprawdę nie znał dziewczyny i że w sumie nie chciał jej poznać, a była mu potrzebna jedynie do tego, by miał z kim udawać, że było okej.

Gdyby mnie tam nie było, znalazłaby się inna, która spędzałaby wieczory na odlatywaniu z Yoshim; która zabawiałaby go swoim towarzyswstwem; która wysłuchiwałaby jego pięknych słówek o pięknym związku w pięknej przyszłości, która nigdy nie istniała. Piękna, młoda, pełna gracji – czegoż więcej mógł pragnąć?

Powinam była posłuchać Karoliny, kiedy ostrzegała mnie: „Nam, dziewczynom wydaje się, że to my się nimi bawimy, a tymczasem jest odwrotnie. Nie bierz na poważnie tego, co mówią, nie angażuj się, a będziesz się dobrze bawiła”. Cóż, a jednak nie bawiłam się dobrze. W dupie z Yoshim. I w dupie z tym pieprzonym miejscem.

Roppongi to zimny betonowy blok, wynajęty samemu diabłu na mocy automatycznie odnawialnej, nigdy niewygasającej dzierżawy. Roppongi, dzielnica bezprawia, na srebrnej tacy podsuwa usprawiedliwienie każdej zachcianki, dowolną pokusę i rozrywkę. Kiedy nie będziesz patrzeć, wsunie ci w dłoń, co zechce. Będzie śledzić każdy twój krok i szeptać ci do ucha. Wiem, bo ją słyszę. Czuję. Gdybym miała rozpaść się na kawałki, gdybym miała stracić zdrowy rozsądek, stałoby się to w Tokio.

Gdyby nie mój kochany Matt, zwariowałabym już dawno. Wiem o tym. Bez tego, który, gdy wracałam do domu o porannej porze, opowiadał mi o fizjologii i czasopismach fitness, który słuchał mnie, kiedy wypływałam z siebie szczegóły dwudziestu godzin spędzonych z dala od niego, który kupował proszek do prania, o którym ja nawet nie pomyślałam – bez niego skończyłabym beznadziejnie. I choć pozornie wydawało się inaczej, to jednak każdy kolejny dzień podtrzymywania mojej maskarady, umacniał jedynie łączącą nas więź.

Miałam serdecznie dość. Już nie wiedziałam, co robię. Byłam wypompowana. Jeszcze dwanaście godzin wcześniej, w gorących źródłach

w Hakone czułam, że niczego mi nie brakowało, a potem, ledwo wróciłam do Tokio, miałam wrażenie, jakby uszło ze mnie powietrze.

Chciałam to przerwać. Jeszcze sześć tygodni. Wytrzymam? Chciałam pójść spać, ale miałam nienaturalnie rozszerzone źrenice. Nienawidziłam tej smugi światła, która wpadała do pokoju, kiedy budziłam się w środku dnia. Moje życie stanęło na głowie. Zaglądałam do każdego białego lub srebrnego mercedesa, jaki mijał nas na ulicy. Czy znałam tego faceta? Czy rozpoznał mnie? Czułam, że nie powinnam była trzymać mojego męża za rękę w miejscu publicznym. Byłam głodna, ale nie miałam ochoty jeść. Nie wiedziałam, co o tym sądzić, czułam się przygnieciona. W zbyt krótkim czasie zgromadziłam zbyt wiele objawów i teraz nie wiedziałam nawet, od czego zacząć diagnozę mojej przypadłości. Byłam szczęśliwa i pełna radości. Byłam smutna i czułam się samotna. A paranoja? Też była na mojej liście – ot, kolejny odhaczony czerwonym długopisem kwadracik. Myślę, że to może być najbardziej szalona rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam. Być może.

Boże, dopomóż mi, jeśli jest inaczej.



## Lustreczko, powiedz przecie...



Kiedy pojawiłam się w pracy tuż przed dziewiątą, powitały mnie zapadnięte oczy Abie. Nie miała na twarzy nawet grama makijażu. Wyglądała jak mała dziewczynka. Trzęsła się z zimna, siedząc pod nawiewem klimatyzacji, opatulona w nieprzepisowy rozpinany sweter. Z każdym dniem przyzwyczajałam się coraz bardziej do jej niechlujnego wyglądu, ale dziś, widząc jej potargane, skołtunione włosy, musiałam zapytać:

– Abie, czy wszystko w porządku?

– Nie. Już myślałam, że nie wrócę w ten weekend. Czułam się tak... tak marnie.

Zaczęło się od lekkomyślnej decyzji: nawiązania bliższej znajomości z twardymi narkotykami w nocnym klubie. Wir imprezy rzucił ją do mieszkania Benny'ego, izraelskiego diler. Abie, spodziewając się ostrego zejścia, odmówiła podwiezienia do domu, uzasadniając, że nie chciała ujawniać tożsamości pewnego faceta. Postanowiła nie wydawać kasy na taksówkę i zamiast tego odbyć pieszą wędrówkę po nieznanym sobie ulicach, za punkt orientacyjny obierając Wieżę Tokijską. A potem przeleżała w łóżku kilka godzin, wpatrując się we własne odbicie w lusterku z przekonaniem, że umiera.

O rany. Czy aby całkiem niedawno nie było jej udziałem podobne, równie paskudne przeżycie? Poprzednim razem wzięła LSD na jakimś przyjęciu w Roppongi. Biadoliła wtedy tą samą starą śpiewką:

– Nienawidzę Tokio. Nienawidzę Japończyków. Chcę wyjechać. Co ja tu robię? Kim ja jestem?

– Abie, musisz mi obiecać, że nie dotkniesz więcej narkotyków...

– Nigdy? – zapytała cynicznie. Nie odpowiedziałam, tylko spojrzałam na nią wymownie. Uszło z niej życie, stała się ponura i przytyła – wszystko to zaledwie w kilka tygodni. Co się z nią stało?

– Abie, proszę cię, dbaj o siebie – błagałam ją. Rozplakała się, kiedy ją przytuliałam.

– Wiem – wyszeptała. – Przestraszyłam się. Teraz będzie okej.

Ale dwadzieścia cztery godziny później Abie zwierzyła mi się, że miała ochotę przepalić i przespać przygnębienie. Czasem słowa bywają bezsilne.

A ludzkie zachowanie uparcie niezmiennie.

Słyszałam setki historii o dziewczynach, które spędzają sobotni wieczór w Roppongi, balując w ramionach chemicznego „pocieszyciela”. O ile jeszcze nie dostają dragów za darmo, te dziewczyny, które nigdy by za coś takiego nie zapłaciły, chętnie wykładają kasę, a te, które nie brały, zaczynają brać. A wszystkie one lecą prędzej czy później na łeb na szyję i gubią się w betonowej dżungli.

Dla białej sponiewieranej dziewczyny wracanie chwiejnym krokiem po całonocnym imprezowaniu potrafi być trzeźwiącym, zimnym prysznicem. Trudno winić zdyscyplinowanych Japończyków, że kiedy widzą, jak w środku dnia gaijinka snuje się po okolicy, stukając obcasami i powłócząc suknią, biorą ją za prawdziwego wcielonego obcego diabła – nawet jeśli otwarcie nie pokazują swoich odczuć.

Na tym właśnie polegał problem, a przynajmniej jego część. Japończycy pozornie nie zwracali na nią uwagi. Ale ona widziała ich w domach, w normalnych okolicznościach, jak prowadzili zwyczajne życie. Dzień to czas zapominania, a przebywanie w takim stanie w samotności jedynie wzmacniało dojmujące poczucie odizolowania. Abie była daleko od domu. I daleko od wszystkiego, co znała. Bilet na samolot, paszport, obietnica łatwego zysku, przygoda życia – wszystko to spowodowało ją do Japonii, ale kiedy okazało się, że była źle przygotowana i sytuacja ją przytłoczyła, Abie poczuła, że nie należy do tego miejsca. Równocześnie pogardzała i otaczała szacunkiem to, co pociągało ją w tym mieście i w tej pracy. Nie potrzebowała, żeby ktoś nazywał dla niej rzeczy po imieniu, bo i tak czuła się gaijinką w każdym tego słowa znaczeniu. Zawładnęła nią przerażająca samotność i pustka, którą za wszelką cenę pragnęła wypełnić, choćby w sztuczny sposób.

Oczywiście posługuję się uogólnieniem, ale myślę, że podobna rzeczywistość staje się udziałem wielu dziewcząt pokroju Abie, które wracają późnym niedzielnym rankiem do swoich mieszkań wielkości budy dla psa i wyplakują oczy w pobrudzoną tuszem do rzęs poduszkę.





## Wybierz numer



W odpowiedzi na moją rozwlekłą wiadomość dotyczącą pogarszającego się stanu zdrowia, Nori zadzwonił i oznajmił, że w środę koniecznie muszę się z nim zobaczyć.

– Chcę się dowiedzieć, jak o mnie myślisz.

– He? Co masz na myśli? – odparłam zdecydowanym głosem, mając nadzieję, że poczuje się na tyle zawstydzony, że nie będzie w stanie powtórzyć. Ale jednak powtórzył, słowo w słowo, czym zmusił mnie do mało przekonującego uniku. – Y... jasne. Mówisz, że środa? No, okej, z chęcią spotkam się z tobą w środę. Możemy pójść na obiad i w ogóle spędzić razem trochę czasu. Byłoby miło.

– Okej – westchnął Nori. – Wierzę ci.

Co to niby miało znaczyć? Nie powiedziałam nic takiego, w co musiałby uwierzyć.

– Ale przy okazji – zmusił się, żeby zabrzmieć radośnie – mówiłem ci? Wczoraj moja przyjaciółka hostessa z Roppongi przyjechała do Jokohamy zobaczyć się ze mną. Spędziła cały dzień w moim domu – roześmiała się sztucznym głosem – i tak super się bawiliśmy.

– Świetnie – odparłam i zaczęłam skarżyć się na zatoki.

Co on sobie myślał? Że wymyślona historyjka wzbudzi we mnie zazdrość, bo potajemnie pragnęłam z nim być? Boże! Doskonale wiedziałam, że byłam zaledwie białą płachtą ekranu, na której Nori wyświetlał swoje fantazje, ale pytanie w którym momencie napisy zaczęły rozmijać się z ekranową prawdą? – Słuchaj, a może wiesz, co powinnam na to wziąć? – Ja dalej swoje. – W nocy mam trudności z oddychaniem i...

– Chcę, żebyś mi powiedziała, co o mnie myślisz – przerwał mi Nori.

Miałam wątpliwości, czy naprawdę tego chciał, więc wymówiłam się kiepskim samopoczuciem, powiedziałam, że porozmawiamy później, i rozłączyłam się, zanim zdążył zaprotestować.

Shin wykręca mój numer raz na dwa, trzy dni. Goro dzwoni sporadycznie. Nori odzywa się codziennie, czasem dwa razy, zazwyczaj jednak trzykrotnie albo nawet częściej. No, i jeszcze Yoshi. On dzwoni do mnie, jeśli tylko najdzie go ochota, zawsze przybiera odpowiedni ton głosu, jak gdyby myślał o mnie milion lat i nie mógł już tego dłużej znieść. „Chciałem po prostu usłyszeć twój głos – mówi. – *Ma chérie*”.

Odkryłam, że za każdym razem, gdy odbieram telefon, odzywam się innym głosem. W ten sam automatyczny sposób każdorazowo dostrajam się do klienta, gdy siadam przy stoliku w klubie. To adaptacja, ocena dystansu, jaki dzieli ciebie od niego, przewidywanie reakcji, manipulacja wynikiem. Muszę wszakże podkreślić, że nigdy nie flirtuję z klientami. Jestem hostessą model konwersacyjny. Proste i jasne.

Z jednym wyjątkiem. Nadal nie potrafię wcisnąć Yoshiego do odpowiedniej szuflady i sprawić, by tam pozostał. Nieważne, jak bardzo go upycham, on i tak wystaje. Nie zastanawiam się, do jakiego stopnia Yoshi wpływa na moje życie, ponieważ nie postrzegam tego życia, które teraz prowadzę, jako moje własne. Moje dni i noce nie są w gruncie rzeczy moimi. To wciąż ja, a jednocześnie nie ja. Nie jestem pewna, czy potrafię wytłumaczyć to jaśniej. Zbyt wiele pytań, a za dużo zmiennych, więk-szość z nich pozostawiam bez odpowiedzi. Istnieje wszakże jedno pytanie, na które znam odpowiedź bez konieczności zadawania go. Gdybym była samotną kobietą, a Yoshi byłby sobą, czy wtedy traktowałabym jego podchody poważnie? Tak. No proszę, powiedziałam to.

Właśnie takie bzdury krążą mi po głowie. Wiem, że nie powinnam, ale wierzę w to, co mówi Yoshi, nieważne, jak mało w tym logiki. Naprawdę ufam, że mnie kocha. Dlaczego? Kto to wie. Być może to tylko moje nadęte ego. Przeraża mnie to. Znam konsekwencje. Wiem, co z tego będzie. Nie umiem tylko okiełznać demonów, bo ich nie da się tak łatwo poskromić.

\*

Zdażyłam przeczytać zaledwie kilka stron *A History of Japan*, kiedy nagle zadzwonił telefon. Wiedziałam, że to Yoshi, zanim jeszcze spojrzałam na wyświetlacz. Tym razem był to jeden z tych nudnych, biurowych telefonów, podczas których on marudził, a ja śmiałam się bez sensu. Kiedy się rozłączył, położyłam telefon daleko od siebie. Wtedy raptem zdałam sobie sprawę, że właściwie nie znałam nawet jego nazwiska. Ani nazwy jego firmy, ani zawodu, ani wieku, po prostu niczego. A jednak pojechałam z nim do Kioto z 40 dolarami w kieszeni. Dwa razy wzięłam kokainę w sytuacji, w której oprócz mnie i niego był tylko pusty hotelowy pokój. Gdybyście zapytali o numer japońskiej policji, spojrzałabym na was tępym wzrokiem. Głupia. Warto byłoby się nad tym zastanowić, gdyby nie to, że morzył mnie sen.

Ustawiłam budzik na piętnaście po siódmej wieczorem i wróciłam do łóżka. Kiedy podciągnęłam kołdrę pod samą brodę, pograżając się w sztucznych ciemnościach, poczułam, jak drgają mi usta. Zdażyłam zamknąć oczy, zanim popłynęły łzy. Za dnia czułam się taka przybita. Surowa, wykończona i prześwietlona na wylot.

Tak właśnie się czułam.



## Nazwisko Yoshiego



Dziś wieczorem Abie była bardziej rozluźniona niż w ostatnich dniach, ale podejrzewam, że chodziło raczej o skutek uboczny nadmiaru krążącego w jej żyłach THC. Zaczęła codziennie palić marihuanę wskutek decyzji, by w poszukiwaniu duszy udać się z porażająco przewidywalną misją wspólną tak wielu Izraelczykom: na nieustraszoną wędrówkę po Indiach. Miała wyjechać za cztery tygodnie i przez cały ten czas niespecjalnie przejmowała się pieniędzmi. Rzadko widywała się z Dziadziem, dała sobie spokój z butelkowaniem i tylko każdego ranka wracała do domu, żeby palić gandzię i marzyć o Goi. Kiedy przyglądałam się jej, jak zaciągała się papierosem, stwierdziła, że wyglądałam w takich chwilach na smutną.

– Cały czas masz na twarzy ten wielki uśmiech, ale patrzę w twoje oczy i one są smutne – rozwodziła się. – Co się dzieje?

– Trochę się pogubiłam. Wszystko mi się popierdoliło. – Przewróciłam oczami, jakby chcąc podkreślić absurdalność moich odczuć. Albo może żeby ukryć ich prawdziwą wagę.

– Yoshi? – wymamrotała.

– Yoshi – powtórzyłam, a potem poszło już z górki. – Naprawdę myślę, że on mówi poważnie. Bo wiesz, a jeśli faktycznie mówi poważnie? Wyobraź sobie, co...

Ale Abie gwałtownie ucięła:

– Nie mów. Chelsea, to jest gra. Nie możesz mu wierzyć. To twój cholerny klient. Przychodzi tutaj i w ten sposób staje się twoim klientem. Kochasz Matta, a Matt kocha ciebie. To jest twoje życie. Nie musisz mu

mówić wszystkiego. Oni wiedzą, że to udawanie. Jeśli myślisz, że jest inaczej, to zwariowałaś.

– Wiem. Po prostu nie spodziewałam się, że tak mocno się zaangażuję. To znaczy, wiesz, to nie jest tak, że gotowa jestem uciec z jakimś bogatym Japończykiem, o którym nie wiem nawet, jak się nazywa. Nie ludzę się do tego stopnia co oni. Ale wciąż czuję, że...

– ...ma tyle lat, że mógłby być twoim ojcem?

– Chciałam powiedzieć, że mi go szkoda.

– Czy naprawdę jesteś w stanie wyobrazić sobie związek z osobą, która jest uzależniona od narkotyków? No daj spokój, Chelsea, przecież ten facet jest uzależniony. Wiesz, co to robi z człowiekiem? – Uniosła dłoń wysoko ponad swoją poskręcaną, mysią czuprynę, a potem gwałtownie ją opuściła. – Zaczynasz tutaj, a kończysz na dnie.

– Wiem o tym. Po prostu chciałam... właściwie to nie wiem co. To takie pociągające, ale z drugiej strony, kiedy o tym myślę, to wiem, że nie chciałam być kimś, kogo życie upływa na powtarzaniu: „Yoshi, mogę to dostać?”, „Yoshi, kupisz mi to?”. No i, rzecz jasna, nie mogę powiedzieć Yoshiemu o Matcie, ale nie wiem, jak sobie z tym poradzić. Żadna wymówka nie zabrzmiałaby wiarygodnie. Co mam mu powiedzieć? On robi się taki... natarczywy.

– Nic. Graj zgodnie z jego regułami. To twój klient i tyle. Racja?

– Racja.

*Irashaimasse!* O charyzmatycznym wilku mowa, a charyzmatyczny wilk tuż.

– O kurwa, zgadnij, kto właśnie wszedł o klubu.

– Czyżby Yoshi?

O tak! W świeżo wyprasowanej koszuli i nowiutkim krawacie wyglądał nienagannie i bardzo oficjalnie. Abie objęła mnie niczym na spotkaniu grupy Anonimowych Alkoholików.

– No idź, zabaw się z klientem. Kocham cię.

– Kimże jest ten przystojny dżentelmen? – zapytałam szczerze, stając przy niskim stoliku. Yoshi chwycił mnie za rękę. Pocałowałam go w policzek. Był okropnie spięty.

– Wczoraj wieczorem wszystko padło przez tajfun? – zapytał.

– Nie, działało.

– Ach – Yoshi wydawał się szczerze zdziwiony. – Dobrze się bawiłaś?

– Daj spokój, Yoshi, przecież to czysty biznes. A poza tym wszyscy oni to wariaci.

– Czy ja jestem wariat?

– Ty też jesteś wariat, tyle że innego typu.

– Dobry wariat?

– Tak, dobry wariat. Jesteś jedyny w swoim rodzaju.

– To dobrze. Wracam z kolacji biznesowej. Ble. Miałem zostać na drinka, ale urwałem się. Powiedziałem, że muszę rano wstać, i od razu przyjechałem do ciebie. Tęskniłem za tobą – zagruchał. – Jak się masz, Chelsea? *O-genki desu ka.*

– *Genki desu*, a ty?

– Jebane interesy. Jestem biznesmenem. Nienawidzę tego. – Poluzował krawat. Zerknął na zegarek. Sprawdzał go co dziesięć sekund.

– O co chodzi? Masz dzisiaj gorącą randkę?

– Nie – popukał w szkiełko roleksa na wysokości godziny trzeciej. – Mam spotkanie z dilerem. Za dziesięć minut.

Aha, czyli teraz w tych sprawach będziemy aż tak szczerzy.

– Idę na dół. Pierdoleni dilerzy, u nich dziesięć minut to pół godziny.

Nie przyszedł mi do głowy żaden celny komentarz. Yoshi odgrywał swoją rolę tak, jak mówiła Abie, i trzeba przyznać, że był wyśmienitym aktorem. A ja, głupia, myślałam, że było inaczej.

– Wywołałeś moje zdjęcia? Te z Kioto? – zapytałam spokojnie.

– Taaa, mam je w aucie. Na dole. Czego się napijesz? – Poprosiłam o wino. Soh uraczył mnie zaskoczonym wytrzeszczem. Co prawda zeszły tydzień upłynął mi pod znakiem herbaty Ulung, ale teraz potrzebowałam dwóch kieliszków czerwonego wina, choćby po to, żeby opanować nerwy. Yoshi zaczął narzekać na wszystko dookoła.

Odchrząknęłam i zapytałam:

– Jak często to robisz, Yoshi?

– Robię co? – warknął w odpowiedzi. Skinęłam tylko głową pokazując na roleksa. Wiedział, o co mi chodziło. – Co? Przestań, przecież nie codziennie. Tylko jak jest impreza. Z tobą – uśmiechnął się z fałszywą skromnością. Uniosłam brwi. – Och, *ma chérie*, no, nie w tygodniu, dajże spokój. Ja jestem człowiek pracujący! Jestem biznesmen. Nie, nigdy. – Jego telefon zadzwonił. Odebrał w jednej chwili. – Okej, będę, dwie minuty.

A potem zostawił mnie samą na kwadrans. Kiedy wrócił, nawet nie

spojrzał w moim kierunku, tylko pomaszerował od razu do toalety. Przywołałam Soha.

– Słuchaj, kiedy Yoshi będzie płacił, czy możesz zapisać jego nazwisko?

– Okej. Ale dlaczego znika na tak długo? – zapytał Soh. Wzruszyłam ramionami. Yoshi dołączył do mnie dopiero po dziesięciu minutach.

– Uciałeś sobie pogawędkę z *mama-san*? – Nie zdołałam pozbyć się smutku w głosie.

– Nie wiem, o czym ona pierdoli. Gada coś do mnie, a ja nie wiem o czym. A co, jesteś zazdrosna? – Nie odzywałam się. – Chelsea, *ma chérie*, tęskniłaś za mną? Myślałaś o mnie? Nie, wcale nie. Wiem o tym. Nie zależy ci na mnie.

– Nie chcę tego słuchać, Yoshi. Przestań tak mówić. – Dałam mu klapsa w dłoń, którą próbował przesunąć w górę mojego uda. Chyba nie był jeszcze na haju, ale tego nie mogłam być pewna.

– To będzie mój łup – zamruczał. – Prawda? Och, nie mogę się doczekać. Powiedz, że to należy do mnie.

– Spierdalaj, Yoshi. Nie dotykaj mnie.

Roześmiał się tylko.

– Okej, idę do toalety. Chcę trochę. – Jego nonszalancja była do tego stopnia wykalkulowana, że miałam wrażenie, jak gdyby ta myśl naszła go zupełnie od niechcienia. – Chcesz? – wyszczerzył zęby.

– Nie – odmówiłam kategorycznie. I tak, wieczorem w środku tygodnia, Yoshi zniknął w toalecie z zamiarem urządzenia sobie samotnej imprezy.

– Jesteś już *genki*? – rzuciłam cynicznie, kiedy pojawił się z powrotem.

– Nie. Okej, może jeszcze minuta, a potem *genki*.

Sześćdziesiąt sekund później Yoshi urósł w oczach i zaczął roztaczać wokół siebie tę charakterystyczną woń wspartej pewnością siebie arogancji. Wziął głęboki wdech i załamał ręce.

– Oooo... teraz jestem taki *genki*. Dzięki tobie.

Stek bzdur. Nie przypominam sobie, żebym zmieniła imię na Kokaina. To nie ja wywołałam euforię w każdej komórce jego ciała po tym, jak przed chwilą wciągnął mnie otworem nosowym. O czym on mówił? Zaczął pociągać nosem. Wezwał Nishiego i poprosił go o zimny *oshibori*. Kiedy Yoshi nalewał Nishiemu piwo, zastanawiałam się, ile proszku przeszło mojemu kompanowi przez nozdrza w ciągu całego jego życia.

Objął mnie ramieniem i mocno przycisnął do siebie.

– Nishi, co ja mogę? Ja tak bardzo ją lubię, a ona mnie nie lubi. Nie chcę nieodwzajemnionej miłości.

Nishi w ciszy spijał zimną piankę. Zaśmiał się tylko bezgłośnie, kiedy dźgnęłam Yoshiego w żebra, żądając od niego więcej przestrzeni, a potem, gdy pojawiło się więcej klientów, odszedł bez słowa, zostawivszy piwo na stoliku.

– Wiesz – wyszeptał Yoshi. – Seks z samym sobą jest lepszy niż pannenka na jedną noc. Mam rację?

– Jesteś śmieszny, Yoshi.

– Okej, może i tak. Ale jestem facetem, w dodatku zakochanym w tobie. Muszę jakoś przetrwać. Pomożesz mi przeprowadzić się do nowego mieszkania? Możesz być moim pierwszym gościem. Zrobimy imprezę. Będzie tak dobrze, moje mieszkanie tak blisko twojego. Wiesz, że wcześniej mieszkałem obok ciebie.

– Wydawało mi się, że mieszkasz niedaleko hotelu Westin w Ebisu.

– No, tam też. Wiele miejsc.

– A ile razy wracałeś do domu do mamusi?

– Za każdym razem, kiedy mam złamane serce, wracam do niej, żeby zaleczyć rany. A potem znowu się wyprowadzam. Jeśli złamiesz mi serce – ostrzegł – wrócę do mamy.

– Ale przecież jeszcze się nawet nie wyprowadziłeś.

– Nie, ale wkrótce. Dwudziestego szóstego. Znasz międzynarodowy supermarket? Moje mieszkanie jest bardzo blisko. Drugie piętro. Możesz przyjść, kiedy chcesz, otwarte dwadzieścia cztery godziny na dobę. Po pracy, jak będziesz śpiąca, przyjdź, zjedz sobie coś.

„No jasne – pomyślałam. – Jestem pewna, że spodobałoby ci się, gdybym pojawiła się o trzeciej nad ranem, pijana w sztok”.

Delikatnie położył swoją dłoń na mojej i splótł nasze palce.

– Zebrzątko – powiedział.

Roześmiałam się. W duchu zadałam sobie pytanie, jak wielu dziewczynom mówił to samo, co mnie.

– Ale mówiłem ci. To na poważnie! Już postanowione, a ty mi nie wierzysz. Kiedy się do mnie wprowadzisz? – zapytał.

– Co? – byłam w szoku. – Nawet nie wiem, jak brzmi twoje nazwisko, a ty chcesz, żebym z tobą zamieszkała?

– Tokugawa. T.O.K.U.G.A.W.A. Yoshiaki Tokugawa, ale wszyscy



mówią na mnie Yoshi. – Pomyślałam tylko: „I wszystko jasne. Możesz mi dorobić klucze”. – Co, myślisz, że cię nie kocham? Och, och, och! – zakwilił z przekąsem. – Nie znasz mojego nazwiska, chlip, chlip, chlip. Nie wierzysz mi? *Ma chérie* – wpatrywał się we mnie. – Dla ciebie wszystko.

Okej. Głęboki oddech. Jedyną rzeczą, w jaką uwierzyłam, było to, że jego nazwisko brzmiało Tokugawa – a to tylko dlatego, że kiedy wyciągnął swoją kartę American Express, żeby zapłacić, przyjrzałam się, co było na niej napisane.

Gdy znaleźliśmy się na korytarzu, Yoshi obiecał, że zadzwoni do mnie następnego dnia.

– W porządku?

Pewnie, że w porządku. Kochałam go i gardziłam nim. Wepchnęłam go do windy i odwróciłam się. Ruszyłam przed siebie, machnąwszy mu jedynie ręką. W ostatniej chwili zerknęłam za siebie i zobaczyłam, że posłał w moją stronę namiętny pocałunek.

Niektóre dni są lepsze niż inne, a niektóre po prostu gówniane. Non stop uczę się, jak poprawić sobie samopoczucie. Tego wieczoru w Greengrass Jodie stwierdziła, że wyglądałam wyjątkowo *genki*.

– Wyglądasz, jakbyś miała za sobą genialny weekend – powiedziała.

Serio? Ale ja nic nie zrobiłam. Nie potrafię już pamiętać, co wydarzyło się poprzedniego dnia. Każdy dwudziestoczterogodzinny cykl w tym oślepiającym świecie fantazji przypomina kalejdoskop emocji wypełniony dobrą zabawą i wyrzutami sumienia.

– Przez to uciekasz z Tokio, i dlatego do niego wracasz. To uzależnia, sama zobaczysz – stwierdziła Jodie. – Nie miną dwa tygodnie od wyjazdu, a już będziesz chciała wrócić – przerwała na chwilę. – Nie, małe sprostowanie: gwarantuję ci, że wystarczy tydzień.

To słowa Jodie. Zaczynałam w nie wierzyć. Czekałam i czekałam. I nadal tu byłam.



## Doktorek wariuje



Zdziwiona i zaskoczona. Jak mogłam się czuć? Nie da się tego inaczej nazwać.

Jednego dnia nie znałam nawet jego nazwiska, a drugiego Yoshi zadzwonił do mnie ze szpitala, w którym rodziła jego kuzynka.

– To chłopiec! – krzyknął z dumą w głosie do słuchawki. – Już jej drugie dziecko. Jest taki przystojny, a już wygląda na urwisa.

– A wiesz dlaczego? – zaśmiałam się. – Bo jest spokrewniony z tobą. Gratulacje, Yoshi. To wspaniała wiadomość, naprawdę wspaniała.

– Dziękuję ci, dziękuję. Jestem taki szczęśliwy. Co robisz?

– Czytam. Właśnie...

– Co? Czytasz? Oszalałaś? Wyrzyj przez okno! Piękna pogoda. Wyjdź na powietrze!

– Okej, okej, wiem. Pójdę na spacer.

– Dobrze. Jesteś grzeczną dziewczynką?

– Nooo... tak sobie. Wróciłam do domu o wpół do drugiej w nocy.

– Okej, *wakatta*. W każdym razie... muszę lecieć. Porozmawiamy później – rzucił zwyczajowe *hai-bye* i rozłączył się.

Spojrzałam na przedmiot, który trzymałam w dłoni: 1 2 3, 4 5 6, 7 8 9, # 0 \*. Spośród wszystkich numerów Yoshi wybrał akurat mój. Nacisnął zieloną słuchawkę. Zaczekał jeden, dwa, trzy sygnały po to, by móc usłyszeć mój głos. Nie mogłam w to uwierzyć. Co też go opętało, tego mężczyznę, którego ledwo znałam, by dzwonić akurat do mnie w tak intymnej chwili, kiedy powinien cieszyć się z rodziną? Zwłaszcza że do tej

pory spodziewałam się po nim co najwyżej telefonicznego podrywu o każdej porze dnia i nocy.

Natychmiast przypominałam sobie obraz naszych splecionych dłoni. Zebrzątką. Oto powód. Wiedziałam.

Wieczór w klubie w towarzystwie Noriego przypominał próbę zapanowania nad sześciolatkiem, który postanowił nie kończyć trwającego od tygodnia napadu złości. Miałam już dość tej zabawy i dość udawania.

– Jesteś zły, prawda? O co chodzi? Co cię tak zdenerwowało?

– To twoja wina, że jestem zły! – krzyknął w odpowiedzi. – Potrzebujesz mnie, a ja potrzebuję ciebie. Powinnaś o tym wiedzieć, ponieważ... Kocham cię! I... i będziesz moja.

– Schrzanieś sprawę, panie Ito – odparłam, tytułując go formalnie po to, żeby zatrzeć wszelkie ślady poufałości, jakie jeszcze między nami zostały. – Nie jesteś moim przyjacielem. Trudno mi uwierzyć w to, co mówisz. Jesteś złośliwy, jesteś dziecinny i niesprawiedliwy.

– Nie! Ale ja naprawdę cię kocham. Nie dzwonię do ciebie, wiem, ale dla mnie jesteś nie tylko hostessą. Zaangażowałam się emocjonalnie. Nie uważasz?

„Spierdalaj, psycholu” – mruknęłam pod nosem ledwo słyszalnie.

– Dlaczego zachowujesz się jak dziecko? Ito, ja nie potrafię zrozumieć, dlaczego tak się zachowujesz.

– Bo tak! To twoja wina, że jestem smutny. Chciałem się z tobą zobaczyć w tamtą niedzielę. Dlaczego nie możesz zrozumieć, że zrobię dla ciebie wszystko? Sprawię, że odniesiesz sukces.

– Przykro mi, ale nie, Ito. Czyny przemawiają głośniejsz niż słowa. Znasz to powiedzenie? Nie. Wierzę. Ci. Nigdy nie zabrałeś mnie na *dohan*. A poza tym cały czas kłamiesz!

– Ale... – zaczął Nori. Podniosłam rękę, żeby go uciszyć. Był zdeperowany, a ja nie mogłam tego znieść. Wiedziałam, że się nie podda. – Tylko ty dla mnie jesteś. Nikt inny mnie nie uszczęśliwia. Myślę o tobie zawsze, ale denerwuję się tym, bo zależy mi na tobie. Będziesz moja.

Coraz gorzej. Powiedziałam Noriemu, że następnego dnia muszę wstać wcześniej, żeby pojechać do Asakusy, więc kiedy – zgodnie z moimi przypuszczeniami – Fumio zaproponował, żebyśmy wszyscy – ich dwóch

plus ja i jeszcze jedna hostessa – poszli coś zjeść, moja wymówka była jak znalazł.

– Y... no, to teraz pojedziesz do domu? – zapytał Nori.

– Tak – odparłam chłodno.

Nori zapłacił opiekujący na 600 dolarów rachunek i nie wręczył mi napiwku. Nie mogłam się doczekać, aż jego facjata zniknie wreszcie za drzwiami windy.



## Niewinność na sprzedaż



Pociąg przecinał chłodne, wręcz podręcznikowo wypełnione smogiem poranne powietrze. Siedziałam w trzecim wagonie, obracając w dłoni puszkę piwa, czyli mój aparat fotograficzny. Wiem, że nie był to najszczęśliwszy wybór rekwizytu na wycieczkę do Asakusy z grupą japońskich uczennic, w dodatku ze mną w roli ich nauczycielki angielskiego, ale w zeszłym tygodniu, kiedy przyjąłem zlecenie – nawiasem mówiąc, załatwione przez tę samą agencję talentów, dzięki której uczestniczyłam w *SMAP*×*SMAP* – nikt nawet słowem się nie zająknął o przepisach dotyczących aparatów fotograficznych.

Kolejna doba bez snu. Kolejne tokijskie wielkie halo.

Żeńska szkoła Shinagawa Joshi Gakuin przypominała wszystko, tylko nie gimnazjum. Sprawiała wrażenie stalinowskiego molocha, do którego wstęp mieli jedynie uczniowie dysponujący kartą otwierającą drzwi wejściowe. Znajdująca się na najniższym poziomie stołówka tchnęła komunistyczną atmosferą, którą pracownik agencji talentów sugestywnie uwydatnił, zbierając nas wszystkich – grupę trzydziestu pięciu obcokrajowców – w jednym miejscu, racząc krótką przemową i zostawiając we wprawnych rękach ubranych w identyczne mundurki trzynastoletek. Dziewczynki podzieliły nas alfabetycznie, a potem nadały każdej grupie numer.

– Czy mogę poprosić o twoje nazwisko? – odczytały z kartki doskonałym unisono.

Chelsea Haywood.

– Chelsea Hejłudu – odparły. – Będziesz w grupie F, numer pięć.

Kiedy każdy otrzymał już swój przydział, uczennice poprowadziły nas monotonnym korytarzem do klatki schodowej.

– Nasza klasa znajduje się na trzecim piętrze – odczytały. Na rzeczonym piętrze dziewczęta zatrzymały się. – Prosimy za nami.

Wkrótce znaleźliśmy się przed klasą, tyle że pięć minut przed zaplanowanym czasem. Ta niespodziewana przeszkoda wprawiła dziewczynki w prawdziwe osłupienie. Zdecydowały, że zaczekamy, aż zegar wybije dziewiątą i dopiero wtedy wejdziemy do klasy. Następnie, już w środku, ustawiły nas pod tablicą i poleciły, byśmy przedstawili się – „ze swoją biografią” – wybałuszającej na nas oczy klasie.

Stanełam na końcu szeregu i czekałam na swoją kolej. Na pierwszy ogień poszła Natasza z Mołdawii, niegdyś radzieckiej republiki, o której istnieniu nie miałam pojęcia. Następna była Connie z Filipin, która mieszkała w Tokio od dwudziestu pięciu lat i nawet miała męża Japończyka. Alina, Polka, również miała męża Japończyka, a ostatni spośród przedstawiających się klasie obcokrajowców, Bill, był po prostu zwyczajnym koleśkiem ze Stanów.

Posadzono go w jednej ławce z szóstką dziewczynek, które – kiedy odsunął krzesło – dostały totalnego świra: zaczęły wrzeszczeć, piszczeć i chichotać, przez co twarz Billa zaliczyła chyba wszystkie odcienie czerwieni. W końcu był nie tylko obcokrajowcem, ale mężczyzną obcokrajowcem. Dla japońskich nastolatek to dopiero było coś.

Moją osobę powitały znacznie mniej dramatyczne westchnienia, chichoty i głośne szepty: „*Sugoi*”, aczkolwiek hałas w mojej ławce pozostawał w dysproporcji do liczby siedzących w niej dziewcząt – musiałam poprosić Saeko i Reiko, żeby powtórzyły swoje imiona, ale od razu zapamiętałam imię trzeciej dziewczynki: Yoko.

– *Sumimasen, Chelsea-san, etto...* ile masz lat? – zapytała Yoko, kiedy cała trójka pochyliła się nad podręcznikami. Panny wstrzymały oddech i zastygły z uniesionymi ołówkami.

– Mam dwadzieścia jeden lat – odparłam powoli, co spotkało się z piskiem zachwytu.

– Czy masz chłopacko? – zachichotała Reiko.

– Nie, nie mam chłopaka. Jestem mężatką – piski zyskały na sile.

– A skoond jesteś? – spytała Yoko.

Odpowiedziałam i zaraz wpisały koślawymi literami słowo „Kanada” do odpowiedniej rubryki. Odbywszy burzliwą dyskusję po japońsku, dziewczyny zapytały mnie, co bym zjadła na lunch, a potem zabrały się za wyszukiwanie stosownego miejsca na mapie Asakusy. Kiedy już zadały mi wystarczająco wiele pytań, by zaspokoić swą ciekawość i sprostać oczekiwaniom nauczycielki (której bardzo, bardzo nie lubiły, bo była bardzo zła i miała dwuletnie dziecko), uśmiechnęły się jak na zawołanie i oznajmiły:

– Oookej, chodźmy do Asakusy.

Wyszłyśmy z klasy jako pierwsze.

Po drodze na stację Kitashinagawa dziewczyny milczały jak grób. Jedyną, która chciała odpowiadać na moje pytania, była Yoko, pozostałe dwie tylko chichotały. W pociągu Saeko i Reiko znalazły takie miejsce, by cały czas mnie widzieć, i usiadły, postawiwszy stopy palcami do środka i umieściwszy tornistry między kolanami. Yoko położyła oklejony Hello Kitty i Myszka Minnie tornister na kolanach i usadowiła się obok mnie. Tornister miał liczne przegródki, w których znajdowały się pojemniczki ozdobione rysunkami bohaterów kreskówek, a jedyną użyteczną rzeczą w tym całym festynie był telefon komórkowy obwieszony przeróżnymi ustrojstwami ważącymi więcej niż on sam. Usiłując zagaić rozmowę, zapytałam ją, gdzie mieszkała. Odpowiedziała, że w *Saitamie* – od Saitamy dzieliła nas ponad godzina drogi, co oznaczało, że w drodze do szkoły Yoko pokonywała naprawdę sporą odległość, zresztą podobnie jak Saeko i Reiko, tyle że każda dojeżdżała z innej części Tokio. Szkoliły się od najmłodszych lat, by w przyszłości zachować japońską tradycję „dojeżdżaczy”.

– O której godzinie wstajesz? – zapytałam.

– Wstaję-o szóstej.

– A o której kładziesz się spać?

Zanim Yoko odpowiedziała, musiała przedyskutować kwestię z koleżankami.

– Wszystkie chodzimy spać-o pierwszej w noc-co.

O mój Boże. To tylko pięć godzin snu! Przecież te dziewczęta mają po trzynaście lat!

– Dlaczego tak późno? Co robicie?

Odpowiedź na to pytanie nie nastęrczyła im trudności:

– Oglądamy tiwi – odparła Saeko przy wtórze chichoczących rówieśniczek.

Wcześniej, oczywiście, musiały zadbać o odrobienie pracy domowej. Co do tego nie było wątpliwości. Fascynacja kreskówkami wcale nie musiała iść w parze z zaniedbywaniem intelektu. Nie w Japonii. Rezultatem mógł być najwyżej poważny niedostatek snu. Założę się, że te gimnazjalistki potrafiłyby wyrecytować podstawowe prawa fizyki, nie odrywając oczu od Hello Kitty. Ale dlaczego chodziły do szkoły, która znajdowała się tak daleko od ich domu? Spodziewałam się, że gdyby zapytać je o to, odpowiedziałyby słowami rodziców, którzy rocznie płacili szkole dziesiątki tysięcy dolarów czesnego. Na przykład: „Ta szkoła zapewnia nam perspektywę na przyszłość” albo „Nauczyciele są bardzo mili”, a tymczasem dziewczyny zaskoczyły mnie.

– Bo rubimy te mundurki. Bo są *kawaii*, takie fajniutko! – zachichotała Yoko, a koleżanki przytaknęły. Najsmutniejsze było to, że nie one jedne myślały w ten sposób.

Kiedy jedna z ciemnobrazowych podkolanówek Saeko zsunęła się jej po łydce, dziewczyna szybko nachyliła się i podciągnęła ją do góry – nawet bez karcącego palca nauczycielki egzekwującej restrykcyjne szkolne przepisy co do ubioru: nie wypadało zostać przyłapanym na posiadaniu *rususoku*, czyli luźnych skarpetek.

Strój dziewcząt, od młodości przyzwyczajanych do typowej japońskiej uniformizacji, wyglądał dość niewinnie: luźno wiszący krawat, koszula z białym kołnierzykiem, żółty rozpinany sweterek, beżowa marynarka z emblematem szkoły oraz błyszczące buty na płaskiej podeszwie. Oprócz skarpetek, odstających nieco od szkolnej normy, jedynym „ubraniowym występkiem” Saeko była długość jej czerwonej plisowanej spódniczki, która teoretycznie powinna sięgać kolan, ale u Saeko kończyła się w połowie uda, co było jakąś jej deklaracją w kwestii mody. To w końcu nie jej wina, że przepisowy mundurki kojarzył się ze wszystkim, tylko nie z niewinnością. Saeko wyglądała porządnie – na tyle porządnie, na ile pozwalały ciuchy, na których ciążyło piętno społeczeństwa tolerującego *buru sera* – erotyczną fascynację uczennicami i ich mundurkami – jako w pełni akceptowalną część męskiej psychiki.

*Buru sera* – określenie będące połączeniem dwóch słów: *buru*, białych damskich majtek, często w postaci szortów, które nosi się pod *sera*, czyli marynarskim mundurkiem, typowym dla uczennic niemal na całym świecie – stanowi zaledwie jeden z aspektów szerszego zagadnienia, a mianowicie wieku dojrzewania – wraz ze wszystkim, co dla niego charakte-



rystyczne – jako seksualnej fantazji, którą da się kupczyć. W Japonii dopuszczalne jest promowanie fetysza uczennic reklamami w pociągach, na ulicach, w czasopiśmie i w gazetach.

Widok dorosłego mężczyzny, który w zatłoczonym pociągu bez żadnego skrepowania zaczytuje się erotyczną mangą (znaną pod nazwą *hentai*) albo czasopiśmie o jawnie pornograficznym charakterze, nie jest niczym niezwykłym, podobnie jak szpaler facetów przy stojakach ze stosownymi pisemkami w sklepie spożywczym. Sprzedaż pornografii w ulicznym automacie jest w stu procentach legalna, pod warunkiem wszakże, iż na zdjęciach w magazynie nie zostały pokazane włosy łonowe. Można sobie obejrzeć brutalne animacje, w których sceny gwałtu na nieletnich, a zwłaszcza na uczennicach, są na porządku dziennym. W tego typu produkcjach – ale też w kreskówkach dla dzieci pokazywanych w telewizji – męscy bohaterowie na sam widok zgrabnej uczennicy albo na samą myśl o niej, dostają krwotoku z nosa. Pobudzenie najwyraźniej powoduje u nich napłynięcie krwi do mózgu, która następnie znajduje ujście nosem. Dziwaczne? Też tak uważam. To tylko obrazki? Nie sądzę.

Dlaczego takie schematy przenikają japońską kulturę? Być może dlatego, że młody wiekiem partner seksualny nie stanowi jedynie obiektu pożądania, ale jest wręcz obiektem czci.

Idealizacja nieletniego piękna stanowi nieodłączny element japońskiego prawa. Według Interpolu artykuł 177 japońskiego Kodeksu karnego ustala wiek świadomego kontaktu seksualnego już na poziomie trzynastu lat. Choć większość władz samorządowych posiada obecnie przepisy podnoszące wiek dopuszczający kontakty seksualne do siedemnastego roku życia, to jednak dopiero w 1999 roku przyjęto ustawę, która zakazuje obywatelom Japonii uprawiania płatnego seksu z osobami, które nie skończyły osiemnastu lat. Nic zatem dziwnego, że Japonia jest jednym z największych na świecie dostarczycieli dziecięcej pornografii. Osobliwe przepisy prawne stwarzają pretekst do nietypowych zachowań.

No dobrze, ale skąd właściwie wzięła się ta zwariowana obsesja? Dlaczego akurat ten konkretny naród idealizuje wizerunek uczennicy? Czy dlatego, że uczennica to słabe stworzenie? Uległe? Naiwne? Dziecięce? Najmniej groźny element społeczeństwa, gdzie władza równa się kultowi dorosłej męskości, a konformizm ludzkiej masy to konieczność? Niezależnie od indywidualnych pobudek nie istnieje jednoznaczne wyjaśnienie fenomenu *buru sera*, ale jego wpływ widoczny jest wszędzie.

Dwudziestokilkuletnie kobiety, potocznie określane mianem *kogal*, kręcą się po dzielnicach rozrywki wystrojone w podrasowane mundurki, desperacko usiłując wykorzystać magnetyzm ubioru uczennicy do tego, by przyciągnąć pożądlive spojrzenia mężczyzn. Ich spódniczki są tak krótkie, że ledwie zakrywają tyłek, a przy każdym kroku doskonale widać białe, skąpe majteczki. Dwudziestocentymetrowe koturny i towarzyszące im obowiązkowe, zsunięte na kostkę *rusu-sokusu* zastąpiły dziewczęce mokasyny na płaskiej podeszwie. Włosy tych pań zdobią krzykliwe kolory, a twarz pokrywa agresywny makijaż zwieńczony superzalotnymi różowymi rzęsami. Te kobiety stworzyły swoją własną, przeidealizowaną karykaturę dojrzewającej dziewczyny. Uważają, że w wieku dwudziestu, dwudziestu jeden lat są już zbyt stare, by wzbudzać pożądanie, tak więc starają się wykorzystać do maksimum swoją gasnącą władzę nad mężczyznami, zanim w dniu dwudziestych piątych urodzin zostaną oficjalnie ochrzczone „biskoptami, które opadły” – to czule, zarezerwowane wyłącznie dla kobiet określenie zostało rzecz jasna zainspirowane przez przecenione ciasto biskoptowe (takie, które po Bożym Narodzeniu zalega półki sklepowe i rzadko znajduje nabywcę) i stanowi smutny dowód, że jeden z elementów układanki boleśnie nie dopasował się do reszty. Obsesja wykracza jednakże daleko poza zwykłą modę.

Używane majtki uczennicy prosto z ulicznego automatu? Proszę bardzo. Po raz pierwszy takie automaty pojawiły się w prefekturze Chiba w 1993 roku i oferowały wówczas majtki w cenie 50 dolarów za parę. Kiedyś można było je nabyć wyłącznie w sklepach specjalizujących się w artykułach *buru sera*, ale od kiedy pojawiły się automaty, nie trzeba już było narażać się na krępującą sytuację, bo wystarczyło skorzystać z ustawionej w okolicy maszyny z „używanymi majteczkami trzynastoletniej dziewczuszki” i *voila!* Ale jeżeli interesowała cię para majtek z dołączoną do nich fotką i biografią dziewczyny, a nawet fiolką zawierającą mocz, wymagało to już wyprawy do sklepu. Panny po drodze do szkoły wstępowały do sklepu po świeżą parę, a kiedy wracały do domu, oddawały brudną bieliznę.

Zadawałam sobie pytanie: kto prowadził te sklepy? Kto decydował o wartości konkretnej pary? Co stanowiło o cenie? Zobaczmy. Tutaj widać ślady krwi menstruacyjnej, a tutaj – hura! – drobiny odchodów! Cena w górę! Odrażające. Automaty z używanymi majtkami doprowadzały opinię publiczną do wściekłości, ale bez jednoznacznych prze-

pisów regulujących tego typu handel policja nie była w stanie usunąć tych maszyn z ulic. Do czasu, gdy policja „baldzo, baldzo się wycwaniała” i przedstawiła zarzuty trzem biznesmenom, opierając się na przepisach regulujących handel antykami – prawo nakazywało, by każdy sprzedawca oferujący używane towary dysponował pozwoleniem uzyskanym od władz lokalnych. Jak za dotknięciem magicznej różdżki automaty z majteczkami zniknęły w ciągu jednej nocy. Była to wszakże dopiero wygrana bitwa, ale nie wojna.

W społeczeństwie, w którym otacza się wciąż wiek dojrzewania, młode dziewczyny są boleśnie świadome własnej seksualności oraz wiedzą, jak finansowo ją wykorzystać. W kraju, który jest rajem dla konsumenta, kwitnie kult materializmu. Przy ciągłej nieobecności wiecznie zapracowanych rodziców, wartości wyznawane przez łatwowierne, podatne na wpływy młode dziewczęta, bez trudu ulegają wypaczeniu. Na scenę wkracza bóg Dior, a wraz z nim inne bóstwa: Gucci, Louis Vuitton, Chanel. Ten panteon wymaga od swoich wyznawców, by w ramach praktyk religijnych oddawali się ostentacyjnemu szaleństwu zakupowemu. A to wymaga mamony. Poznajcie *enjo kōsai*. Pozwólcie, że wyjaśnię: *enjo kōsai* to proceder dobrowolnej prostytucji, której oddają się dziewczyny w wieku szkolnym po to, by uzyskać pieniądze na zakup portfela w Burberry albo butów od Gucciego. (Żadna spośród moich nastoletnich szkolnych koleżanek nie puszczała się na boku, aby zarobić w ten sposób grube tysiące, jednocześnie prowadząc zupełnie normalne życie, często przy tym wyróżniając się na lekcjach. Ale z drugiej strony, żaden spośród mężczyzn, z którymi miałam w życiu do czynienia, nie ośmieliłby się z nią zadawać).

*Enjo kōsai* – co dosłownie oznacza „randka z wynagrodzeniem” – stanowi, obok guza mózgu, najdotkliwszy skutek uboczny używania telefonów komórkowych. A to dlatego, że za pośrednictwem specjalnych klubów telefonicznych oraz coraz popularniejszych stron internetowych, które bez ogródek umożliwiają kontakty pomiędzy zainteresowanymi, uczennice mogą umawiać się na spotkania ze starszymi mężczyznami, najczęściej w średnim wieku, i chodzić z nimi na randki w zamian za markowe prezenty albo kwoty wystarczające na ich zakup. Przy czym „randka” może tutaj oznaczać cokolwiek: od zwykłej kawy i spaceru w parku Yoyogi po kolację, a potem seks w love-hotelu, zaś pod hasłem „uczennica” kryje się gimnazjalistka albo licealistka, aczkolwiek zdarza się, że niektóre dziewczyny mają dopiero dwanaście lat. Opłata waha się

od 30 do 60 tysięcy jenów, bądź też, w przypadku pojedynczej schadzki, równowartość w postaci jakiegoś prezentu.

Trudno zdefiniować typ mężczyzny regularnie uczestniczącego w tego typu praktykach. Jest to często żonaty facet, którzy ma dzieci w tym samym przedziale wiekowym, co wykorzystywane przez niego dziewczynki. To *sarariman*, urzędnik państwowy, policjant, nauczyciel, sędzia. Nie istnieje profil typowego klienta *enjo kōsai*, tak samo jak nie sposób naszkicować obrazu typowej sprzedającej się dziewczyny.

Mężczyźni, którzy dogadują sobie, korzystając z fetysza, zwalają winę na *tamaranai* – nieodpartą chęć. Na szczęście większość Japończyków nie jest w stanie przyjąć takiego wytłumaczenia i odnosi się do niego z większym oburzeniem niż do praktyk sprzedaży dziewczęcych majtek.

Wszędzie, gdziekolwiek spojrzysz, znajdziesz w Japonii szokujący przykład skrzywionego pojmowania ludzkiej seksualności. W 1997 roku „New York Times” opublikował artykuł, w którym doniósł, że w Japonii istnieją dwa wydawane najzupełniej legalnie czasopisma: „Anatomical Illustrations of Junior High School Girls” (Anatomiczne ilustracje gimnazjalistek) oraz „V-Club”, w których to periodykach można było znaleźć zdjęcia nagich uczennic w wieku gimnazjalnym i młodszych. Nie miałam ochoty sprawdzać, czy obydwa tytuły są nadal wydawane.

W Japonii istnieją tzw. image kluby, nazywane też *imekura*, których celem jest zapewnienie odrobiny prywatności osobistym zboczeniom. Kluby oferują wnętrza imitujące szkolną klasę, przebieralnię, wagon kolejki dojazdowej, którym podróżują przebrane prostytutki – wszystko po to, by klient mógł zrealizować własne fantazje (które, nawiasem mówiąc, należałoby schować do dębowej skrzyni i spalić).

A skoro zesłiliśmy na temat szalenie niewiarygodnych opowieści o japońskim szaleństwie, nie wolno nam zapomnieć o *Śnie żony rybaka*, dziele, które stanowi najprawdopodobniej pierwszy udokumentowany przypadek gwałtu za pomocą... macek. Ów erotyczny drzeworyt, który został odnaleziony w początkach dziewiętnastego wieku w okresie Edo, przedstawia nagą kobietę całującą z języczkiem maleńką ośmiorniczkę i jednocześnie oplecioną mackami drugiej, znacznie większej ośmiornicy, która skutecznie na niej cunnilingus. Drzeworyt, a także jego temat, przeżywał swoją drugą młodość w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, kiedy to z niezbadanych przyczyn obowiązywał zakaz graficznego przedstawiania wizerunku penisa. Dlatego też obraz przedstawiający

gwałt za pomocą macek stanowił logiczną alternatywę i przyczynił się do rozwoju kolejnej, absolutnie unikalnej niszy w cudownym świecie japońskiej pornografii.

Biorąc zatem pod uwagę tak rozerotyżowaną tożsamość japońskiego społeczeństwa, trudno lekceważyć japoński fetysz uczennicy. Byłoby miło, gdyby fantazje japońskich mężczyzn obracały się wokół kobiet w stosowniejszym wieku, ale nie oszukujmy się: Japonia była, jest i będzie społeczeństwem patriarchalnym. Tutaj kobieta nie może być równa wyraźnie dominującemu mężczyźnie. Fakt, iż na Wyspach Japońskich kobieta jest uległa zarówno w ogóle, jak i w seksualnym szczególe, stanowi integralny element społecznego tworzywa.

W społeczeństwie izolujących się ludzi, którym wszakże odmawia się prawa do intymności, seks staje się dobrem konsumpcyjnym. Przykład? Gejsze, hostess-kluby, randki z uczennicami. Według statystyk, od pięciu do trzynastu procent japońskich dziewcząt w wieku szkolnym próbowało *enjo kōsai*, ale – jak w wypadku czegokolwiek, co japońskie – kto wie, jak jest naprawdę? Wszystko to jedna wielka niewiadoma.



## Dystans się powiększa



Kto by pomyślał, że zdrowie tak łatwo można stracić? Matt ćwiczy regularnie na siłowni, z każdym dniem staje się większy, silniejszy i bardziej promienny, a ja tymczasem opadam z sił, jak ta maleńka gwiazdka na niebie, o której zawsze myślisz, że kiedyś świeciła jaśniej.

To miejsce przypomina szpital dla obłąkanych. Złudzenie zastępuje rzeczywistość, tłusta iluzja przebrana za prawdę zajmuje miejsce sprężystego mięśnia. Skóra na ramionach robi się obwisła, a kości policzkowe przestają się odznaczać. Niedawno pękł szew w mojej szytej na miarę sukni koktajlowej. Co gorsza, dzinsy, w których przyjechałam do Japonii, teraz opinają mi uda co do milimetra. Niewesoła sytuacja. Gdybym była jak słońce i potrafiła sama spalać zbędne kalorie, byłabym chudsza i dosłownie bardziej promienna. A może nie?

Mrugaj, mrugaj, gwiazdko mała, powiedz, gdzieś ty się schowała...

Chuck był Japończykiem, który posługiwał się angielskim z prawie amerykańskim akcentem. Studiował na jednym z kalifornijskich uniwersytetów i większość swojego zawodowego życia spędził w Stanach. Tego wieczoru przyszedł do klubu w towarzystwie Rudy'ego, mającego meksykańskie korzenie Kalifornijczyka w średnim wieku, który palił śmierdzące cygara i odstawiał taniec szaleńca za każdym razem, gdy słyszał *Ob-La-Di, Ob-La-Da*. Rudy często wpadał do Greengrass podelektować się prostackim, angielskim humorem Jodie. Obydwoje płąsali na parkie-

cie, kalecząc Beatlesów, a my z Chuckiem siedzieliśmy przy stoliku i prowadziliśmy kontrowersyjną rozmowę.

– Jaką masz grupę krwi? – zapytał Chuck całkiem poważnie, zaglądając mi głęboko w oczy.

– Grupę krwi? Nie mam pojęcia.

– Hm – nie wyglądał na zaskoczonego. – Bo jesteś gajinką. Czy potrafisz odgadnąć charakter Japończyka podczas pierwszego spotkania?

– Cóż, nie, to właściwie niemożliwe.

– Ja potrafię. Ale nigdy gajina. Wiesz, na czym polega twój problem? – Dźgnął mnie boleśnie w mostek. – Masz popierniczoną krew. Jest do tego stopnia wymieszana, że nie ma dla ciebie znaczenia.

– Masz na myśli krew moich przodków? A co wy, Japończycy, macie wszyscy taką samą krew, bo długo tkwiliście w izolacji?

– Nie, nie taką samą. Czystą – odparł z godnością. – A to różnica.

W Japonii krew definiuje charakter człowieka w taki sam sposób, jak jego znak zodiaku. Grupa krwi stanowi obsesję nastolatków, jest mało poważnym hobby kobiet, a także rodzajem narzędzia ułatwiającym nawiązywanie znajomości już od najmłodszych lat – a to dzięki do bólu drobiazgowym badaniom przeprowadzonym w japońskich szkołach. Informacja o zgodności grupy krwi drugiej osoby z twoją pozwala ci natychmiast ocenić jej charakter. Dzięki temu możesz nawet wybrać odpowiednią prezerwatywę spośród licznych modeli oferowanych przez automat. Rzecz jasna, teoria profilowania oparta na grupie krwi i doborze odpowiedniego koloru kondoma należą do tej samej, mało poważnej kategorii, co: „Cześć, maleńka, jaki jest twój znak zodiaku?”. Ale tak samo jak w przypadku mnóstwa innych rzeczy, jej historia ma swoją mroczną przeszłość.

W 1909 roku austriacki naukowiec i przyszły laureat Nagrody Nobla Karl Landsteiner wyróżnił cztery grupy krwi: A, B, AB oraz 0. W chwili gdy Landsteinerowi udało się wykazać, że transfuzja pomiędzy osobami posiadającymi podobną grupę nie kończy się zniszczeniem nowych komórek krwi – jak to miało miejsce w przypadku, gdy zastosowano różne grupy – nastąpił przełom w medycynie, którego skutkiem ubocznym było skorzystanie dwie dekady później przez Adolfa Hitlera z odkryć Landsteinerja, by wykazać wyższość rasy aryjskiej, której przedstawiciele posiadają głównie krew grup A i 0, nad Żydami, Azjatami i innymi ludami, u których dominuje grupa B – typowa dla zwierząt. Elitarystyczny w swo-

ich poglądach wojskowy rząd Japonii z entuzjazmem powitał tę nazi-stowską teorię i zaszczerpił ją na rodzimym gruncie, zlecając badania nad możliwością „wyhodowania” lepszych żołnierzy (ponieważ wszystko wskazywało na to, że ideałem, jeśli chodzi o skłonność do walki, byli osobnicy z grupą 0).

Oczywiście, kiedy ich o to zapytać, Japończycy nie przyznają się, że ten ich współczesny przesąd stanowi pokłosie filozofii nazistów, wskazują raczej na inspirację niewinnymi artykułami i książkami autorstwa psychologa Takejiego Furukawy, który, począwszy od 1927 roku, pisał na ten temat, na przykład w *The Study of Temperament through Blood Type (Grupa krwi a usposobienie)*. Furukawa w sposób dość przypadkowy przypisał cechy charakteru poszczególnym grupom krwi, ale jego dzieło kontynuował dziennikarz Masahiko Nomi – człowiek, który w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia wywołał wokół teorii wpływu grup krwi na osobowość dużo szumu i sprzedał miliony książek, sugerując w nich, że jak dwie grupy krwi są ze sobą niekompatybilne, tak ludzie z odmienną grupą krwi po prostu do siebie nie pasują.

Dziś, gdy teoria grup krwi nie budzi już w Japonii takich emocji, temat ten stanowi żelazny punkt programu prasy kobiecej i telewizyj śniadaniowej. Co ciekawe, teorii tej używa się jako narzędzia paranaukowej analizy. Przedszkole na przedmieściach Saitamy przeprowadziło eksperyment z podziałem dzieci według ich grupy krwi po to, by porównać, w jaki sposób maluchy jedzą przekąski, sprzątają po sobie, a nawet zdejmują buty po przyjeździe do przedszkola. Niektóre spośród japońskich przedsiębiorstw zlecały swoim pracownikom zadania lub przydzielaly ich do poszczególnych działów na podstawie grupy krwi. Profil każdej gwiazdy, każdego polityka, a nawet postaci z anime zawsze podaje jej grupę krwi – bohaterka o imieniu Sailor Moon ma grupę 0, „najbardziej przeciętną” i dlatego najlepszą japońską krew.

– Na przykład grupa 0, taka jak moja, nigdy nie kłamie – stwierdził Chuck.

– A Rudy? – zapytałam podejrzliwie. – Powiedział, że ma grupę 0.

– Nie, Rudy nie. Owszem, ma grupę 0, ale jest gaijinem. Mój japoński kolega, o tamten, on też ma 0. Można mu zaufać.

Nie byłam wcale taka pewna, więc Chuck zmienił temat.

– Gdzie byłaś w ostatnią sobotę o wpół do siódmej? Podczas trzęsienia ziemi? – zapytał, a ja odparłam, że właśnie spałam.



– Wiesz, jak wygląda japońska wanna, prawda? Jest bardzo głęboka. No, więc siedzę sobie w wannie, zanurzony po samą szyję i zrelaksowany, kiedy nagle całe pomieszczenie zaczyna się trząść. Woda zaczyna wariować i czuję się, jakbym był w stanie nieważkości. To bardzo dziwne uczucie. Moja żona wpada do łazienki i mówi: „Co to było?”. „Jak to co? – odpowiadam. – Trzęsienie ziemi”. Wybrało sobie bardzo niebezpieczny moment, bo wtedy wszyscy gotują. Nie chodzi o poparzenia, ale o pożary. Na szczęście w 1995 roku w Kobe nikt nie wyszedł jeszcze z domu, kiedy się zaczęło. Był poranek. Gdyby było inaczej, zginęłoby o wiele więcej niż pięć tysięcy ludzi. Mój znajomy mieszkał wtedy w Kobe i kiedy się zatrzęśło, on też siedział w wannie i się relaksował. Wiesz, co się z nim stało? Trzęsienie było tak silne, że wyrzuciło go z wanny prosto na podłogę!

Mogę sobie tylko wyobrazić, co czuł. Pewnie taką irytację, jak wtedy, gdyby go wrzucić do hostess-klubu.

– Kiedy opanujesz japoński na poziomie liceum, osobiście będę cię uczył, aż osiągniesz biegłość w języku biznesowym, a potem załatwię ci posadę w przemyśle filmowym. Zajmie ci to jakieś dwa lata, ale czeka tu na ciebie tyle możliwości! Masz szczęście, że dysponuję bogatym słownictwem, jeśli chodzi o japoński, i będę dla ciebie najlepszym nauczycielem.

– To bardzo wspaniałomyślna propozycja, panie Fujimoto, ale sądzę, że zająłoby mi to jedynie sześć miesięcy.

– Ha! Nie wierzę, ale *boku wa anata o suki desu* – powiedział. – Podołasz mi się.

– *Watashi wa anata o suki desu* – odpaliłam i zrobiłam na nim takie wrażenie prostą zmianą płci podmiotu, że przekonało go to, iż mam wyjątkowy umysł

– Pani Chelsea, posiadasz umysł trzydziestolatki, jak sądzę, ale jednocześnie młode serce i – zaśmiał się serdecznie – powalające kostki u nóg! A dla mnie to bardzo ważne. Jeżeli kostki ci utyją, wtedy *sayonara!*

– *Hai, hai. Arigato gozaimasu. Ja mata ne* – siedzący obok nas kolega Fujimoto, gość z włosami, które wyglądały jak ptasie pióra, zatrzasnął klapkę telefonu. – Wiadomość od Michaela Manna. Mówi, że był pod wrażeniem pożegnalnej kolacji na jego cześć, zorganizowanej w Inakai przez United International Pictures. Pragnie nam przekazać, że z przy-

jemnością wspomina czas spędzony w Tokio. – Pan Fujimoto skinął tylko głową, ale widać było, że promienieje z dumy.

– Wiem – powiedział. – Dopilnowałem tego. Taka moja praca. Uwielbiam *Zakładnika*. No i co z Tomem Cruise’em? Byłaś na premierze?

– Nie, ale już widziałam film. Kiedy zadzwonili z twojego biura, że Tom w końcu nie pojawi się na premierze, nie chciałam dostać kary 10 000 jenów za niestawienie się w pracy.

– Co? – pan Fujimoto wpadł w szał. – Musisz płacić za to, żebyś nie przyjsz do pracy? Nie wierzę! Jesteście jak niewolnice! A co, jeśli zdarzy wam się wypadek? Wtedy też musicie płacić? Phi! Powiem ci coś. Obiecuję, że zabiorę cię na obiad w przyszłym tygodniu. Poświęcę ci cztery godziny mojego czasu i zapłacę tę niewolniczą stawkę 10 000 jenów. Co ty na to?

Zgodziłam się. Pan Fujimoto dał mi do wyboru jeden spośród trzech wieczorów, kiedy będzie mnie wyzwalał.

Gdzieś w okolicach północy podszedł do nas Nishi i szepnął panu Fujimoto parę słów. Ten odwrócił się do mnie z szerokim uśmiechem:

– Masz niebywałą okazję! Poprosił o ciebie inny klient. Zbieraj się, idziemy.

– Co? Gdzie idziemy? A ten inny klient? – Nie wiedziałam, co się dzieje. Kilka chwil wcześniej pan Fujimoto powiedział mi, że następnego dnia musi być wcześniej w pracy, więc niedługo będzie musiał wrócić do domu.

– Tak, chcą właśnie ciebie. Więc idź się przebrać i zabiorę cię gdzie indziej.

Wychodząc, zauważyłam, kim był ten „inny klient” – Christopher, koreański producent filmowy, którego poznałam mojego pierwszego wieczoru w Greengrass. Otworzył szeroko usta, kiedy zobaczył, że pomachałam do niego nieśmiało, by zaraz uciec mu sprzed nosa. Gdy znaleźliśmy się na korytarzu, zaczęłam wypytywać pana Fujimoto, który tymczasem włożył swoją szykowną fedorę.

– Dlaczego pozwolili mi wyjść? Dałeś im pieniądze pod stołem?

– Nie. NA stole! – zaśmiał się. – Pieniądze mają dar przekonywania. – Faktycznie, ekstranapiwek jako dodatek do i tak okazałego rachunku, 700 dolarów, mógł zdziałać cuda. Zastanawiałam się tylko, jaką wymówkę Nishi wymyślił dla Christophera.

Gdy znaleźliśmy się na skrzyżowaniu Roppongi, towarzysz pana Fujimoto przeprosił nas i wezwał dla siebie taksówkę. Musieliśmy zatem samotnie przedrzeć się przez pogrążone w chaosie Roppongi i dotrzeć do Petits Pois.

– Czekają na niego żona – wyjaśnił pan Fujimoto. – Ale na mnie nie. Chodźmy.

Wybrałam stolik przy oknie z widokiem na ogródek na tarasie. Pan Fujimoto zamówił butelkę wina i sałatkę z abalone\*. Po obsłużeniu nas Mistrz, który tego wieczoru samotnie tkwił na posterunku, zaczął śpiewać kawałki Franka Sinatry, a my w tym czasie oddaliśmy się lekturze książki do karaoke. Petits Pois było ulubionym lokalem z karaoke pana Fujimoto i szybko stawał się również moim, ponieważ byłam pewna, że Mistrz miał mikrofon z wbudowaną korekcją wysokości dźwięku.

Za każdym razem, gdy następowała moja kolej śpiewania, pan Fujimoto koncentrował się na studiowaniu mojej twarzy. Śmieszyło go, jak śpiewałam, bo uważał, że byłam „niewinna i nie tak opanowana”. Krążył wokół stolika, chcąc mi się lepiej przyjrzeć, gdy tkwiłam w bezbronnej pozycji, w której kalorie spalały się same. Przez cały wieczór co rusz wykrzykiwał:

– O! Taka twarz mi się podoba!

– Słabość bywa niekiedy siłą. W twoim przypadku jest nią twoje kiepskie śpiewanie, którego ja z wielką przyjemnością słucham. Zwłaszcza dlatego, że robisz tyle min. To dobre dla ciebie, ale powinnaś spróbować zaśpiewać japońską balladę.

Japońskie ballady należały do ulubionych piosenek pana Fujimoto i zupełnie przypadkiem osiągał dzięki nim najwyższy współczynnik spalonych kalorii. Uważał, że kiedy zrozumie japońskie piosenki miłosne, zrozumie całą Japonię, ale kiedy on wyrzucał z siebie słowa, których nawet nie potrafiłam odróżnić, mogłam jedynie docenić zewnętrzne piękno tych będących dla mnie czarną magią utworów. O ileż łatwiej było interpretować kawałki Sinead O'Connor, dzięki którym biłam własne rekordy spalania kalorii, aczkolwiek za każdym razem moje wyniki wypadały blade w porównaniu z tymi, jakie uzyskiwał pan Fujimoto.

– Dlaczego wybierasz takie trudne piosenki? – dziwił się. – Wszystkie one są trudne, beznadziejnie tragiczne i romantyczne. Co z tobą jest nie

---

\* Uchowiec, ślimak wodny zamieszkujący wody Pacyfiku (przyp. tłum.).

tak? – dręczył mnie. – Skąd u ciebie takie oczy? Zwykle gajjini mają wielkie, okrągłe oczy. Ale ty nie masz oczu gajjina. DLACZEGO? Masz taką dziwną, piękną twarz – dumał. – Nie gajjińską.

Zbliżała się czwarta nad ranem. Bawiliśmy się doskonale z panem Fujimoto, ale stwierdziliśmy, że jesteśmy pijani jak szewcy i głodni jak wilcy. Z ratunkiem przyszedł nam ramen, zupa z makaronem, i choć danie wcale nie było niskokaloryczne – zresztą znajdowało się na liście zakazanych potraw mojego towarzysza – pan Fujimoto zamówił duży talerz, ponieważ ramen, prócz tego, że „smakuje wyjątkowo dobrze, kiedy jest się pijanym”, stanowi końcowy akord całonocnej, pijackiej symfonii. Uważa się, że ramen osłabia stan upojenia i przywraca ten potrzebny ułamek godności, by o własnych siłach dotrzeć do domu. Być może dlatego niemal na każdym rogu Tokio można znaleźć otwarte do białego rana bary serwujące to danie. Jadąc zygzakiem ulicami Moto-Azabu po to, by w końcu wysadzić mnie pod latarnią w Hiroo, nasza taksówka musiała minąć chyba z pięćdziesiąt takich lokali.

Pan Fujimoto, uściskawszy mi solidnie dłoń, pomachał radośnie na do widzenia. Ruszyłam po omacku przed siebie, potykając się po drodze. Pokonałam wzniesienie, potem były automatyczne drzwi, podróż windą na górę, a na koniec korytarz do mieszkania. Matt rozebrał mnie po cichu, podczas gdy ja bez przerwy trajkotałam. Później sprawdził temperaturę wody i po raz kolejny delikatnie umieścił mnie pod prysznicem. Przewracał z rozbawieniem oczami, czekając, aż umyję się i będzie mógł mnie wytrzeć, ale czułam, że zwiększał się między nami dystans. Gdzie się podziało przytulanie?



## Nienawidzę cię, ale cię Kocham



– Czulaś trzęsienie ziemi?

– He? Co? Jakie trzęsienie? Nie czułam żadnego trzęsienia. – Ziewnęłam głośno do słuchawki. Była jedenasta. Shin siedział w bibliotece i przygotowywał raport do pracy, a ja oddawałam się jedynemu racjonalnemu zajęciu: spaniu.

– Znowu? Nic? – krzyknął.

Wczoraj też mnie obudził, kiedy dwa groźne wstrząsy o sile 6,8 i 6,6 stopni w skali Richtera, które miały miejsce w północnej części Kiusiu, zatrzymały pociągi, przez co Shin utknął w Chibie. Tyle że wtedy krzyczał mi do ucha, że chyba musiałam być pijana, skoro nic nie poczułam. Dziś przynajmniej jego oskarżenia przyjęły postać prostego: „Jesteś wariatka”.

– Spałam. Jak niby mam czuć trzęsienie ziemi, skoro śpię?

– Bo się budzisz! Trzęsie się! Tak myślę, ale może nie czulaś, bo jesteś wariatka. No dobra, dzisiaj wieczorem masz ochotę na kolację?

– Pewnie, niezła myśl. O której skończysz raport?

– Nie wiem. Zadzwoń do ciebie, okej? Śpij dalej.

Kilka godzin później obudził mnie kolejny telefon, ale kiedy zobaczyłam, że dzwonił Nori, szybko schowałam aparat pod poduszką, aż po dwudziestym sygnale w końcu przestał brzęczeć.

Powoli zasypiałam, kiedy zadzwonił Yoshi. Tym razem odebrałam od razu. Był w domu, jego rodzice właśnie wyszli i pozostało mu tylko oglądanie telewizji. Yoshi się nudził. Czy miałabym ochotę pójść z nim na kawę? Pewnie. Zgodziłam się, ale chyba zorientował się, że byłam zagrożona w półśnie, bo rozłączył się, obiecawszy przedtem, że zadzwoni za

godzinę, półtorej – brak precyzji nietypowy dla Japończyka, ale jak najbardziej w stylu Yoshiego. Oczywiście nie wspomniał o trzęsieniach, bo nie miały dla niego znaczenia.

Potem znowu zadzwonił Nori. Odebrałam. Zaczął męczyć mnie o trzęsienia od pierwszej sekundy rozmowy. Czy nic mi nie było? Nie-e. Czy je poczułam? A-ha. Czy się przejęłam? No, może trochę. Bałam się? Nie, właściwie to nie.

– Y... okej. Jakbyś miała kłopoty, powinnaś do mnie podzwonić i ja przyjadę do twojego domu i cię uratuję.

Jasne. Nori byłby ostatnią osobą, jaką miałam ochotę widzieć, gdyby nastąpiły kolejne wstrząsy. Na szczęście pozostała część rozmowy upłynęła bez paranoicznych urojeń i zwariowanych dziwactw, z wyjątkiem końcówki, kiedy to Nori zapewnił mnie:

– Tokio jest bezpieczne. Jest okej. Możesz robić interesy w Japonii i nie martwić się o trzęsienia ziemi.

Wpół do piątej po południu. Shin skończył raport i wybierał się właśnie do Harajuku obejrzeć zabytkowe meble. Zapytał, czy nie miałabym ochoty umówić się z nim o szóstej. Mowa! Co prawda zgodziłam się na kawę z Yoshim, ale Shin zawsze miał pierwszeństwo, bez względu na to, czy jechał do Harajuku, czy leciał na Księżyc. Był jedyną osobą, z którą mogłam spędzić czas, nie martwiąc się o zasady, warunki i Bóg wie co jeszcze, a poza tym nie chciałam jeszcze bardziej mieszać sobie w głowie Yoshim, co oznaczało, że w miarę możliwości wołałam go unikać. Ale została mi jeszcze jedna rzecz do zrobienia przed wyjściem.

Dryń, dryń... dryń, dryń... Będę musiała mówić szybko, żeby nie dać mu dojść do głosu.

– Cześć Yoshi. Mówi Chelsea. Słuchaj, teraz jednak będę zajęta przez parę godzin, ale może chciałbyś zadzwonić do mnie trochę później i wtedy jakoś się umówimy, co?

– Co? Możesz powtórzyć? Później? – Yoshi prychnął. – O której później?

– Nie wiem, o dziesiątej?

– Dziesiąta! Trochę za późno. Muszę jutro popracować.

– Sorry, Yoshi...

– Okej, następnym razem – uciał raptownie. – *Hai-bye*.

Ups. Wyglądało na to, że odebrał w samochodzie, czyli wyszedł z domu i taktownie czekał, aż minie obiecana godzina, półtorej, żeby móc do mnie zadzwonić. Cóż. Tak będzie lepiej. Jak to mawiał sam zainteresowany: „Co ja mogę?”.

Odnalazłam Shina na czwartym piętrze Oriental Bazaar, jak omawiał z pracownikiem sklepu cenę wysyłki towaru do Melbourne. Pomachał do mnie, dając mi znać, że mnie zauważył. Poszłam pooglądać antyki i zaczęłam, aż sam do mnie podejdzie.

– Chcę ten – pokazał palcem. – Jest w japońskim stylu, ręcznie robiony. Prezent ślubny dla znajomej z Australii. Pamiętasz, jak ci o niej opowiadałem?

– Mmmm... przyjaciółka z Mensy, czy tak? Pamiętam.

– Wysyłka kosztuje 900 dolarów, a sama szafka 10 000 jenów. Ale drogo! – zmarszczył brwi. Zauważyłam w jego dłoni kubek ze Starbucksa. – Potrzebujesz kawy? – zapytał, ale zanim zdążyłam kiwnąć twierdząco głową, sam sobie odpowiedział. – Oczywiście, ty zawsze potrzebujesz kawy. Jesteś taką złą kobietą. Chodźmy.

– Co sobie życzysz? – zapytał Shin, studiując menu.

– Nie wiem. Nie mogę się zdecydować – odparłam, przebiegając wzrokiem listę kaw.

Shin podniósł do góry jedną brew.

– Proszę cię o rękę.

– Słucham?

– O rękę. Proszę cię o rękę – powtórzył, ciągnąc mnie za nadgarstek. Kiedy wyciągnęłam dłoń w jego stronę, raptem odwrócił ją wewnętrzną stroną do góry, położył na niej pięćsetjennową monetę i oznajmił: – Będę na zewnątrz.

Shin siedział przy stoliku i próbował aktywować kartę telefoniczną do połączeń międzynarodowych. Postawiłam moją półlitrową latte z mlekiem sojowym na stoliku i wzięłam od Shina komórkę.

– Wybierz numer swoich rodziców – polecił.

– Ale oni teraz śpią. Obudzę ich.

– Nie szkodzi, spróbuj – nalegał.

Po kilku nieudanych próbach wreszcie udało mi się dodzwonić na numer rodziców. Odezwała się sekretarka, na której zostawiłam ogólnikową informację o ostatnich trzęsieniach ziemi w Japonii. W Kanadzie była wtedy jakaś druga w nocy. Przeszliśmy się Omotesando, bo chciałam wstąpić do Body Shop po krem nawilżający. Kiedy robiłam zakupy, Shin dodzwonił się do Polski do Karoliny. Porozmawialiśmy chwilę o Tokio i o tym, jak dziwnie było wrócić do domu – a w tym czasie Shin oglądał mój świeżo nabyty krem – po czym oddałam aparat właścicielowi. Rozmowa zajęła im jeszcze kilka minut, aż wreszcie Shin trzasnął klapką telefonu i podszedł do mnie.

– Okej, jestem głodny, więc... może pójdziemy na chińszczyznę? Jest tutaj restauracja Irona Chefa, wiesz, tego z telewizji.

Wiedziałam, że Yoshi pojawi się na horyzoncie, nie wiedziałam tylko kiedy. Dziś wieczorem przyszedł ubrany w elegancką czarną marynarkę, obcisły czarny sweter i białe, idealnie wyprasowane spodnie. Na nosie miał parę nowych, bardzo małych okularów i jak zwykle epatował prze-rośniętym ego. Usiadł przy swoim ulubionym stoliku przy barze i zamienił kilka słów z *mama-san*. Tymczasem Tehara podszedł do mojego stolika i uprzejmie, z mrugnięciem oka, przeprosił za to, że muszę przerwać rozmowę z klientem.

– Cześć, *ma chérie*, jak się miewasz? – spytał Yoshi, kiedy do nich dołączyłam.

Rzucił *mama-san* jakąś uwagę i obydwójce roześmieli się. Kiwał się na boki i sprawiał wrażenie pijanego, ale kiedy *mama-san* zostawiła nas samych, Yoshi zdjął maskę, objął mnie ramieniem i rzeczowo rzucił mi prosto w twarz: – NIENAWIDZĘ CIĘ.

– Co? Nienawidzisz mnie?

– Tak, nienawidzę cię. Zawsze zmieniasz zdanie jak rozpuszczone dziecko. Okej, za półtorej godziny, a potem sorry, jestem zajęta. CO? Byłem już w drodze. Byłem w Shibuyi! I z powrotem do domu. Nic do roboty – wydał wargi.

– Ach, o to się wściekasz. Wiedziałam. Wiedziałam, że będziesz na to psioczył. Tak jest, dokładnie jak się spodziewałam. Ale nie wierzę, że powiedziałaś, że mnie nienawidzisz.

Yoshi klasnął w moją dłoń i spojrzał mi w oczy.



– Nienawidzę cię, ale cię Kocham – spojrział na swojego roleksa. – Wychodzę za piętnaście minut.

– Więc przyszedłeś tylko po to, żeby mi powiedzieć, że mnie nienawidzisz? Jak miło.

– Nie wiem, to zależy od ciebie – uśmiechnął się psotnie. – Chcesz mi przygotować śniadanie? No, to chodźmy. – Siedziałam twardo na swoim miejscu. Zapalił papierosa.

– Co robiłeś do tej pory? – zapytałam. – Jesteś strasznie tajemniczy.

– Nie, to TY jesteś tajemnicza. Tak myślę. Byłem ze znajomym w innym klubie. To mój klient, więc zabrałem go w takie miejsce, gdzie jest wiele międzynarodowych hostess. Usiedliśmy, a jedna dziewczyna – nie wiem, kurwa, skąd pochodziła – powiedziała do mnie: „Jesteś taki przystojny”. Pierdu-pierdu. Usta jej się nie zamykały. Nie potrzebuję tego. – Yoshi zrobił na tyle długą pauzę, żebym mogła wtrącić jakiś komentarz, ale nie odezwałam się słowem. – Jak myślisz? – zagadnął.

– Daj mi spokój, Yoshi. O moich ustach zapomnij, powinieneś się już zorientować. Co ty sobie myślisz?

– Ale z ciebie grzeczna dziewczynka – zagruchał. – Tamta hostessa, ona się mną zainteresowała. Powiedziała, że jestem przystojny – napuścił się na samo wspomnienie.

– Wyglądasz jak paw, wiesz?

– Paw? Dlaczego paw? Nieważne. Dzięki za zdjęcie, które mi wysłałaś mejlem. Fajne, jak dzidzius. Ile miałaś lat? Osiemnaście? Dwadzieścia?

– Nie, dziewiętnaście – odparłam, a potem automatycznie dorzuciłam: – Dwa lata temu. – Cholera. Zasłoniłam usta dłonią, ale Yoshi zrobił już zaskoczoną minę.

– CO? Masz dwadzieścia jeden lat? Cholera, nie ma mowy, masz co najmniej dwadzieścia cztery albo pięć, albo więcej!

Pokręciłam powoli głową.

– Skończyłam dwadzieścia jeden we wrześnieu.

– Naprawdę? Nie wierzę. Mam dwa razy tyle lat, co ty. – Wyglądał na oszołomionego. Jakby spuszczone z niego powietrze. Jakby się... postarzał.

– Wow, ale reakcja. No i co? Jakie to ma znaczenie?

– Nie, nie, żadne. Nawet lepiej, że masz dwadzieścia jeden lat. Bo nie jesteś małą dziewczynką. Jak dziewczyna ma dwadzieścia jeden lat, to

jest głupia i ma szalony umysł, ale ty jesteś jak dama. Będę bardzo dumny. Mogę ci zadać pytanie?

– Nie wiem. Możesz?

– Ile lat miał najstarszy, z którym byłaś? – „Mój Boże, co za samiec” – pomyślałam. – Stawiam, że trzydzieści, może trzydzieści pięć. Dobrze było, nie? Kiedy ostatni raz uprawiałaś seks?

– To nie twój interes.

– Okej. Nie złość się, jeżeli, jak będę na ciebie czekał, skoczę na numerki na boku. Okej? Mam szacunek dla kobiety, czasem pół roku i nic. Nie potrafię. Potrzebuję tego. Ale jeżeli będziesz moją dziewczyną, wtedy nigdy. Ostatnia dziewczyna, mówiłem ci, rok i trzy miesiące, bez oszukiwania. Eks, eksdziewczyna, okej, dwa razy oszukałem...

– CO?

– Miałem swoje powody. Okej, może to nie była prawdziwa miłość. Dla ciebie – prawdziwa miłość. Jestem zdecydowany, mówiłem ci. Do dziesiątego będę bardzo zajęty, bo mam duży projekt, ale później cały czas dla ciebie. Każda chwila. Będziemy chodzić na kolacje, do kina, popłyniemy na wysepkę...

– Uwielbiasz tę swoją wysepkę.

– Tak, bo chcę cię uszczęśliwić. Dla ciebie wszystko, *ma chérie!* – Pogłaskał mnie po plecach. – Myślisz, że dlaczego przeprowadzam się do własnego mieszkania?

– Naprawdę chcesz, żebym uwierzyła, że wyprowadzasz się z domu wyłącznie dla mnie?

– Tak, oczywiście. Teraz nie jest wygodnie. To znaczy tak, jedzenie, gotowanie, pranie, wszystko mamusia dla mnie robi, ale nie mam przestrzeni. W nowym miejscu możesz przyjść, możemy jeść, oglądać tv. Jest dobrze. *Ma chérie*, cóż mogę powiedzieć? Dla ciebie wszystko.

O Boże. Yoshi uwielbiał pleść bzdury i wciskać kit, a ja byłam zbyt trzeźwa, żeby mu na to pozwolić, więc chcąc przetestować, czy naprawdę był taki „zdecydowany”, dostroiłam się do jego częstotliwości.

– Dobrze, ale jeżeli wprowadzę się do ciebie, nie będę mogła pracować w nocy, bo ty pracujesz w dzień. To się nie uda. Nie będziemy się widywać.

Nagle zmartwił się.

– Okej, ale teraz mówisz o tym, co będzie później. Teraz jesteśmy tylko przyjaciółmi – zmarszczył brwi. Chcąc jakby przypieczętować nasz układ, odłożył papierosa i mocno, po biznesowemu ucisnął mi dłoń. –

Przede wszystkim jesteśmy przyjaciółmi – powtórzył, spoglądając na roleksa. – To co, pójdziemy gdzieś na imprezę? Mogę odwołać wszystkie spotkania. Żaden problem, nie zależy mi. Chcę z tobą zostać, ale może ty nie chcesz?

– Yoshi, dlaczego tak mówisz?

– Bo ty nigdy do mnie nie dzwonisz. No co, nie możesz zadzwonić, żeby powiedzieć „cześć”? Do widzenia i tyle? Żaden problem. Ale okej, nie martw się. Nie zależy ci na mnie, wiem o tym. – Yoshi przerwał, żeby spojrzeć na starszego mężczyznę, który właśnie wszedł do klubu i bacznie mu się przyglądał. – Twój klient? – zapytał oskarżycielskim tonem. Nigdy wcześniej nie widziałam tego faceta. – Myślę, że mu się podobasz. To twój klient. Idź, porozmawiaj z nim. To twoja praca. Pracujesz, wiem. Musisz iść. Idź – nalegał słodkim głosem. – Ale jeżeli on ci się podoba, to jestem zazdrosny. Zabiję cię, kurwa – dodał.

Yoshi sięgnął po rachunek i uregulował go swoją wierną czarną American Express.

– Do zobaczenia jutro! – krzyknęła *mama-san* za wychodzącym Yoshim.

– Do zobaczenia w przyszłym tygodniu! – odpowiedział.

Kiedy Nishi prowadził mnie do mężczyzny, który – zgodnie z groźbą Yoshiego – mógł stać się przyczyną mojej śmierci, Soh zakreślił palcem młynka na wysokości swojego ucha i wyszeptał:

– Świir!

– Nazywam się Mizu-tani – obwieścił niski, dobrze ubrany mężczyzna. – Nie mówię po angielsku – dodał, po czym przeszedł na francuski, ale kiedy odpowiedziałam mu w tym języku... stwierdził, że francuskiego też nie zna. – Przykro mi, że nie rozumiem. Nie mówię po francusku. Wcześniej poprosiłem od razu o ciebie, ale pan Nishi powiedział: „Nie!”. Jesteś bardzo zajęta. Jest na ciebie popyt, więc czekam. Widziałem cię, ale byłeś z nim, z tym miłym panem – Mizu-tani pokazał palcem w stronę stolika, przy którym wcześniej siedziałam z Yoshim.

– Z kim, z Yoshim?

– Tak, taki miły pan. Widziałem cię, ale miałas laser w oczach. Tylko dla niego.

– A, tak – zarechotałam. – Jesteśmy przyjaciółmi Jest świetny.

– Myślę, że naprawdę cię lubi. Prawdę mówiąc, wiem, że cię lubi. On

cię kocha. Czuję to. Odbieram to od niego. Jestem magikiem, to i wiem. Ale w przyszłym tygodniu może pokochać inną dziewczynę, nie wiem tego.

– CO?

– Kogoś innego. Nie wiem. Nie jestem nim, ale on cię naprawdę lubi. Musiałem się z tobą spotkać. Jesteś w moim typie. Masz takie olśniewające oczy. Mam dwa pytania. Pierwsze pytanie: „Dlaczego twoje oczy są takie olśniewające?”, i drugie pytanie: „Dlaczego jesteś taka miła?”. – Nagle zgarbił się, pochylił nad stolikiem tak, że nasze twarze znalazły się blisko siebie, i wbił we mnie oczy.

– E... bo mam dobre serce? – powiedziałam. – Możesz to nazwać *yasashi*.

– Nie! Zła odpowiedź! Powiedz mi to, co chcę usłyszeć.

– Okej, jestem taka miła, bo się w tobie zakochałam.

– Tak jest! Dobra odpowiedź! – A potem Mizu-tani oznajmił mi, że jestem miła – po koreańsku, francusku, arabsku, tajsku, włosku...

– Skąd znasz tyle języków? – zapytałam zgodnie z oczekiwaniami i pod wrażeniem jego wiedzy.

– Jestem magikiem! Mówiłem ci.

– Cóż, w takim razie przyjmij, proszę, moją wizytówkę – zaproponowałam, a Mizu-tani zabrał się za studiowanie jej, przysunąwszy kartonik na odległość paru milimetrów od oczu – nawiasem mówiąc, często tak robili przesadnie entuzjastyczni Japończycy, których raptem przytłoczyła moja osoba.

– Chelsea Haywood mała *iiimejl dot com*. To ty?

– Tak. Czy mogę poprosić o twoją wizytówkę?

– Nie! – wypalił. – Nigdy nie daję wizytówki. Nie możesz poprosić. Nigdy nie pochwalam dziewczyn, z którymi siadam. Tak naprawdę, to nigdy nie proszę o nie, ale o ciebie poprosiłem. Idźcie sobie, idźcie sobie – przegonił wymaginowany harem dziewcząt. – Nie dbam o nie. Tylko ty, ale jeśli mnie nie lubisz, żaden problem, nie szkodzi. Mówię wprost, no i mam wielu wrogów.

– Ależ z pewnością masz wielu przyjaciół.

– Nie! Niewielu – przerwał i wbił wzrok w sufit. – Ale samych dobrych.

Kiedy Mizu-tani płacił rachunek za piętnaście trzecia w nocy, złożył tysiącjenowy banknot jak origami i próbował wcisnąć mi go za dekolt. Odchyliłam się, na co zareagował krzykiem:

– NIE BÓJ SIĘ! Jestem za niski. Nie widzę tak wysoko. – Fakt, jego natapirowana fryzura sięgała mi zaledwie do mostka, ale kiedy spojrział w górę, zobaczył na mojej twarzy dezaprobatę. – No co? Nie lubisz mnie? – Wydał wargę. Zadrżała. W jego oczach pojawiła się furia. W jednej chwili rzucił się w kierunku otwartego balkonu, wrzeszcząc, że musi popełnić samobójstwo, bo go nie kocham.

– Mizu-tani! Mizu-tani! – krzyknęłam za nim. – Wracaj tu natychmiast. Mizu-tani! No już dobrze, kocham cię.

Zdjął nogę z barierki i wrócił do pomieszczenia, strzepując pył z ramię, jak gdyby nic się nie stało. Odchylił się daleko do tyłu. Powiódł wzrokiem wzdłuż linii swego nosa.

– Odwróć się, proszę – odwróciłam się. – Nie taka duża – ocenił. – Może 88, tutaj 70, a tu może 80. Ale tutaj, o!, C!

– Wątpię. Raczej B.

– Nie! Dla mnie granica to C. Nie lubię D. Jestem mały gość.

Zaśmiałam się z jego kiepskiego słuchu i wepchnęłam go do windy. Czas zbierać się do domu.

Kiedy w końcu sama weszłam do windy, pozdrowiło mnie skinieniem głowy dwóch wysokich, eleganckich Brytyjczyków, którzy właśnie wracali z klubu na ósmym piętrze. Pachnieli intensywnie sake. Natychmiast nawiązali ze mną kontakt wzrokowy – jak większość cudzoziemców w Japonii. Ta niespodziewana konfrontacja sprawiła, że szybko odwróciłam się do nich plecami.

– O mój Boże, gajini – wzięłam udawany gwałtowny oddech. – Proszę, nie patrzcie na mnie.

Zanieśli się śmiechem. Po chwili usłyszałam za sobą głęboki, dociekliwy głos:

– Pracujesz tutaj?

– Tak, ale przykro mi, nie mogę na was patrzeć. To tutaj dziwny widok, dwóch białych facetów, jeśli wiecie, o co mi chodzi. Nie chcę z wami rozmawiać.

– Skąd jesteś? – zapytał drugi głos.

– Z Kanady.

– Tokio musi ci się wydawać szalone – powiedzieli jednocześnie.

W odpowiedzi kiwnęłam głową.

– Wiercie mi – zaśmiałam się. – Nawet nie macie pojęcia, jak bardzo.

## Mordka żywej kałamarnicy



Za dziesięć siódma różowo-biały zakątek skrzyżowania Roppongi wypełniała rzeka ciał. Japończycy pocili się cierpliwie w swoich garniturach, blondynki zerkały na zegarki, a Nigeryjczycy wciskali przechadzającym się wolnym krokiem ludziom sprośne ulotki. Przeczesałam chaotyczne morze ludzkich głów w poszukiwaniu pogodnego i spokojnego oblicza Shina. Zaskoczył mnie swoim wyglądem: eleganckim trzyczęściowym garniturem i, nie inaczej, teczką. Uśmiechnął się i przywitał ze mną, jakbyśmy spotkali się w cichym parku.

– Cześć. Jak się masz?

– **DOBRE. TROCHE SIĘ BOJĘ** – odparłam głośno.

– Dlaczego? – Shin, jak zwykle, mówił spokojnym głosem.

– **ŻYWA RYBA!** – krzyknęłam w odpowiedzi.

– Chcesz pójść gdzieś indziej? Możemy pójść, nie ma sprawy. Może na tempurę? – zasugerował.

– **NIE, NIE, CHCĘ SPRÓBOWAĆ. PRZECIEŻ SIĘ ZGODZIŁAM. CHODŹ!**

– Przywitaj się ze swoją kolacją – uśmiechnął się Shin, pokazując spory zbiornik z pływającymi w nim rybami, który znajdował się po zewnętrznej stronie ściany będącej fasadą restauracji o nazwie Momiji-Ya. Stałam w miejscu.

– Ależ one są takie wielkie! Wydawało mi się, że mówiliśmy o małej rybie.

– No, ale to są małe ryby. Możesz je pocałować! – roześmiał się. – Mówię ci, że będzie okej. – Otworzył drzwi, a ja, nim weszłam za nim do środka i zbliżyłam się do baru ulokowanego w centralnej części restauracji, na odległość posłałam rybkom cmoknięcie. – Spójrz tam – pokazał Shin. Zobaczyłam płytki zbiornik, właściwie basen, w którym siedział homar zamknięty w klatce i pływało kilkanaście gatunków mniejszych i większych ryb, para niedużych żarłaczy oraz jeden wielki, tłusty żółw.

– O mój Boże! – wydałam stłumiony okrzyk. – Tylko nie żółw!

– Oczywiście! Możesz go zjeść, jeśli masz ochotę – doradził Shin. – W zupie. Ale może masz za mały żołądek. Nie wiem. Może jak na dwie osoby, to za dużo zmarnowanego żółwia. Lepszy dla rodziny. A więc – Shin podał mi menu – na co masz ochotę?

– Już na nic.

Otworzyłam menu i przebiegłam po nim wzrokiem w poszukiwaniu pozycji „Coś niezwygłego i wyhodowanego w ziemi”, ale znalazłam tylko „Żywe krewetki”, „Żywą kałamarnicę”, „Żywe ucho morskie”, a nawet „Żywego homala” za jedyne 6900 jenów. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak mogłabym cokolwiek z tego przełknąć. Jakby tego było mało, kałamarnica, kierując się wyjątkowym wyczuciem czasu, kiedy wyjęto ją ze zbiornika przy drzwiach i wrzucono do plastikowej miski, wydała z siebie przeraźliwy, wysoki pisk.

– Ona płacze! – jęknęłam.

– Oczywiście! Każdy i wszystko płacze. Ja płaczę. Mój kot płacze. Ryby płaczą. To naturalne. Może tutaj też zapłacze – Shin pokazał na stojący przed nim pusty talerz. – Zobacz, można ją obejrzeć. – Shin zatrzymał mijającego nas kucharza i zajrzeliśmy do miski, w której leżała bryła pozbawionej życia, błyszczącej brei. Nagle breja zadrżała spazmatycznie, aż Shin podskoczył. Zmarszczył brwi, gestem odesłał kucharza i spojrzał na mnie spode łba. – Okej, to może małą rybę. Zdecydowałaś?

– Aha – odparłam słabo i poczułam, że zrobiło mi się niedobrze. – Mała ryba.

– Okej, a ja wezmę homara. O tego – pokazał na zbiornik. – Wygląda przyjaźnie. Może będziesz chciała też spróbować kałamarnicy. Patrz! Tam! Kałamarnica tańczy! Ale pięknie. – Obejrzałam się za siebie i zobaczyłam kałamarnice, które synchronicznie sunęły w wodzie tam i z powrotem, okazując w ten sposób, jak sądzę, żal po stracie koleżanki. Potem Shin zwrócił moją uwagę na zbiornik w podłodze, z którego kucharz pró-

bował odłowić niewielką rybkę. – To twoje zamówienie! – oznajmił Shin, zupełnie niepotrzebnie. – Twoje zamówienie. Patrz, może będzie płakała. – Ale ryba machnęła tylko ogonem, na co Shin zareagował: – Nie, ta ryba też tańczy, jak kałamarnica! – Był wyraźnie rozbawiony, a ja z każdą minutą czułam się coraz gorzej.

– Tak mi przykro! – wypaliłam, kiedy kucharz zniknął w kuchni. – O nie – zakryłam twarz dłońmi. Przecież byłam kiedyś wegetarianką, a nawet przez krótki czas weganką.

– Za późno – Shin poklepał mnie po ramieniu, a tymczasem mnie zżerało poczucie winy. – To twoje zamówienie.

Owszem, moje zamówienie, ale nie mogłam znieść wizji walczącej o życie, choć już pokrojonej na kawałeczki ryby, której fragmenty ciała miałam włożyć do ust i połknąć, podczas gdy ona patrzyła na mnie okiem, które nadal miało zdolność widzenia. To chore i wstrętne, a nie odświeżające. Co jest z tymi Japończykami i ich jedzeniem? Po pierwsze: wieloryb to nie po prostu „wielka ryba”, jak często tu słyszałam. Po drugie: na zawodach wędkarskich w moim kraju organizatorzy i uczestnicy stosują zasadę „złapać i wypuścić”, a nie „złapać, posiekać i polać sosem sojowym”. I wreszcie po trzecie, chyba najbardziej obrazowe: nazwa typowego dania, które pojawia się w menu japońskich restauracji na całym świecie, *oyako donburi* – mieszkańcy Zachodu znają tę potrawę jako po prostu kompozycję z gotowanego kurczaka, jajka i ryżu – oznacza dosłownie wielką miskę „rodzica i dziecka”. Słodkie, czyż nie?

Właśnie dlatego siedziałam i czułam, jak trzęsły mi się ręce – z żalu i poczucia winy. Po chwili z ulgą stwierdziłam, że jakimś cudem moja rybka trafiła do mnie z kuchni w postaci niedużej porcji sashimi ułożonej zgrzebnie na kupce ryżu. Shin popatrzył rozczerowany na moją miseczkę.

– A... pokrojona – zmarszczył brwi. – Już nie możesz jej pocałować.

Możliwe, że kucharz wiedział, iż danie powędruje do gaijinki, która zwariuje, gdy zobaczy, że dostała do skonsumowania pół oddychające, pół zarżnięte stworzenie.

– W każdym razie, zadzwoniłem do Karoliny w niedzielę po kolacji w chińskiej restauracji. Powiedziałem jej, że zjadłem trzydzieści procent, a ty zjadłaś siedemdziesiąt – zarechotał głośno. – Ona jest taka sama, je tak dużo, ale osiemdziesiąt procent! Mówiłem jej, że znalazłaś jej kimono w Greengrass. Więc dziękuję ci.

– Żaden problem. Dam ci je dzisiaj. Czy Karolina jadła żywą rybkę?



– Nie pamiętam. Byliśmy tutaj, ale może nie chciała jeść. Jadłem wcześniej, ale takie malutkie – pokazał palcami kilka centymetrów. – W wodzie. Pijesz je. Gul, gul, gul. A potem ciągle żywe pływają ci w brzuchu. Później piłem sake.

– Po co, żeby się utopiły? – wrzasnęłam. – Żeby się upiły, a potem utopiły?

– No tak, a co myślałaś? Jak inaczej umrzeć? Musisz je zabić.

– To okropne. Ile razy tak jadłeś?

– Nie, nie ile razy. Tylko raz. Jeden. Spróbować. Jak teraz. – Przy-niesiono homara Shina. Oddał mi pół, tę część bez wnętrzości. – Chcesz więcej? Chcesz spróbować kałamarnicy? – zapytał z powątpiewaniem. Spojrzałam na stworzenia pływające w zbiorniku, a potem na Shina. Potem znowu na zbiornik.

– Myślisz? – zapytałam.

– Nie wiem! Twój wybór. Może chcesz spróbować? Dobre doświadczenie.

Hm. Zastanowiłam się.

– Okej... zrobię to.

– Ale to ty musisz zjeść. Ja nie zjem. Ty musisz.

Zgodziłam się. Shin wezwał kelnera, ale odmówił przetłumaczenia mojej prośby, że poproszę o małą sztukę.

– Nie. On mówi, że możesz wybrać. O tam. I możesz pocałować – dodał.

Super. Podeszłam do zbiornika i zrobiwszy długi wydech, wydałam wyrok śmierci na najmniejszą kałamarniczkę, jaką zdołałam namierzyć. Stworzenie zostało wyłowione i wrzucone do miski. Na szczęście nie zapłakało.

Czekając na posiłek, sączyłam nerwowo zieloną herbatę i przyglądałam się, jak żółw coraz to wystawiał głowę nad powierzchnię wody, żeby zaczerpnąć powietrza. I wtedy nagle moja kałamarnica pojawiła się na stole. Wyraźnie widziałam jej dziób, stosik ramion i papkowate, pomarańczowe organy wewnętrzne – całość elegancko rozłożono na sporej porcji ryżu. Stworzenie pokrojono na maleńkie kawałki, ale kiedy Shin wziął do ręki swoje pałeczki i dźgnął jego ramiona, każdy... kawałek... kałamarnicy... poruszył się.

– O mój Boże! – wrzasnęłam. Dotknęłam jednego ramienia, a pozostałe niemal wyskoczyły z miski.

– Łooo! Ale jest zła! – wykrzyknął zaskoczony Shin. – Taka wściekła! Zasłoniłam usta obiema dłońmi. Byłam przerażona.

– O mój Boże, nie mogę tego zjeść.

– Musisz! – zaprotestował Shin. – Twoje zamówienie.

– Okej, okej. Obiecałam, tak?

Zaczęłam śmiać się nerwowo i z wahaniem włożyłam kawałek kałamarnicy do ust. Poczułam, jak macki owinęły mi się wokół języka. Otworzyłam szeroko oczy i szybko przeżułam to, co miałam w ustach. Zadrżała mi noga. Shin siedział obok mnie, przyglądał mi się badawczo i się zaśmiewał.

– A teraz musisz spróbować tego – wskazał stosik gumowatych ramion. Dźgnęłam najmniejsze z nich, a pozostałe odpowiedziały nagłym spazmem. – Łoo! Ale jest na ciebie wściekła!

– Och, nie mogę tego zjeść. Naprawdę, nie wierzę. Błeee. Okej, okej. – Wzięłam głęboki oddech. – Zrobię to. Gotów? – Shin kiwnął wychekującą głową. – Raz, dwa, trzy. – Ale nieduże ramię pozostało w uścisku pałeczek. Spojrzałam na Shina.

– Dalej, możesz spróbować – zachęcił.

Szybko włożyłam ramię kałamarnicy do ust. Poczułam gwałtowny ruch. Mocarne przysawki uczepliły się mojego języka i podniebienia, po czym zaczęły ciągnąć mnie od środka za policzek. Niemal krzyknęłam z przerażenia, a za chwilę usłyszałam histeryczny śmiech.

– Jedz! Jedz! – skandował Shin.

– Au! Au, AUU, AU! MÓJ BOŻE!

Obydwoje zaśmiewaliśmy się jak hieny. Próbowaliśmy gryźć i żuć, ale ramię kałamarnicy nie przestawało się ruszać. Odwróciłam się, bo łzy mi napływały do oczu. Nie byłam w stanie tego przełknąć. Ależ bolało. Zanim wyplułam to, co miałam w ustach, musiałam odkleić od języka kilka przysawek. Uspokoiliłam się dopiero po kilku długich minutach.

– Niezłe doświadczenie, co? – zapytał beczelnie Shin. Rzuciłam mu wściekłe spojrzenie, a potem przyłożyłam mały palec do jednego z ramion wyposażonych w przysawki. Kiedy przykleiło się do mojego palca, Shin roześmiał się.

– Patrz, jaka silna! Nie wierzę, a to tylko taka mała sztuka. Patrz, jakie ma wielkie przysawki – powiedziałam, podnosząc największy z kawałków.

– Ogromny! – wykrzyknął Shin.

Nagle przyszedł mi do głowy genialny pomysł, być może pod wpływem sake. Spojrzałam wyzywająco na Shina i oznajmiłam:

– Zjem ten kawałek. To będzie rekord. Żadna inna hostessa, którą tu przyprowadzisz, nie zje większego kawałka. Okej?

Shin spojrzał na mnie, jakbym kompletnie oszalała, ale zgodził się z wahaniem, pomagając mi oddzielić ramię od dzioba. Jedna z przysawek miała centymetr średnicy. Kiedy zanurzyłam ramię w sosie shoyu, przyczepiło się do dna naczynka i nie chciało puścić.

– Zamierzam położyć to coś na język – oświadczyłam nie do końca przekonana do własnego pomysłu. Shin popatrzył na mnie z niedowierzaniem. Tym razem odliczyłam po japońsku, żeby zyskać na czasie, zamknęłam oczy i po omacku włożyłam kawałek kałamarnicy do ust.

DZIZAS, KURWA, JA PIERDOLE! Miałam wrażenie, jakby poraził mnie prąd. Wraz z reakcją ramienia, które przyjęło pozycję obronną wobec atakującego go drapieżnika, pojawił się piekący ból na czubku języka, który szybko rozprzestrzenił się na całą jego powierzchnię. Kiedy ramię owinęło się wokół mojego języka i przysssało do policzka, odruchowo wysunęłam głowę do przodu. Upuściłam pałeczki i wrzasnęłam:

– Aaaa! A! Yyy! Eee, gggrrr...

Narobiłam tyle hałasu, że gdyby Shin nie był pochłonięty naśmiewaniem się ze mnie, pewnie spaliłby się ze wstydu. Ale bolało tak bardzo, że musiałam jak najszybciej pozbyć się tego czegoś z moich ust. Desperacko pociągnęłam za gumowate, przyczepione do mojego języka ramię.

– Srwetka! Srwetka! – krzyknęłam z błaganiem w głosie, a kiedy Shin szybko podał mi cały dozownik, zaczęłam jednocześnie śmiać się i płakać.

Widziałam podziw, który malował się na jego twarzy (z pewną domieszką strachu). W końcu udało mi się odkleić kałamarnicę od języka i rozgnieść potwora na serwetce. Zrozpaczona, schowałam twarz w dłoniach.

– Dlaczego płaczesz? Nie płacz! – prosił Shin. – To tylko doświadczenie. Możesz o tym napisać. *Bitwa o kałamarnicę* albo *Kałamarnica kontra Chelsea*. To dobra historia! Nie musisz jeść, tylko próbować. Wystarczy. – Shin wyglądał na zmartwionego, ale myślę, że był pod wrażeniem. On też skorzysta z tej historii, bo będzie mógł ją powtarzać innym hostessom.

Dwadzieścia minut później, kiedy dźgnęliśmy kałamarnicę po raz ostatni, wciąż się ruszała. Potem, gdy przechodziliśmy obok zbiornika,

z którego ją wyłowiono, zatrzymałam się, żeby przyjrzeć się jej koleżankom sunącym w wodzie w tę i z powrotem. Nie miałam zielonego pojęcia, dlaczego postanowiłam zjeść żywą kałamarnicę. Po prostu to zrobiłam. Nie potrafiłam się oprzeć. Nawet wzięwszy pod uwagę towarzyszący temu ból, było to jednak – na swój dziwaczny, obcy sposób – dobre doświadczenie. Przynajmniej do końca życia nie zapomnę ani sekundy z tego absurdałnego koszmaru.

Nagle hałas wokół nas stał się ogłuszający. Zaatakowały nas dochodzące z przeładowanych budek i straganów odgłosy wszystkiego, co potrafiło dzwonić, bzyceć, warkotać i trąbić, do akompaniamentu piszczących japońskich dziewczyn. Właśnie wyszliśmy z Shinem z kolacji i zmierzaliśmy ku Greengrass, kiedy raptem obrócił się i pokazał, machnąwszy teczką, że powinniśmy wejść do centrum gier. Potem wrzucił parę jenów do automatu fotograficznego i wciągnął mnie do środka, mówiąc, żebym się przygotowała.

Automat zaczął odliczać po angielsku, a Shin liczył po japońsku. Nagle bach! i zostaliśmy uwiecznieni. Wyborowi ujęcia towarzyszyła maniakałna muzyczka. Ledwo Shin zdążył obrysować ramki wokół zdjęć, a już animowany zegar zaczął znów odliczać i kazał się przygotować. Bach! Pojawiły się kolejne dwie fotki. Shin rzucił się do rysowania, mrużąc oczy.

– Co robisz? – zapytałam, przekrzykując zgiełk.

– Nie wiem! Aaa! Nie wiem, jak zrobić! – krzyknął w odpowiedzi, przeglądając wyświetlające się na ekranie ozdoby: biedronkę, gwiazdki, kwiecistą ramkę i niedbały kliwy napis „TOKYO” wykonany bańkowatymi, trójwymiarowymi literami. A potem czas się skończył i usłyszeliśmy dźwięk alarmu. Prawie dostałam zawału serca.

– To japoński styl – zaczął się bronić Shin, kiedy posłałam mu wymowne spojrzenie.

– I „dobre doświadczenie” – przedrzeźniłam go. – Prawda? Ile ty masz lat?

Uśmiechnął się i w tej samej chwili zdjęcia pojawiły się na podajniku – każde równie odjazdowe. Zaczęłam się śmiać, więc Shin wyrwał mi je z rąk.

– O nie! Jest błąd! – jęknął. – Wyglądam jak Chińczyk!

– To tylko twoja wina. Sam sobie dorysowałeś makijaż. Chcesz sobie wziąć jedno?

– Nie. Co ja z nimi zrobię? – zapytał z niedowierzaniem. – Tylko wyrzucę. Patrz! To ty. Nie ja. W każdym razie, co robisz w niedzielę? Ja jadę do Kamakury poszukać kadzidła z zieloną herbatą dla mojej znajomej w Melbourne. Możesz pojechać, jak chcesz. Masz plany?

– Nie-e. Żadnych planów.

– Co? Dlaczego nie masz planów? Tak samo w zeszłym tygodniu, żadnych planów – drwił ze mnie.

– Ależ nie, w zeszłą niedzielę spotkaliśmy się, żeby zjeść u Chińczyka. Poszliśmy do Chen, tej słynnej restauracji w wieżowcu w Shibuyi. Wiesz, Kenichi Chen, Iron Chef. Nie pamiętasz?

– Ach, racja. Okej, cóż, pójdziemy, jeśli ładna pogoda. Czująś dzisiaj trzęsienie ziemi? – Pokręciłam przecząco głową. – Co? Dlaczego nie? Takie silne! Co robiłaś?

– Spałam – odparłam, a Shin wciągnął powietrze nosem.

– Kiedyś będzie takie silne trzęsienie, a ty je prześpisz! Panna Leni-wiec. Nie wierzę. Chodźmy już do twojego klubu. Już czas. Inaczej będziesz miała kłopot z Nishim.



## Halloween i maska Kojiego



Poznałam mężczyznę, który nazywał się Koji Osara, tego jedyne go wieczoru w roku, kiedy demony zjawiają się na ziemi – niewykluczone, że był to w istocie złowieszczy znak dany mi przez wszechświat. Był piątek i w Greengrass obchodziliśmy właśnie – dwa dni przed terminem – Halloween. Cały klub przystrojono dyniami, a ja przebrałam się za mumię, przyszywszy do bielizny długie kawałki materiału, którymi się następnie szczelnie owinełam. Zanim Soh mi go przedstawił, szepnął mi do ucha:

– Szalony gość. Szalony klient.

O co mu chodziło? Szalony jak diabelski młyn w wesołym miasteczku czy szalony jak psychol? Trudno było wywnioskować z tonu głosu kelnera, więc poczułam się zaniepokojona.

Odezwał się we mnie szósty zmysł, bo z pewnością nie była to świadoma myśl. Nie wiem, może to przecucie, a może nie, ale w chwili, gdy zobaczyłam Kojiego Osarę, poczułam głębokie, niedające mi spokoju podejrzenie. Oczywiście, mieliśmy akurat Halloween i panowała specyficzna atmosfera, więc myślę, że można mi wybaczyć zignorowanie wewnętrzne go podszepu.

Tak czy owak, poznałam Kojiego Osarę jako natrętnego, pesymistycznego, non stop mrugającego oczami i klnącego jak szwec międzynarodowego konsultanta ze zdobytym w Oksfordzie tytułem doktora filozofii. Wszystko to nie objawiło mi się, rzecz jasna, w sekundzie, gdy zostaliśmy sobie przedstawieni, ale stanowiło podsumowanie wiedzy zebranej w ciągu całej nocy.

Początkowo jedyną rzeczą, która zwróciła na niego moją uwagę, był

wygląd: nie był czystej krwi Japończykiem, miał trochę nadwagi, długawe, niezadbane włosy i okrągłą twarz. Nosił czerwony polar. Na stoliku przed nim stała włożona do lodu butelka wina, a obok leżały trzy paczki gum do żucia i opakowanie miętówek. Koji właśnie rzucał palenie. Założyłam, że chodziło mu oczywiście o papierosy, ale okazało się, że miał na myśli marihuanę. Pies policyjny na lotnisku Narita wywęszył ziolo w bagażu Kojiego i skończyło się na przesłuchaniu na okoliczność posiadania narkotyków.

– Należę do pokolenia hipisów. Kiedy jankesi okupowali Wietnam, protestowałem przeciwko wojnie. Czego oni się, kurwa, spodziewali? – mrugnął szybko. Odniosłam wrażenie, że towarzyszył temu ból, jakby powieki zbyt ciasno zachodziły na jego zbyt duże, zbyt okrągłe gałki oczne. To było jedno z jego dziwacznych przyzwyczajęń, niekontrolowany odruch, który bardzo mnie irytował – podobnie jak ciągłe zmiany tematu, które Koji uwielbiał.

– Nie lubię amerykańskich Żydów. Oni manipulują światem. Mój szef jest amerykańskim Żydem. Nienawidzę go. Ale lubię prawdziwych Żydów. To duża różnica – uśmiechnął się. – Izrael jest okej. Kiedyś dla kobiety zamieszkałam w kibucu. Pracowałam dla społeczności, zbierałam grejpfruty. Ale oni chcieli, żebym zmienił religię. Dla mnie krewetki są ważniejsze niż miłość. Nie miałem zamiaru rezygnować z krewetek.

Podeszła do nas *mama-san*, przywitała się z Kojim i poczęstowała go miętowym opłatkiem. Koji przyjął poczęstunek i powrócił do przerwanego monologu, zanim jeszcze przełknął opłatek, tym samym zasypując polar lawiną okruszków.

– W mojej kulturze niegrzecznie jest przyjąć coś i nie powiedzieć: „Dziękuję bardzo”, nawet jeśli to coś nie smakowało. Nawet jeśli to totalne gówno. Żeby zrozumieć Japonię, trzeba by tu pomieszkać przez dziesięć tysięcy lat, więc, mówiąc inaczej, nigdy jej nie zrozumiesz. Ale powodzenia, kurwa, powodzenia. Proszę, czy mogę ci zadać pytanie?

– Dlaczego nie? Jestem gotowa na wszystko. – W końcu miałam na sobie strój mumii. Z bladym, matowym makijażem na twarzy i podkreślonymi czarnym kolorem, głęboko osadzonymi oczami wyglądałam jak trup.

– Mam pewien problem z rozróżnieniem niektórych par angielskich słów. Może pomogłabyś mi? Jaka jest różnica pomiędzy *ensure* a *assure*?

– Hm. – Cóż, przynajmniej zadaje oryginalne pytania. – Sądzę, że *en-*

*sure* kojarzy się raczej z obietnicą, że coś jest w porządku, albo gwarancją. A jeżeli chcesz kogoś *assure*, dajesz mu pewien dowód, któremu powinien zawierzyć, albo przekonujesz go do czegoś, o ile ma jakiekolwiek wątpliwości.

Wyraz twarzy Kojiego nie zmienił się.

– *Expectation* i *anticipation*...

– *Y... expectation* to... oczekiwanie na coś, o czym wiesz, że się wydarzy, albo przynajmniej jesteś o tym przekonany. *Anticipation* to czekanie na coś, co byś chciał, żeby się zdarzyło, albo, tak mi się zdaje, sytuacja, w której nie możesz się czegoś doczekać. Myślę, że bardziej niż w *expectation* chodzi o emocjonalne zaangażowanie.

Koji wyspał do ust garść miętówek i zaczął je przeżuwać. Zamrugał niespokojnie.

– *Ejaculation* i *eruption*.

– Okej, to trochę dziwna para, ale niech będzie. *Eruption* to nagły wybuch czegoś, na przykład wulkanu, ale to oczywiste. Natomiast *ejaculation* służy wyłącznie opisowi sytuacji, w której sperma wydostaje się z penisa, kiedy facet się spuszcza – odparłam śmiertelnie poważnie.

– Droga pani, czy mogę mieć do pani jeszcze jedną prośbę?

– Okej... – przygotowałam się na najgorsze. Mrug mrug, a potem promienny uśmiech na twarzy.

– Czy mogłaby szanowna pani przesunąć nieco swoje długie nogi? Dostaję klaustrofobii w tym kącie. Z powodu marihuanowego głodu mam drgawki i przebłyski pamięci. Te jebane retrospekcje. Proszę, nigdy nie pal. Masz zbyt duży potencjał. Ale pewnie zastanawiasz się, co za gość ze mnie. Urodziłem się w Roppongi.

– Och – odparłam neutralnie.

Rozmawialiśmy o kulturze, o Francuzach i Amerykanach, o biznesie i ludziach. W pewnym momencie Nishi przyprowadził do nas Carmen, a chwilę później Samicah, nową dziewczynę, która tego wieczoru zaczynała pracę w klubie. Przyjechała do Tokio po raz pierwszy i choć początkowo nie zamierzała pracować jako hostessa, to gdy z zaskoczeniem stwierdziła, że jej oszczędności stopniały w zawrotnym tempie, musiała jakoś zarobić na życie. Miała okropną sukienkę, ale odetchnęłam z ulgą, że przynajmniej nie była amerykańską, lecz izraelską żydówką, ponieważ Koji był tak wymowny w swoim uprzedzeniu, że gdyby pochodziła ze Stanów, mógłby jej wręcz naubliżać.



– Czym się zajmujesz? – zapytała Samicah nieśmiało. – Mieszkasz w Japonii?

– Nie, jestem mieszkańcem – odparł Koji, mrugając. – Mój ojciec jest Japończykiem, a matka Chinką. Chodziłem do szkoły w Stanach, więc nie wiem zbyt wiele na temat japońskiej kultury. Jeśli interesuje cię mój zawód, to powiem ci, że jestem lekarzem. – Potem odezwał się do mnie na stronie: – Myślę, że obydwie mają po dziewiętnaście lat.

A ja myślę, że obydwie panicznie się go bały.

– Jestem bardzo dobry w obserwacji – wyjął nieskromnie. – Właśnie przyleciałem do Tokio samolotem o drugiej trzydziści, który wylądował na lotnisku Narita. Przylatuję co miesiąc. Ile masz lat?

– Dwadzieścia jeden – odparłam.

– Hmm. Błąd. Myślałem, że dwadzieścia trzy. Może dlatego, że jesteś Kanadyjką. Ależ tam jest, kurwa, zimno. Zero słońca, ale macie superskórę, jak jebani Eskimosi. Ale uwielbiam Montreal, bo to nie jest typowe północnoamerykańskie miasto – jest europejskie, dzięki wysokiej kulturze Francuzów, bo to była najpierw ich kolonia. Zanim armia francuska przegrała z brytyjską, przetrwała aż trzy oblężenia. Oczywiście Montreal stał się częścią Kanady, kiedy w 1867 roku podpisano akt Konfederacji, ale jego mieszkańcy mieli tajny układ z Thomasem Jeffersonem. To wielka tajemnica.

Nie miałam pojęcia, o czym mówił.

– No tak, ale co sądzisz o tym, że jeśli chcesz zamieszkać w Quebecu i uzyskać zieloną kartę, musisz przejść podwójną weryfikację? Idiotyczny pomysł.

– Oczywiście, ale w ich rozumieniu to konieczność, bo chcą pozostać niezależni. Kiedy w 1976 roku Montreal organizował igrzyska olimpijskie, nie skorzystał z pomocy kanadyjskiego rządu, a teraz odmawia wsparcia przygotowań do igrzysk w Vancouver.

– Wiesz, że kiedy u nas producent płatków śniadaniowych urządza konkurs, to na pudełku małym drukiem dodaje: „W konkursie mogą wziąć udział wszyscy mieszkańcy Kanady, z wyjątkiem obywateli Quebecu”? W ostatnim referendum czterdzieści dziewięć procent Quebecyków opowiedziało się za odłączeniem od Kanady.

– Nie do końca tyle, ale owszem, wiem o tym. – Koji zmrugał oczy i przez chwilę wyglądał całkiem normalnie. – Tylko posłuchaj Jodie! Kurwa, ona ciągle musi śpiewać! Ryczy jak zarzynane prosię. Znam ją

od dłuższego czasu i wiem, że zawsze, kiedy przyjdę do Greengrass, ona będzie wisieć na mikrofonie.

– Myślę, że idzie jej całkiem nieźle – zaprotestowałam, ale Koji posłał mi szyderczy uśmiešek. Mówił dużo o Jodie i brzmiało to jakby prowadził przeciwko niej kampanię oszczerstw, ponieważ każda jego uwaga miała jawnie krzywdzący wydźwięk. – Jodie jest jedną z hostess, które rozpowiadają o mnie kłamstwa. Nie słuchaj tego, co ona mówi. Z jakiegoś powodu mnie nienawidzi i rozsiewa po całym Roppongi plotki, które nie są prawdą. Cieszę się tutaj złą sławą. Zapytaj dowolną hostesę. Mówią, że mnie znają, ale to same kłamstwa.

– Jakie plotki? – zapytałam podejrzliwie. – Co z tego nie jest prawdą?

– Ja pierdołę, co ona ma na sobie? – wyrwało się Kojiemu. Zignorował moje pytania, a ja odwróciłam się, żeby przyjrzeć się Jodie, która fałszowała na cały regulator. Zdjęła szpilki i stojąc bosą na kanapie, śpiewała *Laylę*. Klienci szaleli, ale Tehara patrzył na nią gniewnym wzrokiem i kazał natychmiast siadać.

– Ma na sobie strój panny młodej z *Kill Billa*, to dlatego jest cała we krwi. Przygotowałyśmy stroje u niej w mieszkaniu. Pomogła mi wbić się w kostium mumii. Zabawne. Pierwszy klient dzisiaj nie wiedział, że mamy wieczór Halloween i myślał, że w Greengrass zawsze tak się ubieramy.

– Bo był głupi jak but – wypalił Koji. – Może zwykle chodzi do barów dla ciot, w których rajcuje się anorektycznymi japońskimi zdzirami w samej bieliźnie, i myśli, że tu jest tak samo. Właśnie o to mi chodzi, kiedy mówię o Japończykach. To są durnie, którzy nic nie wiedzą o innych kulturach. Są jak naziści.

– Y... nie sądzę...

– Zapomnij. Nie przejmuj się tym. Jesteś zbyt mądra na to, żeby dać się wciągnąć w dyskusję o kondycji pojebanego japońskiego społeczeństwa. Mogę ci to wszystko wytłumaczyć, ale później. Teraz chcę się dobrze bawić. Przepraszam, słodka Samicah – pochylił się do przodu. – Jaki typ muzyki lubisz?

– E... klasyczną – wyjąkała. Siedziała samotnie po drugiej stronie stolika. Carmen przemieściła się do stolika na drugim końcu sali, przy którym trenowała tequilę. – Studiuję taniec, więc lubię muzykę klasyczną.

– Interesujące. Ja lubię Mozarta, a także operę i kabuki – choć zrodzone w dwóch zupełnie odmiennych kulturach, są przeznaczone dla

osób obdarzonych równie wysokim intelektem. Chciałbym sprezentować ci bilety na *Jeziro łabędzie*. Co powiesz na niedzielną popołudniówkę? Jutro. Co robisz? Pracujesz? Masz telefon?

– Nie, ja... cóż, to moja pierwsza... nie, nie mam. Y... planowałam pojechać jutro do Hakone, żeby zobaczyć górę Fuji. Muszę wstać wcześniej, żeby zdążyć na pociąg. I może zostanę tam na noc.

– Rozumiem, baw się dobrze. Ale jeżeli wrócisz przed wieczorem, zadzwoń do Chelsea. Chelsea, zapisz jej, proszę, swój numer i powiedz, żeby zadzwoniła do ciebie jutro po południu, kiedy już wstaniesz. Znasz Bellini, włoską restaurację obok Don Quixote? Jeśli będziesz wolna, zapraszam na kolację. Nie lubię jadać sam.

– O, brzmi nieźle – podjęłam wątek. – Odprowadzisz mnie potem do klubu?

– Spokojnie, wiem, jak działa ten pojebany system. Nie jestem, kurwa, idiotą. Spotkamy się, ty i ja, o wpół do siódmej. A ponieważ będzie niedziela wieczór, to może pójdziemy na przedstawienie baletowe – Samicah mogłaby do nas dołączyć. Jeśli nie dostanę biletów, wybierzemy się na przedstawienie kabuki.

Samicah sprawiała wrażenie wniebowziętej.

– Zawsze tak robisz, kiedy przyjeżdżasz do Tokio? Nie masz dziewczyny? – zapytała głupio.

– Nie. Moja pierwsza żona była Szwajcarką. Druga była Litwiną. Poznałem ją, kiedy pracowała w Roppongi w klubie ze striptizem. Ma piękne, wielkie cyce i soczystą cipę, ale ja byłem głupi i myślałem kutasem, więc czego można było się spodziewać? – Koji uśmiechnął się niefrasobliwie, a Samicah wyglądała na zszokowaną. Ucieszyłam się w duchu. Wolałam, żeby nie zmieniała swoich planów i nie wkręcała się w mój *dohan*. Uważałam, że nie poradzi sobie z Kojim – była naiwna i upierdliwa i generalnie działała mi na nerwy.

– Pokażę wam coś. Proszę o minutę cierpliwości. – Koji wyciągnął laptop i zaprezentował nam zdjęcia z Oksfordu i fotografie swojej czternastoletniej córki. – Moja pierdolona córeczka kupuje sobie bez mojego pozwolenia ciuchy od Sonii Rykiel, płacąc moją kartą kredytową. Ma słaby charakter. Gdyby mnie poprosiła, mógłbym jej to wszystko kupić, ale jej się wydaje, że musi kraść za moimi plecami. Głupia pizda. Nie znośzę córek nastolatek.

Biała dziewczyna na zdjęciu – ewidentnie jego pasierbica – była cał-

kiem ładną blondynką, ale zdecydowanie wyglądała na więcej niż czternaście lat.

– Oxford wygląda pięknie – skomentowałam.

– Nigdy tam nie byłaś? – zapytał. Pokręciłam głową, a on zamrugał energicznie. – Hm, mam dla ciebie propozycję. Pojedź ze mną do Oxfordu i zatrzymaj się u mnie. Odstąpię ci parę mil lotniczych, w sam raz na bilet. Nie bój się, nie zgwałcę cię. Skoczę do Londynu, żeby przedłużyć wizę i zaraz wracam. O, tu będziesz mieszkała. – Pokazał mi wolną sypialnię w przeciętnie wyglądającym mieszkaniu. – Mam w Tokio świetnych prawników. Moja sekretarka Betty pomoże ci, jeśli będziesz miała jakieś pytania. Mieszka tutaj, choć jest z Adelajdy. To przyjaciółka mojej byłej żony, długa historia. W każdym razie możesz do niej dzwonić w każdej chwili. Zwłaszcza ty, Samicah.

– Chcę jej pomóc – powiedział Koji, gestem wskazując na Samicah. – Jest nowa, niedojrzała, potrzebuje pomocy. – Samicah zaczęła protestować, ale Koji jej przerwał. – Przepraszam, powiedziałem coś nie tak? Wydajesz się urażona. Może posługuję się niewłaściwym słownictwem. Chelsea, bardzo proszę, popraw mnie. Jest dla mnie oczywiste, że to ty jesteś mistrzynią retoryki i powinienem uczyć się od ciebie, jak należy mówić, żeby nie zabrzmieć jak imbecyl.

– Tak, ja też – pisnęła Samicah. – Proszę, poprawiaj mój angielski, kiedy mówię coś źle. Mam duży problem ze znalezieniem właściwych słów.

– Za mało mi płacą, żebym robiła coś takiego – odparłam cierpko.

Koji spojrział na mnie spod przymrużonych powiek i powiedział, nie odrywając ode mnie wzroku:

– Samicah, jeśli z jakiegoś powodu zdecydujesz się nie pojechać na oględziny nudnej jak skurwysyn góry Fuji, zjedz ze mną i Chelsea kolację, co? Tylko na tym skorzystasz. Gdybyś jednak wolała spotkać się z nami o wpół do dziesiątej na dole przed wejściem do klubu, to też zaliczą ci *dohan*, żebyś mogła zbierać punkty i awansować w hierarchii.

Samicah spojrzała na mnie w poszukiwaniu pomocy. Super. Teraz pewnie podczepi się pod mój *dohan* i odbierze mi połowę punktów. Tyle mi przyszło z tej mojej złośliwości.

– Dlaczego miałabym zyskać na kolacji z tobą? – zapytała. – O co chodzi z tą hierarchią?

– Dzięki mnie awansujesz w hierarchii klubu. Kiedy wrócę w listopa-

dzie, znowu zabiorę cię na *dohan*. Ot co. Nishi! Przyjdź tu, proszę. Nishi, czy mogę jutro wieczorem zabrać na *dohan* te oto dwie panie?

Nishi skinął głową i poklepał Kojiego po ramieniu. Następnie położył dłoń na mojej głowie.

– Pani Chelsea, chciałbym jutro porozmawiać o przedłużeniu twojej wizy.

– Aha, okej. – Coś nowego. Kiedy Nishi odszedł od stolika, Koji nie odzywał się przez dłuższy czas i tylko wpatrywał się we mnie. Spojrzałam szeroko otwartymi oczami na siedzącą po drugiej stronie stolika Samicah.

– Myślę, że jest bystra – odezwał się w końcu Koji. – Bardzo bystra. Jest pełna wdzięku. Powinnaś się z nią zaprzyjaźnić. Może ci niejedno opowiedzieć. – Uśmiechnęłam się niczym zombie statysta z planu filmu *Mumia*, a on zamrugnął w odpowiedzi. – Uważam, że jesteś piękną dziewczyną, jedną z najpiękniejszych.

Potem Koji poprosił o karaoke. Była czwarta nad ranem, kiedy odprowadziłam go do windy. Nacisnęłam przycisk, a on powiedział tylko:

– Dziękuję za cudowny wieczór – i chwilę później ujrzałam jego czerwony polar, gdy lawirował pomiędzy pudłami i rupieciami, kierując się w stronę schodów.

Samicah w osłupieniu odwróciła się do mnie i zapytała:

– Czy to normalne? Wszyscy klienci są tacy?

– Nie – odpowiedziałam. – Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby ktoś szedł w dół schodami.



## W restauracji Bellini z psychoanalitycznym psycholem



– Bardzo proszę, nie przeszkadzaj mi, gdy wybieram wino – Koji zamrugał z prędkością karabinu maszynowego. – To najważniejsza część wieczoru. Jeżeli teraz coś spierdołę, równie dobrze moglibyśmy pójść do domu i zapomnieć o kolacji.

Tak zaczęła się moja druga z rzędu noc w towarzystwie oszołoma.

Dwadzieścia po szóstej byłam w restauracji Bellini.

– Koji Osara – oznajmiłam kelnerce, która następnie zaprowadziła mnie do stolika pod oknem.

Poczułam się niczym egzotyczna, pływająca samotnie w ogromnym akwarium ryba, którą jedynie cienka szybka odgradzała od ulicy, gdzie niczym krwiożercze piranie krążyli stadami marynarze. Często zatrzymywali się i pokazywali mi sobie palcami. Och, jakże miałam ochotę przejechać brzytwą przez sam środek tych ich wygolonych maszynką czerepów.

Koji i Samicah przyszli razem. Koji miał na sobie ten sam czerwony polar co w klubie. Przeglądając menu, wyjaśnił nam, że nie był tak po prostu lekarzem, on był psychoanalitykiem, aczkolwiek obecnie zajmował się jedynie bliżej niesprecyzowanymi konsultacjami. Z jakiegoś powodu nie pofatygował się z wyjaśnieniem nam tego poprzedniego wieczoru, ale dzięki nowemu wyznaniu wszystko stało się jasne – nic dziwnego, że był szalony.

– Już w piątek dowiedziałem się z CBC, chociaż nie, to się nazywa

CBS, że pogoda będzie kiepska, ale chciałem, żeby Samicah przekonała się o tym na własnej skórze. Nie zamierzałem narzucać jej własnego zdania. Wiedziałem, że nie pojedzie do Hakone, tylko zje z nami kolację. Przewidziałem, że przyjdzie do Belliniego.

– Jesteś bardzo mądry – stwierdziłam oschle.

– Nie, jestem strategiem – Koji mrugnął z przyjemnością. – Strategicznym sprzedawcą. Jestem słynny w tej restauracji – pochwalił się. – Chcę tworzyć szacunek dla kobiet. Jeżeli zechcesz przyjechać do Oksfordu, poznam cię z pewnymi bardzo inteligentnymi ludźmi. Wczoraj wieczorem odniosłem wrażenie, że masz tęgą głowę. Pan Nishi pamięta o tym, żeby wybierać dla mnie tylko kobiety z najtęższymi umysłami. To dlatego nie posadził ze mną Jodie. – Uśmiechnęłam się i zwiesiłam głowę. Nalałam Samicah wody. Piła alkohol zbyt szybko, a nie miałam ochoty później się z nią użerać. Koji obserwował mnie uważnie. – Nie zareagowałaś na to, co powiedziałem o Jodie. Dlaczego? Przecież jest twoją koleżanką, a mimo to jej nie broniłaś.

– To, co powiedziałeś, było mało bezpośrednie, a japońskim zwyczajem jest unikać konfrontacji, zgadza się? Wybacz, proszę, moją pozorną obojętność – podniosłam kieliszek – ale wołałabym zjeść kolację w miłej atmosferze.

Stuknęliśmy się kieliszkami. Koji wyglądał na dziwnie usatysfakcjonowanego. Przechodzący za jego plecami ludzie bacznie mi się przyglądali.

– Strategicznie wybrałem najlepsze miejsce w restauracji, żeby każdy mógł podziwiać twoją urodę – uklonił się. Samicah siedziała obok niego, przeżuując z otwartymi ustami.

Czarnoskóry kelner pojawił się, żeby uzupełnić nam braki w kieliszkach. Koji odezwał się do niego:

– Ona jest dla mnie zbyt piękna, to aż niemożliwe. Jestem tylko durnym unizonym sługą, ale może ty masz jakieś szanse. Ten oto jest posiadaczem grubego, soczystego kutasa.

Zasłoniłam usta dłonią i usiłowałam nie patrzeć na kelnera.

– No co? – kontynuował Koji. – On jest z Nigerii. Mężczyźni z jego plemienia są wyjątkowo jurni, więc kobiety nie potrzebują sztucznych penisów, racja?

– Bardzo mi przykro – odparł kelner ze spokojem – ale jestem szczęśliwie żonaty. Aczkolwiek ten pan ma rację, jest pani wyjątkowo piękną

osobą. – A potem, ku mojemu zażenowaniu, przystąpili do omawiania szczegółów mojej urody, która to dyskusja gładko przeszła w rozmowę o CIA, jakuzie i upadku „światka przestępczego Roppongi”.

Wszystko to było bardzo, bardzo dziwne.

– Proszę, nie krępuj się i częstuj winem, Samicah. Wino pochodzi z doliny Napa w Kalifornii, więc naturalnie jest kurewsko dobre. Posłuchaj mnie, jeśli pragniesz w przyszłości wieść przyjemne życie. Kiedy spotkasz młodego przystojniaka, będziesz mi wdzięczna, ponieważ zamierzam wyjawić ci sekret. – Koji przerwał, zczekał aż Samicah upije łyk wina, po czym powiedział beznamiętnym głosem: – Jeżeli będziesz piła naprawdę dobre wino, twoja cipka będzie przyjemnie pachniała.

Spojrzałam w sufit, a biedna Samicah prawie się zakrztusiła. Zapadła cisza, podczas której Koji usiłował nawiązać kontakt wzrokowy – najpierw z nią, a potem ze mną.

Napiłam się wody, Koji wziął to za dobry omen i podjął przerwany wątek o mojej urodzie.

– Tak, myślę, że jesteś piękną kobietą. To dla mnie zaszczyt, że mogę spędzać czas z tak piękną kobietą. Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem. Połączenie intelektu i piękna to zarazem największe szczęście i największy pech. Nosisz w sobie demony, na które musisz uważać. Przejmą nad tobą kontrolę, jeżeli nie będziesz ostrożna. Tak piękna kobieta jak ty, a w dodatku inteligentna, ma przed sobą wiele możliwości. Możesz zrobić, co zechcesz, a każde twoje przedsięwzięcie i tak zakończy się sukcesem.

Zaśmiałam się mimo woli i obdarzyłam go pełnym politowania ukłonem.

– A skoro mowa o pierwszym wrażeniu. Powiedzcie mi, proszę, jeśli nie macie nic przeciwko temu, co pomyślałyście sobie o mnie. Zacznijmy od Samicah.

Samicah podniosła głowę znad talerza.

– E... okej. Czy mogę użyć słowa „miły”? Myślę, że jesteś miłą osobą, taktowną i wyrobioną i y... miłą. – Zabrakło jej słów. – Och, przepraszam, niełatwo mi mówić po angielsku.

– Hm. Odnoszę wrażenie, że przypominasz moją siostrę – powiedział Koji protekcyjnym tonem. – Jesteś młoda i naiwna. Dopiero zaczniesz swoją podróż przez siedem mórz, ale ponieważ ich wody są niebezpieczne, moim zdaniem potrzebujesz sternika. Chciałbym cię ochraniać.



Takie mam wrażenie. Chelsea – Koji odchrząknął i zamrugał jeszcze szybciej niż zwykle – jak cię zobaczyłem, pomyślałem o Grecie Garbo.

– Grecie Garbo? – Pytanie, w jaki sposób Koji doszedł do tego wniosku, widząc mnie okutaną w bandaż, w stroju mumii. Najwyraźniej Garbo miała ten sam problem co ja:

– Umysł! I takie same oczy, które niestety psuła makijażem, chcąc, by podkreślały jej charakter. Uważam, że to był wielki błąd. Oczy odzwierciedlają duszę człowieka.

Koji przestał na moment mrugać i przywołał na swoje pucołowate policzki szeroki uśmiech.

– A teraz powiedz mi, co o mnie pomyślałaś.

– W porządku – odstawiłam kieliszek. – Upajasz się byciem poza konwencjami. Jesteś wyrzutkiem własnej kultury, ale wykluczyłeś się na własne życzenie. Cieszysz się, kiedy nie musisz naginać się do norm rządzących społeczeństwem i ta myśl przyświeca ci, gdy organizujesz sobie życie. Inni widzą w tobie czubka z powodu twoich dziwactw i ekscentrycznego zachowania, ale myślę, że to wszystko jest tylko na pokaz. Z jakiegoś powodu uważasz, że nie masz innego wyjścia, jak tylko zachowywać się w ten sposób, ale wydaje mi się oczywiste, że jesteś bardzo inteligentnym człowiekiem. Zyskałeś mądrość życiową, podążając nonkonformistyczną ścieżką.

Koji sprawiał wrażenie wbitego w ziemię.

– Czytałaś o mnie? – wyjąkał.

– Niby co miałam czytać? Przecież poznaliśmy się dopiero wczoraj.

– Moją autobiografię! Możesz ją przeczytać na stronie, której adres jest wydrukowany na wizytówce, którą ci wczoraj dałem. Poprosiłem, żebyś odwiedziła tę stronę. Kiedyś pracowałem jako psycholog, ale teraz zajmuję się pracami nad robotem, który potrafi komunikować się z bardzo małymi dziećmi. To nie jest zwykle metalowe pudło – ono ma umiejętności kognitywne, choć w dość ograniczonym zakresie. W każdym razie jutro kabuki zaczyna się o czwartej. Dostałaś mojego mejla?

– Tak, ale nie przeczytałam wszystkich wiadomości. Wysłałeś ich tyle, że nie przebrnęłam.

– Owszem, to dlatego, że mam obsesję – Koji zamrugał. – Mój pierdolony bezużyteczny psychiatra może ci powiedzieć coś na temat.

Spojrzałam na leżące na stoliku trzy opakowania gum do żucia.

– I jak ci się podoba?

– Co?

– Posiadanie obsesji.

Koji zignorował pytanie.

– Załóżcie, z łaski swojej, coś ładnego na poniedziałkowe kabuki, bo mamy miejsca w łoży.

– Okej – spojrzałam na niego pytająco. „Co jest z tym gościem?” – pomyślałam.

– Dobieram słowa i sposób mówienia tak, by nawiązać przyjazne stosunki i okazać szacunek. Ostatnią radą, jakiej udzieliła mi babcia, było: „Nie ufaj rosyjskim hostessom”. – Usłysawszy to, uniosłam brwi. Uzupełniłam kieliszek Samicah wodą. – Moja babcia poradziła mi przed śmiercią: „Nie ufaj rosyjskim hostessom” – powtórzył Koji. – Nie uważasz, że to zabawna rada? – Wzruszyłam ramionami, a Koji westchnął. – Muszę zadbać o to, żeby być w dobrych stosunkach z kobietami, ponieważ nigdy nie potrafię ich zrozumieć.

– Wiesz, może powinieneś spróbować zachowywać się normalnie – powiedziałam okrutnie.

Koji odłożył sztućce i westchnął.

– Rozmowa z tobą jest niezmiennie interesująca, nawet wtedy, gdy udajesz tępą sukę – wyrzucił z siebie. Roześmiałam się, a szczęka Samicah uderzyła o podłogę. – Dlatego cię lubię. W Mediolanie chodziłem na imprezy, podczas których uczestnicy nosili maski i błyszczeli intelektem. To bardzo seksowne doświadczenie, ta niewiedza, kim jest twój rozmówca. Myślę, że seks pojawia się wtedy, kiedy chcesz po prostu kogoś wyruchać, ale cały urok w tajemnicy, jaką ukrywa druga osoba.

– Ciekawe. Przepraszam, muszę pójść do toalety.

Po drodze do łazienki zagadnęłam nigeryjskiego kelnera.

– Leroy – przeczytałam na plakietce. – Co słyhać?

– W porządku... – zawiesił głos w oczekiwaniu na moje imię.

– Chelsea – uśmiechnęłam się. – Przepraszam za tego gościa. Jest odrobinę dziwny.

– No, Koji jest szalony! To szurnięty sukinsyn, ale ma kupę forsy, więc powinnaś postarać się, żeby wydał jak najwięcej.

– Pewnie – odparłam, choć wcale nie musiałam się starać. Koji już wydał ponad tysiąka na wino. – Aha, Leroy. Czy mogę poprosić o sałatkę? Koji nie zamówił...

– Jaką, słodziutka, dużą? – wyszczerzył zęby w uśmiechu, a ja skinęłam głową ze złośliwą satysfakcją.

Kiedy wróciłam do stolika, Koji rozwodził się nad swoim uwielbieniem dla opery, dzieł Szekspira i teatru kabuki. Ponieważ wszystkie trzy narodziły się mniej więcej w tym samym czasie, wyjaśnił Koji, lubił je porównywać i doszukiwać się podobieństw między poszczególnymi formami sztuki.

– Przedstawienie przypomina, na ten przykład, naszą kolację. Wiedziałem wcześniej, że potrawy będą wyglądały cudownie, ale w smaku przypominają gówno. Wygląd jest okej, smak nie. Piękno to nie wszystko. Moje wrażenie jest takie, że jesteś bystrą kobietą – powiedział niespodziewanie. A ponieważ nawet na moment nie przerwałam pochłaniania sałatki, Koji zwrócił się do Samicah z powagą w głosie: – Ona jest geniuszem.

– To dlatego prawie nic nie zjadłeś? – zapytałam. – Bo uważasz, że to smakuje jak gówno?

– Nie. Lubię poświęcać dużo czasu na jedzenie – zaprotestował. – Rozprasza mnie rozmowa, ponieważ przede wszystkim interesuje mnie kontekst. – Koji zaczął szaleńczo mrugać, a ja, zupełnie niechcący, zaczęłam go naśladować.

– Ta twoja cecha – mrugnęłam. – Dlaczego cały czas tak robisz?

– Ponieważ jestem pod tak wielkim wrażeniem twojej urody. Po prostu – mrugnął w odpowiedzi. – Nie wierzę. – Uśmiechnął się i ja się uśmiechnęłam, a Samicah popatrzyła na nas tępym wzrokiem. Sięgnęliśmy po kieliszki z winem. Kilka chwil później Leroy pojawił się z butelką białego wina. – Nie zwracaj, proszę, uwagi na moje głupie komentarze, Samicah. To wino jest równie dobre, 500 dolarów za butelkę. Kiedy wypijesz dwa kieliszki, ogarnie cię radość i zaczniesz się dobrze bawić.

Samicah wypła trzy kieliszki wina, ale kiedy na stoliku pojawiła się kawa, nie tknęła jej, więc pozwoliłam sobie zaanektować jej filiżankę.

Za oknem przechodnie paradowali w halloweenowych strojach. Dwóch facetów w maskach i jednocześnie różowo-żółtych kombinazonach przestępowało z zimna z nogi na nogę. Patrzyli przez szybę i pokazywali coś sobie palcami. Koji odwrócił się po raz pierwszy tego wieczoru i wyjrzał za okno – grupa japońskich dziewcząt czmychnęła, chichocząc.

– Japończycy są skłonni do dyskryminowania – prychnął Koji z pogardą. – Nie akceptują mnie, ponieważ jestem pół-Chińczykiem. Nigdy nie wyruchałem Japonki. Nie cierpię japońskich cip. Proszę, nie pytajcie mnie o to. W każdym razie cieszę się, że mogę spędzić z wami czas.

Płacąc, Koji zapytał, czy możemy wziąć taksówkę do Greengrass.

– Jodie to nie odpowiada. Ona chce spacerować, bo jest na jakiejś zaszraniej diecie, a poza tym to dla niej strata pieniędzy. Wam to nie przeszkadza?

Nie przeszkadzało, więc przejechaliśmy taksówką dwie przecznice.

– Masz seksowną sukienkę. Bardzo piękna – stwierdził z aprobatą Koji, kiedy usiadłam obok niego. Na stoliku stało już francuskie wino, a w ślad za butelką pojawił się talerz serów i prażona kukurydza, którą podjadała oszołomiona i wstawiona Samicah.

– Smakuje jak gówno – skomentował Koji. – Chciałem zamówić coś z Domino’s Pizza, ale Nishi powiedział, że nie mogę. Musicie mi wybaczyć. O dziesiątej muszę zadzwonić w sprawie jakichś durnych interesów.

– Tak późno?

– Będę dzwonił do Londynu.

– Aha. A która tam teraz jest?

– Jedenasta przed południem. Wybaczcie – powiedział, po czym wymaszerował na korytarz.

Kiedy wrócił, zaczęło się śpiewanie, które trwało kilka godzin. Prawie nie rozmawialiśmy. Wszyscy byli pijani. Zaśpiewałam *Steamroller Blues*, a potem coś Red Hot Chili Peppers, nie pamiętam co jeszcze. Przypominam sobie, że stolik Carmen wtórował nam hiszpańskimi pieśniami w rodzaju *Besame mucho*. O północy kurier przywiózł dwa ogromne bukiety czerwonych róż. Aha! A więc dlatego Koji musiał wyjść na korytarz.

– Lubię zaskakiwać damy. To ważne – wydeklamował.

– Tak, dziękuję – odparłam słodko, lecz w głowie utkwiła mi uporczywa myśl: „Aleś gładko skłamał”. Wróciliśmy do śpiewania, które zakończyliśmy dopiero kiedy zegar wybił wpół do drugiej.

– Muszę iść się położyć. Przepraszam. Jest już dość późno, a ja jutro mam bardzo ważne spotkanie. Pod żadnym pozorem nie mogę go opuścić. Jakies pytania na koniec?

– Pewnie – powiedziałam. – Wiesz, tak się zastanawiam, zupełnie bez powodu, ale ciekawi mnie, czy kiedykolwiek czułeś się spełniony, pracując jako psychoanalityk? To znaczy wiesz, czy czułeś, że kiedyś komuś naprawdę pomogłeś?

Uśmiech znikł z jego twarzy.

– Nie zamierzam o tym rozmawiać przez najbliższe trzy lata – rzucił szorstko. – Dziś bawimy się, pijemy i śpiewamy. Proszę, nie zrozum mnie źle. Jesteś piękną, genialną kobietą, ale dopiero po trzech latach wiem, czy mogę zaprzyjaźnić się z daną osobą. Ludzie potrafią być bardzo powierzchowni.

Trzy lata? Jak na człowieka, który kiedyś zarabiał na życie jako psychoanalityk freudyta, to cała epoka. Być może Koji dlatego rzucił praktykę, bo w pewnym momencie stracił wiarę w słuszność własnego osądu.



## 1 + 1 = wariactwo, czyli noc kabuki



Okej, pamiętam, że zamknęłam oczy. Ale to nie był sen. Jeżeli przebudzenie oznacza świadomość, a sen jej brak, to znajdowałam się gdzieś pośrodku. Gdy wybudzałam się z wymaginowanego snu, kątem oka notowałam zmieniające się liczby na zegarze: dziewiąta rano, dziesiąta, jedenasta. Nieustannie wynurzałam się z dziwacznej jak w wizji Dalego domeny Morfeusza i wychodziłam na brzeg okrutnego, morderczego świata, który zabraniał mi odpoczynku dłuższego niż pięćdziesiąt dwieście minut.

Zapalenie lewego migdałka nie pomagało. Podobnie jak nocna gorączka, która pojawiła się u mnie kilka tygodni temu i od tamtej pory nawiedzała mnie coraz częściej. Czułam się ospała, drętwą, słabą i oschłą, jak gdyby odprowadzono ze mnie całą energię. Skomplikowane połączenie odczuć, do tego stopnia uciążliwe, że w ogóle nie miałam ochoty kłaść się spać, bo nie byłam pewna, czy poczuję się lepiej, kiedy się obudzę.

Chyba mogłam wczoraj poprosić Kojiego, żeby dokonał psychoanalizy, ale może będzie miał czas dzisiaj, przed przedstawieniem kabuki. Ale zaraz, faktycznie, przecież nie wolno nam było poruszać tematów związanych z psychologią. Będę musiała poczekać trzy lata.

Wygramoliłam się z łóżka na długo przedtem, zanim zadzwonił budzik, i narzuciłam na siebie moje najczarniejsze z czarnych ubrań.

\*

Na stacji Higashi-Ginza podeszłam od tyłu do Samicah i pokazałam palcem na mapie słowa „Kabuki-za, wyjście 3”.

– Tędy.

– O, cześć. To ty. Zaskoczyłaś mnie. Łał! – powiedziała, lustrując moje do bólu eleganckie ciuchy. – Pięknie wyglądasz. Ja nie mam takich. Jest okej? – Jej ciężkie brązowe drewniaki i sukienka upstrzona aplikowanymi domowym sposobem spiralnymi wzorkami zdecydowanie nie były okej – to tak, jakby wybrała się do opery w ogrodniczkach.

– Spoko – skłamałam.

– Gdzie to kupiłaś? Ja nigdy nie potrafię znaleźć czegoś takiego.

Powiedziałam jej, że kupił mi je znajomy – jeden z klientów – a ona zapytała, czy mogłabym poprosić go, żeby ją też zabrał na zakupy. Musiałam jej wyjaśnić, że to nie do końca tak działa, i wytłumaczyć, dlaczego nie wypadało spóźnić się na *dohan*. Czułam się jak niańka.

Zaczekałyśmy przed wejściem do Kabuki-za. Tłum widzów zdążył już niemal wtłoczyć się do środka, kiedy w końcu zjawił się Koji w swoim czerwonym polarze. Miał piętnaście minut spóźnienia, więc skrzywiwszy się tylko na widok stroju Samicah – i oszczędziwszy nam choćby słowa powitania – wręczył bilety i wmaszerował na korytarz teatru, zatrzymując się, żeby wziąć dla nas angielski program i słuchawki, a potem zaprowadził na miejsca w samym środku sporej wielkości widowni.

– Mówiłeś, zdaje się, że będziemy mieli łoże – skonstatowałam, ale Koji posłał mi tylko sztuczny uśmiech i powiedział:

– Skoczę po coś do picia. Kawa czy zielona herbata?

– Och, czy mogę poprosić o sok? – zapytała Samicah, a ja zdecydowałam się na herbatę.

Wyczytałam w programie, że kabuki nie zawsze było uznawane za pełnoprawną sztukę.

Kabuki zostało stworzone w siedemnastym wieku jako teatrzyk dla pospólstwa przez pewną opiekującą się kaplicą kobietę. Początkowo aktorami były wyłącznie kobiety, często prostytutki, co przesądziło o obecności na przedstawieniach niezdyscyplinowanych tłumów widzów i przyczyniło się do szybkiego rozprzestrzenienia się teatru. W rezultacie w szogunacie Tokugawa uznano przedstawienia za moralnie szkodliwe, zakazano kobietom brania w nich udziału i zdecydowano o zastąpieniu kobiet aktorek mężczyznami.

Chcąc być może uczynić zadość tradycji, niektórzy mężczyźni aktorzy

parali się również prostytutką, co rozjuszyło szogunat i zmusiło do podjęcia zdecydowanych kroków, prowadzących do nakazu organizowania przedstawień wyłącznie o charakterze historycznym. Z czasem skryształizowały się typowe postaci kabuki: przystojnego kochanka, złego samuraja i cnotliwego bohatera. Ci, którzy woleli damskie przebieranki, mieli do dyspozycji: młodą dziewicę, starą złą wiedźmę oraz szlachetną kobietę samuraja.

Nagle Koji niemal zdzielił mnie w twarz dwiema mrożonymi zielonymi herbatami – najwyraźniej zignorował prośbę Samicah o sok.

– Wasze napoje – oznajmił. – I niespodzianka. Lubię robić niespodzianki. Podaj swojej praktykantce i przesuń się o jedno miejsce. Nie chcę siedzieć w środku. – Podałam Samicah zieloną herbatę i jeden z prezentów. Obdarzyła mnie pełną niezadowolenia *mie* – w języku kabuki oznacza to przesadną mimikę obliczoną na wywołanie określonego efektu. Zignorowałam ją i powróciłam do lektury programu.

Sztuka, którą przyszliśmy obejrzeć, otwierała sezon.

Na samym początku dwóch aktorów z twarzami pokrytymi dramatycznym białym makijażem zamarło w swoich pozach, a pozostali, ubrani na czarno mężczyźni poprawiali bogato zdobione kostiumy głównych bohaterów.

– Co oni robią? – zapytałam Kojiego szeptem, na co mistrz elokwencji odparł:

– Zignoruj ich, proszę. Przecież się nie ruchają.

Wkrótce cienie zniknęły i aktorzy rozpoczęli tradycyjny dialog, któremu towarzyszyły nieliczne, ale wyjątkowo przesadne ruchy. Przedstawienie ciągnęło się jak flaki z olejem, ale w sumie było całkiem zabawne.

Aktorzy mieli przepiękne kimona, a sama historia okazała się typowo japońska – podkreślając istotę rangi społecznej, wychwalała służalczą podległość oraz niezwykłą samokontrolę i wstrzemięźliwość. Przy czym wejście ważnej postaci, poruszającej się w wysokich, drewnianych *geta* – tradycyjnych japońskich sandałach – i jej przejście po dzielącym widownię na pół wybiegu, *hanamachi*, zajmowało każdorazowo pięć minut, dzięki czemu budowano napięcie w kluczowym momencie opowieści, a widzom przypomniano o wysokiej pozycji społecznej aktorów.

Obecnie najwięksi aktorzy kabuki stanowią wręcz obiekt uwielbienia japońskiego społeczeństwa i mają rangę lokalnych celebrytów, o których rozpisuje się kolorowa prasa. Zupełnie inaczej rzecz się ma z muzykami



ukrytymi za parawanem po prawej stronie sceny. Muzyka grającego na *shamisen* ma być słychać, ale nie widać – jego zadaniem jest uderzać w struny tego pokrytego skórą kota instrumentu w taki sposób, by w wydobywanych tonach pobrzmiwał koci lament.

Gdy pierwsze przedstawienie dobiegło końca, nastąpiła przerwa, podczas której Koji zaprowadził nas do słynnej restauracji Kicho na pudełko *bentō*, kolejną filiżankę zielonej herbaty i po to, byśmy otworzyły prezenty.

– Takie chińskie astrologiczne coś – oznajmił Koji, machnąwszy lekceważąco ręką w stronę kolekcji maleńkich, porcelanowych figurek zwierząt symbolizujących znaki zodiaku. – Ja jestem głupim, pierdolonym psem – mrugnął.

– Och! Jak fajnie! – powiedziała Samicah. – Jestem rokiem kota. A ty, Chelsea?

– Świnia.

– Phi. Pies i kot nigdy się nie dogadają, bo nigdy się nie rozumieją – Koji zrobił minę. – No. Następną sztukę widziałem setki razy, więc w chuj się wynudzę. Zostawię was tu i wrócę o dziewiątej. Pójdę sobie na masaż, a wy obejrzyście sztukę. Albo nie, macie wybór. Możecie pójść ze mną.

Wybrałyśmy z Samicah masaż, po którym musiałyśmy wysłuchać narzekania Kojiego, jak to podczas masowania walczył z „durną, jebaną erekcją”. Potem pojechaliśmy taksówką na kawę do hotelu Prince wznoszącego się w cieniu Wieży Tokijskiej. Ależ to była nora! Hotel Prince był jednym z najstarszych, zbudowanych na zachodnią modłę przybytków w mieście, co zdecydowanie było widać – choćby po dywanie, który wyglądał, jakby miał pięćdziesiąt lat. W herbaciarni, z której przez panoramiczne okno roztaczał się widok na rozświetloną metropolię, nie było kawy. Koji od razu zaczął marudzić.

– Czy wam się to podoba, czy nie, mam swoją zasadę Trzy Razy Nigdy. Nie pomogę wam, jeśli mnie najpierw nie posłuchacie. Raz: nigdy nie wdawać się w układy z jakuzą. Przenigdy. Dwa: nigdy nie wiązać się z przedstawicielem/przedstawicielką rasy kaukaskiej, który/która mieszka w Roppongi dłużej niż pięć lat. Taka osoba nie ma tu czego szukać, więc bez wątpienia ma kłopoty z prawem. Po kiego zadawać się z gangsterami? Trzy: nigdy nie wychodzić za mąż za pieprzonego Japończyka/nie

zenię się z pieprzoną Japonką. Znam mnóstwo nieszczęśliwych hostess, które wyszły za Japończyków i mieszkają na przedmieściach.

Nie pamiętam, bym prosiła Kojiego o protekcyjne rady, choć to fakt, że jego dywagacje były bardziej skierowane do Samich niż do mnie. Przynajmniej ona jedna słuchała tego, co miał do powiedzenia. Ja siedziałam z boku z założonymi rękoma, przyglądając się ulicom z wysokości jedenastego piętra.

Po co nas tu przyprowadził? Nie dość, że to miejsce nie odpowiadało moim standardom, to w dodatku musiałam się bardzo starać, żeby nie wkurwić się na głupotę Samich i nieskończony potok narzekań Kojiego na swoją pasierbicę. Krew mnie zalewała, kiedy ich słuchałam, ale bardziej irytowało mnie to, że nie odebrałam telefonu od Yoshiego.

Nie widywałam go ostatnio zbyt często, ale może to i lepiej. Dzięki temu zdałam sobie sprawę, z jaką łatwością wciągnął mnie na swoją orbitę, i jak duże stanowił zagrożenie dla mojego związku z Mattem. Podczas tych krótkich chwil, jakie dla siebie mieliśmy, Matt nigdy o tym nie wspomniał, ale byłam pewna, że wyczuwał, że coś się zmieniło. Gdyby udało mi się ograniczyć kontakty z Yoshim do minimum, reszta czasu, jaki mi pozostał w Japonii, upłynęłaby we względnie spokojnym. Oczywiście nadal miałam ochotę widywać się z nim, ale nie mogłam ryzykować. W końcu byłam mężatką i nie chciałam tego zmieniać.

Ach, te dylematy. Wyjść z Yoshim, siedzieć w domu z mężem, czy może wysłuchiwać chaotycznych wyznań w rodzaju: „W nadchodzących wyborach wygra Bush. Kerry nie jest, kurwa, urodzonym przywódcą, ale spokojna głowa. Hillary będzie prezydentem. Jeszcze tylko cztery lata. Cierpliwości”.

Sączyłam herbatę z rumiankiem i słuchałam jednym uchem, jak Koji rozwodził się na temat szwedzkiego designu i o tym, jak to pewna szwedzka hostessa, którą poznał w Greengrass, miała mu zaprojektować restaurację sushi w Brighton. Nawiasem mówiąc, wybierał się niedługo do Szwecji z zamiarem spędzenia czasu u dwóch szwedzkich hostess, ale tak naprawdę trudno było zorientować się, ile z tego, co mówił Koji, było prawdą, a ile błądą, ponieważ cały czas z wprawą przeskakiwał z tematu na temat.

Do moich ulubionych należały jego pozbawione emocji próby zajęcia dyplomatycznego stanowiska:

- Japończycy są rasistami, są społeczeństwem zawistnym i sekciar-

skim – przez swoją homogeniczność. Ja nie znoszę grupy, w której wszyscy mają być jednakowi: prestiżowe uniwersytety, jebani marines, Japończycy. Wszystko to wylęgarnia ignorancji. Szkoda mi czasu dla ludzi, którzy nie potrafią spojrzeć na rzeczy z innej perspektywy. Najlepszym rozwiązaniem jest podejmowanie indywidualnych działań i interakcja z innymi osobami z jednoczesnym zachowaniem własnego ducha. – Uśmiech Kojiego przypominał grymas. Jezu, ten facet to prawdziwy psychol.

Wyszliśmy – w końcu! – za dziesięć dziewiąta. W taksówce Samicah ponarzekła z irytacją w głosie, że przez pierwsze trzy dni pracy – ostatnie dni miesiąca – wyciągnęła zaledwie 3000 jenów za godzinę. Miałam ochotę strzelić ją w twarz.

– Słuchaj, Koji wyświadcza ci przysługę tym, że w ogóle gdziekolwiek cię zaprasza. Większości dziewczyn przez pierwszy miesiąc pracy nie udaje się wyrobić choćby dwóch *dohan*. Tymczasem Koji podarował ci dwa *dohan* w ciągu trzech dni. On próbuje ci pomóc. Nie rozumiesz tego?

– Okej, może i tak. Mam to gdzieś – zrobiła nadąsaną minę. Była bezczelna – nie mogłam uwierzyć, że uważała Kojiego za zupełnie normalnego.

– Szkoda mi go. Sprawia wrażenie samotnego.

Kiedy złamała zasadę prywatności i zaczęła dopypywać się o moją rodzinę, obrzuciłam ją chłodnym spojrzeniem, na co zareagowała przejściem na hebrajski. To była kropla, która przelała czarę.

– Wiesz, kurwa, że nie rozumiem ani słowa z tego, co do mnie mówisz?

– Ale co? Przecież to mój język – odparła z oburzeniem. – Mówię nim od dziecka. No chyba rozumiesz chociaż parę słów, nie?

– Że niby, kurwa, co? – Ignorowałam ją przez resztę wieczoru.

Koji zerknął na mnie podejrzliwie, kiedy Tehara nachylił się i wyszeptał mu coś do ucha.

– Ktoś o ciebie poprosił – oznajmił Koji. – Jeżeli pójdziesz, wrócisz dopiero o jedenastej. O wpół do dwunastej muszę zadzwonić z mojego pokoju w hotelu. Zostaniesz tutaj do wpół do jedenastej, co oznacza, że mamy dwadzieścia minut. Mogło być lepiej, ale wczoraj wieczorem uprzedziłem Nishiego, że przyjdziemy późno. Nishi zrobił dla mnie wyjątek, ponieważ jestem dla niego klientem numer jeden. Jutro wyjeżdżam, więc jeśli masz jakieś pytania, pytaj teraz.

– Nie martw się – odparłam z sarkazmem – jeśli będę pilnie potrzebowała odpowiedzi, napiszę do ciebie mejla.

Koji przez większość wieczoru raczył mnie wszystkim, co wiedział – a czego ja wcale nie chciałam wiedzieć – na temat rosyjskich i ukraińskich hostess, włączając w to więcej sprośności, niż byłam w stanie zliczyć.

– Mam wątpliwości co do brytyjskich i amerykańskich hostess, bo właściwie dlaczego one przyjeżdżają do Roppongi? Oczywiście nie mam na myśli ciebie – moim zdaniem pracujesz tutaj z jakiegoś innego powodu, o którym nie wiem – ale jeżeli dziewczyna jest faktycznie taka bystra, to dlaczego marnuje swój czas w takim pojebanym miejscu z bandą impotentów? – Koji zamrugął i rzucił okiem na tani, plastikowy zegarek, który wcześniej położył na stoliku.

– No, nie wiem, Koji. Myślę, że niekoniecznie chodzi o głupotę, mogą istnieć inne przyczyny. Życie nie zawsze bywa logiczne.

Koji sprawiał wrażenie skonsternowanego.

– Uważam, że dysponujemy podobną umiejętnością myślenia poznawczego. Dlatego cię lubię. I dziękuję, że rozmawiasz ze mną po angielsku i słuchasz mojego popierdolonego wieśniackiego akcentu. Mój nauczyciel angielskiego powiedział, że każdy, kto z powodu mojego akcentu nie ma ochoty wysłuchać tego, co mam do powiedzenia, nie jest wart mojego czasu. W każdym razie życzę wam obydwu powodzenia.

– Spoko, dzięki. Odwiedzę twoją restaurację w Brighton, kiedy ją otworzysz.

– Wydawało mi się, że przyjedziesz do Oksfordu – Koji zamrugął z wściekłością. – Stwierdzam pewne rozbieżności w tym, co mówisz.

– Żadna tam rozbieżność. Mówiłeś, że otwierasz restaurację dopiero za rok, a do Oksfordu zaprosiłeś mnie w styczniu, tak? Sorry, Koji, ale gdzie tu rozbieżność? Za dużo sobie dopowiadasz.

– Przepraszam, to rzeczywiście mój problem. Mój psychiatra też tak twierdzi, ale chodzi o to, że nie przywykłem do komunikowania się z ludźmi, którzy wiedzą, co chcą powiedzieć i używają do tego kurewsko właściwych słów. Wybacz nieadekwatność mojego słownictwa. W moim odczuciu ludzie każdego dnia odczuwają potrzebę mówienia czegoś nowego.

– Ludzie przerywają naukę, kiedy kończą osiemnaście lat. – Samichal wzięła udział w dyskusji.

– Co? Ależ wcale nie. Jeśli człowiek nie uczy się czegoś nowego,

świadczy to o jego zaniedbaniu. Słownictwo Kojiego spełnia swoją rolę i jest tak naprawdę bogatsze niż większości rodowitych użytkowników języka.

– Cóż za paradoks – wycedziła Samicah przez zęby.

– O rany, Samicah, nalej sobie jeszcze wina, co?

– W każdym razie! W każdym razie, w każdym razie, w każdym razie! – przerwał nam Koji. – Pragnę przypomnieć ci o twoich planach odwiedzenia mnie w Oksfordzie, pomiędzy dziesiątym a siedemnastym stycznia. Postaram się zorganizować kilka spotkań z moimi znajomymi profesorami, tak żebyś mogła przedyskutować z nimi pewne interesujące cię zagadnienia. Oczywiście wyjdę po ciebie na lotnisko, nie martw się – zamrugał. – W moim mieszkaniu są dwie sypialnie, każda ma drzwi z zamkiem na klucz i telefon, żebyś mogła zadzwonić pod 999 albo na policję. Znają mnie tam – uśmiechnął się przymilnie. – Oksford jest wyjątkiem. Różne rzeczy tam się dzieją.



## Ignoruj mnie, kiedy tylko zechcesz



Jessica z Sydney zaczęła pracę w Greengrass w środę wieczorem. Nishi „przydzielił” ją do mojego stolika, zupełnie jakbym ja była doświadczoną gejszą, a ona *maiko*, moją uczennicą. Poznałyśmy się tydzień wcześniej, po tym jak Matt „wyłowił” ją z tłumu, szukającą hostess-klubu w Roppongi. Zadzwoił do mnie podczas imprezy halloweenowej i „dostarczył” Jessicę pod drzwi klubu. Przywitałam ją w stroju mumii i wyłożyłam, na czym polegają zasady obowiązujące w Greengrass.

Jessica przebywała w Japonii na wakacjach ze swoim australijskim chłopakiem. Przyleciała z zamiarem podjęcia pracy, ale ponieważ okazało się, że wcale nie tak łatwo było znaleźć zajęcie jako niewykwalifikowany nauczyciel języka angielskiego, postanowiła spróbować swoich sił jako hostessa.

Chociaż imponowała wzrostem, zachwycającą urodą i blond włosami, natychmiast rozpoznałam u niej tę samą podszytą nerwowością obawę, która jeszcze dwa miesiące temu była również moim udziałem. Dlatego postarałam się, żeby rozluźniła się w towarzystwie okupujących nasz stół dyrektorów z branży filmowej. Niestety, Jessice trafił się ziewający gość, który wyglądał na Hindusa, twierdził, że był z pochodzenia Japończykiem, a przedstawił się jako T-Bone. Dopilnowałam, żeby rozmowa dotyczyła wyłącznie lekkich tematów, tak żeby Jessica nie zniechęciła się od samego początku. Ani się obejrzałyśmy, a już bossowie zapłacili rachunek i ulotnili się.

W garderobie w Jessiki w końcu opadło napięcie na tyle, że roześmiała się pełnym głosem.

– Zachowujesz się przy nich tak naturalnie! – wyrzuciła z siebie z podziwem typowym dla nowicjuszek. – Jak ty to robisz?

Spojrzałam na nią zaskoczona.

– Naturalnie? Ależ skąd, to było strasznie wymuszone – zaprotestowałam. – Pomożesz mi rozpiąć? – Zrzuciłam sukienkę i włożyłam na siebie sweter. Rozległo się pukanie do drzwi.

– Pani Chelsea! – zawołał Soh. – Zapowiedział się twój klient! Ten szalony gość.

– Ale jest już kwadrans po drugiej! – wrzasnęłam w odpowiedzi. – Pan Fujimoto już na mnie czeka!

Wcześniej pan Fujimoto zabrał mnie na wyborne sushi, przyszedł do klubu, choć nie miałam akurat wolnego i nie mogłam go sobie wziąć, a teraz czekał na mnie od ponad godziny w tym swoim ekskluzywnym *Petits Pois*, klubie „tylko dla członków” – dlatego, że Nishi nie pozwolił mi wyjść wcześniej z pracy. Irytująca sytuacja, już nie wspominając o tym, jak bardzo dla mnie krępująca.

– Sorry, ale to twój klient – odparł Soh. – Chodź!

– Grrrrr! – warknęłam z wściekłością. – Nienawidzę, jak tak robią. Dlaczego każą mi zostać? Odfajkowałaś już swoje? – zapytałam. Jessica skinęła głową. – Żebyś wiedziała, że kantują na czasie pracy. Nawet jeśli robisz do drugiej dwadzieścia pięć, to i tak płacą ci tak, jakbyś pracowała do drugiej. Kiedy klient chce zapłacić kwadrans albo dwadzieścia po, czasem świadomie przeciągamy rozmowę, bo ten system jest po prostu niesprawiedliwy.

– Naprawdę? – Jessica wyglądała na przejętą. – Zastanawiałam się, czy ten klub jest uczciwy.

– Nie, i są w tym naprawdę nieźli. To jedyny problem – uśmiechnęłam się przepraszająco, czując się nieswojo z powodu wszystkiego, czego nie mogłam jej wytłumaczyć, a czego sama musiała się nauczyć. – Tyle dobrego, że możesz już iść do domu. Pomożesz mi zapiąć?

Mizu-tani wyszedł paradnym krokiem z toalety, niosąc pod pachą czasopismo z błyszczącą okładką. Zaproponowałam mu parujący *oshibori*, ale zignorował mnie i po prostu usiadł wsunawszy dłonie pod tyłek. Musiałam je spod niego wyciągnąć i osobiście wytrzeć każdy palec.

W końcu Mizu-tani nie był w stanie dłużej tłamsić własnego szaleństwa i odezwał się:

– Chelsea, dlaczego jesteś taka miła? Wszędzie szukałem smakowitych dziewczyn, ale ty jesteś najbardziej smakowita. Nigdy o tobie nie zapomniałem.

– A gdzie szukałeś? – zapytałam figlarnie.

– Po całym Roppongi.

– A w ilu miejscach?

Mizu-tani podniósł cztery palce.

– To jest pięte. Ale nigdy nie zapomnę Chelsea. Zadzwoiłem do pana Nishi, ale powiedział, że ktoś o ciebie poprosił i nie możesz przyjść. Myślał, że jestem kim innym, kto o ciebie prosi. Nazwał mnie Tokugawa. Kim jest Tokugawa? NIE JA! – krzyknął w złości. – Nie wiem. Tutaj jest na ciebie popyt. Kiedy będziesz miała czas, żebyśmy się zobaczyli? Nie masz czasu. Jesteś taka... nie obrazisz się? Smakowita. Spójrz na mnie, jaki jestem szalony. Spójrz na moją niegrzeczną twarz. Wiem, że o mnie zapomnisz, ale jak ja mogę zapomnieć ciebie?

Skinęłam głową, patrząc na pismo leżące na stoliku okładką do dołu.

– Co tam masz? – Mizu-tani chwycił magazyn i otworzył od razu na rozkładówce. – O Boże! – oblałam się rumieńcem i zasłoniłam oczy.

– CO! Nie jesteś taka jak one? – wrzasnął Mizu-tani.

No cóż, nie – chciałam odpowiedzieć. – Nie rozkładałam nóg w japońskim pornomagazynie.

– Nie mam ochoty tego oglądać, Mizu-tani.

– Dlaczego? Ty i ja jesteśmy tacy sami. Okej, ignoruj mnie, kiedy tylko zechcesz. – Odwróciłam głowę, kiedy zabrał się za przeglądanie czasopisma, jak gdyby nigdy nic, kartkując je i zatrzymując się dłużej nad niektórymi ujęciami. Po chwili zamknął piśmko. – Dobra, poważne pytanie. Mam tylko jedno pytanie. – Rozparł się na kanapie i wygiął plecy w łuk. – Gotowa? Dlaczego jesteś taka miła? Proszę? Lubię cię. Kocham cię. Ale może ty mnie nie lubisz. Nie szkodzi, nie przeszkadza mi to. Bo jesteś taką złą dziewczynką.

– Złą?

– Złą, czyli najlepszą. Nie potrafię cię wyrazić. Brakuje mi słów, żeby cię wyrazić. Jesteś niezapomniana. Może myślisz o mnie dobrze, średnio albo źle. Nieważne. To twoja sprawa, ale dla mnie jesteś smakowita. Dla-



czego? Moja smakowita ścieżka jest bardzo wąska. Dlaczego możesz na nią wejść? Ale na ciebie jest popyt, nie masz dla mnie czasu. Wiem. Nishi mówi mi, że na Chelsea jest popyt. Ona jest taka popularna. Ja nigdy nie proszę o dziewczynę, żeby ze mną usiadła. Nigdy. Jeśli przychodzą, mówię im: „Nie proszę o ciebie”. Ale zobaczyłem ciebie i powiedziałem: „Przyprowadźcie mi ją”. Pamiętasz, jak byłaś tam, z tym mężczyzną? Twój ulubiony klient.

– Chodzi ci o Yoshiego? – uśmiechnęłam się odruchowo.

– Tak. Wiem, że mu się podobasz. Poznają. On jest smakowitym chłopcem. Myślę sobie, co mam zrobić, żeby przenieśli cię do mojego stolika. Jak mogę spędzić czas, chociaż powiedzieć parę słów do Chelsea, bo nie potrafię cię zapomnieć.

– Skąd wiesz, że mu się podobam?

– Bo tak! Jest taki smakowity. On ma wygląd miłego faceta. A ja, dla kontrastu, jestem takim złym chłopcem. Takim niegrzecznym. Takim szalonym. Mam wielu wrogów. Ale nie przejmuję się. Jeśli ludzie mnie nie lubią, trudno. Jak to możliwe, że jesteś dla mnie taka smakowita? Brakuje mi słów, żeby to wyrazić. Uszkodziłaś moje serce.

– Strasznie mi przykro.

– Nie szkodzi. Wszyscy myślą, że jestem szalony.

– A jesteś?

Mizu-tani pochylił się nad stolikiem.

– Szalony za tobą. Ale jestem taki zły chłopiec. Jestem prezesem Klubu Brudu Moralnego. Honorowym szefem. Możesz mnie zabić. Nie szkodzi, jeśli to ty mnie zabijesz. Na łóżku – Mizu-tani przerwał, żeby napić się whisky. – Znasz gubernatora Saskatchewan? On cię kocha. Rozmawiałem z nim wczoraj.

– Mizu-tani, nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz. Przepraszam, ale muszę skorzystać z łazienki.

Kiedy wróciłam, okazało się, że Mizu-tani przeniósł się do stolika w rogu. Rozwalił się na sofie i obserwował Mae i jej ulubionego klienta, Akirę – producenta z lśniącą grzywą włosów à la premier Koizumi.

– Oni są tacy rozluźnieni – westchnął Mizu-tani z zazdrością. – Taka dobra atmosfera. Nishi! – wrzasnął. – Nishi! Chodź tutaj! Nishi zna mój charakter. Nishi, jak ona może mnie pokochać? Chcę wiedzieć, co mogę zrobić. Jeżeli ją zabierzesz, zabiję cię. Moją bazooką. Nishi ma bardzo małą broń.

– Nawet nie chcę o tym słyszeć – roześmiałam się.

Mizu-tani pomaszerował do toalety. Za barem Soh, birmański kelner, przewrócił oczami i oznajmił, że do zamknięcia klubu pozostało tylko dwanaście minut.

– Kiedy wyjeżdżasz? – zapytał mnie. – Dwudziestego ósmego? – Skinięłam głową, na co Soh zaczął ocierać nieistniejące łzy. – Wszyscy twoi klienci będą za tobą płakać!

– Wiem – westchnęłam. – Wiem.



## Co jest ważne? Ty musisz decydować



Shin przyszedł na spotkanie ze mną w supermarkecie Bic Camera w Yurakucho prosto z pracy. Zgromadził na swojej karcie stałego klienta sporo punktów, które – plus kilkaset dolarów – zapragnął przeznaczyć na najnowszą konicę minoltę dla mnie, identyczną jak jego. Kupił mi dopasowaną kartę pamięci, a ponieważ okazało się, że chwilowo zabrakło baterii, pożyczył mi nawet swoją kartę, żebym mogła przyjść w przyszłym tygodniu i dokupić co trzeba. Czadowo!

Kiedy jechaliśmy ruchomymi schodami, wpadła nam w oko witryna sklepu ze sprzętem do golfa. Nagle Shin stracił cały zapał.

– Muszę jutro grać w golfa – westchnął. – Nie znoszę.

Kiedy wracaliśmy tą samą trasą, pokazałam palcem manekin trzymającą żelazną dziewiątkę.

– Twój ulubiony! – powiedziałam, chcąc się z nim podroczyć, ale Shin zrobił zbolałą minę.

Piętro wyżej wskazał wiszący na ścianie plakat, który reklamował piwo i sake.

– Twoje ulubione! – uśmiechnął się pod nosem, a ja zaczęłam się śmiać, aż rozbolał mnie brzuch.

– Cóż więc, Panno Leniwcu, robisz w najbliższy weekend? – zapytał Shin, kiedy usiedliśmy, żeby napić się kawy i spróbować ptysia w owocowej polwie. Dopiero co zjedliśmy obiad w Ginzie.

– Nie wiem – wzruszyłam ramionami. – Nie mam żadnych planów.

Udał, że chce walnąć mnie w głowę.

– Co ty, zgłupiałaś? Myślę o takim jednym miejscu, czyli o Hakone. – Otworzył kieszonkowy kalendarzyk. – Co powiesz na Hakone w następny weekend? Nie musisz wcześniej wstawać. Może piątek wieczór to dla ciebie późno... możemy wyjechać po dwunastej i pojechać od razu do prywatnego hotelu z własną kolejką linową i zrelaksować się, a w niedzielę musimy się wymeldować o dziesiątej rano. Potem pojedziemy nad Ashinoko, nad takie duże jezioro. Ale w *ryokan* mają tylko japońskie jedzenie. Nie ma tam restauracji. Starsza kobieta przynosi ci kolację do pokoju i takie wielkie śniadanie – ryż, zupa miso...

– I zero płatków? – zażartowałam.

– Nie. Śpisz na futonie, na podłodze, rozumiesz, i nosisz japońskie piżamy. Musisz. Wszystko japońskie. W środku i na zewnątrz jest *onsen*, i będziemy mieszkali w tym samym pokoju, ale jeden na jeden to ja nie chcę. Wcześniej, kiedy pojechałem z Karoliną i Minką, było wygodnie...

– Okej, żaden problem, wezmę ze sobą kogoś znajomego.

Shin spojrzął na mnie z powątpiewaniem.

– Czy to kobieta?

– Tak, przecież nie zaproszę faceta, spokojnie. Poproszę Carmen – nie znasz jej. Nie mogę się doczekać, uwielbiam Hakone. Nie masz pojęcia, jak bardzo tego potrzebuję. Grałeś wczoraj w golfa?

– Nie, nie grałem. Tak się cieszę. Nienawidzę tego. A jak twoja praca? Wiem, że w klubie wszystko okej, ale co z tobą? Martwię się o ciebie. Jesteś złą hostessą.

– Słucham? – z udawanym przerażeniem nabrałam powietrza. Shin przewrócił oczami.

– Nie, nie w sensie zła, że zła! Dla mnie jesteś dobra, ale nigdy nie dzwonisz, nie mówisz: „Proszę, przyjdź”. Nigdy wcześniej nie spotkałem tak złej hostessy. Martwię się o ciebie. Potrzebujesz punkty? Masz wystarczająco dużo?

Poruszyła mnie troska Shina o moją sytuację zawodową, ale i tak nie uwierzyłby mi, gdybym mu opowiedziała o tych wszystkich Yoshich, Norich, Taizach i Mizu-tanich, którzy w tygodniu zapewniają mi stały dopływ punktów.

– Nie martw się, Shin, wszystko gra.

\*

– Wyznam ci coś – wyszeptał klient. – W Osace pewien mój znajomy wręczył mi kartkę z numerem telefonu. Powiedział, że jeśli mu ufam, powinienem zadzwonić pod ten tokijski numer. Oczywiście miałem do niego zaufanie, bo to był mój bardzo dobry znajomy, więc kiedy wróciłem do Tokio, zadzwoniłem. Odebrał mężczyzna, który powiedział: „Pan Aoki?” – to ja – a potem: „Czy byłby pan zainteresowany bardzo piękną, bardzo miłą Australijką?”. Odparłem, że owszem. A on zapytał: „Czy chciałby pan się z nią umówić?”. Odpowiedziałem, że tak. Oświadczył, że w poniedziałek – tak, chyba w poniedziałek – mniej więcej o trzeciej mam się stawić w hotelu ANA w pokoju o numerze takim to a takim. Zapukałem do drzwi dokładnie o trzeciej. W środku była ona. Spędziliśmy razem dwie godziny, po czym zapłaciłem jej, ale kiedy wychodziłem, wpadł mi w oko jej notatnik, który leżał przy telefonie. I w tym notatniku było napisane nie tylko moje nazwisko, ale też nazwiska mnóstwa innych mężczyzn. Zapytałem ją: „Co porabiasz w Tokio”, a wtedy ona opowiedziała mi o wszystkim.

Pojechała na wakacje do Stanów. Postanowiła, że podczas drogi powrotnej do Australii zrobi sobie krótki przystanek w Tokio. Pewnego wieczoru zawędrowała do Roppongi i spotkała miłego Japończyka, który zapytał ją, co też porabia w Tokio. Zwierzyła mu się, że wydała wszystkie pieniądze w Stanach i jest splukana. Na co on powiedział: „Jeżeli mi ufasz, mogę sprawić, że bardzo szybko i w bardzo przyjemny sposób zarobisz tutaj, w Tokio, niezłą forszę”. Chcąc ją przekonać, zaoferował, że opłaci jej tygodniowy pobyt w hotelu ANA w Tokio. Ona będzie siedziała w swoim pokoju, a on zorganizuje to tak, że każdego dnia będzie ją odwiedzało czterech mężczyzn. Czterech bardzo bogatych, bardzo miłych Japończyków. Obiecał jej, że zarobi milion jenów w tydzień.

Powiedziała mi, że w Sydney nigdy by tego nie zrobiła, ale tutaj? Kto się dowie? Początkowo myślała, że czterech mężczyzn dziennie to za dużo, ale już pierwszego dnia przekonała się, dlaczego ów Japończyk twierdził, że to łatwa praca – dlatego, że Japończycy szybko kończą – roześmiał się klient.

– Ile jej zapłaciłeś? – zapytałam.

– To było dawno temu, minęło pewnie z szesnaście lat. Nie pamiętam, 50 000 jenów albo 500 dolarów. Japończyk zabrał jedną trzecią, dla niej została reszta. Nie wiem, czy coś takiego było w Tokio na porządku dziennym, ale ja nie czułem się z tym dobrze. Jestem prezesem firmy,

więc nie mogę po prostu pojechać do love-hotelu. Wiele osób mnie zna, zatrudniam mnóstwo pracowników. Ale ten gość miał dobry pomysł. Nawet jeżeli ktoś zobaczyłby mnie w windzie w hotelu ANA, mogłem powiedzieć, że jechałem na konferencję.

Mogę ci opowiedzieć dużo takich historii o dziewczynach. Pod koniec lat osiemdziesiątych znałem wiele młodych, bogatych kobiet. Dorobiły się, bo każda miała swojego tatuśka. Faceci kupowali apartamenty na Żółtym Wybrzeżu dla swoich australijskich panienek!

Wasz klub jest bardzo porządny, bo można tu tylko rozmawiać, ale hostessy wyznają mi swoje tajemnice. Jest taka jedna hostessa. Pracuje w podobnym klubie jak ten, ale jednocześnie, w ciągu dnia, pracuje w klubie sado-maso. Lubi swoją pracę. Dzięki niej pozbywa się napięcia związanego z trudnymi nocnymi klientami. W tym klubie może bić, chłostać i kopać Japończyków! Jednym z nich jest prezes pewnej bardzo ważnej firmy. Przychodzi rano do mojej znajomej i przynosi ze sobą – jak to się nazywa? – no, taki rondel. I ona musi zrobić kupę do tego rondla. On go potem zabiera i płaci jej 30 000 jenów. Początkowo miała obiekcje, ale w końcu 30 000 to konkretna suma. Powiedziała mi niedawno, że nie jest pewna, ale wydaje jej się, że on to potem zjada.

Cóż, przynajmniej facet dostaje coś, co jest warte jego pieniędzy. Przy wyjściu pan Aoki zapłacił niemal identyczną sumę, ale wrócił do domu z pustymi rękami.

Nic mnie już nie zszokuje.



## Każdy cię potrzebuje



Tego wieczoru Nori nie tylko nieprzyzwoicie się wystafirował, ale z równym zapałem przystąpił do natarcia w kampanii pod sztandarem „Chelsea tylko dla mnie”. Im bardziej unikałam tematu, w tym większym żalu się pograżał.

– Myślę, że dla ciebie jestem tylko klientem, ale... zależy mi na tobie. Dla mnie to na poważnie. Pragnę cię. Jestem samotny. Ale myślę, że nie wrócisz do Japonii.

– Daj spokój, Ito, dlaczego tak mówisz? Przeszedłeś po to, żeby mnie rozzłościć? To podłe z twojej strony, że wkładasz mi w usta słowa, których nie powiedziałam.

Tak zaczęła się kłótnia, którą słyszał nawet Soh, wycierając za barem popielniczki. Kiedy zaczął walkę z cieniem, to znaczy z butelkami pełnymi alkoholu, skinęłam głową i pozwoliłam sobie na kilka ciosów lewą ręką w powietrze, podczas gdy Nori wiercił wzrokiem dziurę w podłodze. Chwilę później przyszedł Tehara i zajął kelnera rozmową. Siedziałam z założonymi rękoma i obserwowałam, jak Nori coraz bardziej się nakręcał.

– On jest dla mnie kłamcą. Jestem dla nich ważnym klientem, wiem. Oni chcą tylko moich pieniędzy, więc kłamią.

– Dlaczego mieliby kłamać? Słuchaj, kto się tym przejmuje? Jesteśmy przyjaciółmi, zgadza się?

– Chcę ci wierzyć, ale myślę, że jestem tylko klientem. Jeśli jestem, poddam się i pójdę gdzie indziej. Może jesteś dla mnie niemożliwym marzeniem. Nie chcę żyć niemożliwym marzeniem, ale musisz coś powie-

dzieć, żeby mnie zatrzymać przy sobie. Może jestem dla ciebie tylko dobrym klientem – mamrotał. Nie reagowałam.

Być może wyczuwając niezadowolenie swojego długoletniego klienta, Nishi szybko przyprowadził do nas Nicole i Nori nagle odzyskał wigor. Przynajmniej teraz, w towarzystwie drugiej dziewczyny, nie musiałam czuć się winna z powodu jego dojmującego smutku, ale mimo to wychylałam jedną szklaneczkę baileysa za drugą, dopóki Nori w końcu nie wyszedł. Nie mogłam nic na to poradzić. Nie byłam już w stanie funkcjonować na trzeźwo w obecności Noriego Ito. Musiałam być pijana, aby go znieść.

Pod koniec dnia – znaczy: nocy – pracy, kiedy stałam w kolejce do garderoby, Nishi usiadł przy stoliku szefostwa i – „ehem” – odchrząknął.

– Pani Chelsea, czy masz problem? – zapytał.

– Nie, żadnego problemu – uśmiechnęłam się w odpowiedzi.

– W tym miesiącu wygasa twoja wiza – mówił powoli. – Ploszę, przedłuż ją o trzy miesiące. Jesteś Kanadyjką, więc możesz. Ploszę, zapytaj Jodie. Ona wie jak. Potrzebuję cię. Spółka. Jeśli zostaniesz w grudzień, mogę zapłacić ci bonus. 30 000 jenów.

– Przykro mi, Nishi, ale nie mogę. Obiecałam już, że na święta przyjadę do domu.

– Wiem, ale potrzebuję cię. Ploszę, zrozum, kim jesteś. Jesteś młodą dziewczyną, nie rozumiesz. Kim jest Chelsea? Musisz zrozumieć. Ty i ja nie to samo. Jesteś inna ode mnie, od dziewczyn, od klientów. Wszystko nie to samo. Obserwuję Chelsea. Pierwszy raz spotkałem Chelsea, wiem. Nie taka sama. Mae bardzo się stara, klienci przychodzą, przychodzą. W zeszłym miesiącu czternaście *dohan*. Widzę, że Chelsea nie stara się o *dohan*, ale tyle próśb, żeby zobaczyć cię w klubie. Mae tutaj – pokazał wysoko ponad nami, a potem zanurkował daleko w dół. – Chelsea tutaj. Ploszę, niech tak samo. Ploszę, pomyśl. Potrzebuję cię.

Powiedziałam mu, że pomyślę o tym.

Zastanawiałam się, dlaczego nie opowiedziałam mu po prostu: „Nie”. Miałam nadzieję, że po wyjeździe z Japonii powrócę do normalnego życia, do życia z Mattem. Prawdopodobieństwo, że przedłużę wizę – nawet gdyby nie kolidowało to z wyjazdem do domu na święta – było naprawdę małe. Nie chciałam być nieuczciwa. Łatwiej przyszło mi udawać, że przynajmniej rozważałam taką ewentualność, niż z miejsca odmówić. Co ciekawe, tak właśnie zachowują się Japończycy. Nie mogłam nie za-



śmiać się sama z siebie. Być może przesiąknęłam już tą kulturą bardziej, niż sądziłam.

Po drodze do domu wstąpiłam do kafejki, żeby sprawdzić mejle. W skrzynce znalazłam wiadomości od Kojiego:

Cześć, Chelsea. Oto dane twojego lotu:

11 Stycz Air Canada 560 Vancouver (0850) – Londyn (1106)

17 Stycz Air Canada 561 Londyn (0830) – Vancouver (1043)

Przyjadę po ciebie na lotnisko. Prześlę ci bilet na numer twojej skrzynki pocztowej, okej?

Pozdrawiam, Koji

Ups. Może jednak nie powinnam była przyjmować od niego zaproszenia. Zrobiłam to tylko po to, żeby przekonać się, czy Koji naprawdę wyśle mi bilet.



## Krótką rozmowa



W niedzielę wieczorem spacerowaliśmy sobie z Mattem hałaśliwymi uliczkami Shibui, kiedy nagle zadzwonił mój telefon.

– Nori? – zapytał Matt.

– Nie, to Yoshi – odparłam. – Chyba...

Nie dzwonił od ponad tygodnia, ale od razu wiedziałam, że to on.

– Cześć! Chelsea! – wrzasnął Yoshi do słuchawki. – Słyszysz mnie? Mówi Yoshi. Co teraz robisz? – Powiedziałam mu, że jestem w Shibui. – W Shibui? Co robisz? Imprezujesz?

– Nie, nie imprezuję. Jestem na zakupach.

– Sama, *ma chérie*? Bez towarzysza?

– Owszem, sama. Dasz wiarę? Wydaję własne pieniądze. Niesamowite, co? – Słyszałam w tle śmiech Matta.

– Aha. Dlaczego do mnie nie dzwoniłaś? – nadął się Yoshi.

– Nie jesteś moim tatuśkiem, a poza tym sam powiedziałeś, że będziesz zajęty do dziesiątego i nie zobaczymy się przez ten twój ważny projekt...

– No tak, ale dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie przez cały dzień? Nudzę się jak skurwysyn.

– Hel-ło! Pojechałam do Kamakury ze znajomym, Shinem. Dlaczego to ty do mnie nie zadzwoniłaś?

– Ach, okej. Kamakura to przyjemne miejsce. No, to co robisz w najbliższy weekend? Masz ochotę wyskoczyć na Węgry?

– Że co? Chcesz jechać na Węgry? Odbiło ci?

– Nie, poważnie. Masz chęć gdzieś się wybrać? Tęskniłem, *ma chérie*.

– Jasne, ale nie na Węgry.  
– Serio? Jesteś pewna? Obyś była pewna – zagroził Yoshi żartobliwie. Zastanowiłam się chwilę nad propozycją.

– Tak, jestem pewna.

– Okej, to ja pomyślę, dokąd by tu się wybrać. Może na Guam? Piękne plaże. W każdym razie zobaczymy się jakoś w tym tygodniu. *Hai-bye* – i po rozmowie.

Super. Nie mogłam uwierzyć, jak łatwo mi przyszło ponownie go zaakceptować. Już myślałam, że końcówka mojego pobytu w Japonii upłynie we względnym spokoju, a tu proszę – fale znowu zaczęły się burzyć. Boże, miej mnie w swojej opiece.



## Temat: weź głęboki oddech...



We wtorek wieczorem, zanim poszłam do pracy, przeczytałam pierwsze dwie linijki mejla od mojej mamy: „Cześć Mała, tata właśnie zużył kolejne życie... ale nic mu nie będzie”, i nagle zakłuło mnie w piersi, a przed oczami pojawił się pulsujący neon: KURWA. Nie potrafiłam zmusić się, żeby spojrzeć na ekran komputera. Obok mnie siedziała Nicole.

– Co jest, Chelsea? – dopytywała się. – Co się stało?

Zaczęłam płakać, więc zaoferowała się, że przeczyta mi na głos resztę wiadomości:

Zjeżdżał właśnie z górki, wiesz, tej na wschód od naszego domu, kiedy zobaczył, że przez drogę przebiega jeleni. A potem drugi jeleni wyskoczył na jezdnię i uderzył w pług. Tata stracił panowanie nad kierownicą i wpadł w poślizg. Po przeciwległym pasie jechała osiemnastokółowa ciężarówka. Tata mówi, że wszystko wydarzyło się tak szybko. Już myślał, że to koniec, zwłaszcza że utknął w kabinie do góry nogami... W szpitalu ciągle powtarzał, że cieszy się, że wyszedł z tego cało...

Słodki Jezu. Mój tata wiecznie ociera się o śmierć. Pewnego razu wciągnęło mu rękaw koszuli w maszynę w tartaku i pociągnęło aż do samego końca taśmy. Całą wieczność machał i wołał o pomoc, zanim w końcu ktoś go dostrzegł i uwolnił. Innym razem podczas wyrębu lasu przygniotło go ogromne drzewo. Kiedyś znowu napadł go, bez wyraźnej przyczyny, jakiś burak ze wsi. Tym razem miał tylko uszkodzenia klatki piersiowej. Podawano mu tlen, ponieważ z trudem oddychał, ale na szczęście z sercem

wszystko było w porządku. Miał strzaskane żebra i podejrzewano złamania. A do tego poobijane mięśnie, przez które do krwi dostał się enzym, mogący uszkodzić nerki, o ile tata nie będzie przyjmował odpowiedniej ilości płynów.

Która to godzina w Kanadzie? W Tokio mieliśmy szesnaście godzin do przodu. O tej porze mama pewnie już spała. Nie chciałam jej budzić, bo i tak później by nie odpoczęła. Lepiej było zadzwonić rano. Próbowalam połączyć się z Mattem, ale nie odbierał telefonu. Czułam się bezsilna, bałam się i nie wiedziałam, co robić. I dlatego poszłam do pracy.

– Słuchaj, Chelsea, z twoim tatą wszystko okej, prawda? Jest w szpitalu, ale nic mu nie będzie – pocieszała mnie Nicole. – Zadzwońisz do nich później, kiedy już wstaną. Ale jeżeli nie przyjdiesz do pracy, Nishi wlepi ci sto dolców kary. Wiem, że to do dupy rozwiązanie, ale weź się w garść, kochana. Wszystko będzie okej. No, chodź.

Nie pamiętam niczego z tamtej nocy w Greengrass.

Z tatą wszystko w porządku – tak brzmiała moja pierwsza świadoma myśl tuż po obudzeniu. Było późne popołudnie. Rano tego samego dnia rozmawiałam z siostrą. Mama pojechała do taty do szpitala, żeby zawieźć mu big maca i shake'a. Tacie ponoć morfina uderzyła do głowy, bo zaczął pielęgniarki tymi swoimi żarcikami i generalnie wychodził z niego łobuziak. Dobrze, że przynajmniej znalazł zabawną stronę całej tej sytuacji. Następnego dnia miał zostać wypisany. Co za ulga, że przynajmniej moje życie nie rozpadło się na kawałki.

Plusem było chyba to, że nie musiałam przerywać pracy i wyjeżdżać wcześniej z Japonii, ale minusem fakt, że miałam teraz każdego dnia do końca pobytu zastanawiać się, czy powinnam była wyjechać, czy też nie. Czy warto było tu tkwić? – oto pytanie, które zaczęłam sobie zadawać wyjątkowo często.

Zwlekłam się z łóżka. Niedługo potem wstał Matt, obudzony się z wyczerpującego snu, w którym śmigał na desce surfingowej. Poszliśmy razem do Roppongi. Matt „podpisał listę” w pracy, po czym razem pojechaliśmy metrem do Shibuya zjeść nasze ulubione pulpety łososiowe i poprzyglądać się przechodniom.

Wypatrzyłam fajne ciuchy w domu towarowym Shibuya 109, co Matt skwitował krótkim: „To sobie kup”. Dziwnie się poczułam, sama coś

sobie kupując. Niecodzienne wrażenie. Coś mi nie grało. Ale kiedy wręczałam kasjerce gotówkę, w tle zabrzęczała japońska piosenka pop z refrenem po angielsku: „Kocham faceta dwa razy starszego niż ja”. Chwytliwa fraza. Podśpiewywałam ją sobie, kiedy jechaliśmy windą.

Matt zrobił gniewną minę i powiedział:

– Wcale, że nie.

– Fakt, on jest ode mnie ponad dwa razy starszy – zażartowałam, a Matt zanucił: „Kocham faceta dwa razy starszego niż ja, ten gość czarnego ameksa i AIDS pewnie ma...”.

Zaczęłam się śmiać. I śmiałam się na całego, dopóki Matt nie kazał mi wypluć gumy do żucia, bo wyglądałam z nią jak niedorozwój. Co to niby miało znaczyć?

Wiedziałam, że Matt nie lubi Yoshiego, ale przecież zawsze wyrażałam się o nim w identyczny sposób, jak o pozostałych klientach. Nigdy nie wyjawiałam przed Mattem moich prawdziwych uczuć i wątpliwości. Zresztą wstydziłabym się z nim o tym rozmawiać, ponieważ zasadniczo postrzegałam moje odczucia jedynie jako produkt uboczny chorego środowiska, w którym się obracałam. To były wypaczone uczucia, które miną – tłumaczyłam sobie. Potrzebowałam Matta, jego miłości i wsparcia, jego zaufania. I nawet jeśli podejrzewał, że kotłowały się we mnie uczucia, to mimo wszystko niezawodnie stał u mego boku. Słuchał, przygotowywał śniadania, prowadził mnie pod prysznic.

Wypiwszy frappuccino w Starbucksie, wróciliśmy linią Hanzomon do Roppongi, przesiedliśmy się na Aoyama-itcho, daliśmy sobie buziaka na do widzenia i poszliśmy do pracy, każde w swoją stronę.

– Cześć, Jodie – powiedziałam, siadając przy stoliku szefostwa i odganiając machnięciem ręki papierosowy dym sprzed nosa. – Mówiłam ci, że jadę w styczniu do Oksfordu?

– Tak? A po kiego diabła jedziesz do tego Oksfordu?

– Nie mówiłam ci? Przysłał mi bilet. Wczoraj dotarł na adres moich rodziców.

– Chyba nie z Kojim – podkreśliła ostatnie słowo. – Prawda?

– No, z nim.

– Ani mi się, kurwa, waż jechać.

Od razu instynktownie wiedziałam, dlaczego to powiedziała.

– A co? To ON jest tym gościem od gogli do nurkowania?

– Nom – odparła Jodie i raz jeszcze opowiedziała mi całą historię: o jej znajomej, która pojechała z japońskim klientem na Hawaje, o łączonych pokojach, o masturbującym się facecie w płetwach i goglach, o tym, jak próbował przekonać ochroniarzy, że to ona go zaatakowała. Tylko tym razem zwróciłam uwagę, że opowiadając, Jodie mrugała nerwowo oczami, i już wiedziałam, że mówiła o tym samym facecie, o którym ja myślałam. Koji Osara. Nawet przesłał jej tę samą historię swojego życia w formie pliku Worda. A więc to dlatego każdego wieczoru Koji z takim zapalem szkalował Jodie. Miał powód.

Pod koniec opowieści westchnęłam głęboko i powiedziałam:

– No, cóż, to chyba jednak nie pojedę do Oksfordu.



## Mizu-tani Maniak



W drodze do pracy nerwowo wybrałam numer Yoshiego.

– Halo? – odebrał.

– CZEŚĆ. JAK SIĘ MASZ? – musiałam krzyczeć, żeby przebić się przez jazgot ruchu ulicznego.

– Całkiem dobrze, *ma chérie*. A ty?

– OKROPNIE.

– Dlaczego? Co się stało?

– Y... ZAPLANOWAŁEŚ COŚ NA TEN WEEKEND?

– Co mówisz? Powtórz.

– NIE ZAPLANOWAŁEŚ DLA NAS ŻADNEJ WYCIECZKI NA TEN WEEKEND, PRAWDA? PAMIĘTASZ, JAK ZADZWONIŁEŚ DO MNIE, KIEDY BYŁAM W SHIBUI, I POWIEDZIAŁEŚ, ŻE WYMYŚLISZ DLA NAS JAKIEŚ ZAJĘCIE NA WEEKEND?

– A co?

Opowiedziałam Yoshiemu o wypadku taty. O zamartwianiu się, o wątpliwościach, czy powinnam zostać, czy pojechać. Tak jak przypuszczałam, Yoshi okazał się dżentelmenem i bardzo mi współczuł.

– Łał, okej. Słuchaj, idziesz teraz do pracy? Okej, jutro w ciągu dnia do ciebie zadzwonię. Dzięki za telefon. Nie martw się, proszę, dobrze?

Nie, nie zamierzałam się martwić. Tata już wstał z łóżka, a poza tym niedługo miałam się z nim zobaczyć. Ale wcale nie to mnie pocieszało – pocieszało mnie to, że podjęłam decyzję (na długo, zanim tata wpadł do rowu), że nie spędzę z Yoshim kolejnego weekendu.

Zdaniem Nicole nie powinnam była jednak z niego zrezygnować.



– Chelsea, spędzanie czasu z Yoshim to dla ciebie wielka szansa! Matt ci ufa, a Yoshi szanuje. Możesz mu zaufać. Po prostu baw się dobrze, póki jesteś w Japonii.

Ale Nicole nie rozumiała, że w tym momencie zgoda na cokolwiek w związku z Yoshim oznaczałaby coś więcej niż zabawę. Dotarłam do punktu, w którym nie mogłam już dłużej go okłamywać, ale nie mogłam też wyjawić mu prawdy. Spotkanie się z nim tak po prostu, dla miłego spędzenia czasu, nie wchodziło już w rachubę. Nie chciałam jechać na Guam, na Węgry ani na wysepkę, i zamierzałam wykręcić się z weekendowej wycieczki. Nie wiedziałam, jak to zrobić, dopóki wypadek taty nie okazał się, paradoksalnie, doskonałą wymówką.

Przynajmniej nie musiałam niczego wyjaśniać – że owszem, zależało mi na nim, ale niestety nie byłam osobą, za którą mnie miał. Że nie chciałam tak żyć. I że wolałam nie „brudzić sobie noska”.

Mizu-tani skupił na mnie spojrzenie przypominające wiązkę lasera. Siedział po drugiej stronie sali, rozmawiając z *mama-san* i gestykulując przy tym żywo swoimi niepozornymi rączkami. Kiedy przeniesiono mnie w końcu do jego stolika, zsunął się z kanapy jak zegar z obrazu Dalego, tak że jego głowa utworzyła z tułowiem kąt prosty, a dopiero potem ułożył się w pozycji, która z grubsza przypominała normalną.

– Jest na ciebie duży popyt tutaj. Jestem taki nieśmiały, zwłaszcza z tobą. Jestem bardzo zasadniczy. Znamy mnie tutaj. Nigdy nie proszę o dziewczyny. Tylko o ciebie. Przychodzę tutaj zobaczyć się tylko z tobą.

Zaśmiałam się beztrąsko i powiedziałam:

– Nie uważam, żebyś był nieśmiały, Mizu-tani.

– NO TO JESTEŚ KŁAMCZUCHĄ! – wrzasnął, prostując plecy z wściekłością, która minęła równie nagle, jak się pojawiła. – Przepraszam. Proszę, wybac mi. Jesteś dla mnie zbyt miła, żebym krzyczał. Obiecałem znajomemu, że pójdę do innego klubu, więc mogę zostać tylko godzinę. Normalnie nie chodzę do klubu tylko na godzinę, ale nie mogę cię zapomnieć. – Mizu-tani przysunął swój nos blisko mojego nosa. – Bo jesteś taka miła i dlatego przychodzę.

Dwie godziny później musiałam przypomnieć Mizu-taniemu, że ciągle był w Greengrass, a znajomy czekał...

– Och nie! – zawył. – Muszę pilnie do niego zadzwonić... – I wysko-

czył na korytarz, by kilka chwil później wrócić biegiem i opaść na kanapę obok mnie niczym porzucona marionetka. – Odwołałem! – wydyszał. – Dlaczego? Bo nie mogę cię zostawić. Chelsea, proszę, uwierz mi. Lubię cię! Nie lubisz mnie? Nieważne. Brzydzisz się mną? Nieważne. Ale ja myślę tylko o tobie. Moja *strike zone* jest taka wąska i taka mała, ale ty zawsze trafiasz.

– Trzy trafienia i wypadasz? – zaśmiałam się.

– Dokładnie. Dlatego muszę dla ciebie zaśpiewać – stwierdził i w jednej chwili stanął na kanapie i wydobył z płuc tubalną, włoską pieśń miłosną. Zgotowałam mu owację na stojąco.

– Cokolwiek zrobię, gdziekolwiek pójdę, moje serce będzie zawsze należało do ciebie. Dlaczego jesteś taka miła? Na twoje piękno brakuje mi słów. Zapominam słowa, kiedy chcę cię opisać. Jak mogę wyrazić się po angielsku, kiedy mam tak mało słownictwa? To niemożliwe. Jestem zdumiony. Wierysz mi? Zabiję cię. Nie lubię przeciętnych. Twoje piękno jest wysoko, o tutaj, właśnie tu się unosisz, a ja pływam na dole w ścieku. Dlaczego nie mogę cię dotknąć moimi złamanymi skrzydłami? Dlaczego muszę płacić tyle pieniędzy, żeby obejrzeć twoją twarz? Mój księgowy mówi, żebym nie korzystał z kart kredytowych, ale jak mogę przestać cię odwiedzać?

– To nie będzie takie znów trudne. Wyjeżdżam dwudziestego ósmego.

– Tak prędko – zakrztusił się. – Co ja zrobię? Będę płakać.

Mizu-tani podświetlił sobie twarz moją zapalniczką, żebyśmy mogła zobaczyć jego wyimaginowane łyzy, a potem przeprosił i poszedł do toalety. Wrócił po dziesięciu sekundach.

– Chodzę ułożyć włosy. Tu, na górze i tam, na dole. Okej, możesz mnie ignorować, żaden problem. Kiedy wracasz? W styczniu? Jeżeli tak, to długa nieobecność. Moje serce będzie złamane. Proszę, zrób krócej. Potem pojedziemy do Tajlandii, w lutym. Okej? Załatwię dla ciebie klasa ekonomiczna, a dla mnie biznesowa. Ha! Tylko żart.

Mizu-tani wyszedł o wpół do trzeciej nad ranem. Jakiś transseksualista z klubu po drugiej stronie korytarza wepchnął go do windy. A ja stałam z boku i machałam na pożegnanie.



## Wściekły Nori



Wtorkowy wieczór w Greengrass: psychol Nori zostawił dla mnie trzy wiadomości. Pierwsza: „O, cześć. Jak się masz? Y... dzwonię, żeby powiedzieć «cześć» i y... chcę się z tobą zobaczyć. E... tak, zadzwonię do ciebie. Cześć... Zadzwoń do mnie, proszę”. Piiiiii. Druga: „Cześć, mówi Nori. Dzwoniłem, żeby powiedzieć «cześć» i y... okej, zadzwonię później. Cześć”. Piiiiii. Trzecia: „Cześć, Chelsea, y... dzwonię, żeby powiedzieć «cześć» i chcę dowiedzieć się, jak się masz i y... zadzwonię później. Cześć”. Piiiiii.

Wykasowałam wszystkie trzy. Dobrze wiedział, że byłam w pracy.

Środowy wieczór w Greengrass: psychol Nori siedział sam w kącie i dąsał się na cały świat, kiedy zjawiłam się w klubie. Usiadłam obok niego i sztywno podałam mu dłoń.

– Jak się masz?

– Zostawiłem ci wiadomości – odpowiedział, nie patrząc mi w oczy.

– Dzwoniłeś akurat wtedy, gdy pracowałam, o czym wiedziałeś.

Wiesz, że w pracy nie mogę odbierać telefonów.

– Mówiłem, żebyś do mnie zadzwoniła – naburmuszył się jeszcze bardziej.

– Miałam inne rzeczy na głowie. Nie zignorowałam cię, po prostu mój ojciec miał wypadek. Sądziłam, że powinnam do niego pojechać. Nie wiedziałam, czy wszystko z nim w porządku. Jestem zestresowana, prawie nie śpiam, martwię się, a mimo to muszę przychodzić do pracy.

Przykro mi, ale to są dla mnie teraz o wiele ważniejsze sprawy. Okej? Rozumiesz to?

Nori wyglądał na totalnie zaskoczonego.

– Okej, teraz już rozumiem. Martwiłem się i nie wiedziałem, co myśleć. Myślałem o tym, że do mnie nie dzwoniś i zastanawiałem się dlaczego – wyznał, ale gdy kilka minut później dołączyła do nas Candy, nowa australijska hostessa, która mieszkała w Japonii i bez trudu posługiwała się japońskim, Nori znów się nadał i spoglądał na mnie spode łba.

– No co? – warknęłam. Nie było sensu ukrywać złości. Z ulgą wycze kiwałam wyjazdu i nie musiałam już niczego udawać.

– Nic – wyduł wargi. Z twarzy Candy dało się wyczytać niepokój.

– Wszystko w porządku? *Genki?*

– Nie, wszystko nie jest w porządku. Ito jest zły, bo kiedy zadzwonił do mnie w zeszłym tygodniu – choć wiedział, że nie mogłam odebrać telefonu – nie oddzwoniłam do niego, ponieważ mój tata prawie stracił życie, a ja z jakiegoś niewyjaśnionego powodu nie pomyślałam o Norim Ito, kliencie z Greengrass, który właśnie teraz się wścieka.

Szczęka Noriego opadła, a oczy wyszły mu na wierzch. Czy to możliwe, że właśnie powiedziałam coś tak okrutnie bezpośredniego? A jak!

– No, tak wygląda prawda – upierałam się. Candy dostała zeza, kiedy Nori zaczął odpierać moje zarzuty po japońsku. Próbował naprostować moją wersję wydarzeń, a kiedy Candy tłumaczyła mi jego słowa na angielski, słuchał uważnie, sprawiając wrażenie, jakby wszystko dopiero do niego docierało.

– Okej – westchnął. – Rozumiem cię teraz, ale myślę, że powinnaś wrócić do Japonii i zrobić coś ze mną!

Niewiarygodne. Zignorowałam go i poprosiłam Candy o książkę do karaoke. Musiałam coś zaśpiewać. Kiedy już poprzez piosenkę dałam upust frustracji, cały klub bił mi brawo – mój stary kumpel Goro niepotrzebnie przeciągnął owację. Uśmiechnęłam się i pomachałam do niego.

– Teraz mi lepiej. Wybierzmy jeszcze jedną.

Nori wbił we mnie wzrok.

– Wcześniej mówiłaś, że nie lubisz śpiewać smutnych piosenek.

– No tak, ale moja sytuacja się zmieniła.

– Może się czegoś napijesz? – zasugerował. – Baileys?

- Nie chcę. Nie piję – zbeształam go lodowatym tonem.
- Tak, ale wcześniej piłaś... czasami.
- Owszem, zgadza się, ale przytyłam, więc postanowiłam przestać pić.

Nie piłam od dwóch tygodni. Ale skąd miałbyś to wiedzieć, prawda, skoro prawie wcale tu nie zaglądasz.

- Tak – odparł słabo. – Wcześniej wypijałaś kilka drinków.
- Ale teraz nie piję. O, teraz moja kolej, mogę prosić o mikrofon?

Wkrótce zaczęłam dawać Teharze rozpaczliwe sygnały, żeby prze-  
niósł mnie do innego stolika. Chwilę później słuchałam już, jak Goro  
opisywał ferrari, które właśnie zamówił. W pewnym momencie pojawił  
się Tehara: Nori właśnie wychodził i czy mogłabym razem z Candy od-  
prowadzić go do drzwi? Nie, nie mogłabym. Za chwilę miała być moja  
piosenka, więc pozwoliłam, żeby Nori wyszedł bez pożegnania. Nawet  
nie pofatygowałam się, żeby spojrzeć w jego stronę.

Po drodze do łazienki wpadłam na Carmen.

– Chelsea, martwię się o tego gościa, Goro. Zaprosił mnie na sushi,  
ale ciągle zadaje mi osobiste pytania, wiesz: „Czy traktujesz mnie po-  
ważnie? Ja ciebie tak”. Chce zostać moim chłopakiem...

– Ha! Wcale nie chce. Powtarza to samo wszystkim dziewczynom. Po  
prostu odgrywa swoją rolę. On jest nieszkodliwy. Pójdź gdzieś z nim  
i jego kumplem, najedz się do syta, a potem oni pozwolą ci pójść do  
domu. Z tym Goro nie ma żadnych kłopotów. Możliwe, że zabierze cię  
na zakupy albo na koncert, jeśli się postarasz, ale spiesz się, bo u niego  
nic nie trwa długo.

Przed końcem nocy Nishi posadził mnie przy stoliku Taiza i jego szefa,  
Misakiego. W pewnym momencie Misaki wylał zimną shochu tak, że cała  
popłynęła po stole i ochlapała mi nogę. Wszyscy spodziewali się, że rzucę  
się do sprzątania, ale ja tylko westchnęłam i najpierw doprowadziłam się  
do porządku. Miałam już dość usługiwania niezdarnym klientom.

Wkrótce potem dołączyła do nas Abie. Misaki zapytał ją, skąd przy-  
jechała.

- Z Izraela – odparła.

Misaki w ułamku sekundy doskoczył do niej lotem nurkowym, otwo-  
rzył szeroko poły swojej marynarki, zaledwie kilka centymetrów od jej  
twarzy, i krzyknął: „BUM!”.

Ulubioną „sztuczką” Misakiego była zabawa w zamachowca samobójcę i wysadzanie izraelskich hostess. Owszem, było to nieodpowiednie zachowanie w każdej sytuacji, ale dziś Misaki wydawał się wyjątkowo zadowolony z nadarzającej się okazji.

– Powinnaś się cieszyć – rzucił żarcik. – Dziś w Paryżu umarł Arafat.



## Lekarstwo na gripę



Dzisiaj w Starbucksie pojawiły się bożonarodzeniowe kubki. W północno-zachodniej części Pacyfiku powstał kolejny tajfun. Koji zadzwonił do mnie z Londynu: przekaż pozdrowienia dla pana Nishi. Na śniadanie pochłonięłam półlitrowe opakowanie lodów Häagen-Dazs.

Oto informacja, która przesuwała się na pasku mojego życia niczym wiadomości z ostatniej chwili na kanale BBC:

„A teraz przenosimy się do stolika, na którym widzimy jedynie szklaniczkę rozcieńczonej wodą szkockiej oraz paczkę papierosów – ślad obecności Yoshiego, który w tej chwili przebywa w łazience, «pudrując» sobie nos. Widzimy, jak młoda hostessa snuje się przy barze w oczekiwaniu na powrót Yoshiego. On klepie ją w tyłek, a ona nazywa go sukinsynem. Po chwili wymieniają pocałunki”.

Yoshi miał na sobie gruby golf. Chorował czwarty dzień, ale powiedział, że bym się o niego nie martwiła, bo mamusia zadbała i przynosi mu od trzech dni zupki.

- Co? Zdecyduj się – jesteś chory od czterech czy trzech dni?
- Nie wiem! Jestem zapracowany, nie dbam o siebie. Wiem. Tęskniłaś za mną?
- Oczywiście, że tak.
- Hm. A jak twój chłopak? Wiem. – Yoshi spiorunował mnie wzrokiem, a ja zeszytniałam. – Jak on się ma? He? Zabiję cię. Zabiję cię, kurwa – zaśmiał się, a ja się odprężyłam. Mam nadzieję, że nie było tego po mnie widać. – Czekam, *ma chérie*. Dlaczego w ogóle do mnie nie dzwonisz? Daj spokój. – Wyszedł na chwilę na korytarz, żeby wykonać

telefon, a podczas jego nieobecności Nishi, nie pytając nikogo o zgodę, dokooptował nam Carmen.

– O, cześć – wyszczerzył zęby Yoshi, wracając do stolika. – Skąd jesteś?

Kiedy Carmen odparła: „Me-hi-ko”, Yoshi odezwał się do niej płynnym hiszpańskim z doskonałym akcentem. Patrzyłam na niego ze szczęką przy samej ziemi.

– Nie mówiłeś, że znasz hiszpański.

– A co? Pewnie, że znam, miałem dziewczynę z Brazylii.

– Brazylijczycy mówią po portugalsku – sprostowałam, ale Carmen i Yoshi konferowali w najlepsze po hiszpańsku. – Przepraszam na chwilę – przerwałam im i pobiegłam do garderoby, żeby odzyskać panowanie nad sobą. Byłam zazdrosna! Co się ze mną działo? Dlaczego tak się tym przejęłam?

– Wiesz, hiszpański przypomina francuski – wyjaśnił Yoshi, gdy wróciłam do stolika. – Jakieś sześćdziesiąt procent słów brzmi albo wygląda tak samo. Na przykład „*station*” ma po prostu inną wymowę. *Stazione*. Jak Chelsea – ona jest moją stacją końcową. Lubię ją tak bardzo, ale ona mnie nie lubi. I co ja mogę? Do zobaczenia! *Je t’aime beaucoup, beaucoup, beaucoup\** – zagruchał mi do ucha. – *Fooris*.

– *Fooris*? Co to znaczy? – zapytałam, ale przyciągnął mnie do siebie bez słowa wyjaśnienia, a chwilę później zjawił się Tehara, żeby oddelegować mnie do stolika pana Fujimoto, który właśnie zawitał do klubu z kilkoma kolegami. Śpiewałam dopiero pierwszą piosenkę, kiedy podszedł do mnie Nishi i oznajmił, że Yoshi właśnie płaci rachunek.

– Ploszę, chodź.

– Hej, Yoshi... dlaczego już idziesz? Dopiero co przyszedłeś – zaprotestowałam. Właśnie podpisywał wydruk z karty.

– Daj spokój. Muszę wstać wcześniej rano. Muszę jechać do domu. Jestem zmęczony, ale to zależy od ciebie – uśmiechnął się ze znużeniem. – Mogę zadzwonić do sekretarki i wszystko odwołać. Chodźmy.

Yoshi przypomniał mi, że przed wyjazdem miałam przyjść jeszcze do niego na kolację. Że niby potrafił też gotować? Nie, nie, nie. Umiał co najwyżej zadzwonić po catering. Typowe. Chciałam powiedzieć mu, że nie wszystko da się kupić za pieniądze, ale sprawiał wrażenie nie-

---

\* Kocham cię bardzo, bardzo, bardzo (przyp. red.).



przystępnego. Drzwi windy zamknęły się za nim cicho. Zdążyłam jeszcze zobaczyć, jak pokazał mi, żebym do niego zadzwoniła. Nie tym razem...

Nishi polecił mi i Jessice, żebyśmy dosiadły się do Shina i potowarzyszyły mu przy szklaneczce soku pomarańczowego. Zdaniem Jodie, Shin uwielbiał Australijki – wysokie, zdrowe dziewczyny, które nie bały się odrobiny tłuszczu. Jessica mieszkała ze swoim australijskim chłopakiem w Shin-Okobo niedaleko Shinjuku. Zmieniła się i teraz podczas rozmowy z klientami zaczęła posługiwać się pseudonimem, a jej chłopak przepoczwarzył się w przyjaciółkę, która pracowała jako hostessa w One Eyed Jack.

– Cześć, Shin. Dzwoniłam dzisiaj do ciebie, ale było zajęte – powiedziałam, udając oskarżycielski ton.

– Ale nie miałem żadnych nieodebranych połączeń – stwierdził po prostu. – I żadnych wiadomości.

– No tak, bo pikało. Co oznacza pikanie?

– Nie wiem.

– Dobrze już, niech ci będzie. Powiedz nam coś o Shin-Okobo. Jessica właśnie zamieszkała tam z przyjaciółką i tak się zastanawialiśmy, jak tam jest.

Shin zmarszczył brwi.

– Shin-Okobo to złe miejsce do mieszkania. W Shinjuku działają: rosyjska mafia, japońska mafia, chińska mafia, koreańska mafia. W Okobo jest mnóstwo prostytutek. Ludzie chodzą tam, kiedy chcą je znaleźć, więc stanie w miejscu albo chodzenie w tę i we w tę po ulicy nie jest dobrym pomysłem. Ktoś może zapytać o cenę. Ktoś może źle zrozumieć, więc lepiej uważać.

Jessica zbladła, bo właśnie podpisała roczną umowę najmu.

– Masz vegemite? Mogę ci trochę przywieźć, kiedy za miesiąc pojedę odwiedzić moją znajomą w Melbourne. Ile potrzebujesz? Jedno opakowanie? Pięć? Dwadzieścia? Nie wiem. To będzie mój pierwszy raz, więc co do zjedzenia polecasz w Australii?

– Och, na pewno spróbuj czegoś z grilla – doradziła mu Jessica. – Czegokolwiek. I zawsze smaruj się kremem z filtrem, najlepiej trzydziestką, bo inaczej spieczesz się jak homar.

– Czy Chelsea opowiedziała ci już o żywej kałamarnicy? Pocałowała ją. Uwielbia ją!

– Pewnie! Zamierzamy się pobrać – zażartowałam.

– Kim jest Carmen, twoja przyjaciółka na wycieczkę do Hakone?

– Siedzi tam. To ta z długimi włosami – Shin zmrużył oczy, a Jessica odeszła na chwilę od stolika.

– Myślę, że Jessica nie będzie dobrą hostessą. – Shin zmarszczył brwi. – To nie w jej stylu, to nie jest zajęcie dla niej. Nic to. Chcesz, żeby podwieźć cię do domu? Jadę taksówką ze znajomym, o którym ci opowiadałem. Jego taksówką. Myślę, że może Jessica też powinna pojechać taksówką do Shin-Okobo.

Padało.

– Bezpiecznie? – zapytała szybko Jessica szeptem. Skinęłam głową, chowając się pod parasolem Shina.

– Nie, nie. Weźcie sobie parasol. Ja mam kaptur, dla mnie jest okej! – Shin spojrzał na mnie jak na wariatkę, a ja tylko pokazałam mu język i ruszyłam za nimi, skacząc po kałużach. Słyszałam, jak Shin wypytywał Jessicę o jej zainteresowania, czy lubi surfing – nie, woli narty wodne. A Shin? Co on lubi robić?

– GOLF! – wrzasnęłam za ich plecami. – Shin uwielbia golf!

– Och, naprawdę? Lubisz golf? – zapytała Jessica gorliwie. – To świetny sport.

Dawałam właśnie krok w kolejną kałużę, kiedy Shin odwrócił nagle głowę i zmierzył mnie gniewnym spojrzeniem.

– NIENAWIDZĘ GOLFA! – krzyknął i obydwójce wybuchnęliśmy śmiechem, a biedna Jessica zagubiła się między naszymi słowami.



## 1095 dni metamorfozy



Koji Osara ciągle siedział mi w głowie. Zadzwoił dzisiaj z Londynu, nieutulony w żalu, więc przez ponad godzinę musiałam go pocieszać, ponieważ, dziwnym zbiegiem okoliczności, jego psychiatra był akurat nieosiągalny. Trudno mi było sobie wyobrazić, co takiego musiał zrobić, że dwie szwedzkie hostessy, u których zatrzymał się z wizytą, wyrzuciły go z mieszkania. Powiedział, że oskarżyły go o rzeczy, których wcale nie zrobił.

– Te głupie, pierdolone plotki. Jak one się dowiedziały?

– Dowiedziały o czym? Jakie plotki, Koji? – Rzecz jasna słowem nie wspominałam, że wiedziałam, że to on był tym słynnym facetem w gościach. Kiepski moment.

– Czy myślisz, że jestem żalonym świrem uzależnionym od hostess? One tak powiedziały, że jestem jak głupi, pojebany dzieciak, zbyt tępy, żeby uwierzyć w to, co mówią hostessy. Powiedziały, że kobiety tylko udają, że mnie lubią, bo oczekują prezentów i pieniędzy. Powiedziały, że tylko faceci, którzy są żalonymi, pierdolonymi zbokami, muszą płacić panienkom, żeby udawały, że ich lubią.

Co pewien czas wypływał temat Kojiego. Jodie powiedziała mi, że całkiem niedawno odebrała od niego telefon utrzymany w podobnym tonie jak moja z nim rozmowa. Konferencja telefoniczna trwała dosłownie kilka godzin. Jodie była zaszokowana, kiedy powiedziałam jej, że podczas swojej ostatniej wizyty Koji przez większość wieczoru namiętnie ją krytykował.

A potem, po naprawdę długiej przerwie, wróciła do pracy w Green-

grass pewna blondynka o imieniu Betty. Pochodziła z Adelajdy, ale mieszkała w Tokio. Kiedy usłyszałam o „Betty z Adelajdy”, od razu nąsunęły mi się pewne skojarzenia.

– Aha, jesteś sekretarką Kojiego – rzuciłam.

– Koji Osara! NIE pracuję dla KOJIEGO Osary! Mój Boże, on ci tak powiedział? Pojebaniec. Nie widziałam go od ponad roku. – Jej głos ociekał nienawiścią.

– Czy to twój telefon? – zapytałam, pokazując jej kartkę, którą Koji wypisał dla mnie i Samicah kilka tygodni temu.

– Tak! O Boże. To mój numer, ale w życiu bym nie chciała pracować dla takiego porypańca jak Koji Osara. Kurwa, to niewiarygodne!

Po tych dwóch dziwnych zdarzeniach doszłam do wniosku, że lepiej będzie, jeśli poinformuję Kojiego, że jednak nie przyjadę do niego do Oksfordu. Wysłałam mu mejla:

Cześć, Koji.

Dostałam wiadomości od Ciebie. Przepraszam, że nie odebrałam telefonu. Tata powiedział, że przyszły bilety z biura podróży. Ale z przykrością muszę Cię powiadomić, że nie będę mogła przyjechać do Ciebie do Oksfordu w przyszłym miesiącu. Wiele się zmieniło i niestety nie mogę sobie pozwolić na podróż. Mam nadzieję, że możesz jeszcze zwrócić te bilety. Dziękuję Ci za propozycję, ale po prostu nie chcę jechać. Mam nadzieję, że jesteś w stanie to zrozumieć.

Nie będzie mnie w domu rodziców, więc proszę Cię, nie dzwoń do nich, oni nie wiedzą nic o moich planach. Z Vancouver zamierzam pojechać do Australii.

Wszystkiego dobrego, Chelsea.

Koji napisał w odpowiedzi:

Spotkaliśmy się zaledwie parę razy w Tokio. Tak naprawdę, to ani ja nie znam Ciebie, ani Ty zbyt dobrze nie znasz mnie. Nie musisz czuć się winna z powodu zmiany planów. Powodzenia w Krainie Kangurów. Koji

Koji Osara. Jebany psychol. Zaraz, chwila. Koji Osara. Joji Obara. Koji... kurwa, czy to jest ten sam gość? Obydwał są klientami Green-grass. Obydwał to porypane świry. Obydwał mniej więcej w tym samym

wieku. Dlaczego Koji twierdził, że jest najważniejszym klientem Nishiego? Skąd ta paranoja na punkcie krążących o nim po Roppongi plotek? Co takiego trzeba zrobić, żeby w takim miejscu cieszyć się aż tak złą opinią?

Postanowiwszy dowiedzieć się czegoś więcej, zagoniłam do pracy Google. Najpierw natrafiłam na artykuł napisany przez Kojiego. W tekście wyłuszczał, jak – zgodnie z teorią Junga – podświadomość człowieka jest w stanie rozdzielić się i w ciągu trzech lat „zbudować” osobowość od nowa. Przeszedł mnie dreszcz. Czy to dlatego Koji twierdził, że nie był w stanie zaufać drugiemu człowiekowi przez pierwsze trzy lata znajomości – a raczej: czy to dlatego nie należało ufać Kojemu?

Lucie Blackman zaginęła trzy lata temu. Zbieg okoliczności? Czy też może człowiek – osobowość znana pod nazwiskiem Koji Osara była rezultatem trwającej 1095 dni metamorfozy? A maski? Według magazynu „Time” – który korzystał ze źródeł policyjnych – na znacznej liczbie nagrań dokumentujących napastowanie nieprzytomnych kobiet przez Jojiego Obarę, podejrzany miał na sobie jedynie maskę.

Potem przeczytałam kilka artykułów będących sprawozdaniami z procesu Obary, w których pisano, że podczas rozpraw oskarżony „zachowywał się niespokojnie, był pobudzony i mrugał nerwowo”. Dziwne spostrzeżenie, jak na artykuł: „mrugał nerwowo”. To przecież jedna z pierwszych rzeczy, jakie zwracają uwagę w Kojim. Wyczytałam też, że Joji Obara przeszedł operację oczu (znany trend pośród Japończyków mieszanej krwi) celem ich zaokrąglenia, po to, żeby nie kojarzyły się z typowymi dla Koreańczyków, znacznie węższymi oczami, jakie widać na jego wczesnych fotografiach. Czyżby Koji posunął się tak daleko? To by tłumaczyło jego nienaturalne mruganie, będące skutkiem ubocznym operacji oczu – siatkówka potrzebowała nawilżenia, ponieważ powieki zostały chirurgicznie rozciągnięte.

Czy to możliwe?

Do: Koji@pewienadres.com („Koji Osara”)

Temat: brak tematu

Koji Osara... czy może raczej Joji Obara?

Dlaczego powiedziałaś, że jesteś fałszywie oskarżany, że cieszysz się złą reputacją w Roppongi, że rozpowiadają o Tobie hostessy, którym nic

nie zrobisz? Ciekawi mnie to. Postanowiłam odwołać wizytę w Oksfordzie, ponieważ opis sprawy Lucie Blackman i notatki z przesłuchań nieodparcie przywoływały mi na myśl Twoją osobę.

Do: ... („Chelsea Haywood”)

Temat: RE: Sprawa klubu Casanova

Droga Chelsea

Cześć, jak się masz?

Jestem teraz w Brighton i zaczynam pracę nad barem sushi.

Dziękuję Ci za informację.

Z archiwum jednej z gazet:

Joji Obara ukończył Uniwersytet Keio.

Ja również ukończyłem Uniwersytet Keio.

Miał wówczas czterdzieści cztery lata.

Ja też miałem wtedy czterdzieści cztery lata.

Ma pochodzenie japońsko-koreańskie.

Ja jestem Japończykiem, a nie mieszzańcem.

Przychodził do Casanovy (później pan Nishi zmienił nazwę klubu z Casanova na Greengrass) wielokrotnie.

Ja również wiele razy odwiedzałem Casanovę.

On prowadził firmę, która działała na rynku nieruchomości.

Ja jestem konsultantem.

Inicjały J.O. i K.O. wykazują pewne podobieństwo.

Owszem, wiele danych wskazuje na podobieństwo między nim a mną.

Największa różnica między nami polega na tym, że on był uzależniony od angielskich hostess, a ja nie jestem. Nie wiem dlaczego, ale czuję się niepewnie w obecności dobrze wykształconych brytyjskich i amerykańskich hostess, ponieważ wiem, że one nie muszą przyjeżdżać do Roppongi.

Lucy (i jej koleżanka Jessica) pracowały kiedyś w British Airways. Nie musiały rzucać tej pracy.

Dalej masz nieco mniej istotne informacje od pana Nishi:

Pan Joji Obara jest bardzo niski i skąpy.

Jest też ponury.

Jest też ponury.

Koji jest wolny od uprzedzeń i pogodny.

Nie sposób pomylić Jojiego z Kojim, ponieważ istnieje między nimi ogromna rozbieżność.

Czy te informacje wystarczą, żebyś poczuła się lepiej?  
Na koniec chciałbym przeprosić, że z powodu plotek pozbawiłem Cię  
możliwości przyjazdu do Oksfordu.  
Przykro mi. Życzę Ci powodzenia w Krainie Kangurów.  
Do zobaczenia pewnego dnia, Koji.

Łał. Nie takiej odpowiedzi się spodziewałam. Dane, które zaprezentował mi rzeczowo i na chłodno, nie zmieniły faktu, że jego linia obrony ograniczała się wyłącznie do cech charakteru obydwu „podejrzanych”. Wymienił swoje zalety w trzeciej osobie, jak gdyby traktował samego siebie jako oddzielną osobowość.

Do jego mejla wkradło się co najmniej jedno rażące kłamstwo: Koji nie był czystej krwi Japończykiem. Zwierzył mi się, że był pół-Chińczykiem (a może tak naprawdę pół-Koreańczykiem?). Zastanowiło mnie i zaniepokoiło to, że zmienił tytuł mejla na „Sprawa klubu Casanova”. Nie wiedziałam, co o tym myśleć.

Jeżeli Koji był Jojim Obarą, być może uważał teraz samego siebie za nową osobę – bo był pod obserwacją, przyjmował leki, konsultował się z psychiatrą i tak dalej. Czy to dlatego w rozmowie nie wolno nam było podejmować tematu jego dawnej kariery psychoanalityka? Czy Kojiego pozbawiono licencji na wykonywanie zawodu lub też – co dla niego musiało być zdecydowanie bardziej dotkliwe – dostępu do leków psychotropowych, tych samych, którymi Joji Obara rzekomo nafaszerował przynajmniej dziewięć kobiet, by móc je potem zgwałcić?

Zresztą kto powiedział, że Joji Obara siedział nadal w więzieniu? Kanibal Sagawa chodził na wolności i w Japonii miał status gwiazdki, którą zapraszano do programów rozrywkowych w telewizji i która od czasu do czasu pojawiała się w *One Eyed Jack*. W 1992 roku ten człowiek wystąpił nawet w filmie pod tytułem *Sisenjiyou no Aria (Sypialnia)* w roli sadystycznego podglądacza! Oto geniusz japońskiego sądownictwa, przynajmniej jeśli chodzi o bogate, posądzane o związki z mafią rodziny.

Joji Obara był synem obrzydliwie bogatych rodziców, którzy prowadzili salon pachinko – powszechnie wiadomo, że taki biznes służy mafii za pralnię brudnych pieniędzy. W jednym z artykułów z 2003 roku znalazłam wypowiedź prawnika Obarę: „Mój klient z niecierpliwością oczekuje wyjścia z więzienia”. W tym samym artykule napisano, że Joji Obara mógł wyjść na wolność, o ile nie znajdą się dowody jego winy. Długo to

wszystko trwało. Rozprawę wielokrotnie przekładano. W żadnej angielskiej gazecie nie udało mi się znaleźć informacji o tym, czy Joji Obara nadal przebywał za kratkami, czy nie. Czyżby wypuścili go z klatki?

Dowiedziałam się, że Joji Obara uczęszczał do liceum w Jokohamie. Koji wspominał, że jego matka mieszkała w Jokohamie. Powiedział też, że miał mieszkanie poza Tokio, ale nie wyjawiał, gdzie dokładnie. Jakiś czas później zaprosił tam jedną z moich koleżanek, żeby „poznała jego matkę i szefa”, ale na szczęście dziewczyna wykręciła się w ostatniej chwili. Kto, do diabła, zaprasza dziewczynę do mieszkania poza Tokio po to, żeby poznała „matkę i szefa”?

Zupełnie przypadkiem natknęłam się na komunikat prasowy japońskiego Klubu Korespondentów Zagranicznych, w którym poinformowano o dostępnych dla zagranicznych mediów miejscach w sali rozpraw podczas niedawno wznowionego procesu Jojiego Obary – okazało się, że daty jego stawień się w sądzie niemal dokładnie pokrywały się z weekendami, podczas których Koji przyjeżdżał – albo planował przyjechać – do Tokio. Do tego dochodziły telefony o ściśle ustalonej porze, dni, w których wyraźnie dawał do zrozumienia, że musiał dokąds się udać, przez co można było się z nim kontaktować wyłącznie nocą. Wszystko to mroziło mi krew w żyłach.

I jeszcze różne dziwne szczegóły: nigdzie w gazetach nie znalazłam informacji, jakoby Lucie Blackman pracowała w klubie Casablanca z przyjaciółką o imieniu Jessica. Koji musiał zatem skądś znać Lucie. Dużo później Koji twierdził, że nigdy nie spotkał Lucie, ale Nishi przypomniał mu, że był z nią raz na *dohan*, choć Koji wyraźnie nie mógł sobie przypomnieć ani tego wydarzenia, ani w ogóle osoby Lucie. Zabawne, że pierwszą reakcją Jojiego Obary było stwierdzenie, że w ogóle nie znał Lucie Blackman. Potem przyznał się, że poznał ją w Casablance, a w końcu zeznał, że raz spotkał się z nią poza klubem.

Super. Czy ja miałam jakąś paranoję? A może tylko to miejsce doprowadzało mnie do szaleństwa? Nie chciałam go z góry osądzać, ale myślę, że Kojiemu z powodzeniem udało się obciążyć zarzutami samego siebie.





## Ucieczka do Hakone



Przewidywany czas oczekiwania na pociąg, który miał nas zabrać na górę, wynosił ponad godzinę. (Na tym właśnie polega problem z pociągami dla turystów, że nawet Japończycy nie potrafią dać sobie rady z przepustowością tego typu połączeń, zwłaszcza w jesienne, sobotnie przedpołudnie, kiedy to kolorowe liście rozpalają zbocza Hakone do czerwoności). Było gorąco, słonecznie i równie tłoczno co w Shibui w każdą niedzielę – dowodem tego tysiące wczasowiczów i tokijczyków czekających spokojnie na transport na szczyt. Shin odwrócił się, zmierzył wzrokiem długi, ciągnący się daleko za nami ogonek kolejki, po czym zniknął bez słowa pośród mroza czarnych czupryn. Dopiero kiedy jakiś czas później dostrzegłam go nieco dalej, jak przez uchylone okno zaglądał do środka jakiegoś samochodu, domyśliłam się, gdzie i po co go wcięło. Przerewając Carmen liczenie stojących przed i za nami pań z torebkami od Louisa Vuittona, wypchnęłam ją z kolejki.

– Co jest? O co chodzi? – zapytała, a nasze miejsce momentalnie zarosło.

– Shin mówi, że na górę wjedziemy taksówką.

Z niepozornej, przydrożnej recepcji hotelu Taiseikan można było dotrzeć do naszego pokoju tylko jednym sposobem: niewielkim tramwajem, który pokonywał malownicze trzysta metrów w dół do schowanej przed wzrokiem ciekawskich doliny, w której szeroki strumień przecinał bujny las rosnący u stóp wyniosłej, skalnej ściany porośniętej mchem i naturalnymi

drzewkami bonsai. Szczyt wzniesienia okupował *ryokan*, zapierające dech w piersiach zbiorowisko wielkich, bielonych wapnem i upstrzonych czerwonymi balkonami budynków. Wiodła do nich wyłożona kamieniami ścieżka, biegnąca przez japoński ogród. Trzeba przyznać, że Shin przeszedł samego siebie.

Nasz pokój był prosty. Małeńki przedsiódek prowadził do pomieszczenia wyłożonego sześcioma matami *tatami*. W jednej ze ścian tkwiło wielkie okno wychodzące na strumień. Na niskim stoliku leżały złożone w trzy schludne stosiki nasze obowiązkowe *yukata*, będące lżejszą, bawełnianą odmianą kimona – dwa z nich miały wzorki w czerwonym i białym kolorze, a jedno w niebieskim. Mieliśmy również do dyspozycji jednorazowe kapcie, na których szybko umieściliśmy znaczki, używając flamastrów. Shin narysował na swoich uradowane mordki, Carmen słoneczko, a ja naszkicowałam natchnioną górę pod śnieżną kołderką, nad którą świeciła pojedyncza gwiazda.

– Ła! Ale dobry wybór! – zareagował Shin na mój malunek i zaraz zmarszczył brwi, porównawszy go z własną, prościutką ozdobą.

Shin wybrał niebieskie *yukata* i pokrótce zademonstrował nam, jak należało je zakładać: lewą połą przykryć prawą połą, a potem zawiązać szeroki pas. Następnie poszedł do wspólnej łazienki, żeby się przebrać. Pod czujnym okiem korpulentnej właścicielki przybytku Carmen i ja przebrałyśmy się jak należy i kiedy Shin do nas wrócił, zasłużyliśmy sobie u niego na skinienie głową mające wyrażać aprobatę. Kolacja była zaplanowana na szóstą, więc zostało nam akurat tyle czasu, żeby zanurzyć się na kilka chwil w *onsen*.

Dwa razy dziennie zmieniano przeznaczenie dwóch oddzielnych łaźni ulokowanych nieco na uboczu w jednej części zajazdu po to, by kobiety mogły doświadczyć kąpeli w wystawnych, historycznie przeznaczonych dla mężczyzn pomieszczeniach. Pomachałyśmy Shinowi na pożegnanie i zniknęłyśmy za kotarą. Ponieważ okazało się, że byłyśmy jedynymi klientkami *onsen*, zrzuciłyśmy nasze *yukata*, zostawiłyśmy je w koszach, popędziłyśmy na golasa po wysypanej łupkiem ścieżce, namydliłyśmy się prędko, siedząc na przeznaczonych do tego celu miniaturowych stołkach, i splukałyśmy pianę wodą z wiader. Przesunęłyśmy ściankę działową, pognałyśmy do basenu – nasze ciała intensywnie parowały w zetknięciu z zimnym, wieczornym powietrzem – i ułożyłyśmy się w leniwej pozycji w odmładzającej, źródlanej wodzie.

Nagle przypomniałam sobie, że Shin uprzedził nas o kolacji, do której pozostało tylko czterdzieści pięć minut.

– Jak długo tu leżymy? – zapytałam.

Sekundę później wyskoczyliśmy z wody, popędziliśmy po śliskiej podłodze w tumanach pary wodnej, opatuliliśmy się byle jak *yukata* i, jak prawdziwe cudzoziemki, pognałyśmy korytarzem na złamanie karku.

Kiedy wpadliśmy jak burza drzwiami, Shin siedział przy otwartym oknie i spokojnie czytał książkę. Zgromił nas spojrzeniem.

– Nie szkodzi. Już zmieniłem porę kolacji. Czekałem na was taaak długo. Kiedy nie wracaliście, zacząłem się martwić. Naprawdę! Może zasnęłyście w gorącej kąpeli. Miałem za pięć minut poprosić właścicielkę, żeby was poszukała!

Odłożył książkę i z błyskiem rozbawienia w oku obejrzał nasz chaotyczny strój.

– Och nie, nie, nie. Nie tak to ma być! Odwróćcie się, wy głupiutkie kobietki – chwycił mnie bezpardonowo za pas. – Ma być podwójny węzeł! A nie kokardka. A tutaj – perorował, odwróciwszy mnie w swoją stronę – też źle. Zawsze lewa strona powinna być na wierzchu. Teraz jesteś ubrana jak trup na pogrzebie – zaśmiał się. Szybko wysłałem do przedsionka, żeby poprawić *yukata* zgodnie z jego wskazówkami.

Kiedy wróciłam, wystarczyło spojrzeć Shinowi w oczy, żeby wyczytać w nich, jak mi poszło. Wyprostował mi kołnierzyk, obciągnął rękawy i odłożył pas tak, żeby nie było widać żadnych zagięć.

– Teraz lepiej. Jesteś beznadziejna jako Japonka, co? Chyba tak.

Kiedy Shin przeszedł do inspekcji stroju Carmen, rozległo się ciche pukanie do drzwi i kobiecy głos oznajmił:

– *Sumimasen*. – Znaczący: czas na kolację.

Po obfitej, japońskiej kolacji byliśmy gotowi na kolejną wizytę w *onsen*, ale tym razem okazało się, że pod kotarą w łaźni, w której niedawno dokonano zamiany, oprócz naszych kapci stały też inne. Z rozbawieniem postawiłyśmy nasze słoneczka i góry obok doskonale wykaligrafowanych japońskich znaków – w końcu chodziło o to, żeby po prostu podpisać swoje kapcie, żeby się nie pomyliły, a nie czynić z nich dzieła sztuki.

Weszliśmy do wystawnej, większej niż damski przybytek, łaźni pełnej kobiet. W pomieszczeniu unosiło się tak dużo pary wodnej, że skutecznie skrywała całe ciało. Po symbolicznym umyciu się zimną wodą, Carmen i ja przycisnęliśmy do pępka kwadratowe białe ręczniki i nieśmiało podreptałyśmy na zewnątrz, odprowadzane spojrzzeniami kobiet ciekawych widoku golusieńkich gajinek. Nawet pomimo chłodu wieczornego powietrza, woda w łaźni przypominała ukrop, jak gdyby wulkaniczne źródła znajdowały się tuż pod dnem basenu. Nie minęło dużo czasu, a już szukałyśmy wytchnienia w pobliżu rury, która pompowała wodę ze strumienia szmerzącego po drugiej stronie bambusowego płotka. Stałyśmy tak na wpół zanurzone w wodzie, a w tym czasie para wodna osiadała na naszych ciałach i kondensowała się, tworząc na skórze śliską warstewkę – skutek był taki, że po dwudziestu minutach zrobiło nam się gorąco, zachciało się pić i poczułyśmy się, jakbyśmy były odwodnione.

Kilka litrów wody później, kiedy wytarłyśmy się do sucha i wślizgnęłyśmy z powrotem w *yukata*, towarzyszył nam charakterystyczny blask, który skóra zyskuje w zetknięciu z naturalnymi gorącymi źródłami. Byłyśmy gotowe do wyjścia. Po drugiej stronie basenu Japonka wycierała swojego małego synka, którego bardziej interesowało machanie do nas rączkami niż ułatwianie matce zadania. Kiedy Japonka podniosła go troskliwie do góry, nagle Carmen otworzyła szeroko oczy.

– Patrz! – wyszeptała. Odwróciłam się i zobaczyłam groźnie wyglądającą, fioletowoniebieską łatę biegnącą w poprzek pupy malucha.

– Spokojnie – szybko wyjaśniłam. – To nie siniaki, tylko znamię.

A konkretnie znamię znane jako „plama mongolska”, które tradycyjnie występuje u dzieci w krajach azjatyckich i stanowi jedynie ciemne przebarwienie skóry, przeważnie w okolicach pośladków i krzyża. Plama, będąca obszarem silnego zagęszczenia melanocytów, czyli komórek pigmentowych zawierających melaninę, uwidacznia się w momencie narodzin i zazwyczaj całkowicie zanika przed końcem piątego roku życia dziecka. Obecność plamy prowadzi czasem w krajach zachodnich do niesłusznych podejrzeń o fizyczne znęcanie się nad dzieckiem, ale w Japonii nie budzi żadnej sensacji – na co dzień przypomina o niej jedynie idiom *shiri ga aoi*, dosłownie „jego tyłek jest niebieski”, którego używa się z lubością w odniesieniu do osób, które zachowują się jak dzieci.

Minęła północ. Shin i Carmen spali na futonach – jedno po mojej lewej, a drugie po prawej stronie. Wstałam, po cichu rozsunęłam przepierzenie i poszłam pustym korytarzem w kierunku lobby. Jedyne źródło światła w tym wielkim pomieszczeniu stanowił blask maleńkiej kapliczki shintō. W ogrodzie szumiała, stukając przy tym rytmicznie, *shishi odoshi*\*. Daleko stąd, w Roppongi, Matt pewnie jeszcze nie spał, zabijając czas w kafejce internetowej albo snując się samotnie pustymi ulicami. Telefony komórkowe nie miały tutaj zasięgu, więc wrzuciłam do automatu wszystkie stużenowe monety, jakie miałam, i zaczęłam, aż Matt odezwie się w słuchawce.

– Halo? To ja.

Cudownie było usłyszeć jego głos. Pocieszyłam się, że nadal byłam przecież w rzeczywistym związku. Kiedy skończyły mi się monety, usiadłam samotnie w półmroku, pomyślałam o nim i o sobie i uśmiechnęłam się pod nosem. „Nadal jestem w nim tak bardzo zakochana” – pomyślałam, a potem poczłapałam z powrotem korytarzem, ułożyłam się na grubym futonie i po raz pierwszy od wielu miesięcy zasnęłam twardym snem.

Kiedy obudziliśmy się z Carmen wczesnym rankiem, Shin gdzieś zniknął. Ziewając, powlokłyśmy się noga za nogą do wspólnej łazienki, żeby umyć zęby, a kiedy wróciliśmy do pokoju, Shin siedział na parapecie i wpatrywał się w strumień. Jego skóra błyszczała blaskiem świeżo wyniesionym z łaźni.

– Dzień dobry, moje panny leniwce! Ja już byłem w *onsen* – pochwalił się. – Wy też powinnyście pójść. Śniadanie jest za godzinę.

Góra Fuji unosiła się na nieboskłonie, przecięta grubą warstwą chmur tak, że trudno było stwierdzić, gdzie kończyły się cumulusy, a gdzie zaczynał śnieg pokrywający szczyt. Zdziwiająco, jak szybko góra przywdziała swoją śnieżną czapę – przecież byliśmy tutaj z Shinem zaledwie miesiąc temu – i jak bardzo od tamtej pory ochłodziło się powietrze. Kolejka linowa wiozła nas w dół zbocza, ku majestatycznemu jezioru Ashinoko.

---

\* Konstrukcja złożona zazwyczaj z czterech bambusowych rurek, z których jedna kołysze się pod wpływem wlewającej się do niej wody (przyp. red.).

Jeziro powstało ponad trzy tysiące lat temu, gdy wybuch wulkanu na górze Kamiyama odciął bieg rzeki Hava. Wówczas wody Ashinoko wypełniły kalderę, po której teraz sunęły we wszystkich kierunkach setki lodzi. Siedzieliśmy na dziobie repliki statku pirackiego i żeglowaliśmy pod błękitnym niebem. Widzieliśmy wznoszącą się na granicy wody i łądu odległą, czerwoną *torii*\* świątyni shintō w Hakone, a także uczepiony górskiego zbocza kurort, wijący się pośród drzew, które na krótko przed naszym przybyciem zimy wybuchały feerią kolorów.

Wpłynęliśmy do portu niczym żeglarze odkrywcy, a niedługo potem siedzieliśmy już w autobusie, by zakończyć podróż na skraju lasu na polu koloru słomy. W iście japońskim stylu powitało nas skupisko ustawionych na poboczu automatów. Shin poszedł kupić zimną zieloną herbatę, a następnie poprowadził nas ścieżką, która wiła się pośród wysokich na niemal dwa metry, kołyszących się na wietrze ździebeł *susuki*, japońskiej trawy stepowej. Bez słowa ostrzeżenia Shin skręcił i zniknął nam z oczu, schowawszy się za parawanem gigantycznej trawy. Musiałyśmy z Carmen podbiec, żeby go dogonić. W końcu dotarliśmy na skraj lasu, który wyglądał jak płatanina cienkich, trzciniowatych drzew. Zrobiliśmy sobie kilka zdjęć, a potem z Carmen zbiegłyśmy stromym zboczem, śmiejąc się i piszcząc jak uczennice, odświeżone i pełne życia. Shin rozłożył ramiona i zbiegł w ślad za nami, zyskując z każdym krokiem jeden rok życia, aż w końcu walnął z impetem w naszą naprędcę wzniesioną barykadę. Czuliśmy się jak nowo narodzony. Cała nasza trójka spędziła wieczność pośród tej japońskiej pampy. Prawie ze sobą nie rozmawialiśmy, rozkoszowaliśmy się chwilą, mając świadomość, że jeżeli zatrzymamy się, by wypuścić powietrze, umknie nam ona bezpowrotnie.



---

\* Wolno stojąca brama z dwóch pionowych, lekko skośnych słupów i dwóch poziomych belek połączonych bez użycia gwoździ – konstrukcja spotykana tylko w architekturze Japonii (przyp. red.).

## O mój Buddo



„O mój Buddo, staram się” – tak mówi mój klient Kenji. To jedno z dwóch stwierdzeń, jakie wypowiada, gdy przychodzi napić się sake z wodą sodową i cytryną i pośpiewać Boba Dylana i Boba Marleya. (Nie pogardziłby nawet piosenką z *Boba Budowniczego*, gdybyśmy tylko mieli ją w repertuarze). Kenji dużo śpiewa, a w dodatku zmusza do śpiewania również mnie.

Pierwsze stwierdzenie wypowiada zwyczajowo po tym, gdy zapytam go, jak się miewa – zawsze odpowiada: „Bardzo źle”. Drugie pojawia się zawsze, kiedy powiem: „O mój Boże” – wtedy powtarza za mną jak echo: „O mój Buddo”, i brzmi to niczym popitka po whisky Early Times, której zresztą nigdy nie pija, ale którą zamawiają jego koledzy, o ile Kenjiemu zdarzy się przyjść w towarzystwie. Wprawdzie jeden z jego znajomych, Zushi, chyba jednak woli suntory. Nie jestem pewna. Zazwyczaj pamiętam takie szczegóły, ale tym razem jestem zajęta odgadywaniem, czym też może zajmować się gość pokroju Kenjiego.

– Możesz zgadywać pięć razy! – krzyczy. – Jeżeli właściwie, wtedy miła kolacja. Jeśli błędnie... LOVE-HOTEL!

Ależ, o mój Buddo, próbuję.

Próbuję stłamsić smutek, żebym nie odczuwała bólu każdego dnia. Usycham z tęsknoty za tak wieloma rzeczami. Zastanawiam się, czy przeżywam platoniczny romans, czy też nie. To otoczenie jest tak popierdolone, że już sama nie wiem. I to mnie dobija, dobija mnie każdego dnia.

Próbuję osłodzić sobie gorycz myśli o Yoshim, ale za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że jest już lepiej, zdaję sobie sprawę, że ten ból nie da się ukoić. Usiłuję zapanować nad niepewnością i mętlikiem, który mam w głowie, i przygnębieniem, wynikającym z niemożności znalezienia rozwiązania, ale im bardziej się staram, tym bardziej uświadamiam sobie, jakie to wszystko jest popieprzone.

To nie jest łatwy projekt. Jak się mówi na takich ludzi? Krytycy społeczni? Czy ja jestem krytykiem społecznym? Czy właśnie o tym jest ta książka? Nie wiem. Staram się podchodzić do spraw czysto naukowo, ale wciąż przeszkadzają mi emocje. Staram się być jednocześnie pracownikiem, przełożonym, prezesem i ośmioma milionami udziałowców. Próbuję obracać akcjami na rynku zagranicznym, ale jest ich zbyt wiele, a ja nie mam licencji, nie zgadzają mi się rachunki, jestem pod kreską, robię wszystko na wyczucie i mam tylko nadzieję, że JASDAQ\* nie zwali mi się na głowę. O mój Buddo, to już nie jest zwykły projekt.

O mój Buddo, to jest moje życie.

Esther usiadła obok mnie i zaczęła wypytywać o wizę. Kiedy upływała jej ważność? Kiedy planowałam wyjechać? Czy nie chciałabym zostać?

– Oni cię naprawdę polubili, Nishi oraz *mama-san*. Chcieliby, żebyś przedłużyła wizę – powiedziała. – Naprawdę tego chcą.

– No tak, wiem. Chyba jednak nie mogę tego zrobić.

Nie chciałam wracać do Tokio czternaście razy, jak Esther. Miała trzydzieści lat. Pomiędzy trzymiesięcznymi okresami pracy jako hostessa Esther jeździła do Indii, gdzie uczyła się leczenia holistycznego z zamiarem otwarcia w przyszłości własnego gabinetu w Izraelu. Planowała odbyć jeszcze dwie lub trzy takie podróże.

Odkładała pieniądze i wiedziała, w jaki sposób maksymalnie wykorzystać własny potencjał. Każdego wieczoru miała *dohan*, a kiedy Green-grass świeciło pustkami, wkładała swój długi czarny płaszcz i przyprowadzała klientów prosto z ulicy. Jakimś cudem udało jej się rozgryźć tajemnicę japońskiej psychiki, a poza tym po prostu szczerze uwielbiała bycie hostessą. Wyznała mi, że na początku bywało ciężko, ale gdyby się postarała, znalazłaby coś pozytywnego w każdym kliencie – nawet tym najgorszym.

– Ale opowiedz mi o Yoshim – zagadnęła. – Znam go od dawna,



może już z pięć lat. Kiedyś przyjaźniłam się z jego dobrym kumplem, Suzukim. Para szalonych facetów. Często tu przychodzili, zresztą w ogóle często bywali w klubach i nic, tylko imprezy, imprezy, narkotyki, alkohol, kobiety. Nigdy nie mieli dość. Ależ z nich byli playboye, tacy przystojni. Wiesz, Suzuki to jeden z nielicznych prawdziwych przyjaciół Yoshiego. Wcale nie jest łatwo zajmować taką pozycję jak on. Nie może nikomu zaufać. Ma tyle pieniędzy, ale wiesz, że wcale nie wszystko to dostał od ojca, sam też znacznie rozbudował firmę. Naprawdę ciężko pracuje. Ale czuje się samotny. Od dłuższego czasu nie widziałam się z Suzukim, bo już tu nie przychodzi. Ale czasem widuję się z Yoshim – chyba wtedy, kiedy doskwiera mu samotność. Ugania się za dziewczynami, które nie pasują do tego miejsca, za tymi nieosiągalnymi. Jak myślisz, co sądzi o tobie?

– Nie wiem. Zapewniał, że mnie kocha, ale to jedno wielkie kłamstwo.

– Chyba jednak nie – powiedziała Esther. – Bo widzisz, ja myślę, że Yoshi nie zakochuje się zbyt często, a kiedy już to robi, to na poważnie, na swój własny sposób. Jesteś tą, której on pragnie. Świąteczkiem na końcu jego tunelu. Myślę, że on robi to już tak długo, że zagubił się. Ma niezwykłe życie. Jest co prawda uzależniony od narkotyków, ale to nie znaczy, że nie może cię kochać. Nie pozbawiaj go tego. Masz męża, wiem o tym, bardzo piękny facet, ma piękną duszę. Myślę, że jest dla ciebie odpowiedni. Jesteś taka młoda, ale na to, co teraz przechodzisz, też jest czas. Życie jest o wiele bardziej skomplikowane, niż byśmy sobie życzyli.

– Ale ja nie chcę, żeby było skomplikowane – wyszeptalam.

Esther wzięła mnie za rękę.

– Wiem. Po prostu nie zamykaj serca. Możesz dać tyle miłości.

O Boże, nie wiem, co robić. Wydawało mi się, że jeżeli nie będę dzwoniła do Yoshiego, życie stanie się prostsze, ale pomyliłam się. Odsuwanie w czasie nieuniknionego wcale nie sprawiło, że emocje opadły – przeciwnie: skumulowały się w masę krytyczną. A jeżeli Yoshi już nigdy więcej nie przyjdzie do klubu? Zostały mi tylko trzy wieczory. Odrzuciłam go, ale okazało się, że nie potrafię tak po prostu wyjechać. Logicznie rzecz biorąc: czy spotkanie z nim cokolwiek rozwiąże? I czy w ogóle chciałam się z nim widzieć? Może wystarczyłaby mi sama świadomość, kim dla niego byłam?

To nie fair, ten cały cholerny mętlik, jaki mam w głowie. To nie w porządku w stosunku do Matta. W stosunku do mnie. Muszę przyznać, że w pewnym momencie zrobiłam najgorszą rzecz w życiu. Skorzystałam z Google. Wyszukałam informacje o „australijskim prawie rozwodowym”.

Ale to również niczego nie rozwiązało, poczułam się tylko przeraźliwie chora. I wtedy zrozumiałam: tak, chciałam się z nim zobaczyć, chciałam, żeby to był mój i tylko mój wybór. To musiało się skończyć, tak czy inaczej. Po drodze do domu wstąpiłam więc do kafejki internetowej, kliknęłam „utwórz wiadomość” i napisałam:

Yoshi, mój Yoshi...

Wiem, że jesteś bardzo zajęty. Ja też jestem. Wiem, że prawie do Ciebie nie dzwonię. Ty masz swoje powody i ja mam swoje. Mimo to chciałabym się z Tobą zobaczyć przed wyjazdem. Choćby na śniadanie. Jeżeli masz ochotę do mnie zadzwonić, znasz numer.

Twoja Chelsea.

Skończyłam pisanie i stwierdziłam, że znowu jestem pijana. Ale potem pomyślałam: „Pierdolić to!”, i nacisnęłam „wyślij”.



## Męski świat dziewczyn z Ginzy



Ginza to istna góra pieniędzy ułożona w kształcie drapaczy chmur, pomiędzy którymi krążą mercedesy z przyciemnianymi szybami, lśniące bentleye i zgrabne beemki. W żyłach Ginzy, której drugie imię brzmi: ekskluzywność, krąży żywa gotówka wprawiona w ruch czterysta lat temu, kiedy szogun określił to miejsce swoją „perłą w koronie” i zamienił w prawdziwy róg obfitości.

Gdy w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku ogień strawił drewnianą zabudowę Ginzy, powstały tutaj pierwsze w Tokio murowane budynki, domy handlowe, chodniki i inne zachodnie nowinki, powodując, że dzielnica stała się modna. Prawie sto lat później Ginza wystrzeliła w górę blaskiem bogactwa i dziś stanowi esencję tokijskiej elity.

Stałam na rogu wznoszącego się w Ginzie budynku Sony i obserwo wałam tłumy przechodzące przez skrzyżowanie Sukiyobashi. Wypatry wałam charakterystycznej czarnej fedory pana Fujimoto. Nagle zauważyłam czyjąś wyciągniętą do góry rękę i zobaczyłam go, jak szedł pewnie w moją stronę, jak zwykle w formie i tryskający energią.

– Tak łatwo cię znaleźć! – zagrmiał. – Szukam gaijinki i proszę! Taka wysoka – zaśmiał się, wkładając z powrotem kapelusz. – Łał, wyglądasz świetnie! Ładna sukienka. Okej, musimy przejść przez skrzyżowanie. Re stauracja jest tam.

Po kolacji zadzwoniłam do Greengrass z pograżonego w ciszy restaura cyjnego korytarza.

– Halo? Nishi? – powiedziałam zachrypniętym, słabym głosem. – Mówi Chelsea. Nie dam rady przyjść do pracy...

– Och? *Dohan*? – przerwał mi Nishi.

– Nie, nie *dohan*. Jestem chora i nie będę mogła przyjść, okej? Nie przyjdę dziś wieczorem.

– Och. Y... ploszę, spróbuj, pani Chelsea. Ty przyjdź.

– Przykro mi, Nishi, ale jestem chora. Nie przyjdę. Do zobaczenia w piątek, okej? – Kaszlnęłam słabo kilka razy i pożegnałam się chrypiącym szeptem. – *Bye-bye*.

Pan Fujimoto patrzył na mnie podejrzliwie.

– Dlaczego powiedziałaś Nishiemu, że jesteś chora? Przecież powiedziałem, że zapłacę tę twoją niewolniczą stawkę. Nie wiedział, że nie przyjdiesz?

– Nie, lepiej powiedzieć, że się jest chorym, bo inaczej wściekają się, że wychodzę z klientem. A w ten sposób nie zadają pytań. Zresztą to i tak się nie liczy. Zazwyczaj płacisz 2500 jenów kary za „chorobowe”, ale ponieważ jutro jest święto, postanowili, że dziś wieczorem hostessa „na wagarach” musi zapłacić 10 000, czyli równowartość zwyczajowej kary za nieobecność w pracy.

– Naziści – skwitował pan Fujimoto. Miałam wrażenie, że gotował się ze złości, ale potem zaskoczył mnie wybuchem śmiechu.

– Co? – krzyknęłam.

– Ale z ciebie dobra aktorka! – powiedział oskarżycielskim tonem, a potem otworzył mi drzwi.

Kiedy spacerowaliśmy z panem Fujimoto nieskazitelnie czystymi chodnikami Ginzy – jak tysiące innych par – miałam wrażenie, że poruszamy się po metropolii żywcem wyjętej z jakiegoś serialu anime, z tą różnicą, że wokół nas śmigają nie poduszki, a zwykłe samochody. Ginza, położona w samym sercu Tokio, dosłownie lśniła z daleka za sprawą ostentacyjnych, tworzących skomplikowaną galaktykę neonów. A jednak było to wszystko w dobrym guście. O ile Roppongi pełniła funkcję tokijskiego centrum przyjemności, w Ginzie pieczołowicie przechowywano najcenniejsze klejnoty miasta, czyli ulokowane na najwyższych piętrach budynków tysiące niedostępnych, niezgłębionych, przeznaczonych wyłącznie dla Japończyków barów i hostess-klubów.

Nie sposób było wejść do klubu w Ginzie jak gdyby nigdy nic, prosto z ulicy, tak jak wchodzi się do klubu w Roppongi. Tutaj wymagano zaproszeń i formalnego wprowadzenia. Tutaj rozmawiano po japońsku i oczekiwano od gości honorowego, patriarchalnego i zdyscyplinowanego zachowania. Klientów dobierano pod kątem preferencji klubu. Gości monitorowały tajemnicze *mama-san* o łagodnych rysach, które szybko pozbywały się każdego, kto mógł zaszkodzić reputacji ich przybytku. Zgodnie z protokołem, obcokrajowcom wstęp do hostess-klubu w Ginzie przysługiwał wyłącznie w towarzystwie stałego klienta, który pełnił rolę tłumacza i kulturalnego przewodnika. Młode, białe mieszkanki Zachodu nigdy nie przychodziły do japońskiego hostess-klubu samotnie w charakterze klientek.

Wylewne powitanie ze strony ubranej w eleganckie kimono i lekko upudrowanej japońskiej hostessy, która, pilnując swojej pozycji przy wejściu do budynku Maruyoshi, kłaniała nam się nisko, nie było zatem widokiem zbyt częstym. Kiedy pan Fujimoto pozdrowił ją szorstko, podreptała, szurając, do małej windy, w której z ledwością starczało miejsca dla jednej osoby. Gdy dotarliśmy na trzecie piętro, ukłoniła się i wyszła tyłem na korytarz. Nad drzwiami wisiał niewielki szyld: „Klub Yumi”.

– *Irashaimasse!* – usłyszeliśmy kobiecy głos i ujrzelśmy *mama-san*, która wyszła, by powitać serdecznie pana Fujimoto. Obdarzyła mnie pogodnym półukłonem.

– *Komban wa* – ukłoniłam się uprzejmie i nagle zaroilo się wokół mnie od kobiet w kimonach.

– Nie przejmuj się nimi – burknął pan Fujimoto, potakując sztywno głową. – Są ciekawskie. Gaijini nigdy tu nie przychodzą, a zwłaszcza kobiety! Masz dużo szczęścia – cmoknął językiem.

Musieliśmy poczekać chwilę na pojawienie się Yuki, hostessy pana Fujimoto. Była wręcz olśniewająca: miała wyborny makijaż, skórę niczym najlepszej próby porcelana i delikatne rysy twarzy. Zawstydziałam się, kiedy złożyła mi głęboki ukłon i wypowiedziała serię niezasłużonych komplementów entuzjastycznie przetłumaczonych mi przez pana Fujimoto. Zdenerwowanie nie ustąpiło, gdy Yuki wprowadziła nas do niedużego, oficjalnego aż do przesady, oświetlonego znacznie lepiej niż Greengrass pomieszczenia. Kiedy weszliśmy, kilkunastu siedzących przy stolikach mężczyzn odłożyło cygara i zlustrowało nas wzrokiem, po czym wróciło do przerwanych rozmów.

Pan Fujimoto natychmiast zarządził, żeby Yuki przygotowała mu drinka, a potem rozsiadł się wygodnie. Po japońsku wymienił moje zalety, a następnie przetłumaczył słowa Yuki, w których porównała siebie do mnie i podkreśliła te cechy, których jej brakowało, chichocząc przy tym albo przytakując życzliwie. Co ciekawe, od samego początku pan Fujimoto odnosił się do niej niezwykle szorstko. Kiedy się odzywał, to zawsze z uczuciem, ale jednak do pewnego stopnia opryskliwie. Zadziwiająco, ale Yuki wydawała się zachęcać go do tego, by ją poniżał. Miałam wrażenie, że obydwójce doskonale się czuli w swoich rolach, aczkolwiek bardziej fascynowało mnie to, że pan Fujimoto najwyraźniej rezerwował tego typu zachowanie wyłącznie dla Yuki, mnie traktował bowiem nadal z takim samym szacunkiem jak do tej pory. Zrozumiałam, że Yuki miała dług wdzięczności wobec pana Fujimoto, swojego wieloletniego klienta. W końcu zawód hostessy stanowił dla Yuki powołanie, a pan Fujimoto odwiedzał ją już od ponad dwudziestu lat.

Subtelność, z jaką wyłuskiwała z za swojego *obi*\* delikatny wachlarz lub tradycyjną, długą zapalniczkę, była godna pozazdroszczenia. Ściśnięta w kimonie, prawie w ogóle się nie poruszała, ale właściwie nie było takiej potrzeby, ponieważ wszystko, co pragnęła wyrazić, dało się wyczytać z jej oczu. Ta piękna, skromna, egzotyczna kobieta podlegała kaprysom pana Fujimoto i dobrze o tym wiedziała.

– Czy chciałabyś coś przekazać Yuki? – zapytał pan Fujimoto, wydmuchując chmurę dymu. Wyglądał jak uosobienie patriarchy.

– Bardzo podoba mi się jej kimono. Jest wyjątkowe. Wygląda w nim przepięknie.

– Nie, nie możemy jej tego powiedzieć. Yuki jest za wysoka na to kimono. Za bardzo widać jej kark, a to nie wygląda dobrze. Yuki mogłaby opowiedzieć ci, dlaczego w kimonie najważniejszy jest kołnierz, ale niestety nigdy nie znalazła w sobie dość chęci, żeby nauczyć się angielskiego. Rozleniwiła się spaniem do południa, chodzeniem do spa i dzwonieniem do klientów popołudniami. W klubie o tak wysokim standardzie nie jest wcale łatwo osiągnąć pozycję, jaką zajmuje Yuki. Ale ona miała szczęście. Jest tutaj jedną z najstarszych hostess, co oznacza, że ma prawo nosić kimono, chociaż nie wygląda na niej dobrze. Młodym hostessom wolno

---

\* Szarfa lub pas do przewiązywania kimona (przyp. red.).

nosić jedynie suknie koktajlowe, ponieważ nie nauczyły się jeszcze odpowiednich technik zabawiania klientów.

Pan Fujimoto zerknął na swoją niemal pustą czarkę z sake i posłał Yuki pogardliwe spojrzenie. Yuki ukłoniła się nieznacznie, zachichotała, podwinęła rękaw kimona i ujęła delikatnie flaszeczkę opuszkami palców, pokazując nadgarstek. Drugą ręką z wdziękiem wlała sake do czarki pana Fujimoto, uważając, by nie przelać. Odniosłam wrażenie, że ta niewinna czynność pełna była fałszywie skromnego artyzmu, ale ponieważ czytałam wcześniej *Wyznania gejszy*, doskonale wiedziałam, jak wiele kryło się w tym zmysłowości.

Przyłapałam pana Fujimoto na wpatrywaniu się w odsłonięty nadgarstek Yuki i nagle poczułam się dziwnie, będąc tak blisko ich osobistej, erotycznej interakcji. Potem Yuki wezwano do obsłużenia stolika naprzeciwko, przy którym siedziała grupa bogatych biznesmenów. Najpierw jednak Yuki przedstawiła nam swoją protegowaną, Kiko.

Kiko była świeżo upieczoną hostessą. Miała dwadzieścia lat i niedawno zaczęła studia. Praca w klubie Yumi stanowiła jej sekretne zajęcie na pół etatu – sekretne, ponieważ, choć praca hostessy cieszyła się sporą popularnością wśród jej koleżanek, Kiko ryzykowała wydalenie ze szkoły oraz wstyd przed rodzicami w przypadku, gdyby praca w klubie wyszła na jaw. Wszystko było okej, pod warunkiem, że tajemnica pozostawała tajemnicą. Panu Fujimoto wydało się to wyjątkowo zabawne.

– To co takiego mówisz rodzicom, kiedy wracasz do domu grubo po północy? – zaśmiał się, a stremowana Kiko zawahała się przed chwilę.

– Karaoke z kolegami – odpowiedziała. – Albo dyskoteka.

W przeciwieństwie do starszych hostess, które śmiało można było porównać do gejsz, Kiko była chodzącą porażką: rozstawiała nogi, wierciła się bez ustanku i bawiła się rąbkiem sukienki. Kiedy pan Fujimoto prze-rwał, żeby zapalić papierosa, nie podała mu ognia i w końcu sama musiałam go obsłużyć. Jej podszyte nerwowością niezdecydowanie przypominało mi każdą kolejną nowicjuszkę w Greengrass.

Dokładnie po godzinie spędzonej w klubie Yumi, *mama-san* przyniosła panu Fujimoto rachunek i zabawiła go chwilę rozmową, dopóki Yuki nie znalazła czasu, by razem z Kiko odprowadzić nas do wyjścia. Kiedy znaleźliśmy się w pustej bocznej uliczce, obydwie ukłoniły się, chichocząc i machając nam na pożegnanie – dwie postacie w swojej anoni-

mowej wnęce, przytłoczone wydającym groźny pomruk ogromem szkła wzbijającego się ku nocnemu niebu.

Pan Fujimoto odnalazł wreszcie wejście do Kentauros ukryte w budynku Creglanz Ginza. Na całą knajpę składało się maleńkie, ciemne pomieszczenie, oświetlone tak skromnie, że poza odbiciem rzędu butelek z alkoholem w lustrze za barem nie było widać właściwie nic innego. Choć w sali siedziało zaledwie sześć osób – dwóch biznesmenów piło i paliło przy barze, a czterech innych okupowało niski stolik – knajpa sprawiała wrażenie zatłoczonej. Przysiedliśmy z panem Fujimoto przy stoliku i zaraz podeszła do nas dziwnie znajoma *mama-san*.

Okazało się, że elegancka *mama-san* Kentauros pracowała do niedawna z Yuki w klubie Yumi. Miała mniej więcej tyle samo lat co Yuki i w pewnym momencie postanowiła przejść na emeryturę, porzuciła więc rygor swojego dotychczasowego zajęcia i otworzyła shot-bar, najpewniej z wydatną pomocą i wsparciem finansowym jednego lub dwóch wiernych klientów. Teraz, zamiast odwiedzać swoje ulubione hostessy w klubie, mężczyźni przychodzili pić do niej do baru. Przypominało to związek dojrzewający przez lata: mogła zatrzymać dla siebie podziw mężczyzn, którzy stali się częścią jej życia, a jednocześnie stała się niezależna, zyskała autorytet i mogła zamienić kimono na klasyczny kostium.

– Ważne, żeby hostessa nigdy nie zakochała się w kliencie – pouczał pan Fujimoto. – Jeżeli się zakocha, katastrofa! Wtedy to już koniec. Jeden klient zobaczy, jak pewna hostessa obdarza specjalnymi względami innego mężczyznę – a łatwo to dostrzec w sposobie, w jakim na niego patrzy – i zaraz robi się zazdrosny. To bardzo cienka linia. W Japonii w takiej relacji nie chodzi o seks. Najlepsza hostessa daje każdemu klientowi takie same złudzenie i jednocześnie nie dopuszcza go do własnych emocji. A potem, jeżeli ma szczęście, może otworzyć własny interes dzięki hojnym sponsorom. Znam w Ginzie wiele takich barów, prowadzonych przez emerytowane hostessy, ponieważ moim zadaniem jest pilnować, żeby gwiazdy filmowe dobrze się bawiły. To jedna z moich ulubionych knajp. Czego się napijesz? Czegoś drogiego? A może whisky Macallan?

– E... nie, dziękuję, panie Fujimoto. Whisky jest dla mnie trochę za mocna.



– Nie! Ale nie ta whisky. Macallan jest tak łagodna, że będziesz zaskoczona. To ulubiony napój Nicolasa Cage’a. W barze kosztuje 1500 dolarów za butelkę albo 200 za szklaneczkę. On ją uwielbia. Jesteś pewna, że nie chcesz spróbować? Okej. Kupię ci ją w prezencie, dla ojca, na *gomen nasai*, przeprosiny za to, że jesteś taką wyrodną córką. Trzy lata poza domem! Nie wierzę! A rum? *Mama-san* ma tu świetny, naprawdę świetny rum. – Nie sposób było się oprzeć błyskowi w jego oku.

– Okej, niech będzie – ustąpiłam. – Spróbuję rumu.



## Demony diabła



To był mój ostatni piątkowy wieczór w Japonii. Kiedy weszłam do Greengrass, Tehara już na mnie czekał. Siedział nieruchomo z łokciami opartymi o blat stolika, a gdy mnie zobaczył, podniósł tylko wzrok niczym urażony kameleon i wydał z siebie znużone westchnienie.

– Pani Chelsea. Pan Ito dzwonił do mnie. W twojej sprawie. Czy on pożyczył ci swój komputer?

– Że co? Nie! Nie pożyczył mi komputera. Tak powiedział?

– *Hai*. Powiedział, żeby przypomnieć ci, że chce go odzyskać.

– Naprawdę? – Zagotowało się we mnie. – Dlaczego sam do mnie nie zadzwoni i nie powie mi tego? Przecież zna mój numer! – Tehara wrzucił obojętnie ramionami. – Nie wierzę! Ale on... grrr! Dobra. Nie przejmuj się tym. Zajmę się nim.

To niedorzeczne. To po prostu wredne ze strony Noriego, wyskakiwać jak Filip z konopi na dwa dni przed moim wyjazdem i dzień przed wypłatą. Wydawało mu się, że niby kim był, żeby wymagać od Tehary przekazania tak idiotycznej wiadomości?

Byłam wściekła, ale kiedy przebierałam się na zapleczu, czułam, jak moja złość miesza się z obawą. Nori był dla Greengrass cennym klientem i mogłam tylko przypuszczać, że postanowił bezbłędnie wybrać odpowiednią chwilę na dokonanie zemsty. Laptop był prawdopodobnie wart więcej niż moje miesięczne zarobki, więc Nishi wybierze raczej pozabawienie mnie wypłaty niż ewentualność, że jedna z jego hostess ulotni się z komputerem jednego z najlepszych klientów klubu. Co za palant!

Nori cwanie sobie wykombinował, w jaki sposób wyrzucić na mnie pre-

się, ale problem polegał na tym, że nie mogłam oddać mu tego laptopa ot tak po prostu, bo sprezentowałam go jednemu ze znajomych Matta, który, w przeciwieństwie do mnie, potrafił obsługiwać japońską wersję Windows. Teraz miałam przechlapane. A co, jeśli faktycznie to cholerstwo było warte więcej niż moje zarobki? Jeżeli nie oddam mu równowartości komputera, niewykluczone, że Nori poskarży się Fumiowi, swojemu najlepszemu kumpłowi i szysze jokohamskiej policji, który z kolei zadenukuje mnie w urzędzie imigracyjnym. Zostanę zatrzymana i aresztowana lub deportowana, a wszystko dlatego, że zgodziłam się przyjąć drogi prezent od faceta, którego irracjonalne uczucia ośmieliłam się zranić.

Potrzebowałam pomocy. Po konsultacji z Nicole, doszliśmy do wniosku, że będę musiała zadzwonić do Noriego.

– Zadzwon do niego i zachowuj się, jakby nic się między wami nie wydarzyło ostatnim razem. Musisz być miła. Rozumiesz, Chelsea? Naprawdę, naprawdę miła. Miłsza niż kiedykolwiek przedtem. I ani słowa o komputerze.

– To co mam powiedzieć?

– Spokojnie. – Nicole udała, że podnosi słuchawkę do ucha i sączy do niej miód. – Cześć, panie Ito, jak się masz? Przepraszam, że do ciebie nie dzwoniłam przez cały tydzień, ale byłam taka zestresowana i nie-szczęśliwa. Tęsknię za tobą. Nie widziałam się z tobą i jest mi tak smutno. Strasznie bym się chciała z tobą zobaczyć, zanim wyjadę. Czy możesz, bardzo cię proszę, przyjść do klubu? Nie darowałabym sobie, gdybym odjechała bez słowa pożegnania. – Zrobiłam zniesmaczoną minę. Nicole spojrzała na mnie karcącym wzrokiem. – Zrób to, Chelsea.

– Dobrze, już dobrze. Wiesz, on i tak nie odbierze, kiedy zorientuje się, że to ja.

Odebrał po dwóch dzwonekach.

– *Moshi moshi?* Halo?

Schowałam dumę do kieszeni i zrobiłam wszystko, żeby wiernie odtworzyć obleśną gadkę Nicole.

– A tak, cześć! – pospiesznie przerwał mi Nori. – Chelsea. Y... tak, dziękuję za telefon, ale y... jestem bardzo zajęty teraz. Cieszę się, że do mnie zadzwoniłaś i może, zanim wyjedziesz z Japonii, i jeśli będziesz miała czas, przyjadę do Tokio zobaczyć się z tobą.

– Och – nie wiedziałam, co mówić dalej. – Okej.

– Tak i y... jestem bardzo zajęty, więc do zobaczenia. Okej? Y... *bye-bye*. – Nori rozłączył się, a ja otworzyłam szeroko usta.

– No i? Nadal chce odzyskać komputer? – zapytała Nicole, uśmiechając się pod nosem.

– Słowem o nim nie wspomniał.

– Dokładnie – odparła. – On po prostu chciał mieć nad tobą przewagę, żebyś się przed nim płaszczyła. Tacy już są Japończycy. Złośliwi. – Uśmiechnęła się wyrozumiale. – A ty masz już święty spokój.

Trzy dni po tym, jak nasz wypad do Ginzy zakończył się w Petits Pois sesją karaoke do świtu, pan Fujimoto odłożył na bok swoją opinię o „nazistowskich” metodach Nishiego, powitał mnie promiennym uśmiechem i postanowił w ten mój ostatni wieczór w Japonii powiedzieć mi *adieu* w stosowny sposób. Doceniłam jego gest, ponieważ nie zjawiał się w klubie sam – stanowiłam dla niego godzinną przerwę w wieczorne wypełnionym zabawianiem gwiazd filmu. Na moją cześć pan Fujimoto zaśpiewał znaną japońską balladę, dzięki której stracił w Petits Pois co najmniej sto kalorii, a ja odwdzięczyłam się kawalkiem Oasis. W przezwie życzył mi wszystkiego dobrego w przyszłości, obsypał mnie tysiącem komplementów i ostrzegł, żebym czasem nie przytyła, bo nie będzie widać moich odznaczających się kości policzkowych. Na dokładkę przyniósł ze sobą wielki, owinięty w papier prezent – zapakowaną w skrzyneczkę dwudziestopięcioletnią butelkę whisky Macallan.

– Ulubiona whisky Nicolasa Cage’a! Dla twojego taty, pamiętaj. Mówiłem ci. Zamiast sake. Bardzo dobra! 1500 dolarów za butelkę!

– Panie Fujimoto! Nie trzeba!

– Ależ nie! To mój obowiązek. Jesteś bardzo niegrzeczną dziewczynką. Musisz przeprosić swojego tatę, i to trzy razy. Raz za każdy rok, kiedy nie było cię w domu. *Gomen nasai, gomen nasai, gomen nasai*. Straszne *desu yo* \*! Nigdy nie spotkałem tak okropnej córki jak ty.

Smutno mi było, że musiał wyjść, ale rozstaliśmy się w dobrych humorach. Kiedy minęła godzina, podaliśmy sobie ręce i złożyliśmy sobie nawzajem serdeczny ukłon.

A potem przyszedł czas na Yoshiego.

---

\* Moim zdaniem (przyp. red.).

Przyszedł późnym wieczorem. Pierwsze, co mnie uderzyło, to że się do siebie dopasowaliśmy: obydwójce od stóp do głów ubrani byliśmy w czerń. Jego przystojna, ciepła sylwetka przyciągnęła moją uwagę i od razu poczułam, że się uśmiecham. Serce zaczęło mi bić szybciej. Oto on. Ostateczne odliczanie.

Zachowywał się inaczej niż zwykle. Był rozluźniony i swobodny i – czy to możliwe? – trzeźwy. Spędziliśmy w klubie godzinę, powoli się upijając. Za pozwoleniem Nishiego wyszliśmy z zatłoczonego klubu chwilę po pierwszej w nocy i poszliśmy do pobliskiej indyjskiej restauracji, podtrzymując się nawzajem nie tylko na duchu. Wyłączywszy nieożywione posążki hinduskich bóstw, Ganeśi i Śiwy, mieliśmy całą knajpkę wyłącznie dla siebie. Kelner realizował wykrzykiwane donośnym głosem Yoshiego zamówienia na piwo i jedzenie, a kiedy Yoshi rozlał browar na czosnkowy *naan*, kelner biegiem zjawił się przy stoliku. Bełkocząc, jak bardzo się nawalił, Yoshi poczłapał do łazienki. Westchnęłam, słysząc przez cienką ściankę łazienki prócz innych typowo toaletowych odgłosów również pociąganie nosem. Yoshi trzeźwiał.

Po wyjściu z restauracji wpadliśmy do sklepu całodobowego, wrzucając do koszyka co popadło: wino, przekąski, likier Kahlúa, a potem pojechaliśmy taksówką do jego mieszkania w Hiroo. Zgodnie z moimi oczekiwaniami taksówka zatrzymała się przed gigantycznym wprost budynkiem. Dojechaliśmy windą na właściwie piętro i wyszliśmy na ogromny korytarz, w którym znajdowały się porażająco wielkie drzwi.

Nowe mieszkanie Yoshiego było urządzone ze smakiem. Ciemne drewno, czerń i biel. Było bardzo przestronne jak na kawalerkę w Tokio, ale Yoshi machnął tylko ręką i stwierdził, że je wynajął i było bezosobowe. W kuchni rozpakowaliśmy zakupy.

– Zostaw to. Oprowadzę cię – powiedział Yoshi, po czym zabrał mnie na wycieczkę po sypialni przedzielonej sporej wielkości przesuwaną przegrodą *shōji*, garderobie, z której wysypywały się rzucone na stos produkty z logo Gucciego i Prady, i wielkiej, luksusowej łazience wyłożonej lustrami i marmurami. W kącie wystawnego, przepyszego salonu, tuż obok długiej białej kanapy stało na stoliku zdjęcie Yoshiego na pokładzie łodzi, dzierżącego trofeum: ogromną rybę. Podniosłam je i obejrzałam sobie dokładnie.

- Mmm – mruknął z dumą. – Moja łódź.
- Świetne zdjęcie, Yoshi. Słuchaj, a masz dla mnie te zdjęcia z Kioto?
- Taa, w samochodzie. Później po nie pójde.
- A nie możesz teraz? Chciałabym je obejrzeć. Później pewnie zapomnisz.

– Okej, okej. Muszę zejść do garażu. Zostań tutaj.

Jak tylko Yoshi zamknął drzwi, z dziką rozkoszą poślizgałam się w samych skarpetkach po podłodze. Wyjęłam butelkę macallana i wreszcie jej się przyjrzałam. Przyrządziłam sobie kolejny miks kahlúa z mlekiem, próbując rozpuścić w drinku stan upojenia. Kiedy Yoshi wrócił, siedziałam przy stole po turecku, ruszając rytmicznie stopą. Z szerokim uśmiechem na ustach podał mi kopertę. Kiedy przeglądałam ujęcia mięśniowych ryksarzy i starych jak świat kapliczek shintō, Yoshi włączył muzykę. Z zaskoczeniem stwierdziłam, że na zdjęciach wyglądałam na bardzo szczęśliwą i... świeżą.

Yoshi stanął po drugiej stronie stołu i pochylił się nad srebrną tacą. Ułożył dwie zgrabne kreski koki. Dwie wielkie, grubachne krechy, jak opite krwią pijawki.

– Yoshi... – zaprotestowałam.

– No co? *Ma chérie*, jestem pijany i ty też. Musimy wytrzeźwieć... – wyszczerzył zęby w uśmiechu i zanim zdążyłam pokręcić głową, z wprawą wciągnął swoją dziątkę do nosa. Przyglądałam się, jak kokaina zaczynała krążyć mu w żyłach, niczym lekarstwo, które miało przywrócić go do stanu normalności, jak łagodziła skutki upojenia alkoholowego, wyostrzała zmysły i wysysała życie.

Bez słowa podał mi banknot tysięczny, odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Wzięłam od niego zwitek, ale wypuściłam go z rąk i powiodłam za nim wzrokiem, gdy rozwinął się w locie, spadł na wyfroterowaną podłogę, potoczył kilka centymetrów i zatrzymał się obok mojego zdjęcia, na którym uśmiechałam się pod słońce, pozując nad rzeką Oi. Kiedy Yoshi wrócił, siedziałam na kanapie, a przede mną nadal biała pojedyncza, równiutka kreska. Spojrzał, jakby coś mu nie zagrało.

– Cooooooo? Nie chcesz? – zapytał. Odwróciłam głowę w drugą stronę. – Spoko, ale jak ty nie chcesz, to ja też nie chcę. – Chyba trochę na to za późno, pomyślałam.

Za chwilę usiadł obok mnie. Jego ręka spoczęła na mojej talii, później powędrowała na pierś, a potem Yoshi zaczął mnie całować. Gdy jego

usta zetknęły się z moimi, nagle mnie olśniło. Oto odpowiedź, po którą tutaj przyszłam. Poczułam ją w całej okazałości, jak wielką, żelazną kurtynę, która opadła, odgradzając to, czego pragnęłam we własnych wyobrażeniach, od tego, co faktycznie dostałam.

Zrobiło mi się niedobrze.

– Dziwnie się czuję, Yoshi. Chyba powinnam...

– Co? Gorączka? Jesteś zarumieniona. Chcesz się wykapać? Może prysznic?

– Nie, to brzuch. Chyba mam mdłości. Może przez to indyjskie jedzenie – wybąkałam. Wcale nie chodziło o jedzenie, ale o czysto psychosomatyczną reakcję. – Chyba muszę wymiotować.

– Idź, przemyj sobie twarz zimną wodą.

Nabrawszy głęboko powietrza, pobiegłam i zamknęłam się w łazience Yoshiego. Oparłam się o drzwi i przyjrzałam swojemu odbiciu w lustrze. Cholera. Odkręciłam kran i pozwoliłam, żeby woda lała się do umywalki pod maksymalnym ciśnieniem. Strumień wpadał do niewielkich zagłębień w blacie i rozpryskiwał się, pokrywając drobną mgiełką kubek z dwiema szczoteczkami do zębów.

Próbowałam się skupić i sprawić, by do głosu doszedł trzeźwy osąd. Co ja, kurwa mać, najlepszego wyczyniałam? Czyżbym chciała doprowadzić do końca tę chorą farsę? Nie powinnam była tu przychodzić. Nie potrafiłam opanować drżenia rąk. Spuściłam wodę i znowu odkręciłam kran. Bardzo proszę – niech myśli, że wymiotowałam.

Odczekałam kilka minut, po czym powoli wytoczyłam się z łazienki, trzymając się za brzuch. Telewizor był włączony. Yoshi siedział na kanapie i oglądał jakiś program.

Bzz, bzz, bzz. A to co? Mój wyciszony telefon leżał na stole i wibrował. Odebrałam. Na wyświetlaczu widniało: MATT.

Mój kochany Matt. Dzięki Bogu.

– Cześć Nicole – westchnęłam z udawanym znużeniem. – Jak się masz? Co, jesteś ciągle w Roppongi? A, właśnie skończyłaś pracę. Nie, jestem ze znajomym, z Yoshim, ale nie czuję się najlepiej, chyba pojedę do domu. No tak, niedługo. Nie, chyba nie dam rady się z wami spotkać, bo chce mi się rzygać. Chyba czymś się przytrułam. Nie wiem. No, zadzwonię jutro. Nie martw się. Wszystko u mnie w porządku, spokojnie. Sorry. Okej, na razie.

Matt musiał pewnie zastanawiać się, co za szopkę odstawiałam. Od-

powiedziałam na wszystkie jego pytania, więc wiedział, że byłam bezpieczna. Przyzwyczylił się już do fałszywych rozmów przez telefon, jakie odbywałam, kiedy byłam akurat z klientem, ale ta była „odrobinę” dziwniejsza niż zwykle. Usiadłam na kanapie obok Yoshiego i zasłoniłam twarz dłońmi.

– Strasznie cię przepraszam, Yoshi, ja...

– Co się stało, *ma chérie*? – Yoshi spojrział na mnie smutnym wzrokiem. – Nie lubisz mnie? Nie podoba ci się moje mieszkanie?

– Nie o to chodzi – zaczęłam się bronić, ale kiedy na niego spojrzałam, Yoshi nie popatrzył mi w oczy. Obok niego leżała jakaś rzecz. Wyjął zapalniczkę i podgrzał szklaną kulę. Jednym długim, eleganckim wydechem wypuścił kłęb lodowatego dymu, po czym odetchnął głęboko. Zakaszlałam. – Co to takiego?

– Lód – odpowiedział beznamiętnie. – Chcesz trochę?

– Nie – odsunęłam się, żeby uniknąć kontaktu z dymem, którego chmura unosiła się wokół nas. – Yoshi, naprawdę jest mi niedobrze. Wydaje mi się, że zatrulałam się...

– Musisz się wyspać – powiedział. – Spoko, chodź. – Zaprowadził mnie za przegrodę i uniósł rąbek kołdry. – Odpocznij. Obudzę cię rano.

Położyłam się na jego łóżku, a on mnie opatulił i wyszedł z pokoju. Słyszałam, jak ponownie włączył telewizor. Migotanie ekranu odbijało się na ścianach. Leżałam, gapiąc się w sufit. Dopieszczona fałdami luksusowej, białej jak śnieg kołdry, stwierdziłam, że jeszcze nigdy w życiu nie leżałam w tak wygodnym łóżku, ale jeśli chodzi o mój stan umysłu i uczuć, byłam przerażona. Właśnie miałam przedsmak mojego potencjalnego życia z Yoshim. Porażka. Jak się z tego wyplątać? Wbijalam wzrok w sufit przez całą wieczność, aż w końcu wstałam i rozsunałam przegrodę.

– Yoshi? – Spojrział na mnie. Nie odezwał się. Sprawiał wrażenie, jakby był po prostu kolejnym atrakcyjnym elementem wyposażenia swojej szpanerskiej kawalerki. Na ekranie wyginała się goła Japonka. Nie odezwał się słowem.

– Pojadę do domu. Ja...

– Okej – przerwał mi i to było wszystko, co miał do powiedzenia. Zero emocji, żadnego słowa protestu. Mechanicznie odprowadził mnie do drzwi. Kiedy je otwierał, wyglądał na starego i znużonego człowieka. Miał lekko obrzmiałe nozdrza. – Mam nadzieję, że poczujesz się... le-



piej niedługo. Idź do domu i wyśpij się. Zadzwoń do ciebie. Jutro... pamiętaj, żeby... okej.

Yoshi chciał się uśmiechnąć, ale dostrzegłam na jego twarzy tylko zmarszczki w kącikach oczu. Nie chciałam go zostawiać, ale jak mogłam tutaj zostać? Uszło z niego życie. Miał przejebane.

Pękło mi serce i rozpadło się na kawałki, jak gdybym przestała istnieć. Ale istniałam. Przyszłam tu z nim. Byłam gotowa zrobić to, co uważałam za słuszne, cokolwiek mogło to oznaczać, ale nie dopuściłam do siebie głosu rozsądku, po prostu zareagowałam, zdając sobie sprawę, czym było to, czego naprawdę szukałam. Nadal byłam pijana, za bardzo pijana, żeby trzeźwo myśleć. I właśnie wychodziłam.

Dotarło do mnie, że to nie miało znaczenia. Tu, właśnie w tym miejscu, nic innego nie mogło się wydarzyć. Ceniłam Yoshiego bardziej, niż sądził, ale kiedy ujrzałam go w takim stanie w miejscu, w którym mieszkał, wszystko stało się trzeźwiaco jasne. To nie było moje życie.

Na progu zawahałam się i ułożyłam usta, by wypowiedzieć słowa, które jednak nie padły. Yoshi nie patrzył na mnie. Przycisnęłam do siebie prezent od pana Fujimoto, czując moc whisky, której nigdy nie spróbuję. Butelka ważyła swoje, ale nie była aż tak ciężka – na pewno lżejsza niż decyzja podjęta w chwili, w której po raz ostatni zobaczyłam Yoshiego.

Postawiłam stopę na pustym chodniku i zaczęłam biec. Biegłam i biegłam, coraz szybciej. Chłodne powietrze opustoszałych ulic chłostało mi twarz, kłuło w oczy i pozbawiało tchu w płucach, ale mimo to biegłam przed siebie.



## Idę tam, gdzie idziesz, nie idę, gdzie nie idziesz



Życie potrafi być tak skomplikowane, a zarazem tak proste. Każdy jedynie pragnie czuć się kochany i chce, by ta miłość znaczyła coś dla drugiej osoby, przeważnie z jakiegoś konkretnego, wyjątkowego powodu. Przeglądałam się temu zjawisku przez trzy miesiące – jego zwyczajnej, absurdalnej albo zapierającej dech w piersiach wersji. Nie byłam zwykłą hostessą. Kochałam ludzi, przynajmniej do pewnego stopnia, i nadal ich kocham. Czułam, że coś mnie łączyło z mężczyznami z klubu. Nie byłam dla nich obojętna, stanowiłam egzotyczną odskocznnię w inny czas i inne miejsce. Ale ponad wszystko kocham Matta. To on jest moją drugą półką.

Dziś przypada nasza trzecia rocznica. Jutro wylatujemy do Kanady i wreszcie przedstawię go rodzinie. Dziś jedziemy do Roppongi Hills na kolację, a potem pójdę do Greengrass, żeby przepracować ostatni wieczór jako hostessa. To pierwszy posiłek podczas całego pobytu w Japonii, który będzie nas kosztował więcej niż 20 dolarów. Matt nie posiada się z radości. Podejrzewam, wzięwszy pod uwagę ekskluzywne restauracje, do jakich zdążyłam się już przyzwyczać, że pewnie będę kręciła nosem. Ale spokojna głowa, przeżyję.

Wiesz, Matt, tak bardzo wyprzedzasz swój czas. Porównywanie ciebie z tymi emocjonalnie absorbującymi związkami, jakie łączyły mnie z moimi klientami, Japończykami w średnim wieku, jest absolutnie nieuczciwe. Gdybym mogła spojrzeć im w oczy, kiedy mieli twoje lata, wątpię, czy dojrzałabym w nich tę niesamowitą wrażliwość. Choć bywasz nieokrzesany, ufam twojej duszy. Wiedz o tym.

Jedno, co wiem, to, że będę tęskniła za tym miejscem. Będę tęskniła za wszystkim, o czym nie zdołałam napisać. Będę tęskniła za Takatanim, ekscentrycznym gitarzystą bluesmanem, który w Japonii nie został gwiazdą, bo nigdy nie był jednowymiarową postacią, ale który zabrał mnie na kolację, zafundował specjalne miejsce na swoim koncercie i nawet napisał o mnie piosenkę pod tytułem *Chelsea*, a potem zadzwonił o drugiej nad ranem ze studia, żeby zagrać mi ją na żywo przez telefon, kiedy siedzieliśmy z Mattem w Starbucksie i piliśmy frappuccino. W Europie Takatani sprzedał ponad trzynaście milionów egzemplarzy swoich albumów – myślę, że to czyni go słynną postacią – ale dla mnie pozostał po prostu wspaniałym człowiekiem. Będzie mi brakowało naszych rozmów o muzyce, sztuce i filozofii, i chwil, kiedy mijaliśmy spacerkiem świątynię w samym środku Tokio, a on nagle zaczynał nucić swoją pieśń.

Będzie mi brakowało wszystkich tych drobiazgów: śpiewania karaoke – o tak, naprawdę będę za tym tęskniła; poznawania obcych, których następnego wieczoru traktowało się jak dobrych znajomych; naukowców z Pekinu, zajmujących się komórkami macierzystymi; słuchania mężczyzn, ich historii o życiu, o marzeniach i miłościach; picia do późna z Takeru Kobayashim, sześciokrotnym mistrzem świata w jedzeniu hot dogów – jak na tak nieśmiałego, skromnego faceta, miał największe bicepsy, jakie kiedykolwiek widziałam.

Będę tęskniła za Shinem, moim drogiem Shinem, jego dobrocią i humorem, a także za Nishim i Sohem i ich wygłupami. Będę tęskniła za krajem, który uwielbia postać Anpanmana z głową zrobioną z regenerującej się bułki – stworą, który pozwala, by inni zjadali mu twarz, ponieważ jest „taki hojny”. Będzie mi brakowało energii pana Fujimoto i sposobu, w jaki wykrzykuje: „Straszne!”, sącząc kolejny kieliszek czerwonego wina i snując kolejną soczystą opowieść. Będę tęskniła za dymem papierosowym – chociaż w tej chwili jeszcze o tym nie wiem – i prawdopodobnie już zawsze będę miała słabość do wspomnień przesyconych zapachem tytoniu.

I Yoshi, rzecz jasna, będę za nim tęskniła, chociaż nie wiem, jak będę się z tym czuła za jakiś czas... ale to nie szkodzi.



## Ostatnia noc w raju



Wydawałoby się, że patrząc na ostatnie dziewięćdziesiąt dni swojego życia, jesteś w stanie opowiedzieć o nich w taki sposób, by właściwie przekazać sens wszystkiego, co się w tym czasie wydarzyło. Że potrafisz nałożyć na płótno wystarczająco dużo żywych kolorów albo tak zanurzyć stalówkę w atramencie, by zamienić upływ czasu w ciąg czarnych literek na białym tle, zestaw słów, które zdołają uchwycić to, co nieuchwytnie, choćby w drobnym ułamku. Jeżeli dokonasz tego szczerze, być może to wystarczy, o ile nie popełnisz błędu na samym początku – jak bowiem miałby ktokolwiek docenić opowieść, której nawet ty nie potrafisz w pełni zrozumieć? Możesz mieć tylko nadzieję, że twoja historia okaże się co najwyżej niedoskonałą próbą przywołania wspomnień, i musisz się z tym pogodzić. Po prostu napisz, co masz napisać, a wszystko inne niech zostanie otwarte do interpretacji.

Shin zjawił się o wpół do dziesiątej. W tle brzęczał Phil Collins. Dziewczyny zaśmiewały się z czegoś. Papierosy się tliły. Spojrzał w moją stronę i pomachał. Ktoś wznosił dwujęzyczny toast. Popłynął alkohol, konwersacje trwały w najlepsze, a umysły grały ze swoimi właścicielami w skomplikowane gierki. Odpowiedziałam machnięciem ręki i podeszłam do niego, nie czekając, aż Tehara, Nishi lub Soh zaprowadzą mnie do jego stolika. Byli zbyt zajęci innymi rzeczami.

Shin trochę się wystroił – ale tylko odrobinę, tak że, gdybym mu to wytknęła, miałby podstawy, by wszystkiego się wyprzeć. Miał przyczesane

włosy i wyprasowaną koszulę, ale mimo to nadal nie pasował do tego miejsca, jak gdyby zupełnie przypadkiem zajrzał do Greengrass i teraz, splukawszy się, cały tydzień musiał jeść tylko japoński rosółek z makaronem.

Kiedy zamówiłam dla nas obojga sok pomarańczowy, zaśmiał się ze mnie. Wypiliśmy niespiesznie jeszcze po dwie szklanki soczku, prowadząc zwyczajną rozmowę przerywaną długimi okresami ciszy i okazjonalnymi przytykami.

– Jesteś taaaką kiepską hostessą – Shin pokręcił głową z niedowierzaniem. – Jak ty wytrzymałaś tutaj tak długo?

Kiedy poprosił o książkę do karaoke, wiedziałam, co się stanie.

Japońskie słowa *Sayonara Song* przesuwają się linijką za linijką na ekranie, a Shin wyśpiewywał je tak niesamowicie fałszywie – łamiącym się głosem wspartym maślanymi oczami – że aż pięknie. Mimo to jego przepuszczony przez głośniki głos dla wszystkich poza mną brzmiał niewyraźnie. Wreszcie odnalazłam klucz do serca karaoke – nie chodzi w nim o popisywanie się, o bycie dobrym albo kiepskim; karaoke to bezosobowe, zespołowe działanie, które, pod przykrywką słów napisanych przez kogoś innego, pozwala uczestnikowi wyrazić własne uczucia. Ukrywając się za znaną wszystkim piosenką, możesz przekazać dowolne osobiste emocje. To dlatego nigdy nie miało znaczenia, czy ktoś śpiewał, czy nie. Nie chodziło o zwykłe „tak” lub „nie”, ponieważ wszystko zależało raczej od nastroju.

Kiedy Shin skończył śpiewać, poprosił, żebym, w ramach rewanżu, teraz ja wykonała dla niego jakąś piosenkę. Początkowo wstydziłam się, bo nigdy nie śpiewałam z Shinem i wcale nie miałam ochoty tego zmieniać, przede wszystkim dlatego, że nie byłam pewna, czy głos mi się nie załamie. Ugięłam się wreszcie, kiedy nazwał mnie „maleńką”. Dostał to, czego chciał.

Zaśpiewałam dla niego *Leaving on a Jet Plane*.

W przeciwieństwie do podmiotu lirycznego piosenki, nie spakowałam jeszcze ani jednej walizki, ponieważ nadal, choć był to już ostatni moment, nie byłam pewna, czy rzeczywiście jestem gotowa wyjechać. Ale następnego dnia kończyła się moja wiza i w dodatku miałam wykupiony bilet lotniczy, którego nie mogłam zwrócić. Nie miałam wyboru. Niedługo wbiją pieczętą w mój paszport i wylecę stąd, czy tego chciałam, czy nie. Zupełnie jakbym umiała zdecydować, czy chciałam, czy nie.

Po dwóch godzinach spędzonych w klubie Shin zapłacił i wyszliśmy razem na korytarz. Opowiedział dowcip, a ja się roześmiałam. Nacisnął przycisk wzywający windę. Guzik zapalił się po raz milionowy i dźwig ruszył powoli, wspinając się sześć pięter.

Kiedy Shin obdarzył mnie jednym z tych swoich zagadkowych, wesołych uśmiezków, nie potrafiłam przybrać w odpowiedzi stosownego wyrazu twarzy. Staliśmy tak przez chwilę – bodaj nasz pierwszy krępujący moment razem – aż w końcu Shin podniósł prawą rękę.

– Okej – powiedział po prostu. – Do zobaczenia.

– Do zobaczenia, Shin.

Chwilę później drzwi windy zamknęły się. Za nim. Za wieloma rzeczami. Stojąc tak samotnie na wydeptanym korytarzu w przygaszonym świetle jarzeniówki, przypominałam sobie, jak stanęłam tutaj po raz pierwszy tak, wydawałoby się, dawno temu z zupełnie innymi odczuciami – i wtedy nagle, na swój sposób, poczułam się dokładnie tak samo jak wówczas.

